# Łowcy dusz

# Jacek Piekara

Niewielkie bowiem utrapienia naszego obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To, bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie.

św. Paweł, II list do Koryntian

Bo są w narodzie moim przewrotni, co splatają sieć jak łowca ptaków, zastawiają sidło, łowią ludzi.

Księga Jeremiasza

## Łowcy dusz

Obnażył się, wskoczył na stół, kucnął, nasrał Najjaśniejszemu Panu do patery z owocami i życzył smacznego — powiedział Ritter takim tonem, jakby oznajmiał, że wczoraj była ładna pogoda.

Wpatrywałem się w niego w milczeniu.

— Jesteście pijani — zawyrokowałem wreszcie.

— To fakt. — Ritter wstał z ławy, z trudem udało mu się zachować pion. — Szczerze przyznaję, że jestem pijany! Ale weźcie pod rozwagę, iż ciężko chlubić się trzeźwością, kiedy się chleje od trzech dni!

— Więc zmyśliliście tę historię?

— Piłem — rzekł Ritter z dumą w głosie. — Piję. — Wskazał na kubek. — I będę pił nadal — obiecał z jeszcze większą dumą. — Lecz to, co mówię, to najświętsza prawda. Zobaczycie, jutro całe miasto będzie huczało. Mają go oskarżyć o obrazę zbrodni majestatu.

— Zbrodnię obrazy majestatu — sprostowałem. — Bardzo dowcipnie, zważywszy fakt, że zbrodnia ta ma miejsce wtedy, kiedy majestat uzna, iż został obrażony. To więcej niż proste. Tylko tym razem kara chyba słusznie się należy...

— Ja myślę. — Mój towarzysz roześmiał się tak, że jego kozia bródka zatrzęsła się na wszystkie strony. Wychylił kubek do dna i przełknął głośno trunek. Odbiło mu się. — U cesarza gościło właśnie poselstwo polskiego króla. Wyobrażacie sobie?

Sporo słyszałem wcześniej o Polakach oraz o tym, że w czasie oficjalnych spotkań przywiązywali niezwykłą wręcz wagę do właściwych procedur, etykiety i zachowania stosownej hierarchii. A jeśli uznali, że ktoś ich zlekceważył lub zszargał ich honor, potrafili być naprawdę nieprzyjemni. W końcu któż inny, jak nie król Władysław, kazał żywcem poćwiartować pięć tysięcy gdańskich mieszczan, którzy zbyt późno doszli do wniosku, że niewpuszczenie polskiej armii przez bramy miasta może zostać uznane za zniewagę? Nie sądzę więc, by wydarzenie, w którym uczestniczyło polskie poselstwo, podniosło w jego oczach prestiż Najjaśniejszego Pana.

— Albo go zwolni ze stanowiska i uwięzi — stwierdziłem — albo możemy zapomnieć o traktacie.

— Kanclerza? — Ritter otworzył szeroko oczy. — Nie myślicie chyba...

— I tak źle, i tak niedobrze. — Pokręciłem głową. — Jeśli mu daruje, Polacy uznają, że jest słabym człowiekiem bez honoru, i z raportem utrzymanym w takim właśnie duchu wrócą do swego króla. A wiecie przecież, jak bardzo są nam potrzebni.

— Królestwo trzech mórz... — bąknął Ritter.

— Czort z ich morzami. Ważne, że mają armię, która, chcąc nie chcąc, strzeże naszych wschodnich granic. Natomiast jeśli cesarz każe ukarać kanclerza, narazi się Tettelbachom, Falkenhausenom, Neubacherom i komu tam jeszcze... Ba, nawet areszt domowy z przymusową opieką lekarską może być dla nich za trudny do przełknięcia.

— Nie rozumiem go — pokręcił głową Ritter. — I bardzo mnie to złości!

— Kanclerza czy Najjaśniejszego Pana?

— Pewnie, że kanclerza. — Wzruszył ramionami, jakby dziwiąc się mojej niedomyślności.

— A to czemu?

Wylał do kubka resztę wina z dzbana i smętnie zajrzał do pustego już naczynia. Westchnął. Nagle ktoś rozjazgotał się za jego plecami, zobaczyliśmy wielką kobietę o tłustej, czerwonej twarzy i skołtunionych włosach. Wyciągała za ucho jegomościa przypominającego przerażonego szczurka. To właśnie ta kobieta tak potwornie wrzeszczała, prosząc wszystkie piekielne i boskie siły, by zabrały od niej pijacką zakałę nazywaną ślubnym małżonkiem.

— Z buta ją, z buta! — ożywił się na chwilę Ritter, ale widząc, że mężczyzna ma oczy wybałuszone ze strachu, znowu tylko westchnął. Obrócił się z powrotem do mnie.

— Jako poeta, dramaturg oraz pisarz powinienem znać tajniki duszy ludzkiej i prawa rządzące zachowaniem człowieka. Sami przecież wiecie, że by opisać naturę, trzeba wpierw poznać kierujące nią mechanizmy. Natomiast w tym wypadku... — pokręcił głową — jestem bezradny.

— Tak jak każdy, kto stanie w obliczu szaleństwa — pocieszyłem go.

— Bogu dziękować, że przynajmniej potrafię rozpoznać brzmienie dźwięku strun poruszających kobiece serca — stwierdził nie na temat i jeszcze raz zerknął do dzbana w próżnej nadziei, że naczynie cudownym sposobem zdołało się napełnić. — Postawicie jeszcze kolejkę, panie Madderdin?

— Postawię — westchnąłem. — Bo cóż mam zrobić?

Roześmiał się serdecznie.

— Wiedziałem, że dobry z was człowiek — powiedział, przechylając się w moją stronę. — Ale do kobiet jakoś szczęścia nie macie... — dodał.

— Taki już mój los — odparłem spokojnie. — Cieszę się jednak, że wy macie szczęście za nas dwóch.

— No, to akurat prawda — stwierdził bez zbędnej skromności i pomachał wskazującym palcem prawej dłoni. — Żebyście wiedzieli, jak dobrze być artystą opromienionym sławą oraz szacunkiem...

— A to niby wy jesteście? — przerwałem mu.

— Jakbyście zgadli — roześmiał się ponownie, nie wyczuwając ironii w moim głosie. — Mój blask przyciąga kobiety niczym ćmy. — Zerknął jeszcze raz na dno dzbana. — Mieliście postawić kolejkę — rzekł oskarżycielskim tonem.

Podniosłem się z miejsca i skinąłem na karczmarza.

— Jeszcze raz to samo — rozkazałem, a on uśmiechnął się, ukazując spróchniałe zęby.

Wróciłem do Rittera, który nerwowo bębnił palcami po blacie.

— Jak zacznę, nie mogę przestać — burknął niezadowolony i pokręcił głową. — Cóż zrobić, skoro artystyczna inwencja potrzebuje widać, by napędzać ją zbawiennymi likworami.

— A dużo ostatnio napisaliście pod wpływem tego napędzania? — spytałem złośliwie.

— Na razie poprzestaję na twórczym myśleniu — odparł wyniośle, patrząc gdzieś nad moją głowę, jakby w zbutwiałym, okopconym suficie karczmy chciał odnaleźć muzę. — Ale wierzcie, że rychło zbiorę bogaty plon z zasianych ziaren mego talentu... I zaufajcie, że wtedy — znowu pokiwał palcem — nie zapomnę również o was.

— Serdecznie wam dziękuję — mruknąłem.

— Tak, tak, nikt nie powie, że mistrz Heinz Ritter zapomina o przyjaciołach. Wyobrażacie sobie, jakie będę miał wpływy, kiedy zostanę cesarskim dramaturgiem? A ile kobiet... — Zamyślił się i uśmiechnął do siebie.

— Sądziłem, że nie brakuje wam szczęścia w miłości.

— Kobiet nigdy dość, panie Madderdin — rzekł sentencjonalnie. — Taka już nasza męska natura, która każe nam rzucać nasienie na płodne łona. Bo oto obdarzacie swymi łaskami jasnowłosą młódkę o zgrabnym tyłeczku i niewielkich piersiątkach, a już, niemal w tym samym momencie, marzycie, by spędzić słodką chwilę z dojrzałą czarnulą o nogach niczym greckie kolumny i piersiach przypominających sztormowe fale.

— Czyli z rozbryzgami piany na szczytach? — zapytałem niewinnym tonem.

— Nie znacie się na sztuce. — Zmarszczył brwi, zrozumiawszy, że z niego kpię. — Przenośnia oraz porównanie są środkami artystycznego wyrazu, a autor w tym wypadku puścić wodze fantazji, by słuchaczowi lub czytelnikowi tym wyraźniej zarysować przed oczami obraz, który powstał w jego bogatej imaginacji.

Mogłem sobie kpić z Rittera, niemniej miał zapewne rację. Najpiękniejszy jest przecież ten ląd, który dopiero jawi się na horyzoncie, natomiast najwonniejsze kwiaty rosną w ogrodzie sąsiada. Westchnąłem nad niedostatkami ludzkiego charakteru i pomyślałem: jakież to szczęście, że to, co się tyczy zwykłych ludzi, nie odnosi się do wiernych służebników Pańskich.

Karczmarz wychynął zza zasłony i postawił przed nami dzban z winem.

— Może poleweczki? — zaproponował przymilnie. — Dopiero co zrobiona z kruchutkiego mięseczka, podlana wybornym sosikiem. A do tego podam świeżunio upieczony chlebuś... Życzą sobie panowie?

Spojrzałem bez słowa, uśmiech powoli gasł na jego pucułowatej twarzy.

— No to już nie przeszkadzam — wyszeptał i zniknął za kotarą.

— W sumie bym coś zjadł... — wymruczał Ritter, wlewając wino do kielichów. Ręka mu trochę drżała, lecz nie uronił ani kropli.

— *Jedzcie a pijcie, bo jutro pomrzemy* — powiedziałem ironicznym tonem.

— *Nie troszczcie się tedy o jutro, albowiem jutrzejszy dzień sam o siebie troskać się będzie* — poeta był na tyle przytomny, by odpowiedzieć również cytatem z pisma, i z radości, że udała mu się zręczna riposta, klasnął dłońmi w uda.

Przechyliłem kubek do ust i posmakowałem trunku. Wino było całkiem niezłe jak na swoją cenę i szybko szło do głowy.

Przynajmniej szło Ritterowi, gdyż ja potrzebowałem nieco więcej, by ugasić ponure myśli, które ostatnio rzadko kiedy raczyły mnie odstępować.

— Może pośpiewamy? — zaproponował Ritter, choć głos mu się już trochę plątał. — Znam pewną prowansalską piosnkę...

— Nie — rzekłem stanowczo. — Jestem zbyt trzeźwy na prowansalskie piosnki.

Ritter zakręcił się niespokojnie na krześle, a krzesło niebezpiecznie zaskrzypiało.

— Jakbyśmy się tak przeszli po mieście? — Machinalnie pogładził kozią bródkę.

— Heinz, czy ty wiesz, ile w Akwizgranie kosztują dobre kurwy? — zapytałem, ponieważ wiedziałem, co ma na myśli. — Cena za ich usługi jest odwrotnie proporcjonalna do stanu mojej sakiewki — dodałem.

Przez chwilę rozważał dopiero co usłyszane słowa i wpatrywał się we mnie, przygryzając usta.

— Nie musimy od razu iść na dobre. — Wzruszył ramionami. — Aaa, no chyba że to znaczy, iż nie macie w ogóle pieniędzy?

— Geniusz — potwierdziłem ze sztuczną emfazą. — Czysty geniusz! Jak na to wpadliście?

— Zdecydowanie za dużo wydajecie — stwierdził, celując we mnie wskazującym palcem. — Z całym szacunkiem, panie Madderdin, ale pieniądze coś się was nie trzymają... Powinniście mnie powierzyć pieczę nad wspólną kasą.

— Wspólną? Ha, nie omieszkam skorzystać w przyszłości z tej znakomitej rady — powiedziałem kwaśno gdyż Ritter zaczynał mi działać na nerwy.

Taka ta kasa była wspólna, że ja do niej wkładałem, a on wyjmował. I podobny stan rzeczy tolerowałem w zasadzie tylko z jednego względu. Wiedziałem, że gdyby Heinz miał pieniądze, to nie chowałby ich po kieszeniach, lecz zaprosił waszego uniżonego sługę na solidną popijawę połączoną z innymi atrakcjami. Taką już miał szczodrą naturę, choć szkoda, że nie szła za nią zamożność.

Dramaturg znowu rozlał wino do kubków. Cóż, nie da się ukryć, że piliśmy w szybkim tempie. Ja coraz bardziej wściekły, iż trunek w ogóle na mnie nie działa.

— Zaśpiewałbym wam pieśń o księżniczce Indze, która dawała wszystkim okolicznym pastuchom... Chcecie?

— A co im dawała? — spytałem bez zainteresowania.

— Co miała najlepszego — zaśmiał się Ritter, zakrztusił winem i długo kasłał. Nie poklepałem go po plecach. — Źle poszło — wycharczał wreszcie i otarł lśniące od śliny usta. — No i? — zagadnął po chwili wesołym już tonem, choć nadal ździebko chrypiał. — O Indze? Szybko nauczycie się refrenu...

— Na gwoździe i ciernie! Skąd ja biorę tyle cierpliwości?! — warknąłem.

— Jak tam szło? — Ritter wydawał się nie zwracać na mnie uwagi. — *A płeć miała jak śnieg białą, drżała, gdy ją częstowali pałą —* zanucił zacinającym się głosem.

— Jeśli to jest prowansalska piosnka, to ja jestem polskim wojewodą — powiedziałem.

— No, ta akurat moja — mruknął i zaczął wybijać rytm palcami po blacie stołu, mamrocząc jednocześnie coś pod nosem.

— Akurat — prychnąłem. — Zostańcie lepiej przy dramatach. — Machnąłem ręką. — I tak nie dorównacie Piedrowi...

— Piedro Usta ze Złota? — spytał, podnosząc oczy. — Znacie go?

— Znam — odparłem, gdyż słynny bard miał kiedyś wobec mnie dług wdzięczności, który udało mu się spłacić z nawiązką.

— Jest tu — rzekł Ritter i zabrzmiało to jak „jesssu”. Był chyba bardziej pijany, niż myślałem. — Robi karierę... — żachnął się. — Wierszokleta... — dodał szyderczo.

— Zazdrość przez was przemawia...

— Eeee tam. — Zamachał ręką tak szybko, że ledwo co zdołałem unieść kielich, o który w innym wypadku niechybnie zawadziłby rękawem. — Wiecie, że stracił oko?

— Coś takiego! — zdumiałem się. — Bandyci? Pojedynek?

— Eee tam — powtórzył. — Konkurencja, nie bandyci.

— Konkurencja?

— Rita. Złotowłosa. Mówi wam to coś?

Mówiło, i to sporo. Ale na razie nie zamierzałem informować o tym Rittera.

— I? — spytałem.

— Wydrapała mu oczy, oko znaczy się. Jedno. Bo napisał o niej balladę, gdzie nazwał ją Ritą Padłocycką. I od tej pory wszyscy tylko tak o niej mówili, a jak przyjeżdżała na występy, śmiali jej się prosto w gębę. Ach, panie Madderdin, kobiety są wielce czułe na punkcie swych wdzięków...

Ucieszyłem się, iż moja dawna intryga dała tak znaczące rezultaty, niemniej trochę mi było żal Pietra usta ze Złota, który stracił oko na skutek pożałowania godnej zapalczywości Rity. No cóż, nikt go do niczego nie zmuszał, a za artystyczną swobodę czasami należało jak widać, płacić wysoką cenę.

— Za Piedra. — Uniosłem kielich. — Żeby mu to ostatnie oko dobrze służyło!

— Za Piedra — podchwycił Ritter, stukając swoim kielichem w mój. Dobrze, iż trochę odsunąłem dłoń, bo ani chybi w innym wypadku rozlałby obie porcje trunku.

###### \* \* \*

Zaproszenie do pałacu zajmowanego przez polskie poselstwo szczerze mnie zdumiało. O moim pobycie w stolicy nie miał pojęcia nawet lokalny oddział Świętego Officjum, chociaż grzeczność nakazywała, bym nawet nie przebywając w sprawach służbowych, zameldował się starszemu Inkwizytorium, którym aktualnie i od lat był Lukas Eichendorff. Na razie jednak nie dopełniłem tej formalności, więc zastanawiałem się, skąd polski poseł — wojewoda Andrzej Zaremba — dowiedział się o pobycie waszego uniżonego sługi w Akwizgranie. No i ciekawe, czegóż ode mnie chciał...

Siedziba zajmowana przez Polaków znajdowała się tuż za katedrą Jezusa Triumfatora, pośrodku pięknego, rozległego ogrodu. Był to dwupiętrowy pałac z wieżą w kształcie kopuły, do wejścia prowadziły białe kolumny i szerokie marmurowe schody. Strażnikom przy bramie pokazałem list z pieczęcią i wtedy służący bez zwłoki zaprowadzili mnie do komnaty, w której urzędował poseł. Wojewoda był wielkim, brzuchatym mężczyzną o długich, siwych wąsiskach i czaszce okolonej wianuszkiem równie siwych włosów. Miał roześmiane niebieskie oczy i mięsiste usta, znamionujące obżartucha oraz smakosza. Z wyglądu przypominał bogatego, swawolnego kupca lub poczciwego właściciela ziemskiego. Z tego, co wiedziałem, nie był jednak ani swawolny, ani poczciwy. Za to nieprawdopodobnie bogaty. Polskie poselstwo na ulice naszej stolicy wjechało, prowadząc czterdzieści rumaków szlachetnej krwi, z których każdy miał kopyta podkute złotymi podkowami. I Polacy nie przejmowali się, kiedy konie je gubiły. Oczywiście ku ogromnej uciesze gawiedzi. Podobno nawet padło kilka trupów w zażartej walce, jaką nasi mieszczanie stoczyli o złote podkowy.

— Wasza dostojność. — Pochyliłem się na tyle głęboko, by ukłon można było uznać za wystarczający dowód szacunku, lecz nie na tyle, by odebrano go jako oznakę służalczości.

— Siadajcie no, siadajcie, mistrzu inkwizytorze — zaprosił Zaremba po łacinie. — Gość w dom, Bóg w dom, jak powiadają. — Gestem rozkazał służącemu, by nałożył mi jedzenia i nalał wina.

Podziękowałem, siadając w fotelu obitym purpurowym jedwabnym adamaszkiem.

— Słyszeliście o wypadkach, jakie zaszły w czasie audiencji, której raczył nam udzielić Najjaśniejszy Cesarz? — spytał prosto z mostu.

— Kto nie słyszał, jaśnie panie. Całe miasto...

Pokiwał głową, na widelec o dwóch ostrzach nasadził ogromny kawał mięsiwa, przeżuł i popił winem. Służący bez słowa napełnił jego kielich.

— Pijcie, inkwizytorze, bo nie lubię sam zalewać pały.

Posłusznie wziąłem kielich i nim wypiłem, przyjrzałem się temu kosztownemu naczyniu. Na podstawie stała figura brodatego Atlasa, który mocarnymi ramionami podtrzymywał czarę kielicha niczym sklepienia niebieskie. Oczywiście wszystko było rzeźbione w złocie, zaś na boku czary pysznił się wizerunek wspiętego na dwie łapy lwa, górującego nad hełmem w koronie. Herb Zarembów. Wypiłem. Mlasnąłem, gdyż wino było naprawdę przedniej próby. Sługa natychmiast dolał mi do pełna.

— Dziwne to wydarzenie, nie sądzicie?

— Zgadzam się, wasza dostojność. Lecz już starożytni lekarze pisali, że szaleństwo objawia się u niektórych ludzi jak piorun z jasnego nieba. Bywa skutkiem przemęczenia, obżarstwa, opilstwa, życiowych tragedii... Czai się niby wąż, bezgłośne, niewidoczne, by nagle zaatakować i ukąsić z całej mocy.

— Być może. — Wypił znowu, przechylając głowę mocno do tyłu. Policzki pokryły mu się lekkim rumieńcem. — Pijcie, pijcie — ponaglił mnie.

Wojewoda, jak widać, był człowiekiem niestroniącym od trunkowych uciech, a ponieważ wino z jego zapasów było najwyższej jakości, więc mogłem się tylko cieszyć, że nie ma nawyku, by skąpić go gościom.

— Słyszałem o was — rzekł pozornie nie na temat. — Doniesiono mi, żeście są przyjacielem przyjaciół. — Poczułem na sobie badawczy wzrok niebieskich oczu.

— Staram się pomagać bliźnim, kiedy są w potrzebie — odparłem.

— I słusznie. — Polak skinął głową. — Więc teraz pomożecie mnie.

Nie powiem, iż nie spodziewałem się podobnego obrotu spraw, ale nie powiem też, że nie zaniepokoił mnie fakt tak szybkiego spełnienia przewidywań.

— Jestem lojalnym sługą Najjaśniejszego Cesarza — rzekłem oględnie.

— I słusznie — powtórzył wojewoda. — Tej lojalności nikt nie zamierza wystawiać na próbę. Każdy poddany powinien dochować wiary swemu suzerenowi, gdyż właśnie tak, nie inaczej ułożono świat. Zdrowie cesarza! — Wzniósł kielich.

— Posłuchajcie, inkwizytorze — ciągnął dalej, kiedy już spełniliśmy toast. — Wiem, żeście człowiek biegły w odkrywaniu wszelakiego plugastwa, które Szatan w swej złości zsyła na lud Boży. I do tego właśnie was potrzebuję.

Zrozumiałem, rzecz jasna, że chodzi mu o odkrywanie tajemnic, nie zsyłanie plugastwa, niemniej uśmiechnąłem się w myślach. Tylko w myślach, ponieważ wojewoda nie sprawiał wrażenia człowieka, którego bawiłoby, iż wytyka mu błędy ktoś niższego stanu.

— Jeśli macie jakiekolwiek podejrzenia co do zbrodni czarostwa bądź herezji, dostojny panie, być może należałoby oficjalnie powiadomić Inkwizytorium...

Huknął pięścią w stół, aż zadrżały talerze i kielichy a ja urwałem w pół zdania.

— Sto złotych dublonów — oznajmił — za twój czas, fatygę oraz zdolności. Kolejne trzy setki, jeśli znajdziesz coś, za co warto zapłacić.

Spojrzał na mój wypełniony (znowu!) po brzegi kielich.

— A wy co? Ślubowaliście wstrzemięźliwość?

— Z całą pewnością nie, jaśnie oświecony panie — odparłem. — I pokornie proszę, by wolno mi było wznieć toast za zdrowie znamienitego króla Władysława.

— Zezwalam. — Wojewoda opróżnił kielich pomiędzy sylabami „zez” i „walam”, ale tak szybko, iż przerwy niemal nie dało się usłyszeć.

— To królewskie honorarium — wróciłem do rozmowy, a ponieważ faktycznie byłem zdumiony wysokością oferowanej kwoty, musiało to zabrzmieć bardziej niż szczerze. Wojewoda się uśmiechnął. — Lecz nadal nie wiem, za jakie usługi miałbym je otrzymać.

— Dziwne przypadki zdarzają się ostatnio w otoczeniu twego władcy, inkwizytorze. Morderstwo żony, kradzież klejnotów, napaść na samego cesarza, a teraz to...

— Zaraz...

— Nie dziw się, że o tym nie słyszałeś. — Wzruszył ramionami. — Niemniej wierz mi, iż kanclerz jest już czwartą osobą z dworu, której przydarza się zdumiewający... — zawiesił głos — przypadek. Poprzedni trzej zostali odesłani do rodowych włości i oddani pod opiekę medyków, gdyż stan ich umysłów budził, i z tego, co wiem, nadal budzi, obawy... Lubię grać w kości, inkwizytorze — dodał po chwili. — Ale jeśli komuś cztery razy pod rząd wypada szóstka, czuję się w obowiązku sprawdzić, czy aby ich nie sfałszowano.

— Wasza dostojność pozwoli... Kim są poprzednie trzy osoby, których zachowanie było tak niezwykłe? I co ma z tym wspólnego śmierć cesarzowej?

Nie było nic dziwnego, iż wiedział więcej ode mnie. Tylko idiota mógł się łudzić, że Polacy nie utrzymywali szpiegów na cesarskim dworze. A Zaremba był jednym z najbardziej zaufanych doradców polskiego króla. Zapewne właśnie do niego trafiały raporty agentów.

— Słyszeliście, że zmarła w czasie połogu, tak? — spytał i roześmiał się. — No pijcie, pijcie, ciągle mi się ociągacie... — dodał. — Z przykrością stwierdzam, że próżno w was szukać dionizyjskiego ducha!

Odwołania do pogańskich wierzeń nie były u nas mile widziane, lecz nie było sensu, by informować o tym Zarembę. Słyszałem, że w czasie poprzedniej wizyty na cesarskim dworze pijany w siwy dym wojewoda zaczepił szambelana i zapytał: „Powiedzcie no, dobry człowieku, gdzie tu się mogę wysrać?”. „Pan, wojewodo? Wszędzie” — odpowiedział szambelan uprzejmie i zgodnie z prawdą. Bo też Zarembie wolno było sto razy więcej niż zwykłemu zjadaczowi chleba. Dlatego gdyby mi kazał przed każdym toastem skrapiać ziemię na cześć Bachusa, również bym nie protestował.

— Pokornie upraszam o wybaczenie, wielmożny wojewodo — powiedziałem, chwytając kielich.

Znów wychyliliśmy do dna i znów służący dolał do pełna.

— Czy on...? — Pokazałem oczami sługę.

— Nie obawiajcie się. Jest niemy i głuchy, lecz nie z fizycznego defektu, a z własnej woli.

— Nie rozumiem...

— Nigdy nie wyjawi nawet słowa, które tu wypowiedziano, gdyż łączy nas przelana krew — wyjaśnił Zaremba. — Oddałby za mnie życie, jak i ja za niego.

— Ależ, panie, różnica stanów... — ośmieliłem się powiedzieć.

— Różnica stanów — parsknął pogardliwie i spojrzał na mój pełny kielich. Uniósł swój. — Po raz kolejny chcecie mnie obrazić abstynencją?

— Nigdy bym nie śmiał! — Wypiliśmy.

— Dla nas liczą się krew i honor — wyjaśnił wojewoda. — Na polu bitwy wszyscy żeśmy równi, bo i krew sączy się taka sama z naszych żył, i boli nas jednako.

Wojewoda Zaremba najwyraźniej był romantycznym idealistą. A ponieważ ten właśnie romantyczny idealizm łączył nasze natury, więc przepiłem do niego prawdziwie szczerze.

— Tylko co ja mogę, jaśnie panie wojewodo? Powiem szczerze: nie znam Akwizgranu i przyjechałem jedynie, korzystając z krótkiego urlopu, jakiego raczył mi udzielić Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu. Co gorsza, nie mam tu informatorów, wręcz można powiedzieć, że nikogo nie znam. W Hezie mógłbym starać się wam usłużyć, lecz tutaj... — rozłożyłem dłonie — wybaczcie.

Przyglądał mi się chwilę spod zmarszczonych brwi, potem się uśmiechnął.

— Jesteście uczciwym człowiekiem — stwierdził. — Z radością więc zauważam, że nie mylono się co do was.

Zastanawiałem się, któż udzielił Polakowi informacji na mój temat, ale ani nie zamierzałem pytać, ani nie sądziłem, by odpowiedział.

— Taaak. — Potarł palcami bulwiasty nos. — Ja przecież to wszystko wiem, inkwizytorze, i nie zaprosiłem was, byście grzecznie odmawiali. Słyszałem o pewnym człowieku, który może być nam pomocny. A wy go znacie jeszcze z czasów studiów w Akademii.

— Z Akademii Inkwizytorium? Któż taki, jeśli wolno wiedzieć?

— Franz Luthoff — wyjaśnił.

Zastanowiłem się. Niestety, nie miałem genialnej pamięci mego przyjaciela Kostucha i odnajdywanie nazwisk z dawnych lat nie przychodziło mi z łatwością. Zwłaszcza że, jak widać, Franz Luthoff nie zaznaczył się ani dobrze, ani źle w moim życiu, skoro nie byłem w stanie go sobie przypomnieć.

— Nie pomnę — mruknąłem, lecz już za moment klepnąłem się w kolano, gdyż coś mi zaczęło świtać. — Chociaż zaraz, czy to przypadkiem nie taki rudy, z piegami?

— O! — Wojewoda wzniósł palec. — Ciepło, ciepło. No, napijmy się, bo wino nam wyparuje.

Każdy powód był dobry, więc znowu przechyliliśmy do dna.

— Luthoff niespełna rok temu prowadził pewne przesłuchania, z których protokoły zniszczono. A ja, inkwizytorze, chcę wiedzieć, cóż takiego zapisano w tych protokołach.

Niszczenie dokumentów było zbrodnią. Tego się w Inkwizytorium nie praktykowało i nie słyszałem o podobnym wypadku. Owszem, niektóre śledztwa utajniano, a podejrzani trafiali do wyższych instancji wraz ze wszystkimi dotyczącymi ich papierami. Powiedziałem o tym Zarembie.

— Wiem. — Skinął głową. — Mam jednak powód wierzyć, że w tym wypadku postąpiono inaczej, łamiąc prawa, które was obowiązują.

— Ośmielę się spytać, jaśnie wielmożny wojewodo, dlaczego nie przepytacie samego Luthoffa?

— Luthoff od wielu miesięcy leży w lazarecie akwizgrańskiego Inkwizytorium. I podobno niedługo pociągnie. Wy się możecie do niego dostać, kiedy poprosicie o gościnę tutejszych inkwizytorów.

Oczywiście mogłem tak zrobić. Przynajmniej miałbym zapewniony darmowy nocleg oraz wikt, co w mojej sytuacji finansowej nie byłoby wcale takie głupie. Mogłem również zachorować i trafić do lazaretu, tam i szczerze porozmawiać sobie z Luthoffem, jak jeden doświadczony chorobą człowiek z drugim doświadczonym chorobą człowiekiem.

— Czy byłby pan łaskaw, jaśnie oświecony wojewodo, wyjawić mi, czego w przybliżonym zakresie dotyczyło śledztwo? A przynajmniej kogo przesłuchiwano?

— Zjedzcie coś, inkwizytorze, bo mi się tu zaraz zalejecie. — Zaremba przełożył na mój talerz solidny kawał pieczeni, a gest ten miał zapewne świadczyć o jego życzliwości.

Talerze były ze srebra. Na ich środku wygrawerowano herb Zarembów, a boki pokryte były scenami z Drogi Krzyżowej.

— Uniżenie dziękuję waszej dostojności.

Spróbowałem i rozmarzyłem się. Pieczeń była znakomita. Krucha, wonna, świetnie przyprawiona. A sos? Nad opisaniem smaku tego sosu musiałby pochylić się poeta!

— Pana kucharz, wielmożny wojewodo, jest... — urwałem. — Słów nie znajduję na oddanie jego talentu.

Chyba uwierzył, że nie pragnę mu schlebiać, gdyż sam we własnym głosie słyszałem szczery zachwyt. Również spróbował.

— Niezłe, niezłe. — Zamlaskał. — Tacy już po prostu jesteśmy — dodał bez zbędnej skromności. — W żadnym innym kraju nie ma tak walecznego rycerstwa, tak gładkich niewiast i tak wyśmienitych kucharzy. Ale do rzeczy... Przesłuchiwano pewnego czarownika — wyjaśnił, wracając do mego pytania — znanego między innymi pod imieniem doktora Magnusa z Padovy.

— Nigdy nie słyszałem — odparłem, kiedy tylko zdążyłem przełknąć. — Wśród tego tałatajstwa co drugi każe zwać się Magnusem.

Pokiwał głową, przyznając mi rację.

— Przez długie lata był mnichem, potem uciekł z klasztoru i włóczył się po całej Europie. Wiem, że wydano za nim nawet listy gończe, ponieważ podejrzewano go o sprawki niezgodne z naszą świętą wiarą. Jednak udało mu się uniknąć zarówno stryczka, jak i waszej opieki — mrugnął do mnie — i zniknąć na kilka lat. No ale wreszcie pojawił się w Akwizgranie, gdzie wasz bystry kolega całkiem przypadkowo go złapał i aresztował.

— Co stało się dalej? — pozwoliłem sobie zapytać, gdyż Zaremba przerwał i wyraźnie czekał właśnie na pytanie.

— Przesłuchiwano go i torturowano. Umarł.

Syknąłem. Śmierć podejrzanego w czasie śledztwa, świadczyła o rażącym braku profesjonalizmu. Owszem kiedyś i mnie taka rzecz się zdarzyła, lecz ośmielałem się twierdzić, że nie nastąpiło to z mojej winy, bo nie zdążyłem nawet dotknąć przesłuchiwanego, gdy wytrzeszczył oczy, poczerwieniał i zmarł. A ja wyjaśniałem mu tylko zasady działania piły do cięcia kości, ponieważ prezentacja narzędzi była przecież zwyczajowym początkiem każdego kwalifikowanego przesłuchania.

— Dokumenty zniszczono — dodał, jednak to już przecież słyszałem.

— Z całym szacunkiem, jaśnie wielmożny panie wojewodo, muszę odmówić — powiedziałem z prawdziwym żalem, gdyż sto złotych dublonów bardzo by mi się przydało.

Zaremba spojrzał na mnie nawet nie rozzłoszczony, lecz zdziwiony. Chyba rzadko zdarzało mu się słyszeć odmowy.

— Znowu macie pełny kielich — stwierdził oskarżycielskim tonem. — Boicie się, że dosypałem wam trucizny? A może wino wam nie smakuje?

— Jest wyśmienite, jaśnie panie, o ile może to ocenić podniebienie człowieka tak ubogiego jak ja — powiedziałem i wypiliśmy po raz kolejny do dna. Służący niemal natychmiast dolał trunku.

— Dlaczego chcecie mi odmówić przysługi? — Zaremba spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

— Treść przesłuchań prowadzonych przez Święte Oficjum może zostać ujawniona publicznie tylko za specjalną zgodą przełożonego lokalnego oddziału Inkwizytorium. W niektórych sprawach wymaga się nawet zgody kancelarii Jego Ekscelencji. Nie wolno mi złamać prawa, którego ślubowałem przestrzegać — wyjaśniłem.

Przyglądał mi się uważnie i stukał pierścieniami w blat stołu.

— Zawrzyjmy więc umowę — rzekł w końcu. — Rozpoznacie sprawę i sami zdecydujecie, czy chcecie się ze mną podzielić pozyskanymi informacjami. Sto dublonów, tak czy inaczej, jest wasze.

Zaremba był nie tylko hojnym człowiekiem. Był człowiekiem wzbudzającym sympatię oraz szacunek. Najbardziej podobało mi się to, że nie próbował kupić moich wyrzutów sumienia i łapówką nakłonić, bym złamał przepisy Officjum. Ale jego decyzja oznaczała też jedno: wojewodzie bardziej od poznania tajników sprawy zależało na tym, by została ona rozwiązana. Oczywiście, jeśli w ogóle istniała jakakolwiek „sprawa”. Nie miałem wątpliwości, że byłem tylko jednym z narzędzi, których zamierzał użyć. Zapewne w ten czy inny sposób uruchomił swych agentów na cesarskim dworze, choć najpewniej do tej pory nic nie osiągnęli.

— To więcej niż szczodrobliwa oferta — przyznałem. — Zrobię, co w mojej mocy, dostojny panie.

Wojewoda skinął głową, jakby niczego innego się po mnie nie spodziewał.

— Czy wolno mi jednak zadać kilka pytań?

— Pytajcie.

— Skąd wasza dostojność wie o zniszczeniu protokołów? Kto ośmielił się wydać taki rozkaz? Czego dotyczyło przesłuchanie? I wreszcie najważniejsze: kto towarzyszył Luthoffowi w czasie badania? Bo musieli przecież być co najmniej pisarz oraz kat.

— Obaj nie żyją. Pisarza potrącił rozpędzony powóz, kat zginął w bójce pod miastem. Pech, prawda inkwizytorze?

— A Luthoff umiera w lazarecie... Rzeczywiście wielki pech, wasza miłość.

— Nie wiem, kto wydał rozkaz zniszczenia dokumentów. Waszym zdaniem, kto był to władny uczynić?

— Nikt, jaśnie oświecony wojewodo! Nawet kancelaria biskupa nie ma takiego prawa. Ktoś musiał złamać przepisy. Ale to jest surowo karane.

— Kto mógł zażądać od inkwizytorów oddania dokumentów?

— Biskup i papież. Nikt inny.

— Obaj wiemy, że jest jeszcze ktoś inny — zaakcentował mocno dwa ostatnie słowa. — Jednak o tym mówić nie będziemy, bo, o ile wiem, sprawa nie dotyczy ani klasztoru Amszilas, ani Wewnętrznego Kręgu.

— Jakiego kręgu? — Otworzyłem szeroko oczy, mając nadzieję, że moje zdziwienie jest autentyczne oraz szczere, bo nie zamierzałem przecież z posłem obcego państwa poruszać tematów tak drażliwych.

— Dokumentów zażądali wysłannicy papiescy. Oryginałów oraz odpisów. — Zaremba uśmiechnął się spod wąsów, ignorując moje pytanie.

— Czy wasza wielmożność wie, kto był tym wysłannikiem?

— Brat jałmużnik Maurizio Sforza.

— Co takiego?!

— Znacie tego człowieka?

Owszem, znałem. I miło też było się dowiedzieć, że są elementy mojego życia, o których polski arystokrata nic nie wie.

— Tak. — Skinąłem głową. — Ośmielę się powiedzieć, że to wyjątkowa kanalia, nie urażając pańskich uszu, jaśnie oświecony wojewodo.

— Słyszałem gorsze słowa. — Zaremba znów się uśmiechnął.

— Ciągle jest sparaliżowany?

— A jakże. Dwóch ludzi nosi go w specjalnie przystosowanym fotelu. Wiecie może, co oznaczają litery GL wyrżnięte na jego policzkach?

— Pochodzą od imienia i nazwiska Gaspara Louvaina, zwanego Wesołym Katem z Tiannon. Wesoły Kat przyozdobił go tak pewnej nocy, po czym zaginął — wyjaśniłem.

— Dużo wiecie na ten temat...

— Byłem wtedy w Stolpen i wraz ze Sforzą prowadziłem pewne śledztwo. Chciał mnie oddać pod sąd papieski.

Zaremba gwizdnął przeciągle.

— To nie kochacie się z bratem jałmużnikiem, co? A wiecie, że tu jest? W Akwizgranie?

Nie wiedziałem, lecz ta informacja nie mogła poprawić mi humoru.

— Ważna persona z niego — dodał wojewoda, co mnie jeszcze bardziej przygnębiło. A pomyśleć, że pewnej nocy mogłem bezkarnie zabić Sforzę! Teraz żałowałem swej łagodności. — Wracajmy jednak do rzeczy, tylko przedtem się napijmy, bo język mi wysycha. — Zaremba tym razem sam rozlał wino do kielichów, gdyż jego służący przed chwilą zniknął za drzwiami. — Tak, co ja tam... — zaczął, kiedy już przełknął trunek.

— Czego dotyczyło przesłuchanie? — przypomniałem mu.

— Czarnej magii. Tyle wiem.

Z całą pewnością wiedział dużo więcej, aniżeli chciał wyjawić. Nie było jednak sensu naciskać, gdyż Zaremba nie sprawiał wrażenia człowieka, którego można namówić, by powiedział więcej, niż chce.

— I jeszcze jedno, jaśnie wielmożny panie: poprzedni trzej ludzie z otoczenia cesarza, którzy zdaniem waszej dostojności zachowywali się w tak niezwykły sposób?

— Nic wam to nie da. — Wzruszył ramionami. — Odesłano ich do rodowych włości i z tego, co wiem, żyją w zamknięciu przed światem. Joachim Kluze, podczaszy cesarski, Siegfried Hildebrandt, medyk, oraz Gedeon Tachtenberg, koniuszy.

Nic mi te nazwiska nie mówiły, niemniej zanotowałem je w pamięci. Trzeba przyznać, że do tej pory szaleństwo ogarniało ludzi niedzierżących znamienitych stanowisk, choć oczywiście słów „podczaszy” lub „koniuszy" nie należało rozumieć dosłownie, gdyż aby objąć taką funkcję, trzeba było legitymować się i dobrym urodzeniem, i znacznymi koneksjami.

— Medyk — powiedziałem. — Czy wedle słów waszej wielmożności to właśnie on spowodował tragiczną śmierć Najjaśniejszej Pani?

— Nie znam szczegółów — odparł Zaremba. — Poza tym, że wykopał płód z jej łona, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać.

Patrzyłem na niego takim wzrokiem, jakby przyznał właśnie, że jest uroczą niewiastą o wielkich potrzebach. W świecie takim jak nasz, świecie niespodziewanych zdarzeń i karkołomnych obrotów fortuny, rzadko zdarza się zadziwić czymś inkwizytora Jego Ekscelencji. Ale tym razem słowo „zadziwienie” nie oddawało nawet w części moich odczuć.

— Wasza dostojność zapewne...

— Nie, nie żartuję ani nie kpię — ubiegł moje wątpliwości. — Nie sądzę, by śmierć była dobrym powodem do kpin. — Przeżegnał się. — Panie, racz dać wieczne odpoczywanie tej nieszczęsnej kobiecie i jej nienarodzonemu dziecku.

Przeżegnałem się również.

— Nie skazano go, nie sądzono...

— Szaleńca? Bełkoczącego niezrozumiale i plującego pianą niczym wściekły pies?

A więc Zaremba znał szczegóły tej zajmującej historii.

— Zamietli wszystko pod dywan. I słusznie. Sam bym tak zrobił.

Nagle zrozumiałem, jak wielką władzę miał ten człowiek. Polska była ogromnym krajem, fakt, że w dużej części porośniętym nieprzebytymi kniejami, lecz jednak ogromnym. A ten człowiek może nie rządził Polską, ale w rządzeniu nią miał wielki udział. I oto teraz miałem sposobność siedzieć z nim przy jednym stole. Z feudałem, który jednym ruchem dłoni mógł decydować o losie miast, ludzi i całych krajów. Wierzyłem, że zatuszowałby podobny skandal i nie zawahałby się usunąć świadków tegoż skandalu. Musiałem też przyznać, że nie do końca byłem zadowolony z faktu, iż stałem się jednym z powierników takiej tajemnicy. Zaremba nie musiał mnie ostrzegać, bym nikomu nie wspominał o tej sprawie. Gdyby to zrobił, okazałoby się, że najwyraźniej uważa mnie za wyjątkowego durnia.

— A próba zabójstwa Najjaśniejszego Pana, wielmożny wojewodo?

— Tachtenberg. Widłami. W stajni. Wyobrażacie sobie?

Wyobrażałem sobie, choć z trudem. Rozum gdyby szlachcic pragnął zamordować cesarza za pomocą sztyletu, miecza, w najgorszym razie trucizny. Ale widłami? Niczym zwyczajny parobek?

— Trudno uwierzyć... — powiedziałem tylko.

— Ano trudno. Sami jednak powiedzieliście, że szaleństwo objawia się u niektórych ludzi jak piorun z jasnego nieba.

— Ale widłami?!

— Bogu dziękować, nie trafił — rzekł Zaremba.

— Czy byli świadkowie tych zajść, jaśnie oświecony panie?

— Byli. To dobre słowo. Byli. Nie, nie. — Zauważył mój wzrok i machnął dłonią. — Nie zamordowano ich, jeśli o tym myślicie. Drugiego lekarza wysłano z wyprawą do Abisynii, a stajennego uwięziono.

— Z wyprawą Markusa Kiesslinga? — spytałem. — No to już lepiej było okazać mu łaskę i po prostu zabić.

Wojewoda roześmiał się.

— Z waszych słów wnioskuję, że nie sądzicie, by Kiessling kiedykolwiek powrócił?

Miał rację. Markus Kiessling wyruszył, by poprzez Egipt dostać się do Abisynii i sprawdzić, czy godne wiary są pogłoski o potężnym chrześcijańskim królu władającym tymi ziemiami. Moim zdaniem szanse powrotu miał mniej więcej takie same jak mucha wysłana na zbadanie pajęczej sieci.

— A ekspedycja, którą wysłaliśmy do Chin, powróciła — rzekł Zaremba. — Chociaż zabrało im to trzy lata. Z tego, co wiem, w Krakowie drukują właśnie opis wyprawy. Zaiste ciekawa lektura, inkwizytorze. Każę wam wysłać egzemplarz.

— Pokornie dziękuję waszej dostojności. Będę zaszczycony — powiedziałem szczerze i z pełnym przekonaniem, gdyż miała to być pierwsza relacja naocznych świadków i byłem naprawdę ciekaw, co znaleźli w Chinach.

— Może więc i Kiessling wróci. Wypijmy za niego. — Wznieśliśmy kielichy, a Zaremba otrząsnął się potem jak mokry pies i uśmiechnął. — Czuję już ten jakże miły szmerek w głowie — obwieścił z satysfakcją w głosie. — No ale do rzeczy, do rzeczy. Chcecie jeszcze coś wiedzieć?

Wino wojewody było mocne i ciężkie. Szło do głowy i ja, szczerze to przyznam, czułem już nieco więcej niż tylko niewinny szmerek. Bóg mnie co prawda pobłogosławił szczególną odpornością na skutki działania trunków, jednak miałem nadzieję, że Zarembę czekają ważne sprawy natury państwowej i nie zamierza kontynuować naszego spotkania do chwili, kiedy jego lub mnie trzeba będzie wynosić z komnaty.

— To co usłyszałem, na razie mi wystarczy, jaśnie oświecony panie. Niezwłocznie zabiorę się do pracy.

— Dobrze. — Pokiwał głową. — Podoba mi się wasz zapał. No, idźcie już...

Wstałem, starając się ukryć ulgę.

— Jeszcze jedno — rzucił, kiedy kłaniałem się, stojąc już przy drzwiach. — Będę wyprawiał ucztę. W sobotę za tydzień. Będziecie miłym gościem.

Ślinka pociekła mi na myśl o specjałach, które w gotuje polski kucharz. Jednak wiedziałem, że nie powinienem pojawiać się w pałacu Zaremby.

— Wybaczcie, jaśnie oświecony panie, lecz nie sądzę by towarzystwo inkwizytora...

— Polski wojewoda może zapraszać, kogo zechce. I nikomu nic do tego — przerwał mi złym głosem — A jak komuś nie podobają się moi goście, to fora ze dwora!

Nie pozostawało mi nic innego, jak pokłonić się raz jeszcze i szczerze podziękować za łaskę, z której skorzystać i tak nie miałem zamiaru.

###### \* \* \*

Siedziba Inkwizytorium w Akwizgranie była prawdziwą fortecą. Bynajmniej nie dlatego, iżby inkwizytorzy spodziewali się nagłego ataku. Ona po prostu miała świadczyć o potędze Świętego Officjum. Gdyż to przecież właśnie w Akwizgranie koronowano cesarzy, tu znajdował się jeden z pałaców Najjaśniejszego Pana, tu często zjeżdżali elektorzy oraz szlachta z całego cesarstwa, tu często gościły zagraniczne poselstwa, to wreszcie miasto słynęło z uzdrawiających gorących źródeł. Poza tym Akwizgran był miastem katedr, kościołów oraz klasztorów i z tego powodu również Święte Officjum zadbało, by jego siedziba w Akwizgranie budziła podziw. Zbudowana z czerwonych cegieł forteca otoczona była wysokimi na piętnaście stóp, potężnymi murami, najeżonymi wieżami strażniczymi. Główne budynki, ułożone w kształcie prostokąta, otaczały rozległy dziedziniec. Wiedziałem jednak, że ta imponująca budowla świeci pustkami. Nie było sensu utrzymywać dziesiątków żołnierzy potrzebnych do obsadzenia murów ani setek ludzi służby, skoro w akwizgrańskim oddziale Inkwizytorium służyło raptem trzydziestu inkwizytorów. A licząc gości Officjum, strażników i służbę, z całą pewnością nie przebywało tam więcej niż sto osób. Tymczasem, przyglądając się tej fortecy, byłem pewien, że w razie potrzeby mogła dać schronienie i tysiącowi zbrojnych. Lecz na jej terenie nie było tak charakterystycznych dla innych zamków warsztatów. Tu znajdowały się jedynie stajnie oraz piekarnia służąca tylko potrzebom mieszkańców.

Bramę pozostawiono otwartą na oścież, przy murze stało dwóch strażników z glewiami w dłoniach. Obaj byli odziani w kolczugi, a na ramionach mieli czarne płaszcze ze srebrnym symbolem złamanego krzyża. Obaj też byli wysocy, rozrośnięci w barach, brodaci i ponurzy. Ich wygląd nie zachęcał, by poprosić o przywilej znalezienia się na terenie Inkwizytorium. Podszedłem bliżej, zauważając, że zaczynają mi się przyglądać.

— Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Chciałem prosić o prawo wejścia.

— Witajcie mistrzu — odezwał się basem jeden ze strażników. — To wielki szczyt dla nas. Zgodnie z wydanym mi rozkazem muszę jednak poprosić was o dokumenty.

No cóż, podszywanie się pod inkwizytora było karane i całą stanowczością oraz surowością, ale wiedziałem, że zdarzają się czasami szaleńcy, którzy z głupoty, chęci zysku czy popisania się przed bliźnimi rzeczywiście próbowali udawać funkcjonariuszy Świętego Officjum. Jednakże udawać inkwizytora tu — pod murami akwizgrańskiej siedziby Inkwizytorium — byłoby szaleństwem wręcz niemieszczącym się w głowie. Ale rozumiałem, że przepisy są przepisami, więc wyjąłem z zanadrza biskupi glejt głoszący, że wszystkie oddziały Inkwizytorium są zobowiązane do niesienia wszelkiej możliwej pomocy Mordimerowi Madderdinowi, licencjonowanemu inkwizytorowi z Hez-hezronu. Strażnik spojrzał dokumenty, uważnie przypatrzył się pieczęciom, po czym odstąpił na bok.

— Raczcie wejść, mistrzu. Witamy całym sercem. Bądźcie łaskawi poczekać chwilę, a wezwę kogoś, kto was poprowadzi. — Zmierzył wzrokiem zamkowe budowle. — Tu nawet nasi stali goście często się gubią.

W to akurat nie wątpiłem.

###### \* \* \*

Lukas Eichendorff wyglądał jak brat bliźniak strażników czuwających przy bramie. Poprawiłem się w myślach: to oni wyglądali jak jego bracia bliźniacy, gdyż najwidoczniej upodabnianie się do przełożonego było tu w modzie. Tak więc starszy akwizgrańskiego Inkwizytorium był wysoki, barczysty i czarnobrody. Z postawy, wejrzenia oraz ubioru bardziej przypominał doświadczonego żołnierza niż inkwizytora. Nie widziałem go nigdy przedtem, ale oczywiście wiele o nim słyszałem, ponieważ utrzymywał się na stanowisku od blisko dziesięciu lat. Z tego, co wiedziałem, skończył szkolenie w Akademii tuż przedtem, zanim ja się w niej pojawiłem, a oszałamiającą karierę zawdzięczał silnemu charakterowi, bezwzględnej lojalności oraz umiejętności zyskiwania oddanych stronników. Rzadko te trzy cechy można było przypisać jednemu człowiekowi.

Eichendorff de facto był drugą osobą w Inkwizytorium, zaraz po Jego Ekscelencji biskupie Hez-hezronu. Ale stanowiska te dzieliła również przepaść, gdyż Lukas mógł zostać odwołany przez Gersarda za pomocą jednego listu. Wiedziałem jednak, że biskup jest za mądry, by pozbywać się tak cennego stronnika, zwłaszcza że w razie ataku wrzodów, podagry, hemoroidów lub uczulenia skóry zawsze mógł wyżyć się na swych dworzanach lub inkwizytorach z Hez-hezronu i nie musiał szukać ofiary aż w Akwizgranie.

— Kochany mistrzu Madderdin — Lukas rozwarł ramiona — serdecznie witamy w stolicy!

To ciepłe przyjęcie zdumiało mnie, ale również ujęło. Nawet jeśli Eichendorff tylko grał, to doceniałem, że zechciało mu się zagrać dla mnie.

— Słyszałem o twoich dokonaniach, Mordimerze — wyjaśnił, wskazując, bym usiadł. — Między innymi o tym, co zrobiłeś dla nas wszystkich w Wittingen. Nie myślałeś nigdy, by przenieść się do Akwizgranu? Zaręczam, że nie mam takich humorów jak Jego Ekscelencja. — Roześmiał się.

— Boże, miej go w swej opiece — dokończyłem zadowolony, że Eichendorffowi nie jest obce moje nazwisko ani dokonania. Cóż, każdy z nas, chcąc nie chcąc, ma w sobie odrobinę grzesznej próżności, nawet wasz uniżony sługa, który uważa się za człowieka skromnego oraz pokornego.

— Słusznie. Póki Gersard zdrowy, to i my zdrowi. Ale zastanów się nad moją propozycją.

— Czuję się zaszczycony, Lukasie — odparłem. — I jestem ci głęboko wdzięczny. Obawiam się jednak, że najprostszy sposób, by skłonić Jego Ekscelencję do wydania mi zakazu opuszczania Hez-hezronu, to poprosić o przeniesienie do innej placówki.

— Jak wy tam wytrzymujecie? — Machnął ręką. — Ostatni raz widziałem starego trzy lata temu i po godzinie miałem go już dosyć. Stetryczały zrzęda. A złośliwy jak kozioł...

Cóż, śmiałe to były słowa jak na podwładnego biskupa, lecz skoro Eichendorff tak właśnie mówił, widać mógł sobie na to pozwolić. Sądziłem zresztą, że wiedział mnie wystarczająco wiele, by ufać, że nie powtórzę Gersardowi treści rozmowy. Nawiasem mówiąc, gdybym nawet próbował tak uczynić, zaszkodziłbym jedynie samemu sobie, gdyż wprawiłbym Jego Ekscelencję w zakłopotanie. A zakłopotany biskup z całą pewnością postarałby się uatrakcyjnić życie biednego Mordimera słudze w stopniu trudnym do opisania...

— Co cię sprowadza, Mordimerze? W czym mogę ci usłużyć?

— Chciałbym, o ile będziesz tak łaskaw, skorzystać z gościny akwizgrańskiego Inkwizytorium.

— Tylko tyle? Jedz, pij, mieszkaj, ile chcesz... — Znowu machnął ręką. — Jesteś tu służbowo?

— Boże uchowaj — odparłem szczerze, gdyż przecież przyjechałem do Akwizgranu z namowy Rittera i jeszcze do dzisiaj nie wiedziałem, iż będę się zajmował jakimkolwiek zleceniem, a to, które otrzymałem od polskiego wojewody, było tylko pośrednio związane ze sprawami Inkwizytorium.

— Każę ci przyszykować izbę — powiedział. — Modlitwa jest o jutrzni, śniadamy zaraz potem.

To właśnie były niedogodności związane z gościną w oddziałach Inkwizytorium. Modlitwa o jutrzni. Boże mój, o jutrzni to powinno się zasypiać, a nie klękać na zimnych kamieniach! A śniadanie najlepiej smakowało wczesnym popołudniem. Trudno, musiałem się dostosować do przyzwyczajeń i trybu życia gospodarzy, jeśli nie chciałem szybko stać się niemile widzianym gościem. Oczywiście nikt by mnie nie wyprosił oficjalnie, lecz dano by mi do zrozumienia, że nie spełniam oczekiwań gospodarzy.

— Pokornie dziękuję, Lukasie.

— Sam przybyłeś do Akwizgranu?

— Nie. Wraz ze mną podróżował dramaturg Heinz Ritter, jeśli to nazwisko obiło ci się o uszy.

— Obiło, obiło. — Roześmiał się, jak na wspomnienie miłego zdarzenia. — Wystawiali tu „Wesołe kumoszki z Hezu”. Wielce zabawne... Możesz zaprosić i jego, jeśli chcesz. Zamieszka w skrzydle przeznaczonym dla gości Officjum.

— Pokornie dziękuję — powtórzyłem. — Choć nie wiem, czy człowiek tak światowy jak on nie pogardzi naszym skromnym życiem.

— Ach, ci pisarze — parsknął. — Tylko dziwki i wino im w głowach.

— Nie każdy tak jak my może odnaleźć szczęście w modlitewnej kontemplacji — przyznałem.

— Chodź, zjesz z nami obiad — zaprosił. — Podebraliśmy ostatnio kucharza z dworu kanclerza. I wierz mi, że to, co on robi, to jest właśnie prawdziwa poezja, Mordimerze.

— Kanclerza — powtórzyłem znaczącym tonem.

Spojrzał na mnie bystrym wzrokiem.

— Wiesz, prawda? — spytał. — Oczywiście, że wiesz. Wszyscy wiedza Szkoda, że mnie tam nie było. — Rozbawiony uderzył dłonią w kolano. — Niemniej to ponura wieść dla Cesarstwa.

— Mądry on nigdy nie był — wzruszył ramionami Eichendorff. — Nie spodziewałem się jednak, że szalony. Mógłby sobie teraz ręce podać z tym jałmużnikiem...

— Maurizio Sforza — powiedziałem spokojnie i wyżnie, gdyż domyśliłem się, o kogo chodzi.

— Ach, cóż to za przeklęta kanalia! — w głosie Eichendorffa wyczułem szczerą niechęć. — Przyjechał tu jako przełożony papieskich jałmużników.

— Zalazł wam za skórę? — spytałem współczująco. — Wiem coś o tym...

— Sprawa w Stolpen. — Uśmiechnął się. — Znam, znam. Temu Wesołemu Katu, co go tak obrządził, sam chętnie uścisnąłbym dłoń. Słyszałem, że Sforza chciał cię wysłać do Rzymu? To prawda?

— Prawda. — Skinąłem głową. — Pewnie do dzisiaj siedziałbym w celi na Zamku Aniołów. Lecz ośmielę się spytać: dlaczego sądzisz, że jest szalony?

— Hmmm... — Splótł dłonie. — Źle się wyraziłem. Sforza nie jest szalony, ale opętany ideą, którą uważa za swą misję, co w tym wypadku zresztą bliskie jest szaleństwu. Lecz przy tym wszystkim uważamy go za wielce niebezpiecznego człowieka. Nie wejdź mu w drogę, Mordimerze, gdyż tutaj, w Akwizgranie, ma silną pozycję oraz wielu stronników. Zdumiewające, jak zdołał to osiągnąć mimo swej nędznej fizycznej kondycji.

Przykro było mi to słyszeć i znowu żałowałem, że zdecydowałem się jedynie na spłatanie niewielkiego figla, a nie na zabicie brata jałmużnika. Bowiem zarówno paraliż, który unieruchomił go od pasa w dół, jak i wyrżnięte na policzkach litery zawdzięczał nie komu innemu, jak waszemu uniżonemu słudze. Oczywiście sam o tym nie wiedział, podejrzewając Wesołego Kata z Tiannon, pod którego umiejętnie się podszyłem. Była to moja słodka tajemnica i nie zamierzałem się nią z nikim dzielić, zwłaszcza, że Sforza najwyraźniej stał się człowiekiem jeszcze bardziej niebezpiecznym i jeszcze bardziej wpływowym niż kiedyś.

— Cóż to za misja? Cóż to za idea?

— Osłabić nas, może nawet zastąpić...

— Mnichami? Księżmi? — parsknąłem. — Oni nie potrafiliby znaleźć krowiego placka, nawet jakby w niego wdepnęli.

— Ano właśnie. Tak to bywa, kiedy do naszej pracy mieszają się partacze. A jest coraz gorzej, Mordimerze. W Akwizgranie nie można się już opędzić od tego bydła. Wszędzie ładują swoje brudne nochale.

— Co mają powiedzieć inkwizytorzy z Rzymu? Ciesz się, że tam nie pracujemy.

— Rzymska inkwizycja, żal to mówić, już niemal nie istnieje — przyznał Eichendorff. — Papiści podporządkowali sobie niemal wszystkich naszych towarzyszy, a tych, którzy podporządkować się nie chcieli, przegnano z miasta na prowincję. Źle się dzieje, Mordimerze. Im bliżej Rzymu, tym gorzej.

— Bronimy zaledwie status quo — powiedziałem. — I ciągle w tej walce przegrywamy mimo mniej czy bardziej spektakularnych zwycięstw, które nic jednak nie znaczą dla całości sprawy.

Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, jakby chciał się zorientować, czy mówię szczerze, czy tylko staram się go pociągnąć za język.

— Święta prawda — odparł w końcu. — Ale powiedz: cóż innego nam pozostaje? Ogryzają nas jak wilki sarnie ścierwo. Kęs po kęsie, kość po kości... Drobne ustępstwa, delikatne nagięcia praw, zamglone interpretacje, pisma, pozwy, odwołania, skargi...

— Nie miecz, a pióro rządzi światem — zakpiłem.

— Ano tak — zgodził się. — Lecz ocali nas żar prawdziwej wiary, który pielęgnujemy w naszych sercach.

Drgnąłem. Ale tylko wewnętrznie. Nie dałem znać po sobie, że słowa dotyczące „żaru prawdziwej wiary” i ocalenia płynącego dzięki niemu były mi znane, gdyż słyszałem je wcześniej z ust członków Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium, ludzi, o których istnieniu nie powinno się nawet wiedzieć. Ja nie tylko o nich wiedziałem, lecz również zawdzięczam im życie. Miałem wobec nich dług. Jednak nie sądziłem, by Eichendorff należał do tego elitarnego grona. Chociaż być może mu służył. Tak jak w pewien sposób również ja sam służyłem ludziom, których zamiarów nie pojmowałem, lecz którzy wydawali mi się podobnymi do pięknych kwiatów usiłujących się przebić wśród pól pełnych drapieżnych chwastów.

— Będzie źle — zawyrokował Eichendorff. — Wszyscy to widzimy, prawda?

— Jak bardzo źle, twoim zdaniem?

— Ojciec Święty powoła nową instytucję, by konkurowała z nami — odparł. — Słyszałem również o planach ustawy mówiącej, że każdy biskup będzie mógł powoływać księży ze swej diecezji, którzy zyskają za jego zgodą uprawnienia inkwizytorów. A wtedy szlachetna misja ścigania czarowników i heretyków zagubi się w kompetencyjnych sporach.

Kompetencyjne spory nie były jeszcze aż tak straszne, chociaż niewątpliwie denerwujące. Gorzej, że jeśli stałoby się tak, jak prorokował Eichendorff, to pozycja inkwizytorów ulegnie znacznemu osłabieniu a my sami będziemy narażeni na ciosy padające z wielu różnych stron. Tak jakbyśmy nie mieli dość kłopotów z heretykami, wiedźmami i czarnoksiężnikami.

— Módlmy się, by tak się nie stało — powiedziałem poważnie.

— Módlmy się, bo co innego nam pozostaje — przytaknął z goryczą. — Brakuje nam ludzi, Mordimerze. Nie takich jak ty czyja, ludzi czynu. Brakuje nam jurystów, doktorów praw, teologów. Rzym zasypuje nas pismami, skargami, interpretacjami przepisów, ekspertyzami, a my czasami nawet nie możemy z nimi dyskutować, gdyż nie do końca rozumiemy, o co chodzi... Z kolei biskup... — Machnął tylko dłonią. — Cokolwiek wysyłasz do kancelarii, to jakbyś kamień wrzucił w wodę...

To prawda, że Jego Ekscelencja miał coraz mniej czasu i serca dla inkwizytorów. Zarządzanie wielkimi, bogatymi włościami oraz spory w łonie samego Kościoła zajmowały mu więcej uwagi. Kierowanie Inkwizytorium było tylko jednym z wielu jego obowiązków, do którego, jak ośmielałem się sądzić, miał coraz mniej cierpliwości. Sprawie na pewno nie pomagał fakt, iż ciągle chorował i nadużywał trunków. Westchnąłem i postanowiłem zmienić temat rozmowy.

— Mam prośbę, Lukasie, i będę niezmiernie wdzięczny, jeśli zechcesz jej wysłuchać.

— Tak?

— Czy nie sprawiłoby kłopotu, gdybym mógł rozejrzeć się w aktach osobowych Inkwizytorium?

— O ile się nie mylę, twierdziłeś, że nie jesteś tu służbowo — ton jego głosu nie zmienił się nawet na jotę.

— To święta prawda — odparłem. — Lecz ktoś tu, w Akwizgranie, poprosił mnie o pewną przysługę. I wgląd w akta bardzo by mi pomógł w spełnieniu tej przysługi.

— Czyje konkretnie akta chcesz przejrzeć?

Oczywiście wiedziałem, że to pytanie prędzej czy później padnie. Ale nadal nie mogłem się zdecydować, jak na nie odpowiedzieć. Ponieważ jednak milczenie się przedłużało, więc w końcu podjąłem decyzję.

— Jeśli uznasz to za konieczny warunek, by dopuścić mnie do dokumentów, wtedy ujawnię nazwiska. Szczerze jednak przyznam, iż wolałbym tego nie robić... Mogę jedynie zapewnić, że ludzi tych nie ma obecnie w Akwizgranie — dodałem.

— Cóż... — Przypatrywał mi się z namysłem. — Nie widzę przeszkód — rzekł wreszcie. — Słyszałem, że jesteś człowiekiem godnym zaufania.

— Jestem lojalnym inkwizytorem — odparłem. — A ta sprawa nie dotyczy Inkwizytorium. Gdyby było inaczej, nie omieszkałbym wyjawić ci wszelkich szczegółów.

Skinął głową, przyjmując moje słowa do wiadomości.

Oczywiście chciałem przejrzeć akta dotyczące trzech ludzi, którzy na dworze cesarza tak nieoczekiwanie popadli w szaleństwo. Zaremba twierdził co prawda, iż nie jest to istotne dla sprawy, ja jednak wolałem polegać na własnej intuicji. Nie wątpiłem, że akta tych ludzi znajdują się Inkwizytorium, gdyż Święte Officjum słusznie twierdziło, iż niewiele rzeczy jest cenniejszych niż wiedza o obywatelach. Rzecz jasna, zbierano informacje dotyczące tylko postaci znaczniejszych lub takich, które budziły zainteresowanie inkwizytorów. Mogłem być pewien, że znajdę tam wiedzę o wszystka członkach cesarskiego dworu. Oczywiście otrzymam dostęp do części akt, lecz nie wątpiłem, iż informacje dotyczące lekarza, koniuszego oraz podczaszego nie były objęte klauzulą szczególnej tajności.

— Po obiedzie każę cię zaprowadzić do tajnej kancelarii — powiedział Eichendorff. — Rozeznasz się, co i jak. Sam zobaczysz, jak wszystko mamy dobrze uporządkowane.

Starszy akwizgrańskiego Inkwizytorium miał rację. Kiedy już dotarłem do kancelarii i się rozejrzałem, zobaczyłem, że wszystkie dokumenty zostały posegregowane alfabetycznie, według nazwisk. Wyszukałem te, które mnie interesowały, i, niestety, potężnie się zawiodłem. Nie było tam nic, co mogłoby mi się przydać. Bo cóż mnie obchodziło, że Kluze lubił zabawiać się z co młodszymi dworkami, Hildebrandt nie pijał nic poza ziołowymi naparami, a Tachtenberg serdecznie nienawidził swojego brata, który odbił mu narzeczoną. Akta pełne były takich właśnie szczegółów. A to że Kluze po pijanemu stwierdził, iż trudno znaleźć zgromadzenie większych łobuzów i złodziei niż kardynalskie konklawe; a to że Hildebrandt stanowczo przeciwstawiał się bezkrytycznej wierze w dobrodziejstwo leczenia pijawkami; a to że Tachtenberg wyrzucił z siebie kiedyś, że byłe gniadosz ma więcej rozumu niż kanclerz Jego Cesarskiej Mości. Nic jednak nie wskazywało na to, że tych trzech ludzi cokolwiek łączyło poza tym, że byli wiernymi sługami Najjaśniejszego Pana. Nic również nie łączyło ich z kanclerzem, jeśli nie brać pod uwagę złej opinii, którą miał o nim Tachtenberg, lecz z tego, co wiedziałem, nie była to bynajmniej opinia odosobniona. Czyż nie było więc jedynie kwestią przypadku, że wszyscy trzej zapadli na chorobę głowy? Owszem, wiedziałem, iż można podać ludziom odpowiednie dekokty, po których ich umysły wznosiły się na skrzydłach szaleństwa, ale dlaczego ktokolwiek chciałby otruć właśnie tych trzech? Widziałem z ich akt, że byli lojalnymi sługami cesarza, więc może ktoś chciał zaatakować po prostu osoby bliskie naszemu władcy.

Bliskie, powtórzyłem sobie w myślach to słowo i nagle olśniła mnie pewna myśl. Otóż zarówno koniuszy, jak i medyk popadli w szaleństwo, będąc w towarzystwie Najjaśniejszego Pana (nie wiedziałem, jak rzecz się miała z podczaszym). Wyobraziłem sobie zatem, że stoję z przyjacielem, w którego pierś wbija się strzała. Na drugi dzień spędzam czas z innym przyjacielem i ten też zostaje ugodzony. Wypada się więc zastanowić, czy strzelec pragnie zniszczyć bliskich mi ludzi, czy też po prostu nie umie dobrze utrafić. A celem tak naprawdę jestem ja...

Schowałem wszystkie akta na miejsce i choć wiedziałem, że nie dały mi żadnej realnej wiedzy, to jednak ich lektura pobudziła mnie do myślenia. Z doświadczenia wiem, że nie należy nigdy odrzucać nawet najbardziej szalonych hipotez ani pomysłów, gdyż do celu wiodą nie tylko szerokie trakty i brukowane ulice. Czasami miejsce, do którego pragniemy dotrzeć, znajduje się na końcu zarośniętej krzewami ścieżynki. Odkrywanie prawdy przypomina wędrówkę po gęstym lesie, w którym poradzi sobie tylko ten, kto ma śmiałość zagłębić się w chaszcze. Rzadko kiedy prawda błyszczy niczym toń jeziora w pełnym świetle słońca. Najczęściej ukrywa się w cieniu, wśród zbutwiałych pni, pod pokrywą mchu, gdzie dotrze tylko ten, kto nie boi się nachylić i zacząć kopać, choćby z pozoru zajęcie takie wydawało się głupie i bezowocne.

###### \* \* \*

Przez kilka dni prowadziłem przykładny żywot inkwizytora przebywającego w gościnie innych inkwizytorów. Wstawałem na jutrznię, wracałem na wieczorne modlitwy, starałem się nie rzucać nikomu w oczy i nie robić niczego, co mogłoby zostać uznane za niezwykłe lub naganne. Czwartego dnia zacząłem narzekać na bóle oraz zawroty głowy, piątego zemdlałem w czasie nabożeństwa, a wtedy bracia inkwizytorzy sami mnie zmusili, bym położył się w lazarecie pod czujną opieką miejscowego lekarza. W ten właśnie nieskomplikowany sposób znalazłem się w towarzystwie cierpiącego Franza Luthoffa.

Od pewnego czasu moje sny zmieniły się. Kiedyś zasypiałem tak głęboko, że nawet wspomnienie nocnych koszmarów pozostawiało rankiem jedynie ulotny ślad w mej pamięci. Teraz było inaczej. Zwykle śniło mi się, że ona siada obok mnie i chłodną dłoń kładzie na moim rozgorączkowanym czole. Zawsze się uśmiechała i zawsze widziałem w jej spojrzeniu czystą, niczym nieskalaną miłość. „Mój rycerz na białym koniu” — szeptała na poły poważnie, na poły żartobliwie. Chciałem, by sen się nie kończył, lecz on kończył się zawsze. Budziłem się z przeraźliwym obrzydzeniem do życia, które prowadziłem na jawie. Do życia, którego ona nigdy ze mną nie podzieli i nigdy nie dowie się, iż marzyłem, by rankiem wyszeptać jej imię, tak by nic nie słyszała, lecz poczuła na swoich ustach moje i z samego ich ruchu mogła poznać, jakie imię wypowiadam. Otworzyłem oczy i zdawało mi się, że jeszcze przez moment spoglądam w jej twarz. Ale potem widziałem już tylko biały sufit lazaretu.

— Nie. Nigdy. Niemożliwe — powiedziałem na głos do siebie. — Czy twoje sny, Mordimerze, nie mogłyby się nauczyć tych trzech słów?

Potrafię panować nad swoim życiem, lecz nie byłem, nie jestem i nie będę w stanie panować nad moimi snami. Wizja, która ukazywała mi się niemal co noc, była jak sen żebraka o sakiewce pełnej złota, marzenie zagłodzonego o świeżym chlebie, pragnienie konającego na pustyni o wodzie, która zmoczy jego wargi. Ta wizja nie mogła nieść nic poza bólem. Czytałem niegdyś, iż umierającym krzyżowcom ukazywały się czasami złudne miraże błękitnych jezior ocienionych palmami. Pełzli w ich stronę tylko po to, by zanurzyć dłonie w gorącym piasku i przekonać się, że dążyli do niedostępnej ułudy. Ja poprzestawałem zaledwie na spoglądaniu, gdyż byłem na tyle mądry, by odróżniać rzeczywistość od mirażu. Chciałem zapomnieć o jej głosie, jej twarzy, jej oczach, jej uśmiechu. Chciałem, Bóg mi świadkiem, jednak sny nie pozwalały mi zapomnieć. Pisała do mnie. Mniej więcej co tydzień, co dziesięć dni. Czytałem te listy uważnie, lecz nigdy na żaden nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że kiedyś przestanie pisać. Miałem nadzieję, iż zapomni o mnie, tak jak i ja chciałem zapomnieć o niej. Chciałem? Czy aby na pewno? Tak naprawdę marzyłem, by...

Obok mnie ktoś zajęczał głośno i boleśnie.

Luthoff był rozpalony gorączką, a jego twarz pokrywały czerwone plamy. Wyglądał jeszcze gorzej niż w chwili, kiedy położono mnie w lazarecie. Mimo to rozpoznałem go na pierwszy rzut oka. Faktycznie studiowaliśmy w tym samym czasie w Akademii Inkwizytorium i przypomniałem sobie, że był cichym, spokojnym oraz pilnym uczniem. Nikomu nie wadził, z tego, co wiedziałem, nie zyskał też niczyjej szczególnej sympatii.

— Franz! — Ująłem jego spoconą i gorącą dłoń. — Pamiętasz mnie?

Odwrócił głowę i wpatrzył się we mnie błyszczącymi oczyma.

— Nie — wyszeptał. — Kim jesteś?

— Mordimer Madderdin. Studiowaliśmy razem.

— Mord... din. Tak, tak... Posiwiałeś...

Cóż, była to, niestety, prawda. We włosach coraz częściej odnajdywałem srebrne nici i nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na kłopoty, z którymi musiałem się borykać niemal każdego dnia.

— Umieram, wiesz? — zaszeptał znowu.

— Nie mów tak nawet — zaprotestowałem — wyjdziesz z tego, chłopie.

Pocieszałem go, ale wyglądał faktycznie źle. Musiał stracić co najmniej trzydzieści funtów, miał spękane usta, pierś podnosiła mu się w nierównym oddechu. Czasem kończył wydech z trudem powstrzymywanym bolesnym spazmem. Otarłem pot z jego czoła.

— Przynieść ci wody? Gorącego rosołu?

Pokręcił głową.

— Ciągle wymiotuję — poskarżył się płaczliwym tonem. — Co przełknę, zaraz zwracam.

Natychmiast przyszło mi na myśl, że albo go otruto albo skutecznie podtruwano. Tyle tylko, że przecież opiekował się nim medyk Inkwizytorium, a i sam Eichendorff musiał zdawać sobie sprawę ze stanu zdrowia podwładnego. Gdyby chciał go otruć ktoś z Inkwizytorium, to po pierwsze, zrobiono by to szybko i skutecznie, a po drugie, na pewno nie dopuszczono by waszego uniżonego sługi do łoża chorego. Nie miałem wielkiej wiedzy na temat działania trucizn (chociaż potrafiłem rozpoznać większość popularnych specyfików), lecz z całą pewnością nikt by nie ryzykował w podobny sposób. Oczywiście sama teza, że Inkwizytorium chciałoby otruć jednego ze swoich funkcjonariuszy, była absurdalna. Znaliśmy lepsze sposoby na pozbywanie się czarnych owiec z własnego stada.

— Zobaczysz, jeszcze napijemy się za twoje zdrowie.

Uśmiechnął się z wyraźnym trudem.

— Otruli mnie, wiesz? — powiedział i zemdlał.

Próbowałem go ocucić, ale nie reagował na moje wysiłki. Natychmiast więc udałem się na poszukiwanie lekarza i miałem szczerą nadzieję, że jego ingerencja Przyniesie pozytywny skutek, gdyż bardzo chciałem usłyszeć następne słowa Luthoffa. Medyk przybiegł co prawda bez zwłoki, jednak po zbadaniu Franza miał ponurą minę.

— Nie pociągnie już długo — zawyrokował. — Uznam za prawdziwy cud, jeśli w ogóle się jeszcze obudzi. Jemu teraz bardziej potrzebna opieka nad duchem niż nad ciałem.

Był prawdziwie zmartwiony, lecz wiemy nie od dzisiaj, że ludzie potrafią odgrywać przeróżne role, kiedy tylko jest im to na rękę. Jakoś jednak nie mogłem sobie wyobrazić, by ten siwy, spokojny mężczyzna, w dodatku licencjonowany medyk Inkwizytorium, truł swego pacjenta.

— Szkoda, że nie poznamy przyczyny tej niepotrzebnej śmierci — rzekłem.

— Ano i medycyna czasem jest bezradna — zgodził się ze mną. — I wierzcie mi, że nawet za sto czy dwieście lat niewiele się zmieni w tej materii. Mechanizm działania ludzkiego ciała jest tak skomplikowany, że jeden tylko Bóg pojął prawa nim rządzące. My wciąż błądzimy niczym dzieci we mgle...

Cóż, dobrze, że przynajmniej stanowił wyjątek wśród adeptów sztuki lekarskiej, gdyż większość z jego kolegów po fachu była zwykle więcej niż pewna siebie, a śmierć pacjenta potrafili uzasadnić na każdy sposób, aby tylko nie własną niekompetencją lub niewiedzą.

— No, nic tu już po mnie. — Odwrócił się na pięcie. — Jeśliby się ocknął, zawołajcie...

Pokiwałem głową i przysunąłem sobie zydel do łóżka Luthoffa. Zamierzałem czuwać przy nim tak długo, jak tylko będzie trzeba, i dowiedzieć się, czy słowa „otruli mnie” były majaczeniem śmiertelnie chorego, bezpodstawnym oskarżeniem, czy też tkwiło w nich choć ziarno prawdy. Jeśli ziarno to rzeczywiście tkwiło, to Mordimer Madderdin zamierzał je wydziobać.

W końcu zobaczyłem, że mój towarzysz się budzi. Musiałem to wykorzystać, gdyż ośmielałem się sądzić, że pozostało mu już niewiele czasu, który spędzi na tym padole łez.

— Franz? Franz? Kto cię otruł, przyjacielu?

Nigdy nie był moim przyjacielem, lecz łączyły nas nie tylko wspólne studia, ale i wspólnie wykonywany zawód. Poza tym umierał, a człowiek konający na łożu śmierci chciałby mieć koło siebie przyjaciela.

— Otruł? — powtórzył, jakby nie bardzo rozumiał to słowo. — Pić...

Nie podałem wody, bojąc się, by mu to nie zaszkodziło, zwilżyłem jedynie gąbkę i przetarłem mu usta. Popatrzył na mnie, w jego oczach pod lśnieniem gorączki widziałem również cień żalu za umykającym życiem.

— Obiecali — wyszeptał. — Odtrutka. Obiecali...

Ha, czyżby więc ktoś zastosował wobec Luthoffa znany od wieków sposób? Najpierw podano mu truciznę, natomiast potem, by utrzymać go w posłuszeństwie, dostarczano odtrutkę, grożąc, że kiedy jej nie zażyje, to umrze? Z kimkolwiek paktował Franz, został oszukany. Ja jednak musiałem się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło i komu służył funkcjonariusz Świętego Officjum.

— Nie możesz umrzeć, przyjacielu — powiedziałem łagodnym tonem.

Nie możesz umrzeć, zanim nie wyjawisz przede mną wszystkich tajemnic, dodałem w myślach.

— Ksiądz... — wyszeptał. — Sprowadź księdza...

Spojrzałem w jego oczy i zobaczyłem, że są puste i martwe. Ciało jeszcze żyło, umysł pracował ostatkiem sił, ale źrenice nie dostrzegały już otaczającego ich świata. Postanowiłem to wykorzystać, prosząc jednocześnie Boga o wybaczenie grzechu, który popełniam wobec umierającego człowieka.

— Pragniesz się wyspowiadać, moje dziecko? — zmieniłem i obniżyłem głos, mając nadzieję, że Franz nie rozpozna mistyfikacji.

— Tak, tak, tak — wyszeptał żarliwie, chwytając mnie za dłoń.

Potem słuchałem jego spowiedzi. Długiej, nieskładnej, przerywanej przez gorączkę, łzy, utratę tchu i pamięci. Umarł, zanim zdążyłem dać mu rozgrzeszenie, co nawet powitałem z ulgą, gdyż dzięki temu nie popełniłem kolejnego grzechu. Odszedłem od jego łóżka i położyłem się na swoim. Miałem wiele spraw do przemyślenia.

###### \* \* \*

Śmierć Luthoffa nie wzbudziła szczególnych emocji w akwizgrańskim Inkwizytorium, każdy z inkwizytorów spodziewał się, że jest to jedynie kwestia godzin lub dni. I nie należy w tym wypadku szukać odpowiedzi na pytanie „czy?”, lecz tylko na pytanie „kiedy?”. Osiągnąłem już tutaj, co chciałem ale nie mogłem oczywiście ozdrowieć w cudowny sposób. Inkwizytorzy zwykle są ludźmi bystrymi oraz podejrzliwymi, a ja nie miałem zamiaru wystawiać tej podejrzliwości i bystrości na próbę. Zwłaszcza że leżąc w lazarecie, nie musiałem wstawać na nabożeństwa, dobrze mnie karmiono i dostarczano książki z biblioteki. Można więc powiedzieć, że spędzałbym całkiem przyjemnie czas, gdyby nie pamięć o wyznaniach usłyszanych od umierającego Luthoffa. I świadomość, że muszę z tymi wyznaniami coś zrobić. Wreszcie zdecydowałem, że czas powoli wracać do zdrowia. Trzeciego dnia po śmierci mego towarzysza wziąłem udział w mszy i zjadłem wieczerzę we wspólnym refektarzu, czwartego dnia lekarz stwierdził, że w zasadzie nie potrzebuję już jego opieki, i wróciłem do izby, w której wcześniej mieszkałem. Piątego dnia umówiłem się na mieście z Heinzem Ritterem.

— Nie chcieli mnie do was dopuścić — poskarżył się, kiedy tylko mnie zobaczył. — Że przepisy im niby zabraniają — w jego głosie usłyszałem całe mnóstwo pogardy dla tak głupiego prawa. — Nawet chciałem przemycić butelczynę, coby wam się nie ckniło.

— Może i właśnie dlatego nie wpuszcza się do chorych gości z miasta. — Uśmiechnąłem się.

— No to teraz najwyższy czas pójść się napić — zdecydował.

— Hola, hola, dopiero co wstałem z łoża boleści — powstrzymałem jego zapędy. — Ale mam do was inną Prośbę...

— Cóż takiego?

— W Akwizgranie jest zakład, w którym przetrzymuje się szaleńców. Czy nie tak?

— Ano tak.

— Wiecie gdzie?

— Coście tacy ciekawi, by zobaczyć dom dla obłąkanych? — spytał Ritter.

— Ktoś mnie prosił, bym sprawdził, czy nie zamknięto tu jego krewniaka — skłamałem.

— Módlcie się, żeby nie — parsknął dramaturg. — Bo nawet jeśli wszedł tam normalny, to na pewno normalny nie wyjdzie.

— Hm — mruknąłem tylko.

— Widziałem kiedyś taki dom przy klasztorze joannitów — rzekł. — I mnisi, trzeba przyznać, dobrze opiekowali się chorymi. Ale tutaj... — Machnął dłonią.

— Skąd wiecie?

— Potrzebowałem, tak jakby, przekonać się... — zmieszał się lekko, ale zaraz odzyskał rezon. — Pisałem dramat, w którym pojawiają się obłąkani — wyjaśnił — Chciałem na własne oczy zobaczyć, jak postępują, co mówią, rozumiecie: grymasy, ruchy, wszystko...

— I co? Byliście zadowoleni? Wzdrygnął się.

— Dajcie pokój. Sami zobaczycie, co i jak.

— Kto prowadzi ten dom skoro nie mnisi?

Spojrzał na mnie zamyślony.

— Wiecie nie przyszło mi do głowy zapytać... Ale skoro bogaci panowie fundują ochronki dla sierot, to czemu któryś nie miał ufundować zakładu dla obłąkanych?

— Zapewne macie rację — odparłem.

— Macie pomysły w taki piękny dzień — poskarżył się, kiedy już przeciskaliśmy się wśród ulicznego tłumu. — Nie żeby pójść na wino, pogwarzyć, pośpiewać albo odwiedzić jakieś zacne panienki, tylko zapragnęliście pooglądać sobie wariatów.

— Bywa — rzekłem i mimochodem złamałem palec złodziejowi, który próbował szperać mi przy pasie.

Ritter usłyszał wrzask i obejrzał się, ale nic nie zobaczył. Przeszliśmy dalej.

— To dawny magazyn wina — zawołał, przekrzykując tłum.

Nic mi to nie mówiło, gdyż nie znałem Akwizgranu lecz liczyłem, że poeta poprowadzi mnie właściwą drogą. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Posesja otoczona była drewnianym płotem, a na jej środku stał drewniany barak.

— Małe to coś — powiedziałem.

— Zakład jest w piwnicach — wyjaśnił. — Mówiłem wam przecież, że to był kiedyś magazyn wina. A gdzie trzyma się wino, jak nie w piwnicy?

Drzwi prowadzące do baraku były otwarte. Przy ułożonym na kozłach blacie siedziało dwóch zarośniętych mężczyzn, odzianych w brudne i poszarpane kubraki.

— Czego tu? — spytał jeden z nich opryskliwie.

— Doszły mnie słuchy, że wśród pacjentów jest krewniak mojego znajomego. Chciałbym obejrzeć ich cele.

Wyciągnąłem srebrną trzykoronówkę i rzuciłem ją na stół. Mężczyzna złapał monetę zręcznie w dwa palce.

— Czemu nie — burknął i wstał z miejsca. — Chodźcie no... panowie — dodał nieco uprzejmiej.

Otworzył drzwi prowadzące do ciemniej sieni. Zobaczyłem biegnące w dół strome schody.

— Jeśli macie pacjenta, którego ktoś rozpoznaje, to nie ma żadnych problemów, by go zabrać? — spytałem.

— Musi być zgoda rodziny. Chyba że nie ma rodziny. Wtedy zabierajcie sobie przyjaciela czy krewniaka, abyście tylko wspomogli zakład jakimś datkiem.

Zabrzęczał kluczami i zaczął mocować się z opornym zamkiem. Drzwi były solidne. Drewniane, ale wzmacniane żelaznymi sztabami.

— Dużo macie takich ludzi? Bez rodziny, bez przyjaciół? Niewiadomego pochodzenia?

Milczał chwilę, lecz nie dlatego, że nie chciał odpowiedzieć, tylko zapewne starał się zrozumieć moje ostatnie słowa. Wiedziałem, iż będzie starał się być pomocny, gdyż liczył przecież, że moja srebrna trzykoronówka miała w sakiewce jakieś siostrzyczki, które również mogą do niego trafić.

— Dużo — odparł.

— Słyszałem, że bracia jałmużnicy czasem wam pomagają...

— Ano — ożywił się. — Onegdaj zabrali takich trzech, coby ich wykurować.

— Udało się?

— Abo ja tam wiem. — Wzruszył ramionami.

Dostrzegłem, że Ritter bacznie mi się przygląda. Zastanawiałem się, czy już zrozumiał, że nie przyszliśmy tu w poszukiwaniu zaginionego krewniaka żadnego z moich przyjaciół.

Weszliśmy do piwnic i pierwsze, co mnie uderzyło to przeraźliwy smród. Ale zaraz potem usłyszałem krzyki, gdyż wariaci zorientowali się, że ktoś obcy pojawił się w ich świecie. Szedłem korytarzem, wzdłuż odgrodzonych kratami cel, a strażnik uprzejmie przyświecał mi pochodnią. Ritter miał rację, wzdrygając się na samo wspomnienie tego, co zobaczył w domu dla obłąkanych. Ci ludzie byli jak zwierzęta. Brudni, czasem nadzy i poranieni, wyjący, szarpiący kraty. Jakiś mężczyzna tłukł łbem w twardą posadzkę, inny siedział pośrodku celi i wznosząc twarz ku sufitowi, wył beznadziejnie, bez końca. Jakaś goła kobieta przylgnęła do metalowych prętów i zawodziła: „Weź mnie, weź mnie, weź mnie". Ktoś inny stał na czworakach i pożerał ochłapy z wyszczerbionej miski, a kiedy nas zobaczył, zawarczał niczym pies. Wściekłym, groźnym warkotem, budzącym się gdzieś w głębi gardła. Nagle, gdy mijaliśmy jedną z cel, do krat przypadł staruszek o wychudzonej twarzy i zlepionej brudem brodzie.

— Dostojny panie! — zawołał zupełnie normalnym głosem. — Jeśli wolno na słówko...

Zatrzymałem się.

— Jestem tu przez pomyłkę — powiedział żałosnym tonem. — Bardzo proszę mnie stąd wyciągnąć.

Obróciłem spojrzenie na strażnika. Ten uśmiechnął się pod wąsem.

— Na ulicach jest tyle bezbożnych kobiet, Robercie — powiedział. — Śmieją się do mężczyzn, chcą z nimi cudzołożyć, rozkładają przed nimi nogi...

— Zabiję je wszystkie! — głos starego człowieka zmienił się tak bardzo, że nie byłem w stanie go poznać. Teraz przesycony był obrzydzeniem, wściekłością i nienawiścią. — Rozetnę ich grzeszne ciała, wypruję z nich flaki, ukrzyżuję je żywcem... — słowotok zamienił się w bełkot.

Staruszek szarpał za kraty, a w jego oczach było już tylko czyste szaleństwo.

— Zamordował kilka dziwek — wyjaśnił strażnik. I Ale jest kuzynem jednego z rajców, więc zamknęli go u nas, nie stracili...

Doszliśmy do końca korytarza.

— Znaleźliście, panie, kogo szukacie?

Pokręciłem głową.

— Niestety. Możemy już wyjść.

Kiedy zamykał wzmacniane żelazem drzwi, postanowiłem wrócić do poprzednich pytań.

— Ci jałmużnicy, o których mówiliście. Przychodzą zabierają i już?

— Nie, panie. Wskazują, kogo chcą, no to trzeba go umyć, odziać, a wieczorem zabierają.

Wyjąłem z zanadrza złotego dublona, jedną z monet otrzymanych od Zaremby, i zakręciłem nim w palcach. Złoto zabłysło w świetle pochodni, a pożądanie tegoż złota zalśniło w oczach towarzyszącego nam mężczyzny.

— Kiedy tylko zjawią się, by kogoś zabrać, natychmiast dasz mi znać — rozkazałem. — Wtedy dostaniesz drugą taką monetę. Wyślesz posłańca do „Cesarskich Wygód” żeby poszukał mistrza Rittera i wręczył mu wiadomość. Zrozumiałeś?

— Sie wie, panie. — Wyszczerzył zęby w zadowolonym uśmiechu.

„Cesarskie Wygody” były zajazdem, w którym zatrzymał się Ritter, i wbrew nazwie nie był to wcale przybytek oferujący najwyższej jakości usługi.

— Być może przyszło by ci do głowy opowiedzieć komuś o naszej małej umowie. Nie rób tego. — Nawet nie zauważył sztyletu, którego ostrze oparłem mu na podbrzuszu. — Oprócz złota mam też żelazo... — przy słowie „żelazo” nacisnąłem nieco mocniej.

Szarpnął się wściekle, ale spojrzał w moje oczy i wściekłość nagle zgasła. W zamian za to dostrzegłem w jego wzroku strach. Był wyższy ode mnie i szerszy W barach, lecz wiedziałem, iż przez myśl mu nie przejdzie, by stawiać jakikolwiek opór.

— Nic, nic, nic nie powiem, panie — zaszeptał, a ja miałem nadzieję, że rzeczywiście tak będzie.

— Chcę wiedzieć, w co wy mnie pakujecie? — syknął niezadowolony Ritter, kiedy opuściliśmy już zakład i wyszliśmy na ulicę.

— Złość piękności szkodzi, Heinz.

Prychnął.

— Odpowiecie czy nie?

— Nie — odparłem po prostu. — Pomóżcie mi, a i wam coś skapnie.

— Same z wami kłopoty — burknął, jednak potem spojrzał w moją stronę nieco przyjaźniejszym wzrokiem. — Mówiąc „skapnie”, jaką konkretnie kwotę mieliście na myśli?

Poklepałem go po ramieniu.

— Na pewno więcej, niż dostał ten obwieś — odparłem myśląc o mężczyźnie pilnującym obłąkanych.

— A ile razy więcej? — zapytał szybko.

— Nie będziecie żałować — obiecałem i musiało mu to wystarczyć. — Tyle że przez najbliższe dni macie się nie ruszać na krok z zajazdu. Niech to osłodzi wam czas oczekiwania. — Wręczyłem mu dublona. — Nie zawiedź mnie, Heine — powiedziałem wyraźnie. — Nie upij się, nie idź na dziwki, nie zniknij gdzieś na mieście... Rozumiesz?

— Za kogo wy mnie macie? — obruszył się tak szczerze, że gdybym go nie znał, wziąłbym to oburzenie za dobrą monetę.

###### \* \* \*

Posłaniec wynajęty przez Rittera pojawił się trzeciego dnia od naszej wizyty w zakładzie. Miał do przekazania jedynie niewinną wiadomość mówiącą, iż mistrz Ritter zaprasza mnie dziś na kolację. W związku z tym wyjaśniłem w Inkwizytorium, iż będę nocował na mieście, po czym wyszedłem. Miałem ze sobą sztylet, sakiewkę z kilkoma monetami (nigdy nie wiadomo, kiedy bardziej przyda się złoto, a kiedy żelazo) oraz komplet wytrychów.

Prowadzenie obłąkanego ulicami miasta zanadto zwracałoby ludzką uwagę. Dlatego nie zdziwiłem się, że po pierwsze, mnisi przybyli, gdy już się ściemniło, a po drugie, mieli ze sobą coś w rodzaju lektyki. Tyle że lektyka ta była w rzeczywistości pudłem solidnie zbitym z grubych desek. Bez okien i z drzwiczkami zamykanymi od zewnątrz na żelazny skobel. Prowadziło ją dwóch barczystych służących. W ten sposób mogli zakneblowanego i związanego szaleńca przewieźć, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko ostrożnie śledzić, gdzież to zmierzali ze swoim cennym ładunkiem. Zadanie nie było szczególnie kłopotliwe, ponieważ nie mogli poruszać się zbyt szybko, a wykorzystując nocne ciemności, bez trudu ukryłem się w cieniu, zwłaszcza, że na niebie lśnił tylko wąski sierp księżyca.

Musiałem jednak wcześniej załatwić jedną sprawę. Już od kilku dni widziałem człowieka, który starał się śledzić moje poczynania. Teraz również tutaj był, ukryty w bramie. Zniknąłem za rogiem, a kiedy usłyszałem kroki, wyłoniłem się z mroku. Uderzyłem go prosto w grdykę. W miarę lekko, by przypadkiem nie zabić, gdyż oczekiwałem wyjaśnień, a przecież ciężko je uzyskać od martwej osoby. Uklęknąłem przy nim i przyłożyłem ostrze sztyletu do kącika jego oka.

— Komu służysz? — spytałem.

Nie odpowiedział. Opanował już ból i oddech, ale w jego wzroku nie pojawił się jeszcze, niestety, prawdziwy strach. Owszem, bał się, lecz nie na tyle, by zacząć mówić. Prawą dłoń cały czas trzymałem przy jego oku, lewą chwyciłem za mały palec u dłoni. Złamałem go jednym ruchem. Zawył. Jednak panował nad sobą na tyle, by nie szarpnąć głową, gdyż wtedy straciłby oko.

— Komu służysz? — powtórzyłem.

Nie doczekałem się odpowiedzi.

— Zły chłopiec — stwierdziłem i wsadziłem mu ostrze sztyletu do nosa.

Szarpnąłem, przecinając nozdrze aż do kości. Buchnęła krew.

— Komu służysz? — nie traciłem cierpliwości.

Gdy nie odezwał się, włożyłem sztylet do drugiej dziurki. Zasapał jękliwie.

— Będę cię ciął po kawałeczku — obiecałem. — I w końcu powiesz. Może jednak lepiej wyjawić wszystko, kiedy jesteś niemal cały i zdrowy?

Spieszyło mi się. Mnisi co prawda jeszcze nie ruszyli, ale wiedziałem, że w każdej chwili mogą to zrobić.

Z mojego zaułka widziałbym ich, lecz wtedy zostałoby mi naprawdę niewiele czasu.

Szarpnąłem swego przeciwnika za ramię i głowę i obaliłem tak, by twarzą leżał w błocie ulicy. Wykręciłem mu ramię do tyłu. Teraz naprawdę nie mógł się ruszyć gdyż każdy ruch spowodowałby wyłamanie stawów.

— Musisz powiedzieć — szepnąłem mu w ucho.

Wbiłem sztylet w jego plecy, tak że ostrze zgrzytnęło o kręgosłup. Zacząłem wiercić w ranie. Zawył. Zawył rozpaczliwym, pełnym bólu głosem. Wiedziałem, że nawet jeśli jałmużnicy usłyszeli wycie, to nie wzbudzi ono ich zaniepokojenia. W Akwizgranie, jak i w Hez-hezronie, słyszało się nocą różne rzeczy. Krzyki bitych lub ranionych ludzi nie były niczym dziwnym i nikt, kto cenił własne życie, nie zamierzał sprawdzać, cóż takiego się dzieje w mrocznych zaułkach. Wyjąłem ostrze z rany.

— Komu służysz? — Zastanawiałem się, jaki będzie mój następny krok, jeśli i tym razem nie usłyszę odpowiedzi na pytanie.

— Wojewodzie — sapnął jękliwie.

— No i po co było tak się upierać? — spytałem łagodnym tonem. — Przecież sam o tym wiedziałem, tylko chciałem, żebyś wykazał troszkę dobrej woli. I co dalej?

— Miałem śledzić ciebie, a jeśli ktoś cię zabije, to wtedy jego...

— Bardzo mądrze — przyznałem. — Szkoda tylko, że wojewoda ma takich nędznych szpiegów...

Huknąłem go łokciem w ucho, na tyle mocno, by stracił przytomność. W samą porę zresztą, gdyż lektyka z jeńcem wreszcie ruszyła. Jednak informacja, że leżący na ziemi człowiek był agentem Zaremby podniosła mnie na duchu. Znacznie gorzej, jeśliby się okazało, iż jest agentem moich przeciwników, a nie zleceniodawcy.

###### \* \* \*

Doprowadzili mnie tam, gdzie chciałem. Do małego kościoła tuż przy rogatkach miasta. Ale nie kościół był ważny, lecz znajdujące się pod nim piwnice. Poszedłem tam za mnichami i dotarłem do miejsca, które najbardziej mnie interesowało. Czy musiałem po drodze zabijać? Owszem, ponieważ wiedziałem, że nie mogę zostawiać żadnych śladów. Nigdy nie raduje mnie myśl o odbieraniu życia ludzkim istotom, lecz też nie wzdragam się przed tym, kiedy jest to bezwzględnie konieczne.

W końcu znalazłem się w komnacie pełnej półek zastawionych grubymi woluminami. Zza solidnych drzwi słyszałem wycie obłąkanego, a na ławie siedział stary człowiek w habicie i wodził palcem po stronicy księgi rozłożonej na stole.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedziałem.

— Na wieki... — podniósł głowę i zająknął się. — Kim jesteście? — Zmarszczył siwe brwi.

Zupełnie nie wyczuwał niebezpieczeństwa. Był niczym naiwny rozbitek, który zastanawia się, co też muska go po nogach i dlaczego to coś wystawia trójkątną płetwę znad powierzchni wody.

— Wiernym sługą Pańskim — odparłem. — Pokornym zbieraczem wiedzy.

— Kto was tu wpuścił? — ton jego głosu zaostrzył się. — Bracia do mnie! — zawołał, patrząc w stronę drzwi.

— Nie słyszą — powiedziałem.

— Czemuż to nie słyszą? — Obrócił wzrok w moją stronę.

— Bo widzicie, ojcze, człowiek, któremu poderżnie się gardło, ma straszne kłopoty ze słuchem... Jakież to przykre, że ulepiono nas z tak nietrwałego materia nieprawdaż?

— Kim jesteście? Czego chcecie?

— Franz Luthoff powiedział mi wszystko na łożu śmierci. Przynajmniej wszystko, co wiedział. O czarach Magnusa z Padovy i o tym, że ich moc bardzo kogoś zainteresowała. A cóż to była za moc? Uwalniać ludzkie dusze i dowolnie przemieszczać je do wybranych ciał! Magnus, niestety, umarł, lecz przedtem zdążył opisać przebieg rytuału. Z kolei Luthoff zdradził sprawę Officjum i zaczął służyć wam. Czyż nie tak?

Mnich wpatrywał się we mnie bez zmrużenia powiek, a na jego bladej, pomarszczonej twarzy nie malowały się żadne emocje.

— Ale albo zaklęcia nie były solidnie opracowane — kontynuowałem — albo wy nie umieliście ich wykorzystać. Stąd te błędy, prawda? Zamiast w dziesiątkę strzała ciągle uderzała w obrzeża tarczy... Zastanawiałem się, dlaczego nie próbowaliście przeniesienia duszy jednego ze swoich. W końcu cóż lepszego nad ciało cesarza sterowane przez któregoś z was? Luthoff tego nie wyjawił, lecz ja mam pewne podejrzenia. Przy użyciu tak silnej czarnej magii dusza częściowo obumiera, czyż nie tak?

Mnich skinął głową.

— Owszem — odparł. — Szaleńcy byli o wiele wdzięczniejszym materiałem. A teraz wyjaw mi, drogi synu, po co tu przyszedłeś i co chcesz uczynić? Podziwiam twoją zdolność rozumowania oraz godny pochwały zapał kierujący twymi poczynaniami. Wiedz jednak, że trudzimy się tu dla osiągnięcia pewnego wyższego dobra, którego nie możesz na razie pojąć...

— Ciii, ojcze — przykazałem, kładąc palec na ustach. — Nie wiesz o mnie jednej rzeczy. Jestem inkwizytorem.

Myślałem, że zdziwi go to, być może przestraszy, i na pewno przyprawi o konfuzję. Tymczasem mnich tylko zacisnął usta i wstał.

— Więc nie wolno ci tu przebywać — rzekł. — Złamałeś tak wiele przepisów, że...

Uderzyłem go wierzchem dłoni w usta, a on klapnął z powrotem na ławę.

— Zdradzę ci tajemnicę: jestem tu nieoficjalnie — powiedziałem.

Milczał długą chwilę.

— Co więc zamierzasz zrobić? — zapytał.

Rozejrzałem się po komnacie.

— Spalę to wszystko w cholerę — zdecydowałem i uśmiechnąłem się. — Razem z tobą...

— Nie wolno ci tego zrobić! — krzyknął. — To jedyne egzemplarze... — urwał.

— Och, jedyne... — powiedziałem niemal z rozmarzeniem.

###### \* \* \*

Wyspałem się i po śniadaniu skierowałem kroki do pałacu u polskiego poselstwa. Kazano mi czekać zaledwie drobne pół godziny (cóż to jest dla człowieka, który całymi dniami przesiadywał w kancelarii Jego Ekscelencji!), po czym wojewoda przyjął mnie we własnej komnacie.

— Gratuluję wam zmysłu spostrzegawczości odezwał się serdecznie, gdy tylko stanąłem na progu. — I dziękuję, że nie uszkodziliście zanadto mojego człowieka.

— Uważałbym to za daleko posuniętą niegrzeczność — powiedziałem. — Zwłaszcza od kiedy upewniłem się, komu służy.

Uśmiechnął się.

— Dotarliście do celu?

— Tak, jaśnie oświecony panie.

— Opowiecie mi o tym?

— Uniżenie proszę o wybaczenie, lecz nie opowiem, wielmożny panie wojewodo.

— Tak myślałem — mruknął. — Niemniej, jak rozumiem, problem został zlikwidowany.

— Zgadza się, dostojny panie.

— I nie pojawi się w przyszłości?

— Tego obiecać nie mogę — odparłem ze smutkiem. — Jednak sądzę, że jeśli już, to nieprędko.

— Nie pytam kto i nie pytam w jaki sposób. Ale czemu właśnie ci ludzie?

Zastanawiałem się przez chwilę, czy odpowiedzieć na to pytanie. Zdecydowałem, że w tym wypadku mogę uchylić rąbka tajemnicy.

— To była pomyłka, jaśnie wielmożny wojewodo. Celem zawsze był Jego Wysokość.

— Ach, więc to tak — powiedział zamyślony. — Więc to tak...

— Nikomu nie zależało na śmierci cesarza. Natomiast cesarz żyjący, lecz szalony to nie lada gratka...

— Chaos, zamęt, walki stronnictw... — dopowiedział.

— I nie można tego przerwać powołaniem nowego władcy. — Uśmiechnąłem się.

Sięgnął do szuflady i rzucił na stół ogromny mieszek. Zabrzęczało. Spróbujcie wepchnąć do kabzy miedziane monety, spróbujcie wepchnąć srebrne. Przysłuchajcie się ich brzękowi, a zaręczam, że odgłos jest inny niż odgłos dźwięczącego złota. I wierzcie mi, że ta właśnie sakwa dźwięczała złotem.

— Trzysta dublonów. Tak jak się umawialiśmy — rzekł Polak. — Wykonaliście dobrą robotę.

Podniosłem kieskę, a ona zaciążyła w moich dłoniach. Trzysta dublonów waży swoje, wierzcie mi na słowo.

Czy gniewałem się na polskiego wojewodę, że wykorzystał mnie w taki właśnie sposób? Że spodziewał się, iż jeśli kogoś zaintryguje moje śledztwo, to ten ktoś zechce mnie zabić? A wtedy szpieg Zaremby wyciśnie wszystko z zabójcy i trafi w ten sposób na właściwy ślad? Równie dobrze świstak mógłby gniewać się na skalne szczyty, że przesłaniają mu słońce. Zaremba był politykiem odpowiedzialnym za swego króla, swój lud i swoje państwo. Jeśli zamierzał mnie poświęcić na ołtarzu tej odpowiedzialności, nie mogłem mieć do niego żadnych pretensji. Doskonale przecież wiedziałem, iż będąc na jego miejscu, postąpiłbym tak samo, nie licząc się z ludzkim życiem. Bowiem jeśli poświęcając jednego, można ocalić wielu, jest to właśnie coś, co nazywamy odpowiedzialnością oraz słusznym rachunkiem zysków i strat. Oczywiście nie za dobrze rzecz cała wygląda z punktu widzenia poświęcanego, chyba, że tak jak wasz uniżony sługa potrafi on wzbić się ponad przyziemny obraz własnych korzyści. Ja potrafiłem. Rozumiałem, szanowałem i podziwiałem Zaręmbę, choć, rzecz jasna, trudno było ode mnie wymagać bym go lubił. Niczyim marzeniem nie jest odgrywanie roli pionka na szachownicy świata, przy której zasiadają cyniczni gracze. Ale większości z nas pozostaje tylko i wyłącznie taka właśnie rola. Mordimer Madderdin pokorny sługa Inkwizytorium, nie mógł mieć nadziei że kiedykolwiek stanie się inaczej.

— Poza tym poślę wam sto butelek najlepszego wina jako że w czasie ostatniego spotkania widziałem, iż wam zasmakowało — obiecał z szerokim uśmiechem.

— Pokornie dziękuję, jaśnie oświecony panie — odparłem, mając wrażenie, że może jednak zacznę go lubić.

Nachylił się nad stołem w moją stronę i poklepał mnie po policzku.

— Jeśli znudzi ci się Inkwizytorium, masz u mnie służbę.

— Pokornie dziękuję, jaśnie oświecony panie — powtórzyłem, wiedząc, że te słowa nic nie znaczą.

Spojrzał uważnie.

— Słowo szlacheckie nie dym — rzekł, jakby odgadując moje myśli. — Wasze obietnice są niczym mgła czekająca wichru, nasze ciążą niczym ołów.

W tym momencie pojąłem, iż mówi prawdę.

— Pokornie dziękuję, jaśnie oświecony panie — powiedziałem po raz trzeci, lecz tym razem wiedziałem, że zrozumiał, iż mówię szczerze.

Miałem jednak nadzieję, że nigdy nie nadejdą takie czasy, bym służbę Świętemu Officjum chciał zamieść na służbę u polskiego magnata.

###### \* \* \*

Zaproszono mnie do siedziby jałmużników. Pokazałem pismo Eichendorffowi i spytałem, co doradza mi uczynić.

— Trudno powiedzieć, Mordimerze — rzekł w końcu. — Gdyż tak naprawdę nie wiem, po co tu przybyłeś, co robiłeś i na czyje zlecenie. — Uniósł dłoń na znak, bym mu nie przerywał i nie protestował. — Ale jeśli Sforza jest przeciwko tobie, to oznacza, że jesteś z nami. Dowód nie wprost, lecz wystarczający. — Uśmiechnął się.

— Jeśli szukasz mojej rady — kontynuował — dam ci ją. Idź do jałmużników, założywszy oficjalny strój inkwizytora, a ja poślę z tobą sześciu ludzi obstawy.

— Myślisz, że gdybym poszedł sam...

— Nie wiem — przerwał mi. — Za to wiem, że wydobycie cię z lochów byłoby dużo bardziej skomplikowane niż niedopuszczenie, byś się w nich znalazł. Na razie jeszcze nikt nie ośmieli się zaatakować moich ludzi. Wierz mi również, że dostaną bardzo ścisłe rozkazy, co wypada im czynić, kiedy przyjdzie co do czego.

— Dziękuję ci, Lukasie — powiedziałem szczerze. — Bardzo ci dziękuję.

— Cóż możemy uczynić innego, jeśli nie trzymać się razem? — odparł, a potem odwrócił się i spojrzał w okno. — Nadchodzą czasy, kiedy okaże się, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. I mam nadzieję, że w takich właśnie czasach znajdziemy się po tej samej stronie barykady.

— Nigdy nie śmiałbym w to wątpić — rzekłem.

Lukas doskonale dobrał inkwizytorów, którzy mieli mi towarzyszyć. Wszyscy byli wysocy, rozrośnięci w barach i brodaci. Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym walczyć przeciwko tej szóstce... Przy furcie pokazałem list i jałmużnik, który go odebrał, wyraźnie się zmieszał.

— Zapraszano tylko was, mistrzu Madderdin — rzekł wreszcie. — Bez towarzyszy...

— Takie jest polecenie Lukasa Eichendorffa — odezwał się dowódca eskortującego mnie oddziału.

— Muszę... muszę... — zająknął się mnich. — Raczcie zaczekać. — Odwrócił się i szybkim krokiem odszedł w stronę budynku.

Wrócił po dłuższej chwili i otworzył furtę.

— Serdecznie zapraszamy — powiedział.

Opiekę nad nami przejął inny mnich.

— Pójdźcie za mną, mistrzowie — powiedział. Poprowadził nas do ogrodu, w pewnym momencie jednak zatrzymał się.

— Brat Sforza pragnie porozmawiać z mistrzem Madderdinem w cztery oczy — rzekł. — Raczcie tu pozostać.

— Mistrz Madderdin jest niezdrów. Spędził wiele dni w naszym lazarecie i ledwo co uszedł groźnej chorobie. Przykazano nam nie spuszczać go z oka — wyjaśnił dowódca bez cienia ironii, bez cienia uśmiechu i ze szczerością kupca sprzedającego diamenty czystej wody.

— Brat Sforza spotka się z nim na progu kaplicy. — Mnich pokazał palcem budowlę pośrodku ogrodu.

— A więc zaczekamy.

Poszedłem za mnichem i kiedy wskazał mi kamienną ławeczkę, usiadłem na niej. Po chwili zauważyłem ludzi niosących fotel z bratem Sforzą. Postawili ten fotel tuż przede mną, potem odeszli bez słowa. Kaleki jałmużnik przyglądał mi się długo, w jego spojrzeniu widziałem zarówno nienawiść, jak i chyba odrobinę szacunku. W końcu pokrzyżowałem jego plany i chociaż obaj świetnie wiedzieliśmy, iż nic nie udowodnię człowiekowi o tak wysokiej pozycji, jednak wystarczyło samo to, że on i jego podwładni nie byli w stanie zrealizować swych niecnych planów.

— Natchoci cas fyporu — powiedział, a ja doszedłem do wniosku, że mówi zdecydowanie wyraźniej niż za czasów naszego ostatniego spotkania. — Cemus to nie ces pyć nasym sjacielem?

— Oczywiście, że jestem waszym przyjacielem — zapewniłem. — Choć trudno zapomnieć, że chcieliście mnie oddać przed sąd papieski.

— Stae cieje. Samnijcie o sesłości.

— Czegóż ode mnie oczekujecie? Co mam uczynić?

— Pyć fienym syjacielem. Nie pecie sałować.

Pochlebiał mi. Najwyraźniej papiści uznali, że inkwizytor Mordimer Madderdin może być użytecznym narzędziem w ich ręku. A przecież pochwała z ust wroga jest więcej warta niż peany wyśpiewywane przez przyjaciela. Mogłem zachować się dyplomatycznie. Mogłem być grzeczny. Ale nie chciałem. W końcu doskonale zdawałem sobie sprawę, że nawet gdybym przeszedł na ich stronę, to użyliby mojej wiedzy oraz zdolności a potem zabili. Szczerze przyznam, że zaważyły również prywatne uczucia, które żywiłem w stosunku do brata Sforzy. Nie mogłem zapomnieć o krzywdzie, jaką wyrządził Rodrigowi Estebanowi la Guardia y Torres, prawemu rycerzowi z Granady. Upodlił go tak, jak żadna istota ludzka nie powinna upodlić drugiej.

— Prędzej zaprzyjaźniłbym się z wściekłym psem niż z wami — powiedziałem, wywołując na twarz szeroki uśmiech.

Nie wiem, czy zaskoczyły go te słowa, bo ciężko było odnaleźć jakiekolwiek uczucie na tym do połowy sparaliżowanym obliczu.

— Spmietam fas, inkfose. Fieście, se sapacicie sa sysko — odezwał się wreszcie.

Chciałbym dostawać sakiewkę ze złotem za każdą obietnicę, iż zostanę zapamiętany, że pożałuję swego postępowania lub zapłacę za nie wielką cenę... Słabi ludzie mają szczególną zdolność rzucania słów na wiatr. Co, oczywiście, nie oznacza, iż należy ich lekceważyć, gdyż nienawiść oraz pragnienie zemsty działają wielce pobudzająco na niektóre umysły. Nawet szczypawka może zabić wojownika, jeśli przedtem znajdzie sprytny sposób, by wpełznąć mu do ucha.

— Już w Stolpen groziliście, że dobrze mnie zapamiętacie. Cieszę się, iż tak solidnie wyryłem się w waszej pamięci — zaakcentowałem słowo „wyryłem”, patrząc na blizny na jego policzkach.

— Spotka fas los tak stasy, se nafet nie jesesie w sanie sopie ko fopasić! — zabełkotał.

— Jestem pewien, że wasze życzenia będą rączo biegły w ślad za mną — przy słowach „rączo biegły" opuściłem wzrok na jego bezwładne nogi.

Zauważyłem, że Sforza ślini się niczym wściekły pies i rozbawiło mnie to. Próbował coś odpowiedzieć, lecz łapał tylko dech i bezdźwięcznie poruszał ustami.

— Jeśli byłyby wam potrzebne lekcje dykcji, nie bójcie się mnie zawiadomić — powiedziałem serdecznym tonem. — Znam nauczyciela, przy którym nawet Demostenes zawstydziłby się swego kunsztu wymowy.

Potem skinąłem mu uprzejmie głową i odszedłem w stronę czekających na mnie inkwizytorów. Nie słyszałem wyraźnie słów, które wypowiadał Sforza za moimi plecami, lecz byłem pewien, że gdyby przekleństwa były ptakami, to unosiłbym się na ich skrzydłach pod samo niebo.

*Ostrym mieczem uczynił me usta, w cieniu swej ręki mnie ukrył. Uczynił ze mnie strzałę zaostrzoną, utaił mnie w swym kołczanie.*

Księga Izajasza

## Wąż i Gołębica. Powrót.

Szli wprost na mnie. Z drągami, widłami i siekierami w dłoniach. Prowadził ich barczysty mężczyzna o rudej, skołtunionej czuprynie, z wyłupionym okiem, po którym pozostała brudnoczerwona, napuchnięta blizna. Wstrzymałem konia na środku ulicy, gdyż nie miałem zamiaru schodzić im z drogi. Nie widział bowiem nikt na świecie, by inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu umykał przed pijaną tłuszczą.

— Stać! — zawołałem. — W imieniu Świętego Officjum!

Mój miecz kołysał się u końskiego boku, lecz po niego nie sięgnąłem. Być może, jeśli miałbym szczęście, dałbym radę czterem lub pięciu przeciwnikom, ale przede mną stało co najmniej dwudziestu mężczyzn. Większość była pijana, jednak nawet pijany człowiek nie będzie miał kłopotu, by wepchnąć wrogowi widły w brzuch lub by rozpłatać mu łeb zamaszystym ciosem siekiery. Nie miecz miał mnie więc chronić, a powaga świętego Kościoła. Bo Dobra Księga pociesza nas, że *zwycięstwo w bitwie nie zależy od liczby wojska; prawdziwą siłą jest ta, która pochodzi z Nieba*. A przynajmniej nie czyni tego bezkarnie. I oni mimo upojenia musieli doskonale znać powiedzenie mówiące: „Kiedy ginie inkwizytor czarne płaszcze ruszają do tańca”. Zatrzymali się.

— Inkwizytor? — warknął rudobrody na poły pytająco — Co tu robicie... panie? — dodał po chwili.

— To ja was pytam, co tu robicie — rzekłem twardo. — Jak cię zwą, człowieku? — Ruszyłem wodzami i wierzchowiec zbliżył się o kilka kroków do stojącego na czele gromady rzezimieszka.

Ten chciał się schować za plecami kompanów i postąpił trzy kroki w tył. Jednak nadal stał na czele, gdyż jego towarzysze nie byli w ciemię bici i też się cofnęli. Zauważyłem, że kilku zdążyło już zniknąć w ciemnych zaułkach. Uśmiechnąłem się do własnych myśli, ponieważ wszystko toczyło się właśnie tak, jak toczyć się powinno.

— Gaspar, zwany Mordą, proszę łaski wielmożnego pana — powiedział jednooki tym razem pokornym tonem i zdjął czapkę. Zmiął ją w lewej dłoni, a prawą, w której trzymał siekierę, schował za siebie.

— Kogo ścigacie, Gaspar? — zapytałem łagodnie. — Jak może wam usłużyć inkwizytor Jego Ekscelencji?

Przełknął ślinę tak gwałtownie, że poruszyła mu się grdyka. Pomoc inkwizytora była zapewne ostatnią rzeczą, o jakiej marzył.

— Nikogo żesz, co znowu, proszę łaski... — wymamrotał i nietrudno było się zorientować, że kłamie.

Spojrzałem w prawo, gdzie w późnopopołudniowym mroku krył się wylot małej uliczki.

— Kto tam jest?

Odczekałem moment, a kiedy przekonałem się, że nie otrzymam odpowiedzi, ściągnąłem wodze koniowi.

— Idźcie do domów, ludzie! — rozkazałem pełnym głosem.

Poczekałem, aż usłuchają, i ruszyłem w stronę tonącego w ciemności zaułka.

Dachy domów pochylały się tak nisko nad ulicą, że nie widziałem, co kryje się na jej końcu. Zaułek był pusty, okiennice domów zawarte. Jechałem wolno, stępa, i bacznie wpatrywałem się w mrok. Cokolwiek tam się kryło, musiało rozzłościć lub przerazić tych ludzi, więc nawet wasz uniżony sługa musiał liczyć się z niebezpieczeństwem. Ale nie wyjmowałem jeszcze miecza z pochwy. I nagle usłyszałem cichutki jęk. Odgłos przypominający pełne rozpaczy skomlenie, w którym jednak dało się rozróżnić poszczególne słowa.

— Nie wolno — szeptał ktoś żałośnie. — Nie wolno, nie wolno, nie wolno...

Wyłowiłem z mroku szary kształt kulący się w wąskim kącie wyznaczonym przez pochyłe ściany domów. To była długowłosa kobieta w obszernym płaszczu. Siedziała tak skurczona, jakby starała się zajmować jak najmniej miejsca i jak najbardziej stopić z otoczeniem. Ramionami obejmowała nogi, a głowę schowała pomiędzy kolanami. Czarne, skołtunione włosy spływały do ziemi, niemal zakrywając bose stopy. Nie mogłem dostrzec twarzy, słyszałem zaledwie ciche, jękliwe mamrotanie.

— Nie zabijać, nie wolno zabijać — mówiła z tak wielką rozpaczą, jakby usiłowała kogoś przekonać o słuszności swych słów.

Ostrożnie zsiadłem z konia. Dopiero teraz musiała mnie usłyszeć, gdyż poderwała głowę.

— Odejdź, odejdź, odejdź! — zaskamlała.

Wzrok przyzwyczaił mi się już do ciemności, więc dostrzegłem bladą twarz, w której wyróżniały się ogromne, ciemne oczy. Kobieta była brudna, do moich nozdrzy wyraźnie doszedł smród zastarzałego potu i krwi.

— Nie bój się — powiedziałem łagodnie. — Nie chcę ci zrobić krzywdy.

— Nie wolno zabijać — rzekła dużo wyraźniej niż poprzednio.

Zauważyłem, że cała drży, a jej oczy czujnie się we mnie wpatrują. Co dziwne, nie dostrzegłem w nich lęku. Kim była ta kobieta, że kilkunastu mężczyzn ścigało ją z tak wielką zajadłością? Jakie popełniła przestępstwa? A może jedyna jej wina polegała na tym, że była szalona? Nie raz i nie dwa miałem już okazję widzieć, jak w wioskach czy małych miasteczkach rozprawiano się z Bogu ducha winnymi idiotami, naiwnie sądząc, że ich szaleństwo jest diabelskim stygmatem. Jakby szatan nie mógł znaleźć sobie pożyteczniejszych narzędzi od wiejskich półgłówków. Gdyby tak było naprawdę, niepotrzebni bylibyśmy my, inkwizytorzy, a dla utrzymania Bożego spokoju wystarczyłaby hałastra uzbrojona w kije oraz widły.

— Nie chcę cię skrzywdzić — powtórzyłem cicho, lecz bardzo wyraźnie. — Jesteś głodna? Chcesz pić?

— Głooodna — przeciągnęła zgłoski, cały czas bacznie mi się przypatrując. — Taaak, głooodna, oooch, bardzo, baaardzo głooodna...

Miałem w jukach resztki chleba, sera i wina, więc cofnąłem się i wyjąłem z torby zawiniątko oraz do połowy wypełniony bukłak. Zbliżyłem się z powrotem, potem ukucnąłem, podając kobiecie wszystko na wyciągniętych dłoniach. Chwyciła jedzenie tak szybkim ruchem, że nie zorientowałem się, kiedy trzymała je już w palcach. Zobaczyłem, że ma brudne ręce i połamane, ciemne paznokcie. Wgryzła się w czerstwy chleb, potem wpakowała sobie do ust niemal całą gomółkę sera. Podałem jej bukłak wina, a ona znowu wyrwała mi go tak szybkim ruchem, iż nie zdążyłbym cofnąć ręki, nawet gdybym chciał.

Jeśli trzymałaby w dłoni nóż, już byś nie żył, Mordimerze, pomyślałem i ta myśl zmroziła mnie do szpiku kości, ponieważ ta biedna bezdomna dziewczyna zaskoczyła inkwizytora Jego Ekscelencji. A to nigdy nie powinno się zdarzyć. Nie na próżno Pismo ostrzegało, Nie będziecie mieć względu na osobę żadnego, co oznaczało między innymi, by nie ufać pozorom.

Powoli się cofnąłem, cały czas uważnie przyglądając kobiecie, która pochłaniała jedzenie i wino z żarłocznym apetytem. Przechylała właśnie do ust bukłak, a trunek szeroką strugą lał się na jej brodę oraz płaszcz, spływał po kurczowo zaciśniętych palcach. Intrygowała mnie coraz bardziej, a raczej intrygowała mnie zdumiewająca szybkość jej ruchów, którą poznałem, gdy zabrała jedzenie. Miała w sobie kocią, wręcz nieludzką zwinność. Kim była? Nie wyczuwałem wokół niej mrocznej aury, lecz z doświadczenia wiedziałem, że akurat to o niczym nie świadczy. Ludzi naznaczonych diabelskim piętnem czasami tak łatwo dostrzec jak pochodnie w ciemnym pokoju. Jednak najczęściej szatańska moc daje im zdolność ukrycia się nawet przed czujnym okiem inkwizytora. Oczywiście do czasu, kiedy inkwizytor nie przeprowadzi stosownych rytuałów.

Skończyła jeść i odrzuciła na ziemię pusty, sflaczały bukłak. Uśmiechnęła się, a wtedy w zdumieniu zmieszanym z lękiem dostrzegłem, że jej zęby są inne niż u większości ludzi. Ostro zakończone, lśniąco białe, z kłami nieco dłuższymi, niż być powinny u normalnego człowieka.

— Jezu Chryste — szepnąłem. — Wąż i gołębica.

Podniosła się na kolana tak szybko, jakby zwinność ruchów pożyczyła od polującego kota.

— Wąż i gołębica — zawołała z przeraźliwą tęsknotą. — Utkani ze światła, utkani ze światła!

Skoczyła w moją stronę i gdyby chciała mnie zaatakować, nie zdołałbym uczynić jednego gestu, by się obronić. Lecz ona tylko przywarła do mnie całym ciałem i drżąc, szeptała:

— Wąż i gołębica! Tak! Wąż i gołębica! Ty wiesz!

Delikatnie objąłem szczupłe, rozedrgane szlochem ramiona, chociaż smród bijący od jej ciała niemal paraliżował mi nozdrza. Kostuch, towarzysz wielu moich podróży, nigdy nie woniał zbyt pięknie. Ona mogłaby uchodzić za jego rodzoną siostrę.

— Wiem — szepnąłem uspokajająco. — Wiem. Nie bój się, pomogę ci.

Mnie samego rozbawiły te słowa, gdyż to ja miałem prawo bać się jej, a nie odwrotnie. Wasz uniżony sługa jest co prawda człowiekiem szkolonym w używaniu oręża oraz umiejącym poradzić sobie, z Boską pomocą, w trudnych sytuacjach, ale przy niej miałem mniej więcej tak samo wielkie szanse jak mucha w pojedynku z pająkiem. Na szczęście nic nie wskazywało, by chciała mnie zaatakować. I dobrze, gdyż nie uśmiechało mi się zakończyć życia z gardłem rozszarpanym zębami w brudnym zaułku zapyziałego miasteczka. Oczywiście nie istnieje coś takiego jak dobra śmierć, lecz są śmierci złe oraz bardzo złe. Ta byłaby bardzo zła.

Poczucie niemal zupełnej bezradności było dla mnie doznaniem nowym oraz niepokojącym. No, może niezupełnie nowym, gdyż przeżyłem już coś podobnego w obecności człowieka, którego również naznaczono piętnem węża i gołębicy. Wtedy udało mi się ujść nie tylko z życiem, ale również z cenną wiedzą. Teraz miałem nadzieję na podobny obrót spraw. Jednak musiałem być pewien, że rzeczywiście jest tym, za kogo ją biorę, a nie zwyczajną wariatką obdarzoną nadnaturalną szybkością ruchów. Wiedziałem przecież, że obłąkani potrafią czasem w napadzie szału wykazać się niespotykaną siłą. Nie raz i nie dwa widziałem wątłych mężczyzn oraz kobiety, których od tańca świętego Wita nie potrafiło oderwać nawet kilku silnych ludzi.

— Czy pokażesz mi znak? — zapytałem najłagodniej jak potrafiłem. — Czy mogę go zobaczyć?

Przez chwilę ciężko oddychała na moim ramieniu, potem odsunęła się o pół kroku.

— Tak — odparła. — Zobaczyć znak. Dobrze. Uwierzysz, prawda?

W ostatnich słowach zabrzmiała tak pokorna nuta, że mimowolnie wyciągnąłem dłoń, by pogłaskać jej skudlone włosy. Nie cofnęła się zsunęła płaszcz z prawego ramienia, potem szarpnęła szarą od brudu lnianą koszulę. Obnażyła rękę. Tam, na chudym ramieniu, rysował się wyraźny wzór węża z lecącą nad jego głowa gołębicą. Wzór był identyczny jak ten, o którego pojawieniu się mówił baron Haustoffer, traktujący ów znak niczym swój rodowy herb.

— Dziękuję. — Pomogłem jej otulić się płaszczem.

— Powiesz mi teraz, prawda? — Patrzyła na mnie rozpłomienionym wzrokiem. — Powiesz, co mam robić? Tak? Powiesz?

— Musisz wypocząć — powiedziałem wolno i wyraźnie, żeby na pewno dotarł do niej sens moich słów. — Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce. Musisz się wyspać, umyć, zjeść coś... Ci ludzie... przecież mogą wrócić...

— Tak, tak, tak. — Znowu wtuliła się we mnie całym ciałem. — Nie wolno zabijać! Nie wolno mi zabijać!

I wtedy właśnie, słysząc te słowa, poczułem, jak lodowaty dreszcz przebiega mi od karku aż po nasadę kręgosłupa. Ta kobieta nie prosiła, by jej nie zabijać! Ona przekonywała samą siebie, iż nie wolno jej skrzywić innej istoty. Dwudziestu uzbrojonych mężczyzn... Tak, tak, mili moi, co zabawne, byłem pewien, iż naprawdę mogła to uczynić bez specjalnego wysiłku.

Do podłego miasteczka, w którym miałem szczęście czy też nieszczęście spotkać dziewczynę z wytatuowanym znakiem węża i gołębicy, nie trafiłem bynajmniej przypadkowo. Mieszkał tu mój dawny druh, z którym miałem do wyrównania pewne rachunki. I niech nie zabrzmi to, jakbym przybył tego człowieka zabić lub ukarać. O nie, ja chciałem mu jedynie przypomnieć o długu, którego nie spłacił, opuszczając mnie bez wyjaśnienia oraz bez pożegnania. A jako że mam zaszczyt — lub, jak kto woli, słabość — być człowiekiem skrupulatnym, więc postanowiłem odnaleźć znajomka i przypomnieć mu o starych wierzytelnościach. Nie byłem na tyle naiwny, by myśleć, że przyjmie mnie z otwartymi ramionami, niemniej ośmielałem się sądzić, iż zrobi wszystko, by ugasić mój gniew. Nawiasem mówiąc, nie odczuwałem wcale złości ani tym bardziej gniewu, a jedynie pewne zażenowanie faktem, że tak łatwo domyśliłem się, gdzie teraz przebywa. Co świadczyło, iż niegdyś błędnie go oceniłem jako człowieka przebiegłego oraz znającego życie.

Spojrzałem w niebo i zobaczyłem, jak w burych chmurach znikają właśnie ostatnie smugi zachodzącego słońca. Miałem nadzieję, że wataha pod wodzą Gaspara Mordy znalazła sobie w pobliskiej oberży inny obiekt zainteresowania, na przykład kufel piwa, flaszkę gorzałki lub cycatą dziewoję. Z całą pewnością wszystkim wyszłoby na zdrowie, gdybyśmy nie spotkali się w tej właśnie chwili, ponieważ zaskakujące moralne skrupuły wampirzycy mogły ustąpić przed gniewem lub rozpaczą. A ja na pewno nie byłem osobą, która chciałaby ją zatrzymać. Nie mówiąc już o tym, że zapewne równie dobrze mógłbym próbować zatrzymać lawinę bądź pożogę.

— Jak masz na imię? — zapytałem. — Ja nazywam się Mordimer Madderdin...

Patrzyła na mnie i miałem wrażenie, że w miarę jak gęstnieje mrok, jej oczy stają się coraz większe i coraz bardziej błyszczące.

— Mord-imer Mad... — zawahała się.

— Madderdin — podpowiedziałem.

— Maddderdddin — powtórzyła powoli, z twardym akcentem. — Ładnie, Mordimer, ładnie. — Klasnęła w dłonie i roześmiała się, a ja znowu zobaczyłem ostre jak szpile i lśniąco białe kły.

— A ty? Jak mam się do ciebie zwracać?

— Ja? — zapytała nieco bezradnie i widziałem, że stara się przypomnieć sobie własne imię. Wzruszyła ramionami. — Nie wiem, Mordimer... — Znowu się uśmiechnęła, jakby powtórzenie mojego imienia było nie lada sukcesem.

— No cóż, zostawmy to na potem — rzekłem łagodnie. — Czy zechcesz pójść ze mną?

— Tak! — niemal krzyknęła. — Pójść z tobą! Tylko z tobą! Ty wiesz! Wszystko mi powiesz, prawda, Mordimer? Nauczysz mnie, prawda? Prawda?

— Prawda — odparłem, przełykając ślinę. Zastanawiałem się, czy nie poczuje się rozczarowana faktem, że ja sam poszukuję wyjaśnień i niewiele mam do powiedzenia. Trudno też nie dodać, iż niepokoiłem się również, jaką formę może przybrać jej rozczarowanie...

Mój koń był zwierzęciem spokojnym i wyćwiczonym. Pochodził w końcu ze stajni heskiego Inkwizytorium, a tam wierzchowce podlegają pieczołowitemu szkoleniu. Muszą być przede wszystkim opanowane. W końcu inkwizytor usiłujący pokonać wierzgającego rumaka, który przestraszył się głośniejszego krzyku lub przebiegającego przez drogę zająca, byłby widokiem zarówno uciesznym, jak i godnym pożałowania. A nie należeliśmy do ludzi lubiących, gdy drwi z nich pospólstwo. Wierzchowiec inkwizytora musiał jednocześnie posiadać niezbędną dozę agresji. Gdyż ręczę wam, że nawet odważni ludzie nadzwyczaj szybko wpadają w panikę, kiedy zawisną nad nimi ciężkie końskie kopyta lub poczują na ramionach ugryzienia potężnych zębów. Czyż nie zabawne, że Pan stworzył spokojnego przeżuwacza siana oraz trawy, dając mu jednocześnie tak wielką siłę szczęk? Oczywiście konie pochodzące ze stajni Inkwizytorium nie mogły się równać z bojowymi rumakami naszych feudałów, od źrebięcia ćwiczonymi, by stawać na polu bitwy, w wojennym zgiełku oraz zamieszaniu. Aczkolwiek myślę, że nawet bojowy rumak bogatego rycerza spanikowałby tak samo jak mój koń, kiedy by tylko poczuł zapach wampirzycy. Rżał, wyrywał się, starał odejść jak najdalej od niej, a w jego oczach widziałem ślepy strach. No cóż, miał, jak widać, bardziej rozwinięty instynkt przetrwania niż Gaspar Morda oraz towarzyszący mu obwiesie. Musiał wyczuwać w niej nadprzyrodzoną istotę i to boleśnie godziło w jego zdrowy koński rozsądek oraz przewracało do góry nogami ustabilizowany koński system wartości...

— Boją się mnie — przyznała dziewczyna ze smutkiem w głosie. — Dlaczego się mnie boją? Nigdy nie zrobiłam im krzywdy... Ja tak bardzo kocham zwierzątka...

Spodobały mi się te słowa, gdyż, najłagodniej ujmując, nie przepadam za ludźmi krzywdzącymi naszych „braci mniejszych”. Kiedyś zabiłem mężczyznę znęcającego się nad koniem i chociaż dawno wygasła we mnie młodzieńcza zapalczywość, to jednak człowiek dręczący zwierzę w mojej obecności powinien dokonać szybkiego rachunku sumienia. Rachunek sumienia wystarczy, ponieważ do skruchy doprowadzę go sam i sam też wyznaczę stosowną pokutę.

W końcu udało mi się opanować sytuację. W prawej dłoni mocno trzymałem wodze, po lewej stronie miałem wampirzycę. Rzecz jasna, nie było mowy, by jechać w siodle, nie przypuszczałem też, by zabranie dziewczyny na koński grzbiet przyniosło coś poza kolejnym atakiem paniki zwierzęcia. Miałem tylko nadzieję, że nie spotkamy Gaspara Mordy ani jego kompanów, gdyż sądziłem, że najlepszym wyjściem będzie jak najszybsze dotarcie do domu mego dawnego wspólnika i ukrycie w nim wampirzycy. Oraz, rzecz jasna, zatajenie jej prawdziwego pochodzenia i niezwykłych zdolności. W końcu nie miałem zamiaru publicznie wyjawiać tajemnic, do których zyskałem tak niespodziewany dostęp dzięki poznaniu barona Haustoffera — wampira, który wedle wszelkich praw ludzkich oraz boskich nie miał prawa żyć (a w istnienie jego gatunku nie wierzyli także Aniołowie). Jednak żył i miewał się wcale nieźle. Jak widać, istnieli też jemu podobni — ludzie oznaczeni symbolem węża oraz gołębicy. Nieśmiertelni, lecz za to śmiertelnie niebezpieczni. Być może człowiek rozsądny oraz przezorny skorzystałby z pomocy Officjum, może nawet powiadomił o wszystkim Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium. Ja jednak nie byłem w tym wypadku ani rozsądny ani przezorny i postanowiłem problemowi przyjrzeć się na własną rękę. Choć zdawałem sobie sprawę z faktu, że igram z ogniem. Ale cóż, my, inkwizytorzy, do igrania z ogniem jesteśmy, jak by nie patrzeć, przyzwyczajeni...

###### \* \* \*

Jak się domyślacie, mili moi, dawny wspólnik nie był zachwycony nieoczekiwaną wizytą. Starał się jednak robić dobrą minę do złej gry. I gdyby nie pierwszy grymas przerażenia, który ujrzałem na jego twarzy, kiedy stanął na progu, mógłbym pomyśleć, iż wita mnie ze szczerą serdecznością.

— Nie masz służby, Kozojebie, że sam otwierasz gościom?

Nie skrzywił się nawet, gdy przezwałem go starym mianem, tylko uśmiechnął się nieco szerzej.

— Dałem im dzisiaj wolne — powiedział. — Wchodź, Mordimerze. Gość w dom, Bóg w dom.

To się akurat świetnie składało, że był sam, gdyż nie chciałem, by zaczęły krążyć plotki o dziwnej dziewczynie, która przybyła wraz z inkwizytorem. Kozojeb otworzył szerzej oczy, kiedy wampirzyca wyłoniła się zza mojego ramienia. Pociągnął nosem i skrzywił się z niesmakiem. To nas też kiedyś łączyło: czułość powonienia oraz niejaki zmysł estetyczny.

— Skądżeś ty ją wytrzasnął? — mruknął. — Matko Boska Bezlitosna, jakaż ona brudna!

— Trzeba ją więc wykąpać — stwierdziłem i odsunąłem go z drogi, byśmy mogli wejść do środka. — Skoro nie ma służby, przygotuj kąpiel, bo sam widzisz, że przyda się ją wyszorować...

Dziewczyna stała w sieni, kryjąc się w kątku, który wydawał jej się najciemniejszy. Bardzo delikatnie ująłem ją za rękę.

— Nie bój się — powiedziałem i znowu mnie samego rozbawiły te słowa, ponieważ gdyby chciała nas zabić, przyszłoby jej to tak samo łatwo jak kotu porywającemu okulawioną mysz.

Kozojeb spisał się wyśmienicie. Przygotował balię pełną gorącej wody, ług, szczotkę z drewnianą rączką, ręczniki oraz dwa wiadra z letnią wodą do spłukania. I uwinął się z tym wszystkim zdumiewająco szybko.

— Wykąp się. — Wskazałem dziewczynie balię i cofnąłem się w stronę drzwi. Znalazła się przy mnie tak szybko, że nie zdołałem nawet drgnąć.

— Nie odchodź. — Wczepiła się w moje ramię. — Nie chcę być sama!

Mój dawny druh obserwował tę scenę szeroko otwartymi oczyma.

— Co żesz... — zaczął, jednak uciszyłem go gestem uniesionej dłoni.

— Szykuj kolację, Kozojebie — rozkazałem spokojnie. — Ja dopilnuję wszystkiego.

Pokiwał głową, potem wymknął się rakiem, zamykając drzwi.

— Damy nie powinny kąpać się w obecności mężczyzn — rzekłem siląc się na żartobliwy ton. — Lecz jeśli sobie tego życzysz... Wchodź więc — Znowu wskazałem gorącą wodę.

Zbliżyła się do kadzi i uniosła stopę.

— Nie, nie, nie — powiedziałem szybko. — Najpierw musisz się rozebrać, moja miła. Potem dostaniesz świeże, czyste ubranie, a stare wyrzucimy.

— Ach tak... — Uśmiechnęła się. Widziałem, że usiłuje przypomnieć sobie coś z przeszłości. — Kąpiel... Nie w butach... Nie w ubraniu... Prawda. Zapomniałam...

Oparłem się o ścianę i przyglądałem, jak nieporadnymi ruchami zdejmuje kaftan, koszulę. Była kobietą, ale jej nagość nie budziła we mnie więcej pożądania niż nagość domowego zwierzęcia. Raczej litość, gdyż była tak chuda, iż mogłaby bez trudu konkurować z więźniami cesarskich lochów. Jej nogi zdawały się nie mieć łydek ani ud i przypominały nieforemne patyki, żebra niemal przebijały ciemną od brudu skórę i mogłem bez trudu je policzyć. Przypominała kościotrupa obciągniętego szaroburym pergaminem. Nie miała nawet piersi, a tylko dwa sutki tak małe jak opuchlizna po ugryzieniu gza.

Ostrożnie weszła do wody i najpierw syknęła, bo widać nie tylko nie była przyzwyczajona do gorącej kąpieli, ale zapewne ledwo pamiętała, jak gorąca kąpiel może wyglądać. W końcu jednak usiadła w balii, najpierw sztywna, wyraźnie przestraszona, potem oparła się wygodniej i wyciągnęła nogi.

— Och — westchnęła i w tym westchnieniu może nie było jeszcze zachwytu, lecz stosowna doza ulgi. — Ciepło — powiedziała, przymykając oczy. — Ciepło — dodała niemal z rozmarzeniem.

Znak węża i gołębicy na jej ramieniu zdawał się jaśnieć i pulsować.

— Co dalej? — Uchyliła powieki i spojrzała na mnie. — Co mam robić dalej?

Chciałem podać jej szczotkę, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Nie wiedziałem, jak jej skóra zareaguje na kontakt z twardym włosiem. Wziąłem więc mniejszy z ręczników przygotowanych przez Kozojeba, złożyłem w kostkę i namoczyłem w wodzie.

— Wymyj się. — Podałem ręcznik. — Coś trzeba też zrobić z twoimi włosami.

Były nieprawdopodobnie brudne i skołtunione, jednak kiedy ich dotknąłem, zdałem sobie sprawę z tego, że nie ma w nich wszy. Zdumiewające. Może po prostu wszy nie gustowały we krwi istot takich jak ona?

— Nie dam rady umyć i uczesać twoich włosów. Czy pozwolisz, bym je obciął? — spytałem wyraźnie i łagodnie.

Wzruszyła ramionami.

— Ty wiesz najlepiej — w jej głosie znowu zabrzmiała bezradność.

— Trzeba je będzie obciąć naprawdę krótko — dodałem, a ona tylko westchnęła.

Wyszedłem z pokoiku i udałem się do Kozojeba. Po pierwsze, po nożyce, po drugie, po ubranie, które dziewczyna mogłaby założyć na siebie po wyjściu z kąpieli. I jedno, i drugie dał mi bez słowa, lecz kiedy wracałem, zatrzymał mnie na chwilę.

— Oddam ci wszystko, co jestem winien, i dołożę dwadzieścia od sta, tylko ją zabierz, Mordimerze. Zabierz ją stąd jak najszybciej.

Przyglądałem mu się przez dłuższy czas.

— Miałeś dużo wad, ale prawie nigdy i prawie niczego się nie bałeś, Kozojebie — powiedziałem z szyderczym wyrzutem w głosie.

— Ludzie się zmieniają — wymamrotał. Chwycił mnie za ramię i spojrzał mi w oczy. Był tak blisko, że czułem na twarzy jego oddech. — Ona nie jest człowiekiem, wiesz o tym, prawda?

Uwolniłem się z jego uścisku. Stanowczym ruchem, gdyż nie przepadam, kiedy dotyka mnie ktoś inny niż tylko piękne kobiety. A i to nie zawsze.

— A kim miałaby być? — Pokręciłem głową z politowaniem. — Demonem? — Poklepałem go po policzku. — Dajże spokój...

— Nie wiem... — Widziałem na jego twarzy strach i zaniepokoiło mnie to, gdyż ludzie przerażeni są skłonni porywać się na rzeczy kłócące się ze zdrowym rozsądkiem. A to zwykle dostarcza kłopotów zarówno im samym, jak wszystkim znajdującym się w ich towarzystwie.

— Posłuchaj uważnie — zacząłem. — Dziewczyna jest krewną pewnego arystokraty. Zaginęła wiele, wiele lat temu i nie pamięta niemal nic ze swej przeszłości, a łączące ją z nim więzy rodowe rozpoznałem jedynie po znaku wytatuowanym na ramieniu. Obaj wiemy, że nie jest przy zdrowych zmysłach, lecz mój zleceniodawca wyznaczył za jej znalezienie sporą nagrodę. Naprawdę sporą. I jeśli mi pomożesz, zapomnę nie tylko o odsetkach od twojego długu, ale również o tym, że mnie obraziłeś. Rozumiesz?

— Nie wiem, dlaczego to zrobiłem — odezwał się po chwili. — Nie mam pojęcia, dlaczego cię oszukałem. Przez te wszystkie lata, każdego dnia... — Wzruszył nerwowo ramionami. — To nie było tego warte — dodał.

— Na pewno nie było — przyznałem, patrząc mu prosto w oczy. Pospiesznie uciekł ze wzrokiem. — Jednak teraz o tym zapomnij. Pomóż mi, wtedy zniknę z twojego życia raz na zawsze.

— Dobrze — westchnął. Wstrząsnął głową, jak gdyby był koniem, który ruchem grzywy odpędza napastliwe muchy. — Pospieszcie się, niedługo kolacja.

Nie odszedł jeszcze, zatrzymał się na progu.

— Mordimerze? Czy przysięgniesz, że...

— Krzywoprzysięzca chce zaufać przysięgom? — przerwałem mu. — Czyż święty Paweł nie powiedział: Dlatego odrzuciwszy kłamstwo, niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego?

— Mam nowe życie — powiedział płaczliwie i nie patrzył mi w oczy. — Mam kobietę, będę miał z nią dziecko...

— Wzruszyłeś mnie! — Rozłożyłem szeroko ramiona. — Mój Boże, jak bardzo mnie wzruszyłeś, Kozojebie! Tak bardzo, że zmieniłem plany na przyszłość! Postanowiłem, że jeśli mi nie pomożesz, nie zrobię ci krzywdy, zanim nie pozwolę popatrzeć, jak umiera twoja kobieta. I zanim nie pozwolę ci posłuchać, jak gorąco błaga o życie.

Zbliżyłem się, chwyciłem go za kołnierz.

— Bądź mądry, a nikomu nic się nie stanie — syknąłem. — Chcę się stąd wynieść, kiedy tylko będzie to możliwe. Pomóż mi, to doczekasz narodzin potomka. Przeszkodź mi, a zobaczysz, jak wypruwam płód z twojej kobiety. Zrozumieliśmy się?

Oczywiście nie zrobiłbym niczego podobnego. Mówcie sobie, co chcecie, o Mordimerze Madderdinie, inkwizytorze Jego Ekscelencji i waszym pokornym słudze, lecz nigdy nie skrzywdziłbym ciężarnej niewiasty. Bowiem kobieta nosząca płód to kobieta przebywająca w stanie boskiej łaski. Jakże byłbym nędzną istotą, by takiego stanu nie uszanować? Na szczęście Kozojeb nie wiedział o moich rozterkach i zbladł.

— Błagam — wyjęczał.

— Ty nie błagaj, ty bądź mądry — odpowiedziałem. Wróciłem do izby. Wampirzyca nadal pławiła się w wodzie i wydawało się, że kąpiel sprawia jej prawdziwą przyjemność.

— Przyniosłem nożyce. — Uniosłem narzędzie do światła, nie chciałem, by pomyślała, że cokolwiek ukrywam.

— No-ży-ce — powtórzyła, jakby przypominając sobie znaczenie tego słowa.

— Aby obciąć ci włosy — dodałem. — Mogę? Patrzyła na mnie żałosnym wzrokiem. Zbliżyłem się.

— Odrosną — obiecałem. — I na pewno będą piękne. Tylko musisz je czesać.

Potem zacząłem postrzyżyny. Czarne pęki kołtunów padały na podłogę, a ja starałem się przypadkiem jej nie zranić, co było o tyle trudne, iż włosy musiałem ściąć niemal przy samej skórze. Kiedy skończyłem, odsunąłem się o krok, by przyjrzeć się efektowi wykonanej roboty. Wampirzyca wyglądała jeszcze żałośniej niż poprzednio. Teraz, gdy pozbawiłem ją włosów, jej głowa zdawała się zaledwie czaszką obciągniętą cieniutką warstwą skóry, a szyja sprawiała tak kruche wrażenie, że zdawało mi się, iż mógłbym samymi palcami złamać dziewczynie kark. I tylko wielkie czarne oczy płonęły w chudziutkiej twarzy. Tak, trzeba przyznać, że znalazłem w tej istocie jedną piękną rzecz: właśnie niezwykłej urody oczy.

###### \* \* \*

Czekała mnie wizyta u barona Haustoffera i wiedziałem, że muszę się do tej wizyty odpowiednio przygotować. Być może przesadzałem z ostrożnością, lecz Mordimer Madderdin nie przeżyłby tylu lat na tym nie najlepszym ze światów, gdyby grzeszył beztroską w myśleniu oraz postępowaniu. Owszem, czasami pakowałem się w kłopoty poważniejsze, niżbym chciał, jednak, kiedy wiedziałem, że mogą się one pojawić, wolałem zabezpieczyć się na wszelkie możliwe sposoby. A przecież Haustoffer był wyjątkowo niebezpieczną istotą. W czasie ostatniej bytności w jego zamku cudem tylko uniknąłem śmierci, choć gwoli ścisłości i uczciwości trzeba przyznać, że wyjechałem z kiesą pełną złotych dublonów oraz zleceniem na przyszłość.

Haustoffer uważał, iż niegdyś żył w Palestynie i widział Pana naszego Jezusa Chrystusa wspinającego się stromą drogą na Golgotę, z krzyżem na poranionych ramionach. Baron szedł, popijając wino, potem przyglądał się kaźni, aż wreszcie zasnął zmorzony trunkiem oraz spiekotą. Nie widział momentu, w którym Jezus zstępował z krzyża i ukarał rzymskich legionistów, nie widział, kiedy Pan wraz z apostołami i wiernym sobie ludem szedł w stronę Jerozolimy, by skąpać we krwi niewierne miasto. Potem tylko zobaczył Jerozolimę i w niej poczuł już ten zdumiewający i przerażający szkarłatny głód, który miał nękać go aż do dzisiaj. Tam też zorientował się, że nie jest tym, kim był dawniej. Zyskał nadnaturalną siłę oraz szybkość, nie starzał się, potrafił panować nad ludzkimi umysłami, zadane mu żelazem rany błyskawicznie się zabliźniały. Natomiast na ramieniu zauważył wytatuowany znak węża i gołębicy. Od tej pory żył, nie wiedząc, czy to, co go spotkało, było błogosławieństwem, czy klątwą. A może tylko pozbawioną sensu i znaczenia pomyłką? Dziełem Boga lub szatana?

Teraz sądziłem, że w pewnej mierze będę mógł odpowiedzieć na pytania, które go nurtowały. Oczywiście, jeżeli przedtem pieczołowicie wypytam znajdującą się pod moją opieką dziewczynę i jeżeli uda mi się uzyskać jakiekolwiek sensowne odpowiedzi, co zważywszy na jej stan, wcale nie musiało być łatwym zadaniem.

Czy wierzyłem w historię barona? Na początku nie, Inkwizytorzy traktowali podania o wampirach tak samo jak bajędy o wilkołakach. Jednak, kiedy miałem okazję zobaczyć, jak szybko porusza się Haustoffer, kiedy poczułem jego paraliżujący wzrok, kiedy ujrzałem ostre niczym brzytwy zęby — wtedy już przestałem mieć wątpliwości. Być może kłamał, opowiadając o swej przeszłości, lecz na pewno nie był zwyczajnym człowiekiem, a istotą posiadającą szereg nadnaturalnych zdolności. Wiedziałem, że tak naprawdę powinienem trzymać się jak najdalej od jego zamku. Jednakże niewyjaśniona zagadka kłuła mnie niczym cierń pozostawiony w podeszwie stopy. I teraz, gdy rozwiązanie tej zagadki zdawało się bliżej niż kiedykolwiek, nie mogłem się wycofać. Nie liczyłem na nagrodę od Haustoffera (choć obiecywał mi wiele), jedynie miałem nadzieję, iż ta mroczna historia zostanie opromieniona blaskiem poznania. Bowiem wyjaśniłem niegdyś baronowi, że jestem człowiekiem, dla którego liczy się wiedza i czasami nie miało już znaczenia, dokąd ta wiedza miała mnie zaprowadzić. Z doświadczenia natomiast wiedziałem, że czasem prowadziła dalej, niżbym sobie życzył.

W związku z planami, które powziąłem, musiałem skorzystać z pomocy Kozojeba. Dokładnie mu wyjaśniłem, jakiego potrzebuję rzemieślnika i jaką musi on wykonać dla mnie robotę. Naszkicowałem mu nawet plan na kawałku papieru.

— To będzie cię nieźle kosztowało — zauważył, nie pytając, do czego potrzebuję tych drobiazgów. I dobrze, że nie pytał, gdyż i tak nie usłyszałby odpowiedzi.

— Jak tylko oddasz mi dług, stanę się bogatym człowiekiem — odparłem pogodnie.

Milczał przez chwilę i tylko pocierał wierzch lewej dłoni palcami prawej.

— Wiesz, że nie mam takiej sumy na podorędziu. Musisz zaczekać kilka dni...

— To w końcu nie ja namawiałem ciebie, byś jak najszybciej opuścił mój dom, prawda? Zaczekam, ile tylko uznasz za stosowne. Będę miał przyjemność poznać twoją żonę? Kiedy wraca?

Opuścił oczy.

— W przyszłym tygodniu — powiedział cicho. — Załatwię wszystko do tego czasu. Przysięgam.

— Powiedz tylko majstrowi, że kruszec musi być czysty. Jeśli zmiesza go z miedzią lub innym tanim metalem, własnoręcznie obedrę go ze skóry. Umiesz jeszcze być przekonujący, Kozojebie?

— Umiem — odparł twardszym głosem. — Będziesz zadowolony.

— Nie wątpię. — Skinąłem mu głową. — Powiedz mi coś jeszcze. Słyszałeś, żeby gdzieś w okolicy mieszkał prawdziwie pobożny mnich lub ksiądz? Człowiek cieszący się powszechną miłością, znany ze świątobliwych uczynków, może nawet z cudów sankcjonowanych przez Kościół?

— Święty za życia, co? — uśmiechnął się Kozojeb.

— Ano właśnie.

Myślał przez chwilę, pocierając czoło.

— Wypytam — obiecał. — Coś mi się niby obiło, o jakimś pustelniku czy co tam...

— Bardzo dobrze — rzekłem.

— Inkwizytor szuka błogosławieństwa świętego? — usłyszałem w jego głosie coś na kształt szyderstwa, ale kiedy spojrzałem mu prosto w twarz, uśmiech zniknął z jego ust.

— Wypytam — powtórzył cicho i wyniósł się z izby.

###### \* \* \*

Od posiadłości barona HaustofFera dzieliła mnie długa droga. Co najmniej dwa tygodnie podróży, i to zakładając, że nie wydarzy się nic niespodziewanego. Oczywiście dwa tygodnie konnej podróży, a stał przede mną wielki problem: jak zmusić mego wierzchowca, by zechciał przyjąć na grzbiet istotę, która wzbudzała w nim paniczny lęk? Nie miałem jednak wyboru, ponieważ nie wyobrażałem sobie pieszej wędrówki. Mogłem co prawda wynająć wóz, ale zważywszy na fakt, że ostatnio padały deszcze, część dróg zmieniła się w błotniste strumienie. W związku z tym kto wie czy podróżowanie wozem nie potrwałoby nawet dłużej niż na piechotę. Poza tym konna wędrówka pozwoliłaby nam trzymać się z dala od uczęszczanych traktów, gdyż przecież nie chciałem zbyt często i zbyt wielu ludziom pokazywać mojej towarzyszki. Nie pozostawało mi nic innego, jak starać się oswoić wierzchowca z wampirzycą, i miałem nadzieję, że wystarczy do tego kilka dni, które spędzimy w gościnie u Kozojeba.

Obudziłem się w środku nocy i spojrzałem w stronę łoża. Zakląłem cicho. Wampirzycy nie było. Chlubię się czujnym snem i nie spotkałem jeszcze człowieka, który potrafiłby zbliżyć się do mnie na odległość ciosu. A tutaj specjalnie ułożyłem się w progu, przy drzwiach, by dziewczyna nie mogła wyjść bez mojej wiedzy. Na nieszczęście drzwi otwierały się na zewnątrz, więc po prostu przekroczyła moje ciało, kiedy spałem. Ale nie usłyszałem nawet szelestu, a moja intuicja i moja czujność spały twardym snem wraz ze mną. Zakląłem jeszcze raz i wybrałem się na poszukiwania.

W komórce było ciemno i chociaż nic nie widziałem, poczułem niepokojący, mdlący zapach krwi Bezszelestnie wyciągnąłem nóż, lecz nim zdążyłem cokolwiek zrobić, poczułem, jak ktoś delikatnie, a jednocześnie mocno chwyta mnie za nadgarstek.

— Nie trzeba — usłyszałem szept. — To ja...

— Co tu robisz, na gniew Pana? — Schowałem sztylet do pochwy.

Cofnąłem się i zabrałem z sieni świecącą żółtym płomieniem lampkę. Pierwsze, co zobaczyłem, to że wampirzyca miała usta i brodę skąpane w świeżej krwi. I od razu pomyślałem, iż zabiła Kozojeba, więc będę musiał martwić się ukryciem jego ciała, a potem spróbować niepostrzeżenie wyjechać z miasteczka. Westchnąłem. Dziewczyna, nie przejmując się moją obecnością, oblizała palce.

— Chcesz? — zapytała, wskazując pogrążony w mroku kąt komórki.

— Dziękuję ci, moja droga, nie jestem głodny — odpowiedziałem uprzejmie.

Podszedłem trzy kroki, trzymając lampkę w wyciągniętej dłoni. I odetchnąłem z ulgą. Na podłodze leżał nie Kozojeb, lecz biały piesek o skołtunionej wełnistej sierści. Miał martwe oczy i rozszarpane gardło. Miałem nadzieję, że gospodarz jakoś pogodzi się ze śmiercią psa, zważywszy na fakt, że sam mógł znaleźć się na jego miejscu.

— Byłam bardzo szybka — wyjaśniła z westchnieniem. — Nic go nie bolało.

— Zjedz do końca i chodź ze mną — poprosiłem.

Ukucnęła przy zwłokach i wbiła w nie zęby. Usłyszałem głośne mlaskanie oraz odgłosy ssania, brzmiało to, jakby ktoś rozkroił pomarańczę na pół i łapczywie starał się wypić cały sok. Wreszcie skończyła, wstała z uśmiechem na ustach. Jej ostro zakończone zęby błyszczały czerwienią.

— Mniam — powiedziała.

Wiedziałem, że będę musiał tu wrócić, by usunąć truchło, ponieważ nie chciałem wzbudzać u gospodarza jeszcze większego przerażenia, co niewątpliwie by się stało, gdyby znalazł rozszarpanego psa. Wiedziałem też, że będę musiał uważniej pilnować wampirzycy, gdyż bardziej przypominała ona dzikie stworzenie niż człowieka i nie miałem żadnej gwarancji, iż znowu nie wymknie się na polowanie, kiedy tylko poczuje apetyt. Co prawda, jak wnioskowałem z jej słów, starała się nie polować na ludzi, jednak nie miałem również ochoty, by ktokolwiek ujrzał, jak poluje na psy, koty lub szczury. A poza tym nie mogłem przecież zaręczyć, że nie chwyci ją nagły, przemożny głód na spróbowanie ludzkiej krwi. Pocieszałem się tylko myślą, iż raczej to nie ja będę obiektem jej zainteresowania, gdyż wydawała darzyć mnie pewnym rodzajem przywiązania. Jeśli potrzebowała świeżej krwi, to krew tę będę musiał jej dostarczyć. Cóż, w końcu z całą pewnością w tej mieścinie znajdował się niejeden sklep rzeźnika.

###### \* \* \*

Rzemieślnik wynajęty przez Kozojeba spisał się nad podziw dobrze. Spreparowane przez niego przedmioty wsadziłem do juków, gdyż na razie nie były mi do niczego potrzebne. Dowiedziałem się również, gdzie mieszka świątobliwy eremita, i okazało się, że aby dotrzeć do jego pustelni, będziemy musieli nadłożyć zaledwie pół dnia drogi. Wszystko więc układało się po mojej myśli.

— Żegnaj, Kozojebie.

— Żegnaj — odparł, a w jego głosie słyszałem wyraźną ulgę. — Czy jesteś...

— Tak, jestem zadowolony — rzekłem.

— A więc nie...

— Nie spotkamy się już — dokończyłem zdanie, które chciał wypowiedzieć. — Trzymaj tylko język na wodzy i nie zmuś mnie, bym kiedyś pojawił się znowu i pokazał kilka chytrych sztuczek twej kobiecie czy twemu dziecku.

— Nie musisz mi grozić — odezwał się szeptem.

— Nie muszę — zgodziłem się.

Mój Boże, gdzie zniknął ten Kozojeb, który po pijanemu wyzywał na ubitą ziemię cesarskich żołnierzy i dla którego zabić człowieka było jak splunąć?! Jakżeż rodzina i więzi miłości osłabiają wolę oraz ciało człowieka! Jakżeż czynią go podatnym na wszelkie groźby, strachliwym i niezaradnym... Mogłem mieć tylko satysfakcję z faktu, iż mnie nigdy nie wydarzy się podobne nieszczęście.

Byłem pewien, że mnie nie zdradzi. Po pierwsze cóż mógł powiedzieć? Donieść, iż inkwizytor Jego Ekscelencji pojawił się u niego z chudą i śmierdzącą kobietą, żądając gościny? Lokalni inkwizytorzy co najwyżej zaczęliby współczuć gustowi Mordimera Madderdina. Oczywiście, mógł również zdradzić swe podejrzenia co do tego, że kobieta ta nie była zapewne człowiekiem. Ale takie oskarżenie należało udowodnić, zwłaszcza kiedy rzucało się je przeciw inkwizytorowi. Po drugie, Kozojeb wiedział, że nie ciskam słów na wiatr i nie wybaczę mu drugiej zdrady. Dlatego sądziłem, że po prostu o wszystkim zapomni. Kto wie, może zapomni tak udanie, że za rok lub dwa nawet przed samym sobą nie przyzna już, iż widział dawnego towarzysza. Dla jego dobra miałem nadzieję, że tak właśnie się stanie.

Kozojeb wyciągnął rękę, lecz jego dłoń zawisła w powietrzu.

— Wybaczyłem ci — rzekłem — ale nie zapomniałem. Odwróciłem się i wskoczyłem na koński grzbiet.

Wampirzyca obróciła się do mnie z uśmiechem.

— Głaszczę go — pochwaliła się i rzeczywiście widziałem, jak jej dłoń przesuwa się po lśniącej sierści. — Chyba to lubi...

No cóż, kilka dni zajęło nam przyzwyczajanie mojego wierzchowca do obecności dziewczyny, ale efekty okazały się co najmniej zadowalające. Ona sama trzymała się całkiem pewnie w siodle, choć byłem przekonany, że długa podróż jeszcze da się jej we znaki. Kazałem, by ubrała się w obszerny płaszcz z szerokim kapturem, który zamaskował chudość ciała oraz powalał na ukrycie twarzy. Zakręciła się w siodle i oparła o mnie wygodnie plecami.

— Kupisz mi kiedyś koma? — spytała.

— Oczywiście, moja droga — odparłem.

###### \* \* \*

Trzeciej nocy rozbiliśmy obóz na maleńkiej polance przylegającej do zbocza wzgórza. Ha, obóz to szumnie powiedziane. Rozpaliłem ognisko, a na zebranych gałęziach rozłożyłem wełniane koce na tyle blisko płomieni, by grzało nas ich ciepło. Na szczęście od kilku dni już nie padało, więc liczyłem, że nie obudzi nas ulewa. Zresztą Mordimer Madderdin nocował już w takich miejscach, że parę kropli dżdżu nie mogło wywrzeć na nim szczególnego wrażenia. Chociaż oczywiście nie przepadałem za podobnymi urozmaiceniami.

— Dobranoc — powiedziałem, otulając się kocem.

— Śpij słodko — odparła i roześmiała się do siebie. Domyśliłem się, że właśnie przypomniała sobie ten zwrot z dawnych czasów i dlatego była tak zadowolona.

Zasnąłem może nie słodko, lecz przynajmniej twardo. W pewnym momencie jednak coś mnie zaniepokoiło i otworzyłem oczy; przytomny, czujny i uważny. Wampirzyca kucała nade mną, a na jej twarzy układał się ciepły blask bijący od drew żarzących się w ogniu. Czarne oczy błyszczały niczym dwie pochodnie skąpane w mroku.

— Widziałam twój sen — wyszeptała.

Uśmiechnąłem się tylko, gdyż przecież zwykli ludzie nie widzą snów innych ludzi.

— Ona jest taka piękna — dodała z rozmarzeniem No tak. Zapomniałem, że moja towarzyszka nie była zwykłym człowiekiem. Ba, w ogóle nie była człowiekiem! Jednak, mimo wszystko, jak mogła spojrzeć w głąb sennych marzeń drugiej osoby?

— Myślisz, że ja też będę piękna? Może kiedyś ci się przyśnię? — Na jej twarzy zagościł niepewny uśmiech.

— Oczywiście, że będziesz — odparłem szczerze, ponieważ byłem pewien, że gdy tylko nabierze ciała, może zamienić się w całkiem interesującą niewiastę. Ale od tego dzieliło ją co najmniej pięćdziesiąt funtów, gdyż nadal najbardziej przypominała szkielet. Szkielet z wyrazistymi, ślicznymi oczami, które w tej chwili wpatrywały się we mnie badawczo.

— Dlaczego o niej śnisz?

Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa i sam sobie je wielokroć zadawałem. Co mogłem więcej zrobić, jak tylko wzruszyć ramionami i powiedzieć „nie wiem”?

— Nie, nie. — Machnęła dłonią, widziałem, że jest rozdrażniona. — Nie tak chciałam... — Zastanawiała się długo. — Lepiej być z tym kimś, niż tylko o nim śnić — udało jej się wreszcie sformułować myśl i klasnęła zadowolona z siebie.

Roześmiałem się. Prawda, jakie to było proste? Szkoda, że nie dla mnie.

— Nie możemy mieć wszystkiego, czego chcemy i odparłem.

— Czemu?

— Bo Bóg tak urządził świat.

— Niedobry Bóg. — Odwróciła się do mnie plecami, ja znowu parsknąłem śmiechem.

Nagle wciągnęła powietrze w nozdrza i sprężyła się. Wyglądała teraz jak kot przygotowany do ataku.

— Sssarna — syknęła.

Skoczyła w mrok i tyle ją widziałem. Na szczęście była na tyle miła, że po każdym swoim posiłku przynosiła również kilka kawałków mięsa, które mogłem podpiec przy ognisku. Sama zresztą żywiła się nie tylko krwią zabitych zwierząt. Chętnie jadła zwyczajne posiłki, choć na pewno krew rozbudzała w niej największy apetyt. Zawinąłem się w koc i znowu zasnąłem, wiedząc, kto jak zwykle pojawi się we śnie, i nie mogąc jednocześnie zdecydować, czy chciałbym, by te sny się skończyły, czy też by trwały dalej.

###### \* \* \*

Zrobiliśmy popołudniowy postój, w czasie którego przygotowałem kociołek polewki z zająca (mięso, oczywiście, wielkodusznie przyniosła moja towarzyszka, kiedy tylko wychłeptała całą krew). Byłem zły, bo skończyła mi się sól, a nie znoszę niesolonych potraw. Pocieszała mnie tylko myśl, że na zamku Haustoffera na pewno najem się do syta i smacznie. Miałem też nadzieję, że uda mi się opuścić siedzibę pana barona tak samo łatwo, jak do niej wejdę. Przed tą wizytą musiałem porozmawiać z dziewczyną, choć zdawałem sobie sprawę, że może to nie być łatwe, zważywszy na jej kłopoty z wysławianiem się oraz pamięcią.

Wampirzyca właśnie zanurzyła palec w kociołku, oblizała i skrzywiła się.

— Mordimer, niedobre — zawyrokowała. — Chcesz, złowię ci zająca?

Zrozumiałem, że ma na myśli żywe stworzenie ktrórego krwi będę mógł się napić, więc podziękowałem. Z dwojga złego wolałem już mdłą polewkę.

— Pamiętasz, co jadałaś jako dziecko?

Popatrzyła na mnie z niezrozumieniem.

— Szczury, koty, psy — odparła po chwili.

— Nie, nie. Przypomnij sobie, moja droga. Sięgnij myślą do najdalszych czasów, które pamiętasz. Co widzisz?

— Moja mama... Czesała mnie codziennie rano. — Uśmiechnęła się.

Miała teraz niemal zwyczajne zęby. Zauważyłem, że stawały się one ostre i długie, kiedy była głodna lub rozdrażniona. Niewątpliwie była to anatomiczna zagadka, bo w jaki sposób ludzka kość może zmieniać się w zależności od nastroju?

— Gdzie mieszkałaś?

— Duży dom. — Powiodła wokół dłońmi, by pokazać, jak bardzo był duży. — I ogród. — Klasnęła nagle w dłonie.

— Co rosło w twoim ogrodzie?

— Daktyle, figi, oliwki — powiedziała z rozmarzeniem, lecz wymawiała te słowa w taki sposób, jakby sama słyszała je po raz pierwszy.

Daktyle, figi, oliwki. Wszystko to były owoce znane z krain Południa. Ze słonecznej Italii, z pięknej Grecji i z... Ziemi Świętej.

— Jak nazywało się twoje miasto? Jaki król nim rządził? Do jakiego boga się modliłaś?

Zadałem zbyt wiele pytań naraz i dostrzegłem, że się zaniepokoiła. Wciągnęła głęboko powietrze w nozdrza, jakby chciała poczuć zapach zwierzyny i znaleźć pretekst, by zniknąć w lesie.

— Przepraszam. — Ująłem jej dłoń. — Za dużo pytań, prawda?

Głaskałem ją, pod wpływem tego dotyku wyraźnie się uspokajała.

— Miasto. Dużo ludzi, domy, rozmowy, tłok. Pamiętasz?

— Śmierdziało. — Skrzywiła nos. — Tam, między domami.

Pytanie o imię króla było idiotyczne, więc postanowiłem go nie powtarzać. Natomiast powinna przecież pamiętać boga, do którego się modliła. W momencie kiedy stała się wampirem, musiała mieć co najmniej siedemnaście lat, a w tym wieku ludzie umieją już opowiedzieć o swej religii i przeżywają związane z wiarą misteria.

— Jakiego boga chwaliłaś? Ty i twoi bliscy?

— Adonai — odparła, a na jej twarzy odmalował się zachwyt. — Och, Adonai!

Adonai był imieniem, którym pobożni Żydzi zastępowali imię Jahwe, czytając nauki Pisma. Gdyż słowa „Jahwe” nie wolno było wypowiadać nikomu prócz kapłanów jerozolimskiej świątyni, a nawet wtedy starano się, by zagłuszała je modlitwa wiernych. A więc była Żydówką!

— Widziałaś Go? — zdecydowałem się zaryzykować. — Widziałaś, kiedy wspinał się pod górę z krzyżem na ramionach?

Przymknęła oczy.

— Miał na głowie koronę z cierni, jego plecy spływały krwią. Powiedz, widziałaś Go?

— Tak — wyszeptała, cały czas z zamkniętymi oczami. — Biegłam tuż przy nim. — Umilkła na dłuższą chwilę, lecz ja spokojnie czekałem na dalsze słowa. Przewrócił się. Dałam mu się napić wody i otarłam mu twarz chustą. Spojrzał na mnie. — Zadrżała i nagle rozpłakała się.

Przytuliłem ją, szlochała wprost w moje ramię.

— Był taki smutny i tak go wszystko bolało. Tak bardzo było mi go żal!

Jeśli mówiła prawdę, oznaczało to, że była dobrą dziewczyną, a jej smutek mógł podobać się Panu. Dlaczego więc miała zostać ukarana? A może nie była to kara, lecz jedynie dar, którego nie potrafiła we właściwy sposób wykorzystać? Chlipała jeszcze przez jakiś czas.

— Poszłaś z Nim do samego końca? Na sam szczyt wzgórza? Widziałaś, jak cierpi na krzyżu? Chciała pokiwać głową, ale tylko dźgnęła mnie końcem nosa w szyję.

— To my, utkani ze światła. Obiecał nam! — zawołała z rozpaczą.

Czułem, jak wbija paznokcie w moje ramiona. Kiedy zerknąłem, zobaczyłem, że rozcięła mi koszulę i ciało jej palce zabarwiły się czerwienią.

— Przestań! — Z trudem oderwałem ją od siebie i odepchnąłem.

Spojrzała wzrokiem przerażonego zwierzątka, któremu ktoś, komu bezgranicznie ufało, wyrządził niezasłużoną krzywdę. Ale nagle jej wzrok padł na moje poharatane ręce, potem przeniosła spojrzenie na swoje zakrwawione dłonie.

— Nie chciałam! Mordimer! Nie chciałam! — krzyknęła, w jej głosie słyszałem zarówno strach, jak i rozpacz. — Nie zrobiłam ci krzywdy? Prawda? Mordimer? Nie zrobiłam?

Wyciągnąłem ramiona i znowu ją przytuliłem. Miałem nadzieję, że zapach krwi sączącej się ze skaleczeń nie wywoła u niej nagłego przypływu apetytu, przy którym pękną wszelkie tamy i ustąpią wszelkie bariery. Nie wątpiłem, że szczerze ubolewałaby nad moją śmiercią, jednak wiedziałem też, iż potrafi ją zadać szybciej, niż pomyśleć. A marny to byłby koniec dla inkwizytora, zginąć z rąk stworzenia, w którego istnienie jeszcze do niedawna nie wierzył.

— Utkani ze światła? Nie rozumiem. Co to znaczy? — Głaskałem ją po plecach, żeby się uspokoiła.

— To my, utkani ze światła — zaszeptała. — Wybrani...

— Wybrani do czego?

Długo milczała, lecz nie dlatego, że nie chciała powiedzieć, najwyraźniej szukała właściwych myśli oraz odpowiednich słów.

— By nieść Jego słowo — odpowiedziała niepewnie i jakby na pół pytająco. Ale tak mocno akcentując słowo „Jego”, iż nie miałem wątpliwości, o kogo chodzi.

A więc według mojej towarzyszki ludzie przemienieni w wampiry mieli zostać kimś w rodzaju apostołów Jezusa, obdarzonych nadzwyczajną mocą! Dlaczego jednak stracili pamięć o swym powołaniu? Dlaczego obciążono ich łaknieniem ludzkiej krwi? Dlaczego Chrystus po zejściu z krzyża swej męki nie skorzystał z ich pomocy w czasie marszu armii na Rzym? Dlaczego o nich zapomniał lub uznał za bezużyteczne narzędzia i pozostawił samym sobie?

— Opowiedz, co się stało — zaproponowałem łagodnie. — Postaraj się, moja droga. Przypomnij sobie. Co robiłaś, kiedy przybijali Go do krzyża?

— Stałam. Patrzyłam. Tak mi było smutno — mówiła głuchym głosem, jakby czerpała ze wspomnień, które dawno temu utonęły w mroku zapomnienia i do których sięgała ze zdumieniem oraz obawą.

— Spojrzał na mnie i uśmiechnął się — dodała. — Wybrał mnie. Wiedziałam. Nie tylko mnie...

— Skąd wiesz?

Na to pytanie nie potrafiła już odpowiedzieć. Poczułem tylko, że wzrusza ramionami.

— Co stało się potem?

— Umarł — westchnęła.

— Kto umarł? — nie zrozumiałem.

— On — odparła.

No cóż, wiemy dobrze, że Jezus Chrystus nie umarł na krzyżu. Owszem, poznałem niegdyś herezję, której wyznawcy właśnie tak twierdzili, lecz nie przypuszczałem by wampirzyca kiedykolwiek miała styczność z przeklętymi bluźniercami. Najwidoczniej chwilowe omdlenie wzięła za śmierć, gdyż powszechnie było wiadomo, że nasz Pan wisiał na krzyżu przez wiele godzin, zanim zdecydował się zejść w chwale i ukarać prześladowców.

— Wtedy upadłam... — Znowu umilkła na dłuższy czas.

— Co było dalej?

— Otoczyło mnie światło. Słyszałam piękny głos. Strumień... — urwała nagle i dyszała mi ciężko w szyję.

— Strumień? — poddałem.

— Płynął do mnie jasny strumień... Wąż i gołębica! A potem — zadrżała na całym ciele — mrok i krew!

Aż się wzdrygnąłem, taka siła była w jej krzyku. Oderwała się ode mnie i zobaczyłem, że ma twarz wykrzywioną grymasem bólu oraz przerażenia.

— Wszędzie krew! Ciemność! Nie ma już światła! Nie ma! Ciemno, ciemno, strasznie! A przecież utkani ze światła! Obiecał! Po Jego śmierci to my...

— Ciiiii... — Zdecydowałem się, by znowu ją przytulić. Trzęsła się, jakby wystawiono ją na podmuchy lodowatego wichru.

— Ssssspojrzał na mnie — wysyczała ze złością.

— Przecież mówiłaś, że umarł — powiedziałem spokojnie.

— On umarł, ten nowy spojrzał! Ten drugi! Upadłam! Zemdlałam!

Czyżby chodziło jej o jednego z łotrów, których ukrzyżowano wraz z naszym Panem? Ale, na gwoździe i ciernie, co tu do rzeczy mieli łotrzy!? Zęby wampirzycy zaczęły tak szczękać, jakby ktoś z niezwykłą szybkością walił kością o kość. Objęła mnie ramionami a nogi zarzuciła wokół moich bioder. Ścisnęła mnie tak mocno, że poczułem, jak trzeszczą mi żebra. Straciła dech. Nie mogłem ruszyć rękoma, nie mogłem nawet krzyknąć i zaczęło ogarniać mnie przerażenie. Odepchnąłem się z całej siły stopami od pnia i przewróciliśmy się. Wylądowałem na dziewczynie, która nagle rozluźniła uścisk i zwiotczała. Wyplątałem się z jej ramion i odszedłem na bok. Długą chwilę łapałem dech w płuca, potem pomacałem żebra. Bolały, ale na szczęście nie zdążyła mi ich połamać. Spojrzałem, jak leży na trawie, i nie mogłem pojąć, skąd w tym przeraźliwie chudym ciele bierze się tak niezwykła siła. Zbliżyłem się i ukucnąłem przy niej. Była nieprzytomna, spazmatycznie, chrapliwie oddychała. Miała blade usta i zamknięte oczy. Przysiągłem sobie, że na drugi raz będę bardziej ostrożny, gdyż obawiałem się, że kolejnego podobnego ataku mogę już nie przeżyć. Najgorsze, iż wiedziałem, że dziewczyna nie panuje nad sobą, nad swoimi odruchami i nad swoją siłą.

Co z tego, o czym mówiła, było prawdziwym wspomnieniem, a co majaczeniem lub fantazją chorego umysłu? Czy naprawdę była na Golgocie w czasie, kiedy krzyżowano naszego Pana? Tak, w to wierzyłem, pomimo że rozum wzdragał się przed tą wiarą. Ludzie bowiem nie żyją tysiąc pięćset lat! Może więc ona i Haustoffer byli po prostu demonami nieznanego rodzaju? A może złe moce obiecały im kąpiel w strumieniach światła, by potem złośliwie obdarzyć krwawą klątwą? Cóż, zapewne na zamku barona Haustoffera łatwiej mi będzie znaleźć odpowiedzi na te pytania. Być może szlachcic przypomni sobie coś z tego strasznego i pięknego dnia, chociaż twierdził przecież, że upił się, zasnął i przeoczył Zstąpienie naszego Pana.

Wziąłem dziewczynę na ręce i ułożyłem na kocu. Przypatrywałem się jej twarzy i zastanawiałem, czy skryte pod zamkniętymi powiekami oczy naprawdę widziały Jezusa Chrystusa, Triumfatora i Oswobodziciela? Miałem coraz większe wątpliwości, czy powinienem ją wieźć do zamku Haustoffera. Może najlepszym dla niej miejscem byłby klasztor Amszilas? Złapałem się jednak na myśli, że nie chciałbym, by ją skrzywdzono, a w klasztorze Amszilas wiedzę ceniono bardziej niż czyjekolwiek życie. Tymczasem towarzysząca mi dziewczyna była zaledwie przerażonym zwierzątkiem, które mi zaufało. A przecież nie porzucasz szczeniaka, którego wcześniej nakarmiłeś i wziąłeś pod opiekę. Kiedyś ktoś zamęczył zwierzę, którym się zajmowałem, pomyślałem i musiałem objąć lewy nadgarstek palcami prawej dłoni, by powstrzymać drżenie ręki. Nie pozwolę, by wydarzyło się to po raz drugi...

###### \* \* \*

— Jak tu pięknie — powiedziała z czystym zachwytem w głosie.

Spojrzałem w stronę, w którą patrzyła. Wartki strumień spływał po kilku skalnych progach, tworząc na dole niewielkie jezioro. Woda się pieniła, krople rozbijały się w białą mgiełkę. Nad wodospadem i jeziorem Pochylały się krzewy o soczyście zielonych liściach. Potem strumień rozlewał się w szeroką strugę, znad której powierzchni wystawały wygładzone przez nurt grzbiety szarych głazów.

— Pięknie — zgodziłem się, patrząc na kolorowe ważki muskające taflę wody.

— Zostańmy tu. Tak, Mordimer? Zostaniemy?

— Wąż i gołębica — przypomniałem jej.

— Aha — odparła smutno. — Muszę wiedzieć, prawda?

Nie musiała. To ja musiałem wiedzieć. Ona teraz zapewne pogodziłaby się już z tym, kim lub czym jest. Ja jednak chciałem drążyć sprawę do skutku, nie zważając na cenę, jaką trzeba będzie zapłacić za ciekawość.

— Właśnie tak — rzekłem. — Musisz wiedzieć.

— Będziesz ze mną? Potem? Tak, Mordimer? Zawsze? — Patrzyła na mnie rozczulającym, pokornym, psim wzrokiem.

— Oczywiście, moja droga — odparłem. — Przecież nie zostawię cię wbrew twej woli.

Miałem nadzieję, że Haustoffer zechce się nią zaopiekować, bo nie wyobrażałem sobie, jak ja mógłbym to zrobić. A należeli wszak do jednego gatunku i wiedziałem, że musi się w nich odezwać poczucie wspólnoty. Nazwijmy to po imieniu: zew krwi. Oboje byli wyjątkowymi istotami i miałem nadzieję, że dziewczyna będzie o wiele szczęśliwsza na zamku barona niż ze mną.

###### \* \* \*

Historia lubi się powtarzać. Zatrzymaliśmy się w tej samej gospodzie co poprzednio. Jej wnętrze wyglądało jeszcze gorzej, niż zapamiętałem, a ludzie śmierdzieli, jakby polano ich gnojówką. Świece kopciły niemiłosiernie spowijając wszystko gryzącym w oczy dymem. Kiedy zaprowadziłem wampirzycę do izby i zszedłem a zatłoczonej sali, spostrzegłem Joachima Knottego — dowódcę straży pana barona. Poznałem go na pierwszy rzut oka, bo też niewiele się zmienił od naszego ostatniego spotkania. Dorobił się tylko większej liczby siwych włosów, nieco wydatniejszego brzucha oraz zdobnego, szerokiego pasa.

— Inkwizytor! — wykrzyknął. — Kogo moje oczy widzą?

Podałem mu rękę, a on potrząsnął nią z taką siłą, jakby chciał wyrwać z ramienia.

— Postarzeliście się, inkwizytorze. Więcej zmarszczek, więcej srebra we włosach...

— Och, to tylko światło tak się układa — odparłem.

— Tym razem przyjechaliście bez pięknisia? — zagadnął, a ja domyśliłem się, że to Kostuch wywarł na nim tak niezapomniane wrażenie.

— W zamian za to mam towarzyszkę podróży — rzekłem. Kiedy zaczął się rozglądać, dodałem: — Śpi już w izbie.

— Młoda? Gładka?

— Jakże się miewa pan baron? — zignorowałem jego pytanie.

— Tak szczerze i między nami?

— Jak pomiędzy przyjaciółmi — odrzekłem i obaj się uśmiechnęliśmy.

Niecierpliwym gestem zgonił ludzi siedzących w kącie karczmy, zajęliśmy ich miejsca.

— Przyjdzie czas odejść ze służby, inkwizytorze — westchnął. — A tak jak i ja myśli większość moich ludzi.

— Czemuż to?

— Bo nie lubię, gdy zbyt często zabija się w mojej obecności bez istotnego powodu.

Uniosłem brwi.

— Nie zrozumcie źle moich słów, panie Madderdin — kontynuował. — Nie żywię specjalnej estymy dla ludzkiego życia i nie raz, i nie dwa, Boże mnie wspomagaj, je odbierałem. Ale nigdy nie zabijałem za to, że ktoś się jąkał w mojej obecności, albo że zeskakując z siodła wpadłem butem w krowie gówno, albo że stóg siana był nierówno ułożony, albo że woda ze studni miała zbyt żelazisty posmak...

— Jest aż tak niedobrze?

— Niedobrze? — prychnął szyderczo. — Niedobrze jest wtedy, jak was buty cisną. Tu się szykuje rebelia. Tydzień, dwa, a chłopi się zbuntują. Szukają tylko kogoś, kto ich poprowadzi. Kogoś, kto im pokaże, ilu ich jest A wtedy biada nam wszystkim...

Uzmysłowiłem sobie w tym momencie, że to mogę być właśnie ja. Czyż nie lepiej będzie mi się gadało z baronem, kiedy za plecami będę miał sto siekier i wideł? Skaptowanie niezadowolonych chłopów przyszłoby mi łatwiej niż wyciągniecie noża z pochwy. Jednak to byłoby postępowanie niezgodne z prawem. Haustoffer był włodarzem tych ziem, a bunt przeciw niemu oznaczał bunt przeciw ustalonemu porządkowi. Zastanawiałem się, czy Knotte nie liczył właśnie na to, iż poprowadzę ludzi na zamek barona. Oczywiście, nie zamierzałem tego uczynić.

— Twój pan zlecił mi pewną misję i śmiem twierdzić, że choć w części ją wykonałem — rzekłem.

Spojrzał na mnie ponurym, uważnym wzrokiem.

— Wracajcie — poradził. — Nic tu po was.

— Nie mogę — powiedziałem z prawdziwym żalem. — Wierzcie mi, że nie mogę.

— W takim razie uważajcie — nachylił się nad stołem — bo na tym zamku nie pomogą wam ani czarny płaszcz, ani srebrny krzyż.

— Sądzicie, że oszalał?

— Zastanawiam się, czy kiedykolwiek był normalny. — Knotte się skrzywił. — Nas zostawia w spokoju, bo wie, że nie pozwolę mu tknąć żadnego z moich ludzi, a jeśli zabije mnie, oni również odejdą. — Zobaczył chyba mój kpiący wzrok, gdyż natychmiast dodał: — Odejdą bynajmniej nie z poczucia lojalności, lecz ze strachu, że będą następni w kolejce.

— Czemuż go więc po prostu nie zarżniecie?

Twarz ściągnęła mu się gniewem.

— Jestem najemnikiem, panie Madderdin, ale nie zabijam ludzi, którzy mnie wynajmują. To kwestia zawodowego honoru, lecz nie wiem, czy jesteście w stanie to pojąć.

— Honor — powtórzyłem za nim. — W tym wypadku to zaledwie puste słowo, panie Knotte, którym osłaniacie własną bojaźń.

Sądziłem, że się wścieknie, a pochylił tylko głowę.

— Może i tak, może i tak — przyznał cicho.

To zaniepokoiło mnie dużo bardziej od wszystkich wcześniej wypowiedzianych słów.

— Poddałbym się, gdyby ruszył bunt — powiedział, co tylko potwierdziło moje wcześniejsze przypuszczenia.

Władze pochwaliłyby takie rozwiązanie sprawy, zamiast spalonego zamku, spustoszonych wsi, opuszczonych domostw cesarz wolałby głowę złego barona. Chociażby z tego powodu, iż nie zahamowałoby to dopływu podatków, a bunt zdławiłby przecież szlachcic, taki jak Knotte, który zresztą natychmiast oddałby się do dyspozycji Najjaśniejszego Pana.

Joachim sprawiał wrażenie uczciwego człowieka więc postanowiłem mu zaufać.

— Jeśli nie wrócę, zawiadomcie Inkwizytorium — poprosiłem. — Zrobicie to?

Wpatrywał się we mnie wzrokiem bez wyrazu. Nie mogłem niczego wyczytać z jego spojrzenia.

— Delator otrzymuje część majątku skazanego — wyjaśniłem. — A za zabójstwo inkwizytora nie przewidziano innej kary niż śmierć poprzedzona torturami. Zarobicie dużo pieniędzy.

Pokiwał głową.

— Jeśli nie wrócicie, doniosę. Nie dla majątku, wierzcie mi.

Wierzyłem.

— Strzeżcie się — ostrzegł. — On jest zły. Naprawdę zły.

— Zły to ja jestem, panie Knotte — powiedziałem pobłażliwym tonem. — Haustoffer jest jedynie podły. I nie przychodzę, by go karać za kryminalne występki. Cóż mnie może obchodzić, że zabija wieśniaków? Niech zapłaci główszczyznę, a jeśli to wolni ludzie, niech odpowiada przed sądem. Mnie nic do tego.

— A mówicie o sobie, że niesiecie prawo i sprawiedliwość — prychnął.

— Czego wy ode mnie chcecie, panie Knotte? — spytałem zmęczonym głosem. — Nie jestem paladynem na białym rumaku i nie przybyłem, by zaprowadzić ład i porządek. Nie zamierzam wynagradzać zacnych żołdaków czy karać złych bogaczy. Jestem tylko inkwizytorem, zajmują mnie jedynie kwestie wiary. Jeśli baron byłby heretykiem, sam zaprowadziłbym go na stos. Jednak, jeśli jest prawowiernym chrześcijaninem, to moja rola w tym momencie się kończy. Ja nie naprawiam świata, panie Knotte, gdyż Bóg obdarzył mnie na tyle wielką pokorą, bym wiedział, że to niemożliwe zadanie.

Milczeliśmy przez długą chwilę.

— Gdybym miał tyle wątpliwości co wy, dawno odszedłbym ze służby — powiedziałem w końcu.

— Przyjadę po was rano — rzekł po chwili. — Bądźcie gotowi.

Nie wiem czemu, ale dwa ostatnie słowa zabrzmiały jakoś dwuznacznie... Tak czy inaczej, zamierzałem się odpowiednio przygotować do wizyty.

###### \* \* \*

Baron Haustoffer wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Tylko kiedy spojrzałem w jego oczy, wydały mi się zmącone szaleństwem. Ale może dałem się zbytnio ponieść wyobraźni i nazbyt ufałem słowom Knottego?

— Mistrz Madderdin — rzekł. — Nie sądziłem, iż kiedykolwiek zechcecie jeszcze skorzystać z mojej gościny.

Miał dziwny głos. Tak jakby starał się mówić wyraźnie i powoli, obawiając się, że gdy pozwoli rozpędzić słowom, to popłyną wbrew jego woli i już nie będzie w stanie ich kontrolować.

— Obiecałem, że kiedy tylko czegoś się dowiem nie omieszkam zdać stosownej relacji panu baronowi.

— A czegóż to się dowiedzieliście?

Nagle wampirzyca postąpiła krok naprzód.

— Znam cię — wyszeptała. Haustoffer przyglądał jej się uważnie. — Byłeś tam. Spałeś.

— O czym ona mówi? — zapytał ostro.

Bez słowa podwinąłem rękaw jej koszuli i pokazałem baronowi znak węża i gołębicy wytatuowany na ramieniu. Jaśniał pełnym blaskiem, a rysunek zdawał się żyć własnym życiem. Baron sięgnął po nóż i rozciął rękaw swojego kaftana. Wąż i gołębica na jego ramieniu również błyszczały, a ja wręcz poczułem niewidzialną więź łączącą je z tatuażem dziewczyny. W tej chwili nie można było mieć wątpliwości, iż oboje są istotami naznaczonymi tym samym piętnem, przez tę samą siłę.

— Widziała wszystko, co zdarzyło się na szczycie Golgoty — wyjaśniłem. — Przyglądała się kaźni naszego Pana, a potem omdlała. Nie mam wątpliwości, że jest w wielu aspektach podobna do pana barona. Niezwykle silna i szybka, ma w sobie głód krwi...

— Przecież to wieśniaczka — skrzywił się.

— A pan baron był w Palestynie kim, jeśli wolno przypomnieć? Księciem? Uczonym w piśmie faryzeuszem?

— Za dużo sobie pozwalasz, Madderdin. — Jego twarz ściągnęła się gniewem.

— Poza tym nie była wieśniaczką, panie baronie. — zdecydowałem się zignorować słowa gospodarza. — Mieszkała w dużym domu w Jerozolimie. To później jej życie potoczyło się tak, jak się potoczyło.

— Potrafi wyjaśnić naszą tajemnicę?

Opowiedziałem mu o rozmowie, którą z nią przeprowadziłem. Wampirzyca wydawała się nas nie słuchać. Z wyraźnym zainteresowaniem przeglądała się wielkim kryształowym lustrze i ostrożnie dotykała palcami jego powierzchni. Haustoffer usiadł w fotelu (mnie nie raczył zaprosić, bym się rozgościł, więc pokornie stałem) i długi czas się nie odzywał. Przymknął oczy i nawet w pewnym momencie zastanawiałem się, czy aby nie zasnął. W końcu jednak uchylił powieki.

— Nie pamiętam ani głosu, ani strumienia światła — rzekł. — Lecz pamiętam lawinę krwi i mroku, która zalała mój umysł, kiedy spałem. Tak, teraz świetnie to pamiętam.

Oczywiście mógł to sobie faktycznie przypomnieć, ale mogło też mu się wydawać, że sobie przypomina. Ludzki umysł potrafi płatać nie takie figle, a któżby lepiej o tym wiedział, jak nie inkwizytorzy?

— Utkani ze światła — powtórzył słowa dziewczyny. — Taaak... Mieliśmy więc do odegrania ważną rolę. Mieliśmy być rycerzami Chrystusa, Jego wybrańcami. — Spojrzał w stronę dziewczyny z wyraźną niechęcią we wzroku. — A ona zamieniła się w taką... — przez chwilę szukał słowa — bezrozumną bestię...

Ośmielałem się sądzić, że to bardziej jemu należy się miano bezrozumnej bestii. Jemu, który mordował dla zabawy, niż jej, która wystrzegała się przed krzywdzeniem ludzkich istot. Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tych wypowiadanych w tak żałosny sposób słów: „Nie wolno zabijać, nie wolno zabijać”. Pomimo całego nieszczęścia, które spotkało ją w życiu, zachowała więcej współczucia dla rozumnych stworzeń niż baron Haustoffer. Gospodarz tymczasem wstał.

— Zdecydowałem, że to wszystko mnie już nie interesuje, Madderdin — obwieścił. — Ale dobrze, że przyprowadziłeś dziewczynę.

Skoczył w jej stronę i skręcił jej kark, zanim zdołałem choć mrugnąć. Martwe ciało upadło na ziemię W kryształowym lustrze widziałem twarz, na której nie zdołały zagościć jeszcze ani strach, ani ból.

— Postanowiłem, że pragnę pozostać jedynym z tego rodzaju. — Obnażył w uśmiechu długie kły. — A poza tym biada nędznym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy — dodał.

Patrzyłem na zwłoki mej towarzyszki. Bóg łaskaw, że nie tylko nie cierpiała, lecz zapewne nawet nie wiedziała, kiedy nadeszła chwila zgonu. Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw. Nie sądziłem, że Haustoffer przebywa już tak głęboko we własnym świecie, że świat położony poza jego oszalałym umysłem wydaje mu się tak bardzo nieinteresujący.

— Znajdź innych, Madderdin, i przyprowadź ich do mnie. Dzisiaj dostaniesz tysiąc koron i za każdego takiego jak ona dostaniesz następny tysiąc — rozkazał.

Obróciłem spojrzenie w jego stronę.

— To ty jesteś nędzną istotą — powiedziałem. — Świat nic nie straci na twej śmierci.

— Chcesz mnie zabić? — roześmiał się, nawet nie rozeźlony, lecz zdziwiony i szczerze rozbawiony. — Mnie, który żyję od półtora tysiąca lat? Mnie, który potrafi zgnieść ludzki umysł niczym jajko?

— Mojego umysłu nie zgnieciesz. Jesteś zaledwie nędznym krwiopijcą. Niewiele lepszym od dokuczliwego komara.

To go rozgniewało. Wiedziałem, że tak właśnie się stanie. Skoczył w moją stronę i chwycił mnie za gardło. Tyle, że nie na darmo znajomek Kozojeba biedził się nad pracą dla mnie. Na szyi, ukrytą pod wysokim kołnierzem, nosiłem szeroką obrożę nabitą zaostrzonymi srebrnymi guzami. Pobłogosławioną przez słynącego ze świętości eremitę, którego odwiedziliśmy przed wizytą na zamku. Wiedziałem, że to nie zabije wampira, nawet go nie zrani. Lecz przecież nie o to chodziło. Chodziło tylko o moment zaskoczenia, o króciutką chwilę, kiedy będzie zdumiony i obolały. Chodziło o czas potrzebny, bym wbił w jego ciało dwa srebrne ostrza, które miałem wszyte w rękawy kaftana. Wrzasnął i zwolnił uścisk, a ja odskoczyłem. Na jego twarzy malowały się oszołomienie, złość i ból, ale oczywiście nadal żył i sądziłem, że niewiele potrzebowałby czasu na odzyskanie pełni sił. A wtedy zapewne losu Mordimera Madderdina nie można byłoby nazwać szczególnie radosnym. Wyciągnąłem z pochwy szablę i ciąłem. Precyzyjnym, szybkim, oszczędnym ruchem. Ostrze przecięło skórę, mięśnie, tętnice i ścięta głowa Haustoffera zleciała z buchającego krwią kadłuba. Na wszelki wypadek chwyciłem ją za włosy i wrzuciłem w polana płonące na kominku, takim ruch jakbym grał w kręgle i bił właśnie decydującą kulę. Zasyczało, kiedy krew rozprysła się na rozpalonych belkach. Włosy zapłonęły i sypnęły iskrami, a wokół rozszedł się swąd palonego mięsa. Odetchnąłem z ulgą.

— Biada nędznym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy — powtórzyłem słowa Haustoffera, przyglądając się głowie zżeranej przez płomienie.

Potem wziąłem na ręce ciało dziewczyny i wyszedłem z komnaty. Kiedy zamykałem za sobą drzwi, ujrzałem jeszcze, jak gotujące się oczy Haustoffera wypływają z oczodołów. Skierowałem się na dziedziniec, z którego dobiegały mnie głosy żołnierzy. Wiedziałem, iż nikt nie będzie chciał mnie nawet zatrzymać.

## Epilog

Pochowałem ją u stóp wodospadu, który tak bardzo jej się podobał. Wykopałem dół w wilgotnej ziemi, ułożyłem ciało, później spędziłem popołudnie na znoszeniu kamieni, gdyż nie chciałem, by spokój jej ostatniego spoczynku został zakłócony przez dzikie zwierzęta. Oczywiście wiedziałem, że grzebię jedynie zwłoki, którym wszystko jedno, czy zawinięte w aksamity leżą w złotej trumnie, czy też utopiono je w gnojówce.

Jednak chciałem sobie wyobrażać, że być może kiedyś moja towarzyszka zechce spojrzeć w miejsce swego wiecznego odpoczynku, a wtedy ujrzy widok, który tak ją zachwycił. Z brzozowych gałęzi i łyka udało mi się utworzyć krzyż i mocno osadziłem go pomiędzy kamieniami. A potem, sam nie widząc, w jakim celu to robię, rozciąłem dłoń i trzymałem ją tak długo nad jej grobem aż kamienie pokryły się plamami czerwieni. Cóż skoro istnieje zwyczaj, by nad miejscem pochówku przyjaciela lać gorzałkę lub wino, to czemu nie miałem pozostawić wampirzycy daru ze swojej krwi? W końcu zginęła tylko i wyłącznie dlatego, że Mordimer Madderdin pragnął zaspokoić nurtującą go ciekawość.

Potem zmówiłem krótką modlitwę, zabandażowałem rękę i ruszyłem w stronę niknącego na horyzoncie słońca, które po całym niebie rozlewało smugi płonącej purpury.

*Ile razy mam cię zaklinać, żebyś mi mówił tylko prawdę w imieniu Pana?*

Pierwsza Księga Królewska

## Piękna jest tylko prawda

Ten mężczyzna wyskoczył zza drzwi tak szybko, że nie zdążyłem się uchylić i wpadł prosto na mnie. Ponieważ jestem pokornym człowiekiem o łagodnym sercu, zatem go nie obrugałem, wspaniałomyślnie dochodząc do wniosku, że wypadek nie był zamierzony. Poza tym znajdowaliśmy się w pałacowej kancelarii Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, gdzie wyłączność na używanie słów powszechnie uważanych za obelżywe miał w zasadzie jedynie sam biskup Gersard. I z wyłączności tej korzystał w sposób, który czasami nawet waszemu uniżonemu słudze zdawał się nieumiarkowany. No ale kimże ja byłem, by osądzać biskupa? Co najwyżej mogłem sobie pozrzędzić w myślach.

— Raczcie wybaczyć, panie, raczcie wybaczyć — wyjąkał nieuważny człowiek i jego wzrok zatrzymał się na wyhaftowanym na moim kaftanie srebrnym, połamanym krzyżu. — Naprawdę uniżenie upraszam o wybaczenie — dodał, cofając się o krok.

W jego głosie wyczułem już nie tylko zakłopotanie, lecz również obawę. Tak jakbyśmy my, inkwizytorzy mieli obrażać się o byle głupstwo. Skinąłem uprzejmie głową i przywołałem uśmiech na twarz.

— W kancelarii Jego Ekscelencji wielu ludzi zachowuje się nadzwyczaj nerwowo... — odparłem tonem przyjacielskiej pogawędki. — Nie wy pierwsi, nie wy ostatni, panie.

— Nie dostąpiłem nawet łaski audiencji... — Czyżbym rozpoznał zgryźliwość w jego głosie? Roześmiałem się.

— Jego Ekscelencja tydzień temu wyjechał do wód — powiedziałem. — Nie objaśniono wam?

Zarumienił się, toteż zrozumiałem, że urzędnicy kancelarii podawali sobie go z ręki do ręki i zapewne wydębili od niego co najmniej kilka złotych dukatów. Cóż, było to nagminne postępowanie w biskupim sekretariacie. Nawet sam Gersard nazywał tłumy petentów, pokornie oczekujących na posłuchanie, owieczkami gotowymi do postrzyżyn. I jego urzędnicy strzygli te owieczki niemiłosiernie. Trudno im się dziwić, zważywszy, iż pensji w kancelarii Jego Ekscelencji nie można było nazwać oszałamiającymi. A wierzcie mi, wasz uniżony sługa mógłby na ten temat co nieco powiedzieć. Ku najszczerszemu ubolewaniu. W każdym razie mój nieszczęsny, wystrychnięty na dudka rozmówca rozłożył tylko dłonie, wybałuszył oczy i westchnął ciężko. — No to już sam nie wiem, co robić — sapnął.

Przyjrzałem mu się uważnie. W wyświechtanym kubraku wyglądał na niezbyt bogatego mieszczanina, dostrzegłem jednak przeznaczone do konnej jazdy buty z koźlej skóry, ogorzałą od słońca twarz i dumnie nastroszone wąsiska. Mieszczanin ani tak by się nie ubrał, ani nie pozwolił twarzy zbrązowieć w słońcu, bowiem ostatnio w Hezie panowała moda na blade oblicza, a opaleniznę uważano za dowód prostackiego nieokrzesania. Jak nic miałem przed sobą szlachetkę z prowincji, którego do Hezu przygnało jedynie jemu wiadome nieszczęście i który pragnął wyżalić się przed obliczem biskupa. Tak jakby Jego Ekscelencja nie miał nic innego do roboty prócz słuchania biadoleń poddanych. Życia by mu na to nie wystarczyło! Dostrzegłem, że szlachcic nie nosił pierścieni, za to na jego palcach wyraźnie odznaczały się blade paski skóry. Natomiast na kubraku zauważyłem wytarty ślad, prawdopodobnie po łańcuchu, który kiedyś musiał się pysznić na jego piersi. Cóż, widać przyszły złe czasy i pierścienie oraz łańcuch pokutowały w którymś z heskich lombardów. Znajomość z tym człowiekiem nie zapowiadała się więc na owocną. W innym razie być może wypytałbym go o sedno sprawy, a tak tylko pokiwałem współczująco głową.

— Trudno mi coś doradzić. Musicie cierpliwie czekać... — rzekłem, odwróciwszy się na pięcie.

— Jeśli łaska, mistrzu — usłyszałem za plecami. — Czy wyświadczycie mi ten zaszczyt i wypijecie ze mną szklaneczkę wina?

— Cóż... — Wstrzymałem krok i znów obróciłem się w jego stronę.

Zastanawiałem się przez moment. Nie miałem nic interesującego do roboty a w kwaterze „Pod Bykiem i Ogierem” czekały na mnie tylko stęsknione pluskwy, toteż uznałem, że towarzystwo szlachcica nie może być gorsze. Chociaż musiał być istotnie zdesperowany, skoro szukał pomocy u inkwizytora, gdyż nasza profesja ku mojemu ubolewaniu wzbudzała najczęściej trwogę oraz niechęć, nie pragnienie szukania pomocy. Zresztą, co mogliśmy poradzić na doczesne strapienia ludzi my, którzy żyliśmy w pełnej umartwień pokorze, wzdragając się przed uczestnictwem w zawikłanych światowych intrygach?

— Czemu nie? — odparłem.

Wyszliśmy z biskupiego pałacu i poprowadziłem mego towarzysza ku całkiem niezłej oberży, którą właściciel nieco nieprzytomnie nazwał „Kiszka i Flak” a jakiś dowcipniś na szyldzie pod słowem „Kiszka” wydrapał „stolcowa”. Co najwyraźniej świadczyło, że był biegły w anatomii (zapewne wesoły żak z wydziału medycznego naszego słynnego uniwersytetu). Właściciel jednak szyldu nie zmienił, więc jego karczmę nazywano potocznie „kloaką”, choć wbrew nazwie serwowano w niej całkiem znośne jedzenie oraz piwo, które jak na warunki Hez-hezronu nie było nadto chrzczone. Ponadto oberża stała w często odwiedzanym miejscu, tuż przy ulicy prowadzącej do kościoła pod wezwaniem Jezusa Mściciela, w którym to kościele msze święte były ostatnio wielce popularne wśród heskich mieszczan. Mówiło się, że głównie z uwagi na złotoustego kaznodzieję, łączącego dar przekonywania wiernych z młodzieńczą urodą, wywołującą omdlenia u panien, mężatek oraz młodych wdów. Jakiś czas temu Święte Officjum otrzymało rozkaz zapoznania się bliżej z kazaniami kapłana (nie przypuszczacie nawet, jak cienka granica dzieli miłą Bogu religijną zapalczywość od obmierzłej herezji!). W związku z tym wasz uniżony sługa przez dwa tygodnie przysłuchiwał się mszom odprawianym przez młodego księdza, po czym wysmażył raport na tyle zręczny, by można go było czytać zgodnie z intencjami czytającego. Nawiasem mówiąc, i tak sądziłem, że ów raport zaginął gdzieś w przepastnych szafach biskupiej kancelarii i prędzej zeżrą go myszy, niż trafi na biurko Jego Ekscelencji. Zresztą już nie takie mieliśmy czasy, by palić na stosie za żarliwe kazania. Niemniej wiedziałem, że wielu księży doskonale pamięta, iż niedawno inkwizytorium nie było aż tak pobłażliwe, a kary nie kończyły się na publicznej pokucie lub chłoście, lecz pozwalały sycić się tłumowi widokiem skwierczących w płomieniach duszpasterzy. Między innymi z tego powodu kler nie przepadał za inkwizytorami, a my godziliśmy się z tym z właściwą nam pokorą oraz wyrozumiałością.

Minęliśmy wielki marmurowy posąg przedstawiający Jezusa wbijającego sztych w gardło wijącego się u jego stóp rzymskiego legionisty. Zapewne był to Gajusz Kasjusz, ponieważ trzymał jeszcze włócznię w lewej ręce. Tę samą, którą wcześniej chciał wbić w bok naszego Pana i której ostrze zgruchotała mocarna dłoń Chrystusa.

— Co za dzieło! — rzekł z podziwem mój towarzysz.

— Prawda, prawda. — Pokiwałem głową.

Posąg został wyrzeźbiony przez samego mistrza Fokasa, który przybył do Hezu ze słynącego z wybitnych artystów Bizancjum. Coraz częściej odwiedzali oni nasze Cesarstwo, gdyż obecny imperator Bizancjum wolał wydawać pieniądze na najemników, nie na artystów. Jednakże, biorąc pod uwagę sytuację panującą na granicach jego państwa, trudno było się z podobnym postępowaniem nie zgodzić.

Oberżysta dostrzegł mnie już od progu, pospiesznie wyszedł zza kontuaru i niemal podbiegł do nas, oboma rękoma podtrzymując potężne brzuszysko, które wylewało mu się zza przykrótkiego, zatłuszczonego kaftana. — Mistrzu Madderdin, co za zaszczyt widzieć was w moich skromnych progach!

Pucułowate policzki tak mu poczerwieniały z radości, że aż się zastanowiłem, czy nie rozminął się z profesją i nie powinien zostać aktorem. Zresztą każdy karczmarz musiał nim przecież po trosze być, jeśli chciał zaskarbić sobie wdzięczność klientów. Poklepałem go końcami palców po ramieniu, tak by nie ubrudzić sobie dłoni.

— Już prowadzę do alkierza — zawołał. — Garniec piwa i krwawą kiszkę, jak rozumiem... Do tego mam świeżo wypieczony chlebek!

— Niech będzie — odparłem. — Tylko niech nie obsługuje nas ten twój chłopak, co ciągle mu kapie z nosa. Ostatnio nasmarkał mi do kaszy.

— Kazaliście mu ją zjeść, nieprawdaż? — Chciał ująć mnie kordialnie pod ramię, lecz wywinąłem się, gdyż nie przepadam za dotykiem obcych ludzi.

— Co też uczynił z apetytem, mimo że widząc, co robi sam do niej nakichałem — rzekłem, a towarzyszący mi szlachcic parsknął cichym śmieszkiem.

Oberżysta odsłonił kotarę przegradzającą alkierz i odsunął przede mną krzesło. Szlachcic musiał poradzić sobie sam.

— Cicho, spokojnie, dyskretnie, nikt wielmożnym nie będzie przeszkadzał — oznajmił, przykładane dłonie do piersi.

Przesunąłem krzesło w taki sposób, by nie siedzieć tyłem do głównej sali, lecz mieć na oku wypłowiałą, pocerowaną kotarę rozdzielającą nas od reszty karczmy.

— Jeśli będziesz podsłuchiwał, oberżnę ci uszy, tak jak ty obrzynasz monety, którymi wydajesz resztę — obiecałem.

Zaśmiał się, jednak z łatwo wyczuwalnym przymusem.

— Nigdy nawet nie śmiałbym pomyśleć... Mistrzu, jak możecie? — Na jego twarzy odbiło się nieudawane, gorzkie zdumienie. Naprawdę minął się z powołaniem...

Kiedy zostaliśmy sami, obejrzałem dokładnie kubek od środka i wytrzepałem z niego przyklejonego do ścianki zaschniętego karalucha.

— Co was sprowadza do Hezu? — zagadnąłem, podnosząc wzrok na szlachcica, choć miałem nadzieję, iż jest na tyle bystry, by nie pomyśleć, że zwracam się z tym pytaniem do martwego robaka.

— Pozwólcie najpierw, że się przedstawię. Jestem Matthias Hoffentoller, z tychże Hoffentollerów, co pieczętują się Bykiem z Trzema Rogami.

Ani jego nazwisko, ani herb nic mi nie mówiły, więc się nie odezwałem. Niemniej Byk z Trzema Rogami był zastanawiający i postanowiłem zapytać przy nadarzającej się okazji, jaki jest rodowód tego niecodziennego znaku.

— To mój przodek, Maurycy Hoffentoller, towarzyszył Najjaśniejszemu Cesarzowi, pradziadowi miłościwie nam panującego, w czasie ostatniej krucjaty i miała szczęście dotrzeć do Palestyny — dodał znaczącym tonem.

Nadal nic mi to nie mówiło.

— Dajmy pokój szczęśliwej przeszłości — powiedziałem — i zajmijmy się nędzną teraźniejszością. Ja nazywam się Mordimer Madderdin i mam zaszczyt być licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji. Do waszych usług...

— Hem — odchrząknął. — Nie była ta przeszłość za szczęśliwa, gdyż Maurycy Hoffentoller zginął męczeńską śmiercią w pogańskiej niewoli, choć jak mówili jego wykupieni potem towarzysze, nawet najsroższe tortury nie skłoniły go, by wyrzekł się naszego Pana. Taaak... No ale dajmy pokój przeszłości, jak mówicie, dostojny mistrzu. A co do teraźniejszości, macie rację: jest nędzna. I w poszukiwaniu sprawiedliwości oraz z nadzieją na odmianę złego losu przybyłem do Hezu.

— No to żeście sobie wybrali świetne miejsce na poszukiwania — stwierdziłem bez cienia ironii.

— Cóż skoro nie dostąpiłem zaszczytu audiencji. — Westchnął ciężko. — Wiecie, jakie to upokorzenie dla prawego szlachcica błagać o poświęcenie chwili czasu kancelistów czy służebnych? By wyświadczyli mi tę łaskę i wprowadzili do Jego Ekscelencji.

— Na dużo ich nabłagaliście?

— Dużo. — Machnął dłonią. — Musiałem zastawić łańcuch i pierścienie.

— Takie już u nas obyczaje — przyznałem.

Kotara zafurkotała, do alkierza wpadł karczmarz z pomocnicą w rozchełstanej koszuli. Musiała być nowa, nie widziałem jej nigdy przedtem. Stanowiła zapewne przynętę dla klienteli z uwagi na niezwykłą wielkość piersi, które ukazywała wręcz nadto śmiało, nawet jak na heskie zwyczaje. Nie była w moim typie, gdyż z oblicza zanadto przypominała figlarnego prosiaka, niemniej musiałem przyznać, że lepsze to niż posługacz smarkający klientom do kaszy. Oboje zastawili nasz stół dzbanami pieniącego się piwa, kociołkiem z cielęcą polewką, tacami świeżego chleba i ogromnymi porcjami krwawej kiszki, piętrzącymi się w drewnianej misie. Jedzenia było w bród i widziałem, jak szlachcic zaniepokoił się i poruszył ustami. Zapewne w myślach obliczał już wysokość rachunku. Niedobrze, ponieważ lekarze twierdzą, że zdenerwowanie źle wpływa na krążące w naszej krwi fluidy, co może powodować późniejszą niestrawność. Ja jednak nie miałem się czym martwić, jasne przecież było, że uregulowanie płatności łaskawie zostawię memu towarzyszowi. Nałożyłem więc sobie solidną porcję kiszki i powąchałem uważnie, czy aby świeża. Oberżysta przyglądał mi się z niepokojem. Zamrugał małymi oczkami zatopionymi w fałdach tłuszczu.

— Masz szczęcie. — Skinąłem mu głową. — Ponieważ próba otrucia funkcjonariusza Świętego Officjum nie wyszłaby ci na zdrowie... Gdybym stwierdził choć ulotny cień zapachu zepsutego mięsa cóż innego by mi zostało jak zabrać cię na przesłuchanie.

Roześmiał się szczerym, przyjacielskim śmiechem.

— Wołajcie, dostojni panowie, kiedy tylko czegoś wam braknie.

Szlachcic powiódł po stole smętnym wzrokiem i byłem pewien, że wołanie o jakiekolwiek dokładki nawet nie przyjdzie mu do głowy.

— Jeśli zechcielibyście czego innego... — Gospodarz łypnął znacząco w stronę posługaczki. — Dla przyjaciół domu i takie rzeczy da się załatwić...

Pokręciłem tylko głową i dałem znak, że może odejść.

— Chętnie wysłucham waszej historii — powiedziałem, kiedy karczmarz i jego pomocnica opuścili alkierz, Zatopiłem zęby w kiszce, sok spłynął mi na podbródek — Choć nie sądzę, by człowiek o tak nikłej pozycji jak moja mógł w czymś pomóc szlachetnie urodzonemu.

— Szlachetnie urodzony. — Machnął dłonią, na jego twarzy pojawiło się zniechęcenie. — Dobre sobie... Niedługo jedyne, co mi zostanie, to ten herb i umiejętność wyrecytowania listy przodków do dwudziestu trzech pokoleń wstecz, której to sztuki wyuczył mnie mój drogi dziaduńcio za pomocą przekleństw oraz dobrze wyprawionego kańczuga. A jak się domyślacie, trudno z podobnej zdolności wyżyć...

— Jeśli miłościwy cesarz pójdzie na wojnę, nielicho obłowią się ci, co staną na jego wezwanie — zauważyłem. — Palatynat jest bogaty.

— Tylko żeby dobrać się do miodu, trzeba wytruć mieszkańców ula — mruknął.

Nie sądzę, by bartnicy zgodzili się z tą śmiało postawioną, wręcz rewolucyjną tezą dotyczącą hodowli pszczół. Jednak rozumiałem, co mój towarzysz miał na myśli. Palatynat, którego plany podbojów snuł cesarz, był wręcz nieprzyzwoicie bogaty. Tyle że surowy palatyn Duvarre zamienił prowincję w jedną wielką twierdzę. Znakomicie również uzbroił i wyszkolił miejskie milicje, choć szlachta zwykle dufnie twierdziła, że nie ma to jak w pełnym galopie przejechać się po łbach hołoty. Zastanawiałem się jedynie, jak tym razem sprawdzi się stara taktyka naszych feudałów każąca szarżować ciężkozbrojnej konnicy na kilka rzędów pikinierów uzbrojonych w czterometrowej długości piki. I mogłem zastanawiać się nad tym bez nadmiernego zaniepokojenia, gdyż wiedziałem, że nigdy, przenigdy nie będzie mi dane uczestniczyć w podobnym, jakże ambitnym przedsięwzięciu. I tak miałem podły zwyczaj ładowania się w przeróżne kłopoty, ale taki kłopot przerastał już moją wyobraźnię.

— No więc? — zagadnąłem. — Z czym przyjechaliście do Hezu? Zły, bogaty sąsiad?

— Skąd wiecie? — zakrztusił się, potem podniósł na mnie zdumiony wzrok.

Uśmiechnąłem się, bo gdyby Hoffentoller wiedział, ilu ludzi przybywa do Hezu z podobnymi skargami, być może darowałby sobie męczącą oraz kosztową podróż. Jak świat światem źli, bogaci sąsiedzi nękali maluczkich, a ci myśleli, że znajdują zrozumienie oraz opiekę u jeszcze potężniejszych feudałów. Najczęściej znajdowali tylko dodatkowe kłopoty, czasami też tracili resztki fortuny.

— Margrabia Reutenbach... — wyjaśnił po chwili. Słyszeliście może?

Pokręciłem głową przecząco, gdyż margrabiowie, hrabiowie, baronowie oraz książęta mnożyli się w naszym błogosławionym Cesarstwie szybciej od królików.

— Wuj zmarłej niedawno żony margrabiego jest spowinowacony z trzecim synem barona Taubera, który to syn, jak wszyscy wiedzą, jest w rzeczywistości bękartem ojca miłościwego pana, świeć Panie nad jego duszą, czyli przyrodnim bratem łaskawie władającego nam cesarza. Tak więc sami widzicie: wysokie to progi...

O mało nie zgubiłem się w jego wyjaśnieniach, lecz dokładnie powtórzyłem sobie wszystko w myślach. Ach, ta nasza szlachta... Chędożenie własnej żony przez cesarza, zakończone efektem w postaci urodzin bękarta, uważali za Bóg wie jaką chwałę. Cóż, zwykle mężowie cesarskich metres robili zawrotne kariery, choć najczęściej w dużej odległości od dworu, by nie drażnić Najjaśniejszego Pana, który, jak wiadomo, był człowiekiem delikatnym oraz uczuciowym.

— Bogaty? — zagadnąłem.

— Baaa... Mało powiedziane.

— Spróbujcie polewki — zaproponowałem z pełnymi ustami. — Naprawdę dobra.

Zagmerał niemrawo łyżką w misie.

— Porwał mi córkę, przeklętnik — rzekł.

— O! — odparłem, bo rapt karano gardłem oraz pozbawieniem czci, choć zwykle spotykało to jedynie ludzi bez majątku oraz koligacji. — Zawiadomiliście prewota i justycajuszy?

— Jakżeby nie? — Machnął tylko ręką. — Margrabia nawet zaprosił ich do zamku i stwierdzili, że Anna, moja córka znaczy się, jest zadowolona z gościny i pragnie w niej pozostać...

— No to nic nie zdziałacie. — Wzruszyłem ramionami, gdyż takie rzeczy ciągle się zdarzały.

Ładne ubogie szlachcianki często wolały grzać łoże magnata nawet bez księżego błogosławieństwa, zamiast cierpieć niedostatek w ojcowskim majątku. A potem wyjść za mąż za któregoś z równie biednych sąsiadów. Cóż, uroda była dla nich drzwiami do lepszego świata, a jeśli magnat miał choć krzynę przyzwoitości, to kiedy dziewczyna mu się znudziła, obdarzał ją posagiem i wydawał za jednego z dworzan. Banalna historia, jakich wiele.

— Myślę, mistrzu, że jest w tym coś więcej niż tylko żądza. Dlatego udałem się po sprawiedliwość do Jego Ekscelencji...

— Coś więcej? — Nałożyłem sobie następną porcję polewki, bo gęsto pływały w niej kawały mięciutkiej cielęciny, która, jak poznawałem po smaku, zapewne kruszała wcześniej w mocnym winie. — A co takiego?

— Myślę, że — widziałem, iż stara się uważnie dobierać słowa — te wszystkie młode dziewczyny, które zapraszał na zamek... — słowo „zaprosił” wymówił szyderczym tonem — mają posłużyć jakiemuś strasznemu heretyckiemu rytuałowi...

Podniosłem na niego wzrok i westchnąłem. Oto widziałem przed sobą człowieka zdesperowanego i postanowiłem go ostrzec, iż ta desperacja może obrócić się przeciw niemu. Lubiłem go przecież z jasno określonego powodu: miał się stać właścicielem rachunku za obiad.

— Rzucacie ciężkie oskarżenia. — Pokręciłem głową. — Jeśli jesteście pewni, zawiadomcie miejscowy dział Inkwizytorium, a ręczę wam, że rzecz zostanie pieczołowicie sprawdzona. Jednak — stuknąłem łyżką w miskę — strzeżcie się fałszywych zarzutów. Gdyż to może was nie tylko zrujnować, lecz i wpędzić przed sąd inkwizycyjny. Wiemy dobrze, że w czasach błędów oraz wypaczeń Inkwizytorium bardziej dbało o winę niż prawdę. No, ale te czasy mamy już szczęśliwie za sobą i potrafimy się szczerze bić w piersi za grzechy wywołane pochopnością sądów oraz uczynków.

— Czyli nie ma nadziei? — zapytał ponuro po dłuższym czasie.

— Zyskajcie pewność, że margrabia bluźni naszej wierze, wtedy śmiało zawiadomcie Inkwizytorium. Tyle wam mogę doradzić.

— Zyskać pewność? Jak?! — niemal wykrzyknął. — Reutenbach otacza się wiernymi sobie ludźmi, ani pisną, co dzieje się na zamku. Służba tylko powtarza plotki... Kto by dał jej posłuch? Jednak, jeśli ktoś znaczny i o nieposzlakowanej opinii przekonałby się naocznie, co dzieje się na zamku... Oooo, to już inna sprawa. Całkiem inna...

— Chcecie mi zaproponować pracę? — roześmiałem się serdecznie.

— Podjęlibyście się takiego zadania? — obniżył głos i czujnie zerknął w stronę kotary.

— Być może — odparłem po chwili zastanowienia.

— O ja wiem, że mielibyście koszta, no i czas, który zdecydowalibyście się łaskawie poświęcić, musiałby, rzecz jasna, zostać należycie opłacony... — mówił szybko wpatrzony we własną miskę pełną polewki.

— Ile proponujecie? — zdecydowałem się przejść do sedna, bo ostatnio zarobiłem trochę pieniędzy i nie musiałem podejmować się byle jakich zleceń.

— Sto koron — rzekł z namaszczeniem w głosie. — Ale, uwaga, podzielone w taki oto sposób...

Nie chciało mi się nawet słuchać, w jaki sposób zamierza dzielić sto koron, więc machnąłem ręką.

— Nie trudźcie się wyjaśnieniami, bo nie mamy o czym gadać — rzekłem. — Chyba nie jesteście tam, na prowincji, przyzwyczajeni do cen z Hezu.

Zamilkł i znowu westchnął.

— Jestem ubogim człowiekiem — niemal jęknął.

— To się módlcie — zaproponowałem. — W końcu Pismo mówi wyraźnie: Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego. Czyli perspektywy na przyszłość macie lepsze niż Reutenbach.

— Kpicie sobie! — Nastroszył się tak, aż wąsy podskoczyły mu do góry, co dało komiczny efekt, gdyż miał je utaplane w sosie.

— Nigdy bym nie śmiał — odparłem. — Zwłaszcza że szyderstwo i słowa Pisma nie idą w parze.

— Wybaczcie. — Wyraźnie się przestraszył mojego tonu i chyba przypomniał sobie, że rozmawia z inkwizytorem. — Sam już nie wiem, co plotę. Ale zrozumcie moje nieszczęście!

Nieszczęście nie było znowu takie straszne, natomiast szlachcic popełnił jeden błąd, nie próbując wykorzystać uprzywilejowanej pozycji córki na magnackim dworze, by zyskać urząd czy choćby pensję. Zamiast tego usiłował spierać się z możniejszym od siebie feudałem, co źle świadczyło o jego rozsądku i kiepsko rokowało na przyszłość. Beknąłem i otarłem usta chlebem.

— Dziękuję wam za towarzystwo oraz poczęstunek — powiedziałem. — Życzę powodzenia.

— Zaraz, zaraz. — Niemal poderwał się od stołu, lecz po chwili usiadł z powrotem. — Jaka suma mogłaby was skłonić do podróży? — zapytał głosem, który zapewne miał być zdecydowany, ja jednak wyczytałem w nim nutę bezradności.

— Pięćset koron — rzekłem, patrząc wprost na niego. — Oraz zwrot wszystkich kosztów.

Wyraźnie oklapnął.

— Nie mam tyle — westchnął. — Gdybym... gdybym jednak miał — spojrzał na mnie z napięciem — jakie dajecie gwarancje?

— Gwarancje? — zapytałem. — Jeśli rzeczywiście wasz wróg jest heretykiem lub bluźniercą, to użyję autorytetu Świętego Officjum i postawię go przed sądem inkwizycyjnym. Oto jedyna gwarancja. Natomiast, jeśli jest niewinny z punktu widzenia praw Kościoła... — Wzruszyłem ramionami. — Wtedy to już nie moja sprawa.

— Czy... czy... — zająknął się. — Dacie mi trochę czasu na zastanowienie? Nie wiem, jak i kiedy zdołam zgromadzić...

— Macie tyle czasu, ile tylko zechcecie — przerwałem mu, wstając. — Teraz wybaczcie. Obowiązki wzywają.

— Gdzie mam was szukać? — Poderwał się z miejsca przestraszony, że oto oddala się zapewne jedyny człowiek, który zainteresował się jego nudną historią. Mieszkam w karczmie „Pod Bykiem i Ogierem” — odparłem — W razie czego pytajcie właściciela. — Skinąłem mu dłonią na pożegnanie i odsunąłem kotarę alkierza.

Byłem ciekaw, czy szlachcic jest na tyle zdesperowany, by wyłożyć niebagatelną przecież sumę na opłacenie mojego śledztwa. Jeśli się zdecyduje, oznaczać to będzie, że albo jest niepoprawnym pieniaczem, albo też rzeczywiście na dworze Reutenbacha dzieją się dziwne rzeczy. Tyle że nie musiało to mieć nic wspólnego z herezją. Margrabia mógł być człowiekiem surowym, tajemniczym, otaczać się jedynie garstką wybranych ludzi. A kogoś takiego zwykle podejrzewano o skrywanie strasznych tajemnic. Może po prostu nie lubił, kiedy zajmowano się jego prywatnymi sprawami? I kiedy wszyscy interesowali się, którą z młodych szlachcianek właśnie tarmosi w łożnicy? Tak czy inaczej, nie sądziłem, bym miał ujrzeć jeszcze szlachcica o śmiesznych wąsach. Zapewne prędzej czy później pogodzi się ze stratą latorośli i może nawet pójdzie po rozum do głowy, zawierając korzystny układ z margrabią. W końcu dla każdego ojca cnota córki jest tylko towarem na sprzedaż, natomiast Matthias Hoffentoller nieopatrznie towar ten pozwolił sobie ukraść, zamiast wytargować za niego jak najwyższą cenę.

###### \* \* \*

Szczerze mówiąc, zdążyłem już zapomnieć o Matthiasie Hoffentollerze. Po pierwsze, nie przywiązywałem nadmiernej wagi do rozmowy z nim, po drugie, codzienna wytężona praca na rzecz zbawiania ludzkich dusz jest zbyt męcząca, by obarczać pamięć zbędnymi wspomnieniami i zastanawiać się nad mało istotnymi kwestiami. Zresztą człowiek, któremu największą radość przynosi klęczenie przed ołtarzem, ma kłopoty, by zrozumieć proste namiętności targające zwykłymi ludźmi. Dlatego też, kiedy szlachcic wszedł do alkierza, w którym właśnie śniadałem (a raczej usiłowałem cokolwiek przełknąć, z trudem pokonując mdłości wywoływane samym wspomnieniem zeszłej nocy), w pierwszej chwili nawet go nie poznałem. Zwłaszcza, że przystrzygł sterczące wąsy i wyglądał teraz nieco mniej komicznie niż w czasie poprzedniego spotkania.

— Siadajcie, siadajcie. — Zaprosiłem gestem dłoni, gdy przypomniał, z kim mam do czynienia.

Zauważyłem, że na jego pierś powrócił łańcuch, a na palcach miał cztery złote pierścienie z dużymi oczkami szlachetnych kamieni, które zdawały się na mnie figlarnie łypać i mówić: „Możemy być twoje, zacny Mordimerze”. Opuściłem wzrok, gdyż nie chciałem, by pokusa okazała się silniejsza od umiłowania spokoju. A przynajmniej nie tak od razu...

— Karczmarzu, wina! — wykrzyknął Hoffentller i chciał podkręcić prawego wąsa, lecz zawinął tylko palcem wokół szczeciny, która z niego pozostała.

Światło porannego słońca odbiło się w żółtym kamieniu zatopionym w jednym z pierścieni na dłoni szlachcica.

— Ciszej, jeśli łaska — poprosiłem, zastanawiając się, czy wino dobrze mi posłuży.

Cóż, znałem medyków twierdzących, że zacny trunek miesza się z właściwymi organizmowi fluidami, tworząc zbawienny likwor. Jednak wczorajszej nocy ten likwor starał się wybulgotać mi aż za gardło, w związku z tym miałem go już chyba serdecznie dosyć i wcale nie czułem, by chciał mnie zbawiać. Chyba że trunek ten był tak zacny, jak sądziłem... Choć z pokorą muszę wam wyznać, mili moi, że od pewnego momentu nie pamiętałem wszystkich zdarzeń minionej nocy tak dobrze, jak bym sobie życzył je pamiętać. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć słów pewnej nader modnej prowansalskiej piosnki, choć pamiętałem, że niezwykle udanie wyśpiewywał ją jeden z braci inkwizytorów. Stał wtenczas nago na stole, z wepchniętym w tyłek ogonem wędzonego szczupaka, i udawał zalotną syrenkę. Widok ten wydawał mi się znacznie bardziej zabawny wczorajszej nocy niż dzisiejszego ranka. Ale cóż, w końcu, jak kiedyś powiedziałem, inkwizytorzy byli ludźmi ponurymi, ja zaś należałem do najbardziej posępnych spośród nich.

— Jeśli zechcecie udać się w podróż — powiedział prosto z mostu Hoffentoller — jestem przygotowany by opłacić wasze usługi.

— Jeszcze wam się nie znudziło? — mruknąłem. — Ile już minęło czasu? Miesiąc?

— Trzydzieści sześć dni — sprostował, a ja pokiwałem głową, bo jak widać pamięć miał lepszą ode mnie.

— I po co wam to? — westchnąłem. — Nie wiecie, że „zgoda buduje, niezgoda rujnuje”?

— Honor. — Twarz szlachcica pokryła się purpurą, jakby zaraz miała go trafić apopleksja. — Być może nie rozumiecie tego, wybaczcie śmiałość, lecz jedynie my stara szlachta, pamiętamy jeszcze o nakazach honoru...

— Zdziwilibyście się. — Nie poczułem się obrażony, gdyż jego zachowanie było tak typowe, że aż nudne. — Lecz skoro taka wasza wola, pojadę do majątku margrabiego i rozeznam się w sprawie. Jednak sami rozumiecie, że w dzisiejszych złych czasach trzeba zabezpieczać się przed niespodziewanymi odmianami fortuny. — Aż się zdziwiłem, że słowa przychodzą mi tak łatwo pomimo szalejącej w głowie zawieruchy. — Dlatego poproszę was z góry o całą obiecaną sumę, natomiast później rozliczymy pozostałe koszta.

Skinął wolno głową i jeśli to możliwe, poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Nie ufacie mi — stwierdził z wyraźną urazą w głosie.

— Mam ufność w Panu i niech to wystarczy — odparłem pogodnym tonem.

###### \* \* \*

Zastanawiałem się, w jaki sposób dostać się do zamku margrabiego. Uznałem, że najlepiej będzie wybrać się w podróż i po prostu poprosić Reutenbacha o gościnę. Szlachetnie urodzeni zwykle nie przepadali za funkcjonariuszami Świętego Officjum (być może kłuła ich w oczy nasza pokora, skromność oraz niechęć do światowych uciech), lecz nie sądziłem, by ktokolwiek odmówił ugoszczenia inkwizytora będącego w oficjalnej misji. W końcu lepiej było zacisnąć zęby i robić dobrą minę do złej gry niż obrazić Inkwizytorium. Nie byliśmy jednak ludźmi małostkowymi i jeśli ktoś dobitnie ukazał nam, że nie chce czerpać radości z naszego towarzystwa, to opuszczaliśmy jego dom, zachowując wydarzenie w pokornej pamięci. Tak to się bowiem zwykle układało, że krzywdy wyrządzone Officjum rosły w naszych sercach niczym czarne kwiaty i prędzej później nadchodził czas, by kwiaty te wyrwać z korzeniami. Postanowiłem, że w podróż zabiorę Kostucha i bliźniaków. Po pierwsze, musiałem od czasu do czasu dać im coś zarobić, po drugie, ich pomoc oraz zdolności mogły się przydać na zamku margrabiego. Na szczęście wszyscy trzej przebywali w Hez-hezronie. Kostuch pracował jako specjalista od dyskretnych zleceń u pewnego lichwiarza mającego wielu nierzetelnych dłużników i, jak słyszałem, zgromadził całkiem sporą kolekcję małych palców. Bliźniakom natomiast skończył się właśnie wyrok sześciu tygodni dolnej wieży, który dostali za burdy przy kartach. Wywiedziałem się, gdzie mieszka teraz Kostuch, i zaszedłem do jego kwatery. Mój towarzysz siedział przy dzbanie wina w alkierzu oberży i tarmosił wiercącą mu się na kolanach zakatarzoną młódkę. Ale kiedy tylko mnie zobaczył, zgonił dziewczynę klepnięciem w chudy tyłek.

— Mordimer! — wykrzyknął z prawdziwą radością. — Czerwonej alhamry! — rozkazał przyglądającemu się nam karczmarzowi. — Tylko w podskokach, łajdaku!

Kostuch wyglądał jak nie Kostuch. Był cały w czerniach i jedwabiach, a na wszystkich pięciu palcach prawej dłoni miał tak duże pierścienie, że mógłby ich używać jako broni. Prawdziwego, dawnego Kostucha można było jednak poznać po szerokiej, węźlastej bliźnie zniekształcającej twarz, oraz po smrodzie, który panował w alkierzu. Jak widać, towarzysz moich dawnych wypraw zmienił upodobania dotyczące stroju, nie zmienił jednak nawyków dotyczących kąpieli.

— Witaj, Kostuch — powiedziałem serdecznie. — Mam do pogadania, więc przejdźmy do twojej kwatery.

— Na górę przynieś! — zawołał Kostuch do karczmarza. — Raz, dwa! Wytresowałem bydlaka. — Spojrzał na mnie. — Jak mi się pierwszej nocy spóźnił z winem i dziewką, to go powiesiłem do rana za stopy u powały. Doktorzy musieli mu potem jedną oderżnąć — zachichotał. — Może chcesz tę małą, Mordimerze? A może żonę karczmarza? Taaaakie ma... — Zatoczył dłońmi łuki.

— Nie, nie, chodźmy do ciebie, zabawimy się potem. Wiesz, jak to jest, Kostuch. Czas gadania, czas wsadzania. Trzeba odróżniać jedno od drugiego.

Kwatera Kostucha składała się z dwóch pokoi, w drugim z nich zauważyłem niewielką wnękę oddzieloną od wnętrza buroszarą kotarą.

— Podobno dobrze ci się wiedzie — zacząłem. — Słyszałem o jakiejś kolekcji małych palców...

— Ha! — rzekł i zbliżył się do kotary. — Patrz, Mordimerze. Kazałem je uwędzić na kość — wyjaśnił. — Zobacz, co sobie ułożyłem.

W głosie Kostucha brzmiała tak ogromna duma, że posłusznie zajrzałem za zasłonę. Na blacie stołu stał całkiem zgrabny domek z dwiema wieżyczkami, w całości zbudowany z oberżniętych dłużnikom małych palców. Po uwędzeniu palce znacząco się zmniejszyły, lecz wyraźnie dostrzegałem stawy oraz zbrązowiałe paznokcie.

— To śliczne, Kostuch — przyznałem serdecznym tonem.

— Prawda? — Rozpromienił się. — Tak sobie myślę, czy nie powinienem złożyć statku. Galeonu o trzech masztach. — Rozmarzył się. — Tylko z czego zrobić żagle? — Po jego twarzy przebiegł cień.

— Może z dobrze naciągniętych uszu? — zaproponowałem.

— Ty to masz głowę, Mordimerze. — Spojrzał na mnie z podziwem. — Będę im teraz obcinał i palce, i uszy...

Ach ten mój Kostuch! Nie spodziewałem się po nim ani takiej fantazji, ani tego, że będzie hołdował artystycznym zamiłowaniom. Może niedługo zacznie malować lub rzeźbić? Pisać poematy? Brzdąkać na harfie? Spojrzałem na Kostucha, wyobraziłem go sobie grającego na harfie i musiałem przygryźć usta, by nie parsknąć śmiechem.

— Pomyślałem, że może chciałbyś wziąć urlop. Co byś powiedział na zadanie z nędzną płacą, w zamian za to wymagające dużo pracy i być może bardzo niebezpieczne?

Uśmiechnął się tak radośnie, że jego blizna pogrubiała co najmniej o szerokość palca.

— Mordimerze — rzekł — czy myślisz, że chciałbym zrezygnować z dobrej kwatery, dobrych pieniędzy, smacznego wiktu i dziwek, które kupuje mi Dietrich, tylko po to, by błąkać się nie wiadomo po co, nie wiadomo gdzie i co rusz wpadać w kłopoty?

Jak na Kostucha była to przemowa niezwykle długa oraz niezwykle kunsztowna. Cóż, trzeba przyznać, że towarzysz mych przygód zmienił się od czasu naszego ostatniego spotkania. Pokiwałem głową.

— Czyż życie, jakie prowadzisz teraz, nie jest potwornie nudne? — spytałem.

Roześmiał się, a ja odwróciłem lekko głowę i wstrzymałem na chwilę oddech, gdyż odór, który doleciał z jego gęby, mógłby powalić byka.

— Właśnie! — przyznał, klaszcząc w dłonie. Najwyraźniej był w nietypowym dla siebie, figlarnym nastroju.

— Poza tym cóż może być piękniejszego nad wytrwałą służbę dla Świętego Officjum? — zapytałem. — To przecież tutaj, Kostuch, na tym nieszczęsnym padole łez, budujemy sobie wiecznotrwały dom, w którym zamieszkamy, kiedy już trafimy do Niebieskiego Królestwa naszego Pana.

— O, tak — odparł Kostuch, teraz bardzo poważnym tonem. — Jak ty coś powiesz, Mordimerze... Kiedy jedziemy?

— Jutro — odparłem.

— Nie, nie — powiedział. — Jutro to ja mam...

— Jutro — powtórzyłem twardo, nie dając mu dokończyć, ponieważ nie interesowały mnie jego zobowiązania. — O świcie masz być gotów.

###### \* \* \*

Nie wiem czemu, ale margrabiego Reutenbacha wyobrażałem sobie jako czarnowłosego i czarnobrodego mężczyznę o ponurym wejrzeniu oraz smagłej, zniszczonej twarzy. W mej imaginacji był chudy i nosił szeroki płaszcz przypominający krucze skrzydła. Czyż nie tak właśnie nie powinien wyglądać negatywny bohater rycerskich romansów? Ten, który niewoli uczciwe dziewice wbrew ich woli? Tymczasem Reutenbach okazał się rosłym mężczyzną o jasnej cerze i pszenicznych, puszystych włosach, opadających aż za ramiona. Miał zdrowe, białe zęby — rzecz rzadka w dzisiejszych czasach, i brodę, którą wiązał w dwa warkocze. Nie znałem się zbyt dobrze na modach panujących wśród arystokracji, lecz sądziłem, iż na cesarskim dworze uznano by go co najmniej za dziwaka. Pewność o tym, że margrabia nie przejmowałby się podobną opinią, zyskałem, kiedy spojrzałem w jego oczy. Były takie jak moje, choć różniły się niemal w każdym szczególe.

— Prosicie więc o gościnę, inkwizytorze? — zapytał. — Wielki to zaszczyt, a mój zamek stoi do waszej dyspozycji tak długo, jak sobie zażyczycie.

To były tylko słowa i nic nie znaczyły. Obaj świetnie zdawaliśmy sobie z tego faktu sprawę.

— Nie zabawię dłużej niż jedną noc — obiecałem uprzejmie.

Wiedział, że kłamię, a ja wiedziałem, że on wie. Trudno o większe porozumienie między dwojgiem ludzi.

— Gdy się już rozgościcie, zapraszam na skromną kolację. Chętnie posłucham ploteczek z Hezu. My, prowincjusze... — Wzruszył lekko ramionami.

To był niebezpieczny człowiek. Tak samo zainteresowany ploteczkami z Hezu jak wasz uniżony sługa przygrywaniem zakochanym parom na lutni lub przebieraniem się za syrenkę z prowansalskiej piosnki.

Należało na niego uważać. Nie znaczyło to oczywiście bym zaczął wierzyć w historię Hoffentollera dotyczącą demonicznych rytuałów. Nasz zły świat pełen był stanowczych ludzi, którzy w tej stanowczości widzieli je dyną deskę ratunku. Życie generalnie nie sprzyja istotom słabym oraz sentymentalnym, których serca są tak pełne skrupułów jak lisie futro pcheł. I mają szczęście, jeśli ktoś im to futro tylko przetrzepie, bez zrywania skóry z grzbietu. Reutenbach sprawiał wrażenie człowieka godnego szacunku, raczej kolekcjonera futer niż ich dawcy.

Kolacja rzeczywiście była skromna, gdyż złote kielichy tylko wyglądały tak masywnie, jednak zdołałem je dźwignąć. Na początek podano suma w galarecie, szczupaka w ziołach, sandacza z pomarańczami i rodzynkami oraz polewkę z raków i bobrze ogony w gęstym miodowym sosie. Potem na stół weszły kuropatwy, pasztet z żurawich języków i słowicze jaja faszerowane ikrą. Z pewnym niepokojem czekałem, kiedy od ryb oraz ptactwa przejdziemy do zwierząt żyjących na lądzie, gdyż żołądek skromnego inkwizytora, przyzwyczajonego do kromeczki suchego chleba popijanego kubeczkiem wody, mógł nie przetrwać kosztowania tych wszystkich delicji, których nie szczędził gościnny gospodarz. Nie szczędził również trunków, z nadzwyczajną hojnością dolewając do mych wciąż pustoszejących kielichów. Mogłem uśmiechać się tylko w myślach, ponieważ margrabia Reutenbach nie wiedział (bo niby skąd miał wiedzieć?), że Bóg w swej niezmierzonej łasce raczył obdarzyć waszego uniżonego sługę głową nieco silniejszą niż większość ludzi. I to, że czasem popadałem w stan grzesznego upojenia, świadczyło nie o małej wytrzymałości, lecz jedynie o tym, że z właściwą sobie beztroską bez umiaru folgowałem apetytom. Teraz jednak zamierzałem się pilnować.

— Reutenbach — powiedziałem — koch-cham cię jak brat-ta...

— I ja ccciebie też — wyznał, nie trafiając pocałunkiem w mój policzek, lecz w ramię. Kątem oka dostrzegłem jego oczy i uśmiechnąłem się.

— Panie margrabio — rzekłem, nie siląc się już na pijacki akcent — porozmawiajmy jak ludzie poważni, jeśli łaska.

Wyprostował się i ujrzałem na jego twarzy cień zaniepokojenia. A może tylko mi się wydawało.

— Bardzo proszę, panie Madderdin — odparł takim głosem, jakby nie wypił wcześniej trzech litrów wina.

— Hoffentoller — powiedziałem.

— Powinienem się domyślić. — Klasnął dłońmi w uda. — Zmyślna bestyjka ta jego córka. Żebyście wiedzieli, co potrafi wyprawiać, pośliniwszy wcześniej piersi...

— Czy mogę ją zobaczyć? — przerwałem, gdyż nie interesowały mnie podobne wyznania.

— W każdej chwili. — Otworzył szeroko ramiona. — Powiedziałem przecież, że mój zamek jest do waszej dyspozycji.

— A ja prosiłem, byśmy rozmawiali jak ludzie poważni — przypomniałem z uśmiechem.

— Możesz z nią pogadać, Mordimerze, a jak rozkażę, to da ci się nawet zerżnąć. Z każdej strony, z której tylko zechcesz — rzekł. — Kobiety nie tylko mnie kochają, lecz są skłonne spełniać moje najbardziej wyrafinowane żądania...

Przyznam, że troszkę mi ulżyło, gdyż okazał się nie tak silnym człowiekiem, za jakiego go miałem. Bowiem ludzie prawdziwie silni nigdy nie chlubią się władzą jaką mają nad słabszymi od siebie. Chyba że mnie zwodził, wiedząc doskonale, jaką drogą podążą moje myśli.

— Podziwiam pański talent, panie margrabio — po wiedziałem z podziwem. — Niestety, moje szczęście do kobiet zwykle zatrzymywało się na drzwiach burdelu.

— Cokolwiek chcieliście przez to powiedzieć — odparł, patrząc na mnie, i zobaczyłem, że jego oczy zmętniały.

— Za cesarza! — krzyknąłem, podnosząc kielich. — Za wyprawę na Palatynat!

— Zzaasssarza — przyznał mi rację margrabia, a ja nakłoniłem go, by wychylił kielich, nie rozlewając większości trunku na kaftan.

— Za cesarza! — wrzasnąłem po raz wtóry i wręczyłem mu kielich w dłoń.

— Pppiliśmy już zasssarza — zastanowił się margrabia.

— Nawet jeśli, pijmy raz jeszcze! — wykrzyknąłem entuzjastycznie. — Nigdy dość życzeń zdrowia dla Najjaśniejszego Pana!

— I na pana to nie działa, i na mnie to nie działa — stwierdził, kiedy wypiliśmy. Zobaczyłem, że jego oczy znowu są takie same jak wcześniej. — Czego chcecie, panie Madderdin?

— Prawdy — odparłem bez uśmiechu.

— Każdemu się wydaje, że chce tylko prawdy. — Sięgnął po dzban z winem. — Tyle że kiedy przyjdzie co do czego, okazuje się, iż pragnął jedynie pięknie opakowanych kłamstw. Nie ma prawdy jako takiej — dodał. — Są tylko interpretacje.

— Bluźnicie! — rzekłem ostrym tonem. — Bowiem są prawdy, których nikt podważyć nie może. Jak ta, że nasz umiłowany Pan zstąpił z krzyża swej męki i mieczem oraz ogniem ukarał wszystkich wrogów. Uznajcie to za interpretację, nie za najświętszą z prawd, a tu i teraz aresztuję was jako śmiertelnego wroga Kościoła!

— Nie myślałem o doktrynach wiary, panie Madderdin — odparł spokojnie, choć wydawało mi się, że rzadko słyszał podobny ton. — Jedynie o ułomnościach duszy. Bardziej bowiem wierzę w glinę ludzką niż w kryształowe pojęcia.

— Heinz Ritter — stwierdziłem. — To cytat z jego dzieła, jeśli się nie mylę...

Pokiwał głową i nadział plaster z piersi kuropatwy na dwuzębny widelec. Przyjrzał mu się pod światło.

— Tak, tak — przyznał. — Czyż to nie znakomity poeta? Wracajmy jednak do rzeczy. — Odłożył mięso z powrotem na talerz. — Jutro po południu będziecie mieli okazję poznać córkę Hoffentollera, a jeśli zechcecie, porozmawiacie z nią na osobności. Nie chcę mieć kłopotów, panie Madderdin, zwłaszcza nie chcę mieć kłopotów z ludźmi waszego pokroju. I nie życzę sobie, byście przysłali mi na zamek swoich kamratów w czarnych płaszczach.

— Dziękuję — powiedziałem, gdyż w jego słowach nie było obraźliwej intencji, lecz jedynie stwierdzenie faktów. — Wyjawcie mi jednak, jeśli łaska, czemu nie chcecie oddać dziewczyny ojcu, skoro z waszych słów wnioskuję, że już nie darzycie jej tak samo gorącym afektem jak dawniej?

Spoglądał na mnie przez chwilę wzrokiem bez wyrazu.

— Co wy wiecie — odezwał się w końcu, a w jego głosie zabrzmiała nieoczekiwana gorycz. — Co wy tam wiecie...

Obudził mnie barczysty służący o twarzy wioskowego przygłupa, który wniósł do komnaty miednicę z gorącą wodą oraz ręczniki. Zaraz za nim pojawiła się dziewka wyglądająca niczym jego rodzona siostra. Niosła tacę z zimnymi mięsami oraz chlebem i winem.

— Jak się o-dzie-je-cie i po-si-li-cie, pa-nie, to za-wo-łaj-cie. Zap-ro-wa-dzę was do jaś-nie mar-gra-bie-go — służący wydukał wyuczoną kwestię i zagapił się na mnie wodnistymi ślepiami.

Skinąłem mu głową i umyłem ręce, twarz oraz włosy w ciepłej wodzie. Z każdą chwilą poranny kac nieco malał. A kiedy jednym tchem wypiłem kubek znakomitego wina, odetchnąłem głębiej. Czułem, że wracam do życia. Zastanawiałem się, jak miewa się Reutenbach i jak zniósł nasze nocne pijaństwo. Jednak przed rozmową z nim zamierzałem pogadać z Kostuchem oraz bliźniakami. Nie na darmo spędzili całą noc w izbie czeladnej i miałem nadzieję, iż tęgo popili ze służbą Reutenbacha. I że służbie tej puściły języki W końcu czy Pismo nie przekonuje nas, że „w winie tkwi prawda"?

Zimne mięsa oraz świeżo wypieczony chleb dodały mi sił, dzbanek wina zatarł niesmak panujący w ustach i spowodował, że bolesna poranna ociężałość zamieniła się w dziarski animusz. Wyszedłem na korytarz.

— Gdzie spali moi ludzie? — spytałem warującego przy drzwiach służącego. — Zaprowadź mnie tam.

— Ależ jaśnie margrabia... — zaczął.

— Zaprowadź mnie tam — rozkazałem zimno — bo trzeci raz nie powtórzę.

Moi towarzysze siedzieli jeszcze w czeladnej, więc wyciągnąłem ich na dziedziniec, gdyż nie chciałem, by czyjeś zbyt czujne ucho przysłuchiwało się naszej rozmowie.

Bliźniacy mieli szare twarze i zapuchnięte oczy.

— Zdrowo pochlalim — burknął Pierwszy.

— Oj, zdrowo — przyznał jego brat.

— Zdrowiej niż zdrowo. — Kostuch odkaszlnął z głębi płuc i strzyknął w kąt zielonym farfoclem flegmy.

— Rozumiem więc, że macie mi sporo do opowiadania — powiedziałem uprzejmie.

— Dobrał sobie tę służbę, niech go trąd i cholera — warknął Kostuch. — Jakbyś wodę z kamienia wyciskał.

— Ale czegoś się, prawda, dowiedzielim... — Pierwszy uniósł wskazujący palec. Na jego końcu wyrastał brudny szpon.

— Zamieniam się w słuch — odparłem.

— To, że margrabia ją dymie, to jasne — rzekł Pierwszy. — Ale on ją, prawda, oddaje byle służącemu, kuchcikowi, stajennemu, pomocnikowi ogrodnika. Wszystkim jak popadnie...

— A więc mści się za coś. — Potarłem usta opuszkami palców, po wczorajszej nocy miałem wargi wyschnięte na wiór. — Jednak dziewczyna nie chce odjechać.

— Może jej się niby spodobały te zabawy... — zarechotał Drugi.

— Kto wie...? — odparłem, gdyż z doświadczenia wiedziałem, że nie takie umysły jak mój gubiły się w labiryntach kobiecych uczuć oraz pragnień, a żądzę i ból *dzieli* nadzwyczaj wąska granica. — Może ją szantażuje lub *jej* grozi?

Pierwszy, niezainteresowany moimi rozważaniami, zajął się ogryzaniem brudnego szpona, jednak Kostuch pokiwał głową.

— Pamiętam podobną sprawę, Mordimerze — rzekł, przymykając oczy. — Brygida Loitzl została porwana przez barona Tannhausera. Jej ojciec zdołał nawet przekonać miejscowego biskupa, by pomógł córce. Ale dziewczyna wolała zostać na zamku i zeznała, że chwali sobie gościnę barona. Potem okazało się, że Tannhauser groził, iż zabije jej młodszą siostrę, jeśli Brygida od niego odejdzie. Rzecz się wyjaśniła, dziewczynę uwolniono, a i tak wylądowała w końcu w dobrym burdelu. I to z własnej, nieprzymuszonej woli. Zasmakowała w tym...

Mego przyjaciela Kostucha charakteryzowała nie tylko wyjątkowo szpetna blizna przebiegająca przez całą twarz, nie tylko smród, który zdawał się otaczać gęstym całunem jego ciało, ale również nieprawdopodobna wręcz pamięć. Kostuch pamiętał wszystkie rozmowy, nazwiska, sprawy... Cokolwiek trafiało do jego przypominającego śmietnik umysłu, mogło zostać z niego w stosownym czasie wygrzebane.

— Dziękuję, Kostuch. — Skinąłem głową. — Tu może być podobnie. Spróbuję ją zręcznie wypytać, jak sprawy się mają.

Wcześniej musiałem jednak, oczywiście, spotkać się z margrabią, gdyż i tak uchybiłem wymogom gościnności oraz uprzejmości, rozmawiając wpierw z Kostuchem i bliźniakami. Ale cóż, inkwizytorzy nie zdobyli sławy dzięki grzeczności czy delikatności uczuć i miałem nadzieję, że w najbliższym czasie nic się w tej materii nie zmieni.

— Aha, jeszcze jedno. — Odwróciłem się. — Hoffentoller wspominał mi o innych młodych kobietach, które margrabia tu gościł. Co się z nimi stało?

— Miał tu kiedyś cały ten, no... — Kostuch pstryknął palcami — harem. Ale wszystkie odprawił. Ponoć płaczu było i awantur, że ho, ho...

— Ciekawe — stwierdziłem, gdyż oskarżenia Hoffentollera sypały się jak domki z kart.

Udałem się do margrabiego.

Reutenbach przyjął mnie w sypialni, ubrany jeszcze w jedwabną koszulę nocną. Jak znam jaśnie panów, miało to świadczyć o szczególnej łasce, lecz na mnie jakoś nie zrobiło wrażenia.

— Długo na pana czekałem — powiedział naburmuszony i przysiadł na obitym adamaszkiem fotelu. Dopiero po dłuższej chwili dał mi znak, że również mogę spocząć.

— Zamieniłem słówko czy dwa z moimi towarzyszami — odparłem bynajmniej nie przepraszającym tonem.

Nie zamierzałem niczego ukrywać, gdyż przecież i tak doniesiono by mu, gdzie byłem i z kim się widziałem. Podszedłem do okna, spojrzałem na wysokie mury zamku Reutenbach. Zauważyłem dwóch żołnierzy żłopiących coś z dzbana w cieniu fortecznych blanków.

— I cóż ciekawego panu donieśli? — spytał.

— Że łatwiej wycisnąć wodę z kamienia niż pochopne słowa z ust pana ludzi — nie minąłem się szczególnie z prawdą.

Zerknąłem w lustro po mojej lewej ręce i zauważyłam że Reutenbach uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Jeśli chcecie rozmawiać z Anną, służący zaprowadzi was do *jej* komnaty — rzekł. — Mam nadzieję, że potem zechcecie mi towarzyszyć przy obiedzie.

— Z pokorną radością przyjmuję pańskie zaproszenie — odpowiedziałem najuprzejmiejszym tonem, na jaki było mnie stać.

I znowu przeczucia mnie zawiodły. Annę Hoffentoller wyobrażałem sobie jako rumianą, rosłą dziewoje z pyzatymi policzkami i wielkimi piersiami. Tymczasem stała przede mną wysmukła, brązowooka i brązowowłosa panna o bladej cerze i nieco zbyt ostrym nosku. Uśmiechnęła się na mój widok, lecz w tym uśmiechu nie było ani radości, ani sympatii. Podała mi szczupłą dłoń o wąskich, długich palcach.

— Mój ojciec was wynajął, prawda? — właściwie nie spytała, a stwierdziła fakt. Miała cichy, matowy, niepozbawiony uroku głos.

— Poprosił o przysługę — odparłem — gdyż inkwizytorów się nie wynajmuje, Anno.

Ledwo dostrzegalnie się skrzywiła, jakby nie spodobało jej się brzmienie własnego imienia w mych ustach.

— Więc poprosił was o przysługę — powtórzyła z wręcz niezauważalną ironią. — Poprosił, byście sprawdzili, czy jestem zadowolona z gościny u margrabiego. Poprosił, byście poszperali w łożu Reutenbacha. Zapewnijcie zatem mego ojca, że jestem zadowolona i nie mam chęci opuszczać ani tego zamku, ani tego łoża.

— Zamierzałem się przejść po ogrodzie — stwierdziłem. — Będę zaszczycony, jeśli zechcesz mi towarzyszyć.

Skinęła po chwili głową.

— Chodźmy więc, skoro takie jest wasze pragnienie. Przeszliśmy krużgankiem wznoszącym się nad dziedzińcem, potem schodami prowadzącymi prosto do ogrodu ciągnącego się wzdłuż południowych murów zamczyska. Ogród był zaniedbany i źle utrzymany. Drzew i krzewów od dawna nie przycinano, alejki zarosły chwastami, woda w małym stawie była na całej powierzchni pokryta zieloną galaretą glonów. Zobaczyłem dwa marmurowe posągi skryte w gęstwinie. Jedna figura miała ukruszoną połowę głowy, druga oberwane ramię. Cóż, Reutenbach może i miał pieniądze, ale widać wolał je wydatkować w inny sposób niż na utrzymanie ogrodu.

— Ojciec się o ciebie niepokoi, Anno — rzekłem. — I z pewnością z całego serca pragnie, byś do niego wróciła. Czy możesz mi wyjawić, jakie przeszkody uniemożliwiają ci powrót do rodzinnego domu?

— Ja po prostu chcę tu zostać. — Nawet nie zwróciła twarzy w moją stronę.

— Jakież to powody zatrzymują młodą damę w zamku Reutenbach? — spytałem. — Bo jakieś powody być muszą, prawda?

— Nie mam obowiązku odpowiadać na wasze pytania. — Nadal miała spokojny, odległy głos, jakby nie za bardzo interesowało ją, co powiem.

— Ale poproszono cię o to — odparłem. — Więc jeśli nie chcesz narobić kłopotów swemu gospodarzowi, radzę grzeczniej traktować funkcjonariusza Świętego Officjum — dodałem ostrzejszym tonem.

Widziałem, że zacisnęła usta. Nic jednak nie odpowiedziała, choć, szczerze mówiąc, spodziewałem się protestów.

— Wolę być tu niż u ojca, który zechce mnie wyswatać z którymś ze swych podstarzałych przyjaciół albo ich nieokrzesanych synów.

Zważywszy na fakt, iż na zamku Reutenbacha godziła się sypiać ze stajennymi, nieokrzesanie nie było chyba *jej* aż tak niemiłe. Zdecydowałem się jednak wziąć te słowa za dobrą monetę.

— Więc margrabia nie zmusza cię słowem ni czynem do pozostawania w jego mocy? Czyż nie tak?

— Właśnie tak. — Zerwała kwiat mlecza i zdmuchnęła go. Srebrzystobiałe pyłki poszybowały w powietrzu.

— Droga Anno, czasami człowiekowi ciężko wyartykułować cały bezmiar strachu lub goryczy lęgnący się w jego sercu. Czasem każdy z nas potrzebuje przyjaciela, by móc mu się zwierzyć ze swych trosk. Szczerze, otwarcie i z nadzieją, że przyjaciel nigdy nie ujawni tego, czego się dowie, jeśli nie zostanie o to jasno poproszony...

— I wy chcecie być takim przyjacielem? — Tym razem miałem wrażenie, że jej oczy nie spoglądają na mnie obojętnie, lecz wrogo.

— Ja nie chciałbym być twoim przyjacielem, Anno. Ja nim jestem — mocno zaakcentowałem ostatnie słowo. — Niezależnie od twych uczynków oraz myśli. To, co sądzisz o mnie samym, nie ma najmniejszego znaczenia wobec przyjaźni, jaką do ciebie żywię, i wobec pomocy, jaką z Bożą łaską chciałbym ci ponieść.

— Największą pomocą będzie, jeśli zostawicie mnie w spokoju — odparła.

Przez chwilę spacerowaliśmy w milczeniu, Anna rzuciła w trawę łodyżkę dmuchawca, z którego uleciały już wszystkie pyłki.

— Myślisz pewnie sobie: czym może zagrozić potężnym Reutenbachom pokorny inkwizytor z Hezu? Otóż, droga Anno, nie tacy jak Reutenbachowie płonęli już na stosach Świętego Officjum. Wystarczy, że skinę dłonią, a zaroi się tu od czarnych płaszczy i srebrnych krzyży. Skrzywdzić jednego z nas to jak skrzywdzić Kościół. A skrzywdzić osobę, którą się opiekujemy, to jak skrzywdzić nas samych... — Odczekałem, by mogła przemyśleć słowa, które usłyszała. Nie były do końca prawdziwe, lecz mogłem tylko mieć nadzieję, że nawet jeśli prawdy nie było w słowach, to kryła się ona w mym przekonującym głosie. — Doszły mnie słuchy, że być może na tym zamku odbywają się heretyckie, bluźniercze rytuały. Jeśli wiesz coś o tym, moje dziecko, Inkwizytorium zapewni ci bezpieczeństwo oraz ochronę. Nie wspominając już o tym, iż delatorzy otrzymują część majątku heretyka. W uznaniu swych zasług na rzecz naszej matki Kościoła, świętego i jedynego.

Przystanęła i nieoczekiwanie wzięła moją rękę w swoje dłonie.

— Nie róbcie nic, proszę — powiedziała, tym razem nadspodziewanie miękko. — Klnę się na wszystko, co dla mnie święte, klnę się na moje życie, że nie dzieje się tu nic, czego bym nie pragnęła. Jeżeli będę potrzebowała pomocy, powiadomię was. I dziękuję, że z taką pieczołowitością zechcieliście spełnić prośby mego ojca. Odeszliśmy daleko od siebie, niemniej jest przecież moim ojcem i szanuję to, że mu pomagacie. Uścisnąłem jej palce.

— Jak sobie życzysz, Anno — odparłem łagodnie. Oczywiście mogłem spytać, z jakich to powodów oddaje się stajennym, kuchcikom oraz ogrodnikom, lecz byłem pewien, że odpowiedź na to pytanie została wcześniej przygotowana.

— Słyszałem to nazwisko. Hoffentoller — powiedział Kostuch, a na jego czole pojawiły się grube fałdy zadumy.

— Mów więc.

— Maurycy Hoffentoller — przymknął oczy — trafił do pogańskiej niewoli w czasie ostatniej krucjaty. Wrócił po trzydziestu siedmiu latach...

— To nie ten. — Machnąłem dłonią. — Pradziad Matthiasa zginął.

— Maurycy Hoffentoller pieczętujący się Bykiem z Trzema Rogami — rzekł Kostuch tonem wyjaśnienia.

— To tego trzeciego roga miał pewnie, prawda, między nogami — zarechotał Pierwszy. — Bo widział kto byka z trzema rogami na łbie?

— Może kuzyn? — zasugerowałem, nie zwracając uwagi na słowa bliźniaka. — Dwaj kuzyni popadli w niewolę, jeden zginął, jeden wrócił?

— Tego już nie wiem, Mordimerze.

— A jakby się niby jednorożec pogził z bykiem, to co by z tego wyszło? — zapytał Drugi.

— Ha! — mruknąłem do siebie, ignorując tym razem drugiego z bliźniaków.

Istniały trzy rozwiązania. Tak jak powiedziałem, Maurycy mógł być kuzynem pradziada Hoffentollera, a *więc* nosił to samo nazwisko i pieczętował się tym samym herbem. Albo ktoś, od kogo Kostuch usłyszał tę historię, mylił się. Albo Matthias mnie oszukał. Tylko czemu miałby to zrobić? Śmierć w pogańskiej niewoli była niewątpliwie losem bardziej chwalebnym niż powrót z niej po latach. Jednak ludzi, których poganie zmuszali do niewolniczych prac, nikt nie obwiniał za zły los. Rodziny czasami nawet przez długie lata szukały ich lub starały się wykupić. Chyba że... wyrzekli się Jezusa w zamian za wątpliwy przywilej zostania nadzorcami dawnych towarzyszy walki. Wtedy istotnie był to powód hańby. Czyżby pradziad Matthiasa był w istocie takim wiarołomnym rycerzem, człowiekiem słabego ducha? Jednym z tych, dla których pokusa doczesnej korzyści stała się silniejsza od nadziei zbawienia i zmartwychwstania przy Pańskim stole? Ale czegóż podobny odstępca mógł szukać w naszym Cesarstwie po trzydziestu siedmiu latach? Musiał przecież wrócić jako starzec lub niemal starzec... I nie mógł się spodziewać ciepłego przyjęcia, chyba że spreparował zręczną historyjkę mającą zaświadczać o jego niewinności, a kto wie, może nawet bohaterstwie. Tyle że wtedy mój zleceniodawca nie ukrywałby faktu powrotu pradziada, wręcz chełpiłby się jego odwagą.

— Gdzie usłyszałeś tę historię, Kostuch? — zapytałem.

— A jakby coś się urodziło ze świni i mężczyzny? I jakby to była, prawda, kobitka? Ile byłoby cyców do zmacania! — rozmarzył *się* Pierwszy.

— Gospoda „Pod Jedwabną Chustą" — odparł Kostuch bez chwili namysłu. — Dwaj szlachcice rozmawiali o krucjatach.

Znałem tę karczmę, gdyż z jej nazwą wiązała się ucieszna historyjka. Wiele lat temu niedaleko niej wznosił się miejski szafot, na którym właśnie miano stracić pewnego złodzieja i włóczęgę. Jednak przekupiona wcześniej młoda nierządnica podbiegła do skazanego i zarzuciła mu na głowę chustę, wołając: „Mój ci on", co wedle prawa zwyczajowego oznaczało, że przestępca powinien być zwolniony i dany jej za męża. Na szczęście oficer straży oraz urzędnik burgrabiego nie dali się zwieść. Złodzieja i tak powieszono, a ladacznicę przykładnie oćwiczono pod jego wierzgającym nogami ciałem. Historia, jak mówiłem, była ucieszna, lecz w żaden sposób nie mogła mi pomóc w rozwiązaniu sprawy Hoffentollera.

— Usłyszałeś wtedy jeszcze coś? — zagadnąłem Kostucha.

— Pić już poszliśmy. — Pokręcił głową.

No i właśnie, tyle było pożytku z pamięci Kostucha...

— Albo z krowy — powiedział Drugi — bo wymiona niby większe...

— Zostaniemy tu jeszcze co najmniej jedną noc — zdecydowałem po namyśle. — A kto wie czy nie dłużej.

— Mordimer musi, prawda, poszukać miejscowego chlewika — zarechotał Pierwszy.

— Albo łobory! — Drugi zapluł się ze śmiechu i klasnął dłońmi w uda z wielkiej radości.

Spojrzałem tylko na nich i pokręciłem głową. Bliźniacy byli czasami pomocni, lecz nader często złościły mnie ich prymitywne poczucie humoru oraz proste obyczaje. Cóż, dźwigałem krzyż ich towarzystwa, tak jak wiele innych krzyży w moim życiu, i wierzcie, że ten był jeszcze stosunkowo łatwy do niesienia. Poza tym, cokolwiek by mówić o bliźniakach, to po pierwsze, dysponowali pewnymi unikalnymi zdolnościami, a po drugie, mimo nikczemnego wzrostu potrafili naprawdę dobrze się bić. Mało który człowiek umiał tak celnie strzelić z kuszy jak oni, a nożami zadźgali i zarżnęli już niejednego przeciwnika. Patrzyłem na nich, jak klepali się po ramionach i zaśmiewali z własnych dowcipów. Wyglądali tak niewinnie. Dwóch rozbawionych małych ludków o pucułowatych twarzach, wyblakłych oczach i wyraźnych śladach łysiny. Nie wiem czemu, lecz od pewnego czasu miałem coraz silniejsze przeczucie, że kiedyś te groteskowe pieski rzucą mi się do gardła. Dla ich dobra żywiłem nadzieję, iż ta chwila nadejdzie jak najpóźniej.

— Daję wam dzień wolnego — zadecydowałem. Nawet się nie ucieszyli, gdyż wystarczająco długo mnie znali, by wiedzieć, co te słowa tak naprawdę oznaczają.

— Bliźniacy w jedną stronę, Kostuch w drugą. Pokręcicie się po wioskach, pogadacie w karczmach, popijecie z miejscowymi. Chcę wiedzieć, o czym plotkują co ich trapi, co myślą o Reutenbachu... Nie naciskajcie za bardzo i — pogroziłem im palcem — żadnych burd. Oraz — pogroziłem znowu — żadnych dziewek.

Bliźniacy skrzywili się równocześnie, jak na zamówienie.

— Żadnych dziewek — powtórzyłem dobitnie. — Żadnego oszukiwania przy kartach czy kościach. Najlepiej nie grajcie w ogóle, nawet gdyby was zapraszano. Zrozumieliście?

Pokiwali głowami.

— Dobrze, że zrozumieliście — skwitowałem. — I lepiej o tym wszystkim nie zapomnijcie, bo żywcem będę darł z was pasy.

Moi towarzysze zachowywali się czasami niczym niesforne psy. W końcu nie bez powodu bliźniacy wyszli właśnie po sześciu tygodniach dolnej wieży. Jednak wiedzieli, że po pierwsze, ich karmię, po drugie, nauczyli się też, że Mordimer Madderdin w czasie śledztwa staje się człowiekiem ciężko wybaczającym błędy oraz zaniechania. Tak więc sądziłem, że poradzą sobie z wyznaczoną misją. Zarówno Pierwszy, jak i Drugi potrafili zyskać zaufanie rozmówców, zwłaszcza kiedy byli to ludzie prości. Ba, nawet Kostuch mimo odrażającej i groźnej fizjonomii umiał stać się wybornym kompanem, jeśli tylko wiedział, że podobna gra mu się opłaci.

— Ale żeście się złoili — patrzyłem na nich z obrzydzeniem.

Pierwszy pierdnął, Drugi beknął. Nie była to odpowiedź, jakiej się spodziewałem.

— Wiemy, prrrawda, coś... — zabełkotał Pierwszy.

— Na sssłużbie żeśmy się niby upiliśśśmy — dodał Drugi tak samo bełkotliwie, ale z wyraźnie pobrzmiewającą dumą w głosie.

Nie. W takim stanie nie dało się z nimi rozmawiać.

— Kostuch, weź tych idiotów i zrób coś z nimi. Jak tu przyjdą drugi raz, mają być trzeźwi.

Nie spodziewałem się, że potrwa to aż tak długo, lecz wreszcie wrócili. Kostuch z wielce zadowoloną miną, natomiast bliźniacy wściekli i przemoczeni do suchej nitki.

— Hmmm? — Spojrzałem na Kostucha.

— Wrzuciłem ich do fosy. — Wzruszył ramionami.

— Wytrzeźwieli?

— Tak — Pierwszy i Drugi wypowiedzieli to słowo chórem, wyręczając Kostucha.

— Jakże się cieszę — stwierdziłem z celowo sztucznym entuzjazmem. — Wodorosty sobie wyjmij. — Zerknąłem w stronę Drugiego.

Pogmerał we włosach i wyciągnął z nich pęk zielonych, śliskich, splątanych nici.

— No to słucham — powiedziałem.

— Dziewki poznikały — rzekł Pierwszy. — Sztery. — Wystawił paluchy.

— Jak to poznikały?

— Ano tak: poznikały. Poszła taka paść kozy i nie wróciła. Na ten sam przykład, prawda, że nie powiem...

— Młode?

— Młooooo... — Pierwszy nieoczekiwanie zwymiotował sobie na buty — deeee. Przaszam, Mordimerze.

Zwymiotował jeszcze raz, *zakończył* oddechem ulgi i uśmiechem. Wypluł kawałek mięsa spomiędzy zębów.

— Za co Bóg mnie tak pokarał? — spytałem, nie licząc na odpowiedź.

— Wszystkie młode, ale o jednej tylko mówili, że niby urodziwa — dorzucił Drugi.

— Kiedy poznikały?

— Od wiosny.

— Wszystkie jak ta pierwsza? Chłopki?

— Niby chłopki.

— Idźcie na razie i odeśpijcie. Jutro jeszcze pogadamy.

Wyszli, ja zostałem sam na sam z Kostuchem. Usiadłem nieco dalej od niego, chociaż nie wiem, czy mogło to dać jakikolwiek efekt, gdyż odór bijący z jego ciała zdawał się wypełniać całe pomieszczenie.

— A tobie jak poszło?

— Słyszałem o trzech dziewkach.

— Może tych samych?

— Nie, nie. — Pokręcił głową. — Wszystkie były z jednej wioski. Trzy siostry. Trzynaście, czternaście i piętnaście lat. Poszły nad rzekę i już nie wróciły.

— Utopiły się — zaryzykowałem.

— Pewnie — burknął. — W tej strudze i kota byś nie utopił.

— Słyszałem kiedyś podobną historię o trzech dziewczętach. Jedna zaczęła tonąć, druga poszła jej na pomoc i tamta ją wciągnęła pod wodę, trzecia chciała ratować dwie pozostałe. No i już było po wszystkich.

— Powiedziałem przecież, że kota byś nawet nie utopił — przypomniał obrażonym tonem.

— Może było po deszczach i woda rozlała? — zapytałem, gdyż widziałem już leniwe strumyki, które zamieniały się w niebezpieczne i rwące rzeki pełne wirów oraz zdradliwych głębi.

— Nie — stwierdził stanowczo. — Powiedzieli, że wtedy rzeka była jak dzisiaj. A dzisiaj suchą nogą można było przejść na drugi brzeg, tylko skacząc po kamieniach.

— Co o tym mówili we wsi?

— Jak to ludzie. — Wzruszył ramionami. — Jedni, że złe z lasu je porwało, drudzy, że uciekły z gachami...

— Taaak, zwłaszcza ta najmłodsza — przerwałem mu.

— Inni jeszcze, że poszły do miasta szukać lepszego życia.

— W sumie zniknęło siedem dziewcząt, przynajmniej my właśnie o siedmiu wiemy. Czy to nie dziwne, Kostuch?

— On je porywa? — obniżył głos i pokazał głową na drzwi. Wiedziałem, że ma na myśli Reutenbacha.

— Młode, nieładne wieśniaczki? Ktoś, kto nie przepuszczał co piękniejszym szlachciankom? Nie pasuje mi to...

— Pamiętamy takie sprawy — rzekł.

— Ano pamiętamy — westchnąłem.

Młode, niewinne dziewczęta były doskonałym obiektem mrocznych rytuałów. Słyszałem o pewnej arystokratce, która uwielbiała kąpiele we krwi, gdyż twierdziła, że nadają skórze aksamitną miękkość oraz przedłużają życie. Sam pomogłem rozwiązać sprawę ślicznej i uroczej dziewczyny, której życie własny ojciec chciał poświęcić, wypełniając demoniczne obrzędy. Wiedziałem, że niektórzy czarnoksiężnicy płacą wzywanym demonom właśnie życiem, sercem lub krwią dziewic. Tyle że Reutenbach nie wyglądał mi na czarownika. Oczywiście, pozory mogły mylić, a ja przecież nie rezerwowałem sobie prawa do wszechwiedzy. Był to jeden z tropów, które należało sprawdzić. Uznałem, że w tym celu najlepiej będzie zastosować metodę, przed której użyciem zawsze się wzdragałem. Postanowiłem bowiem udać się na wyprawę, w której zawsze jedynymi przewodnikami są modlitwa oraz porażający ból. To nie było warte pięciuset koron otrzymanych od Hoffentollera, które zresztą, tak czy inaczej, przeszły już na moją własność. Ale było to warte moich wątpliwości. Niektórzy z inkwizytorów posiadają szczególny talent, pozwalający im zobaczyć świat ukryty przed wzrokiem innych ludzi. Nie korzystamy z tych zdolności pochopnie, gdyż każda podobna podróż jest zagrożeniem dla życia, prowokuje śmiertelne niebezpieczeństwo dla duszy oraz wysysa siły witalne. Jednak trudno mi było oprzeć się wrażeniu, że na zamku Reutenbach nie wszystko wygląda, jak wyglądać powinno na pierwszy rzut oka. Nie mogłem margrabiemu kazać, by udostępnił swój zamek rewizji, lecz mogłem tę rewizję przeprowadzić tak, by nie miał o niej nawet najmniejszego pojęcia.

Kazałem Kostuchowi, by pozostał, ponieważ inkwizytorska modlitwa powoduje tak mocne wycieńczenie organizmu, iż jeszcze w kilka godzin po niej jestem słaby niczym nowo narodzone kocię i nie ma mowy, bym obronił się przed kimkolwiek. Nie sądziłem co prawda, by Reutenbach kazał mnie zabić, nie zamierzałem jednak bez potrzeby ryzykować.

Rozebrałem się do pasa, gdyż wiedziałem, że już za moment cały kaftan oraz koszulę mogę mieć skąpane we krwi i wymiocinach. Uklęknąłem na podłodze. Kostuch stał w drugim końcu pokoju, dłubiąc ostrzem sztyletu w zębach, i przyglądał mi się badawczo. Wiedział, czego świadkiem będzie już za chwilę, i zastanawiałem się, czy widok mojego cierpienia jest mu obojętny, czy sprawia satysfakcję, czy też raczej budzi troskę. Ha, troskliwy Kostuch! Dziwnie to brzmiało, jednak nie zapominałem przecież, iż mój towarzysz przynajmniej raz wyciągnął mnie ze śmiertelnej opresji.

Przymknąłem oczy, musiałem skupić się na modlitwie i nic, co się działo na zewnątrz, nie mogło przeszkadzać mi w przekroczeniu bram dzielących świat materialny od świata duchowego. Zawsze tkwi we mnie granicząca z przeświadczeniem obawa, iż kiedyś pozwolę sobie o raz za dużo igrać z niebezpieczeństwem. Co stanie się wtedy? Zapewne na ziemi pozostanie moje martwe ciało, natomiast duch będzie się błąkał gdzieś w nieświecie, z chwili na chwilę coraz słabiej pamiętający, kim niegdyś był. Co wydarzyłoby się później, tego tak naprawdę nie wie nikt. Może roztopiłbym się w mroku ogarniającym nieświat? Może stałbym się jednym z tych przerażających obłoków ciemności lub jednym z bezkształtnych, złowrogich tworów przemierzających pustkę? Tak czy inaczej, musiałem spróbować po raz kolejny. Bóg mi świadkiem, nie ryzykowałem mego życia dla Hoffentollera ani jego córki, którzy obchodzili mnie tyle, co ogrodowe chwasty.

Obchodziła mnie jedynie satysfakcja z wykonanego zadania. Ryzykowałem życie dla prawdy, którą chciałem poznać, gdyż w końcu Pismo mówi nam dobitnie: *I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi.* Zapadły mi też w pamięć słowa jednego z poematów mistrza Rittera, w którym pisał on: *Piękna jest tylko prawda i tylko ona jest godna miłości.*

— Ojcze nasz — rozpocząłem — któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Oczy miałem zamknięte tak mocno, iż czułem, jak bolą mnie powieki. A rychło pojawiły się również czerwone rozbłyski. Potem, nadal w czerwieni tych rozbłysków, ujrzałem komnatę i klęczącego na podłodze Mordimera, modlącego się z twarzą zastygłą w oczekiwaniu na ból.

— Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi...

Zawsze mam nadzieję, że tym razem ból nie nadejdzie. Ale on wpływa do zatoki mego umysłu niczym miotana sztormem galera o czerwonych żaglach. I teraz uderzył też z tak potworną siłą, że mało nie straciłem tchu. Jak zwykle zresztą uderzył wtedy, kiedy przez króciutką chwilę miałem szaleńcze przeczucie, że jednak mnie ominie. Wiedziałem, że jeśli przestanę się modlić, czeka mnie los gorszy od okupionej bólem śmierci.

— I daj nam też siłę, byśmy nie przebaczali naszym winowajcom... — słyszałem, że modlitwa zmienia się w rozpaczliwy jęk. Ból potężniał z każdą chwilą.

Odwróciłem wzrok od skurczonego Mordimera, któremu krew buchała z nosa strumieniem na złożone do modlitwy dłonie. Wypłynąłem z zamkowych komnat, a półprzejrzyste ściany wypuszczały mnie tak łatwo, jak gdyby utkano je z szarej pajęczyny babiego lata. Zmierzałem w miejsce, w którym widziałem skondensowane plamy ciemności wręcz emanującej złem. To były zamkowe lochy. Widziałem zastygłe w ścianach kształty o nienaturalnie poskręcanych kończynach i obrzmiałych głowach. Wyciągały do mnie dłonie z jakąś obłąkańczą nadzieją i nie wiedziałem, czy pragnęły, bym je wyrwał z niewoli, czy też chciały mnie uwięzić wraz ze sobą i skazać na wieczną żałość. Nie były na tyle silne, by mnie powstrzymać, ale ich ból oraz tęsknota zdawały się budować niewidzialną barierę, przez którą coraz ciężej było się przedostać. Teraz nie płynąłem już spokojnie, jak w krystalicznie przejrzystym powietrzu, lecz przeciskałem się z trudem, jakbym próbował brnąć w rzece pod prąd. I nagle zobaczyłem barierę. W mej wizji była płonącą ścianą, a z ognistych obłoków wyłaniały się brodate głowy zniekształcone grymasem nienawiści. Tej przeszkody nie byłem w stanie pokonać. Mogłem próbować. Tak jak mógłbym spróbować skoczyć na rozpalony stos. W drugim wypadku zginęłoby zaledwie moje grzeszne ciało, teraz natomiast mogłem narazić nieśmiertelną duszę. Musiałem się więc wycofać. Wzniosłem się jeszcze tylko nad całym zamkiem i przekręciłem go w dłoniach, jakby był dziecinną zabawką, oglądając go dzięki temu ze wszystkich stron. Wszystko wyglądało zwyczajnie i niewinnie, oprócz tej nieprzebytej dla mnie czerwonej bariery. Musiałem wracać, nigdy nie wolno zbyt długo pozostawać poza własnym ciałem i przemierzać przerażającej pustki nieświata. Popłynąłem do komnaty, gdzie pokrwawiony Mordimer wznosił ku sufitowi oczy, w których zamarł ból. Jego twarz była zmieniona, wykrzywiona i ściągnięta cierpieniem. I nagle byłem już we własnym ciele. Przewróciłem się jak szmaciana laleczka prosto w kałużę krwi. Nie bolało mnie niemal nic, ale samo wspomnienie bólu paraliżowało strachem. — Chodź, chodź...

Kostuch podtrzymał mnie silnym ramieniem, odciągnął na bok, potem usadził w fotelu. Zmoczył w miednicy ręcznik i przetarł mi twarz z krwi. Później wyciągnął zza pazuchy manierkę i przechylił ją do moich ust.

— Dobre, mocne, pij.

Zakrztusiłem się, gdyż gorzałka była naprawdę mocna. O mało nie zwymiotowałem, ale Kostuch wlał mi w gardło następny łyk. I jeszcze następny. Poczułem się nieco lepiej, lecz i tak wiedziałem, że nie jestem w stanie rozmawiać. Chciałem tylko zasnąć.

— Spać... — udało mi się poruszyć ustami. Kostuch zaciągnął mnie na łóżko, ułożył i okrył kapą.

— Będę tu czekał — obiecał.

Jak przez mgłę widziałem, że siada na fotelu i opiera stopy na niskim stoliku. Potem myśli powoli gasły.

Siedziała nade mną i opierała chłodną dłoń na moim czole. Gdy uchyliłem powieki, zobaczyłem jej zmartwioną twarz. Zielone, wycięte na kształt migdałów oczy były zaszklone łzami. Wiedziałem, że tylko śnię, ponieważ ten właśnie sen powtarzał się zbyt często, bym nie pamiętał o jego prawdziwej naturze. Chciałem jednak, by trwał. Chciałem już się nie budzić. Tyle że oczywiście obudziłem się. Trapiony bólem głowy oraz mdłościami. Kostuch siedział w fotelu i drzemał, poświstując przez nos. Jednak kiedy tylko uniosłem głowę, natychmiast otworzył oczy.

— Lepiej? — zapytał.

Zastanawiałem się, czy skinąć głową, czy odpowiedzieć. Po chwili uznałem, że mrugnięcie obiema powiekami będzie najmniej wyczerpujące. Podszedł do mnie i przypatrzył mi się uważnie.

— Wyglądasz, jakby cię ktoś zjadł i wysrał — mruknął. — Wykończysz się, Mordimerze.

Tak, z tym punktem widzenia zgadzałem się całkowicie. To znaczy nie wiedziałem, jak wyglądam, lecz wiedziałem, jak się czuję, i byłem już pewien, że któraś z kolejnych podróży okaże się ostatnia. Najwyraźniej dochodziłem do granic swoich możliwości, do granic tego, co jest w stanie wytrzymać moje ciało. Minęło kilka godzin snu od czasu, kiedy wróciłem, a nadał nie byłem w stanie podciągnąć się o własnych siłach, by usiąść, opierając plecy na poduchach. Nadal nie byłem w stanie głośniej się odezwać, gdyż sama myśl, że będę musiał wysilić krtań, poruszyć ustami i językiem, wydawała się nie do ścierpienia. Leżałem, wpatrując się w ciemny sufit komnaty. Nawet to wydawało się męczące, bałem się jednak zamknąć oczy, gdyż wzrok, niczym kotwica, trzymał mnie na tym świecie. Dziwne, ale pomimo że Kostuch stał tuż obok mnie, nie czułem otaczającego go charakterystycznego odoru. Czyżbym stracił węch? Bo przecież myśl, że *mój* towarzysz się wykąpał, była więcej niż absurdalna!

— Chcesz jeszcze łyknąć? — Kostuch potrząsnął manierką, aż w środku zachlupotało.

— Nie — udało mi się odszepnąć, bo bałem się, że jeżeli nic nie powiem, napoi mnie wbrew mej woli a sama myśl o gorzałce, *jej* smaku i zapachu, wywracała mi trzewia. — Jeszcze spać...

Kiedy otworzyłem oczy po raz drugi, zobaczyłem Kostucha siedzącego w tym samym miejscu co przedtem. Tym razem nie spał, ostrzem noża obrzynał sobie zgrubienia skóry na paluchu prawej stopy. Pod fotelem leżały czarne od brudu onuce i buty. Smród wwiercił się w moje nozdrza, a ja chyba po raz pierwszy w życiu ucieszyłem się, czując ten Kostuszy zapaszek, przypominający odór rozkładających się zwłok. Nie straciłem jednak węchu! Usiadłem i opuściłem stopy na posadzkę. Czułem się już dużo lepiej. Nadal trochę osłabiony, ale przynajmniej mogłem ruszać się bez bólu i bez strachu, że za moment upadnę.

— No to żyjesz, brachu — powiedział Kostuch serdecznym tonem.

— Bóg dał. — Wstałem i sięgnąłem po antałek z winem. Wypiłem kilka łyków i zrobiło mi się jeszcze lepiej.

— Margrabia pytał o ciebie. Powiedziałem, żeś chory. Nawet po doktora chciał posłać, powiedziałem, że nie trzeba.

— Słusznie. Dobra, Kostuch, możesz już iść. Tylko zabierz to. — Wskazałem buty, onuce oraz resztki ściętej skóry i czarnych paznokci.

Wyszedł, a ja mogłem spokojnie zastanowić się nad moją wizją. W lochach zamku czaiło się zło. Zastygły tam ból, nienawiść i śmierć. Lecz modlitewne wizje nie zawsze udzielają nam odpowiedzi na pytanie, które zadajemy. Nie miałem żadnego przedmiotu, który mógłby mi posłużyć za przewodnika i który doprowadziłby ninie do miejsca bluźnierczych rytuałów (jeśli takowe w ogóle się odbywały). A że w zamkowych piwnicach kłębiło się tak wiele uczuć? Cóż, lochy zwykle służą do tego, by przetrzymywać w nich, a może nawet torturować więźniów. Czyż więc dusze ludzi skazanych przez Reutenbacha lub jego przodków nie odcisnęły po prostu w murach swego mrocznego, przepełnionego bólem piętna? Może była tu niegdyś katownia, gdzie wydobywano zeznania, piętnowano żelazem, oślepiano i łamano kończyny? Może niektórzy więźniowie umarli z głodu, chorób czy starości? To oni właśnie, lub raczej ich wspomnienie jawiło się moim oczom w postaci nienaturalnie skręconych ciał pełnych cierpienia oraz tęsknoty. Niepokoiła mnie jednak wizja tej ognistoczerwonej bariery, przez którą nie był w stanie przeniknąć mój umysł. Najprawdopodobniej znajdowało się w tym miejscu tajne przejście, zabezpieczone za pomocą czarnej magii. Lecz równie dobrze mogła to być stara, potężna magia, pochodząca z początków istnienia zamku. Wiedziałem, że w dawnych czasach niektóre z rodów korzystały z usług czarnoksiężników, by zabezpieczyć część posiadłości przed niepowołanymi oczami. Przecież potęga Świętego Officjum wzięła się właśnie stąd, iż kilkaset lat temu zbyt wielu ludzi odchodziło od nauk Jezusa, gdyż wabieni byli przez potężne, mroczne siły. I to zadaniem inkwizytorów od wieków była bezlitosna walka z tymi siłami oraz ich ludzkimi poplecznikami. Bariera mogła więc zostać wzniesiona nie wczoraj czy rok temu, a pięćset lat wcześniej. Z tego, co wiedziałem zamek Reutenbach został wybudowany dziesięć wieków po Chrystusie. I choć potem dobudowywano nowe kondygnacje, zmieniano go i fortyfikowano, to podziemia mogły zostać w stanie niemal nienaruszonym.

Mogłem zażądać rewizji, na którą i tak musiałbym zyskać oficjalne pozwolenie z Inkwizytorium, lecz żądanie oparte na tak niepewnych podstawach byłoby prawdziwym szaleństwem i błąd drogo by mnie kosztował. Poza tym zawsze musiałem zakładać, że popełniłem omyłkę. Modlitewne wizje były ciężkim przeżyciem, a ja w dodatku mogłem nie do końca rozumieć znaczenie pewnych znaków czy symboli. No cóż, musiałem z przykrością stwierdzić, że mój ból, strach oraz to, że ryzykowałem życie, poszły na marne. Niczego się nie dowiedziałem i nic nie osiągnąłem. Miną długie miesiące, zanim znowu odważę się na podróż do nieświata, jeśli w ogóle jeszcze kiedyś zaryzykuję podjęcie takiej próby.

Zasady grzeczności wymagały, bym poprosił margrabiego o możliwość przedłużenia gościny w jego zamku. Z całą pewnością doskonale wiedział, że tak właśnie zrobię, a ja równie doskonale wiedziałem, iż nie odmówi mej grzecznej prośbie.

— Oczywiście, mistrzu Madderdin — nie dał pozna po sobie, że spodziewał się takiego obrotu spraw. — Proszę czuć się jak u siebie w domu.

— Dziękuję, panie margrabio. To wielki zaszczyt dla mnie.

Skinął głową, tak jakby to było oczywiste.

— Macie silną głowę, panie Madderdin — rzekł. — Na świętego Jana zawsze urządzam w zamku zawody dla najtęższych opojów. Jeśli Bóg da, że będziecie wtedy w pobliżu, zapraszam serdecznie.

— Ha, nie omieszkam. — Roześmiałem się, bo zważywszy na hojność margrabiego oraz jakość jego win, te zawody musiały wyglądać doprawdy znakomicie.

— Co zamierzacie dziś robić, jeśli wolno spytać? Może wybierzecie się na polowanie? Łowczy mi doniósł, że w okolicy widziano tura.

— Czy tury nie są przypadkiem pod cesarską ochroną?

— A czyż łeb tej bestii nie pięknie by wyglądał na ścianie?

No właśnie, westchnąłem w myślach, tak miały wyginąć tury pomimo opieki Najjaśniejszego Pana.

— Niestety, panie margrabio. Dzisiaj zamierzam odwiedzić Hoffentollera i nakłonić go, by pogodził się ze stratą.

— Będę wdzięczny — odrzekł, choć byłem pewien, że ufa mi mniej więcej w tym samym stopniu co żmii zawiniętej wokół nadgarstka.

— W takim razie pozwolę sobie pożegnać pana margrabiego. Zapewne do wieczora. — Skłoniłem się grzecznie.

— Wierzę, że jest pan człowiekiem honoru — rzekł wyniosłym tonem Reutenbach, kiedy byłem już przy drzwiach.

Odwróciłem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

— Jestem inkwizytorem — odparłem chłodno. — A inkwizytorzy nawet honor, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, poświęcają na ołtarzu miłości Pańskiej.

Widziałem, że moja odpowiedź w żadnej mierze go nie zadowoliła.

— Jednak zaufam panu — powiedział powoli. — Choć rzeczą, którą wyznam, niełatwo dzielić mi się z innym człowiekiem.

— Uprzejmie słucham, panie margrabio.

— Zamierzam poślubić Annę — rzekł. — Chociaż wiem o jej... — urwał na chwilę, a jego oczy zmętniały — miłostkach... nawiązywanych po to tylko, by wzbudzić moją zazdrość. Kobieca przebiegłość... — Zaśmiał się wymuszenie.

Nie odpowiedziałem mu śmiechem, gdyż spółkowanie ze służbą nie przystawało szlachciance, niezależnie od tego, czy była kapryśna czy też nie, i niezależnie od tego, co swym postępowaniem chciała wymusić.

— Proszę przyjąć moje najszczersze gratulacje, margrabio — skwitowałem jego słowa obojętnym tonem.

— Dziękuję — odparł. — Mam więc nadzieję, że będziecie mogli poinformować Hoffentollera o moich uczciwych zamiarach. Wielki to przecież zaszczyt dla zwykłej szlachcianki stać się margrabiną Reutenbach.

— O, niewątpliwie — przyznałem z pełną powagą i szacunkiem w głosie. — Jestem pewien, że Hoffentoller doceni zaszczyt, który spadnie na jego dom. Bo choć to starożytna rodzina, to biedna, nieprawdaż?

— Starożytna. — Machnął ręką. — Wspominał wam, oczywiście, o Maurycym HofFentollerze i wyprawie krzyżowej?

— Pradziad, czyż nie? Wsławił się niezłomną wiarą i zginął w pogańskiej niewoli.

— Właśnie tak. A zginął, gdyż dziadek Hoffentollera pieniądze, które otrzymał od cesarza na wykup, przepił i przegrał w kości.

— Smutne — podsumowałem. — Nie miał przypadkiem kuzyna o tym samym imieniu?

Reutenbach spojrzał na mnie zdziwiony.

— Skądże — odparł. — Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Odwrócił się do okna, dając tym samym znać, że skończyliśmy rozmowę.

— Miłej podróży — rzekł.

Wyszedłem, zastanawiając się, czy Matthias mnie oszukał (jaki jednak miałby w tym cel?), czy też po prostu szlachcice, których rozmowę podsłuchał Kostuch, pomylili się. Niemniej jedno było pewne: Maurycy Hoffentoller był pradziadem mojego zleceniodawcy A co się z nim stało dalej, tego już nie wiedziałem. Zresztą może Kostuchowi szlachcice mieli rację? Może rzeczywiście Maurycy powrócił po wielu latach jako starzec złamany niewolą, a rodzina ukryła ten fakt, woląc pielęgnować przed sąsiadami legendę niezłomnego obrońcy wiary umierającego męczeńską śmiercią? Słyszałem o takich historiach i niekoniecznie dotyczyły one wypraw krzyżowych. Przez lata inkwizytorskiej praktyki nauczyłem się, że wiele szlacheckich rodów z pokolenia na pokolenie skrywało wstydliwe tajemnice dotyczące bliższych czy dalszych krewnych. A to że któryś z synów był nadto podobny do stajennego; a to, że dziadek za młodych lat wolał towarzystwo barczystych chłopów, niż okolicznych szlachcianek; a to że pradziadowi po bitwie wysłano kądziel i zajęczą skórkę. O takich rzeczach nie mówiło się głośno.

Hoffentoller był naprawdę bliskim sąsiadem Reutenbacha. Ich ziemie graniczyły ze sobą, a podróż konno z zamku do dworu zajęła mi raptem czas do południa. Czułem się już całkiem nieźle i cieszyłem się świeżym powietrzem oraz miłą przejażdżką. Przekroczyłem rzekę (jeśli była to ta sama, o której wspominał Kostuch, to faktycznie trudno było się w niej utopić.) i zajechałem pod rozłożony przy brzozowym zagajniku dwór Hoffentollera. Siedzibę Hoffentollerów stanowił wielki drewniany budynek otoczony zaniedbanym częstokołem, prawdopodobnie pozostałością po dawnych złych czasach, kiedy na prowincji ciągle wybuchały walki oraz rebelie. Dwór, tak jak wspomniałem, był wielki, lecz tylko parterowy, a wyróżniała go wieżyczka z powiewającym na wietrze sztandarem. Wymalowano na nim godło rodu — Byka z Trzema Rogami. Teraz mogłem się przekonać, gdzie jest ten trzeci róg. Wyrastał spomiędzy oczu. Brama była otwarta, na dziedzińcu zauważyłem trzech ludzi ze służby, w błotnistym bajorku wylegiwały się dwie świnie, kilkanaście kur wydziobywało robaki. Wszystkiemu przyglądał się posiwiały pies o wyliniałym futrze i smutnym wzroku. No cóż, nie dziwota, że Anna wolała zamienić ten dom na zamek margrabiego. Służący zapatrzyli się na mnie, kiedy wjeżdżałem przez bramę. Pies podniósł głowę i niemrawo szczeknął, po czym uznając, że spełnił już swój obowiązek, położył pysk na łapy. Zeskoczyłem z siodła.

— Chodź no tu, a żywo! — zawołałem do jednego z ludzi Hoffentollera, młodego chłopaka, przypominającego stojącą na tylnych łapach łasicę. — Konia do stajni, nakarmić, napoić, wyczyścić. Zobaczę jedną plamę błota na sierści i każę wybatożyć. Zrozumiałeś? — Rzuciłem mu wodze.

— Pan w domu? — spytałem najstarszego ze służących.

— Ano w domu.

— Prowadź. — Podszedłem do niego, a ponieważ nie zareagował, więc huknąłem go w ucho. Nie za mocno, na tyle jednak silnie, by otrząsnął się ze stuporu, na jaki widocznie zapadli wszyscy tu obecni. — Prowadź, mówię!

— Tak, tak, jaśnie panie, pozwólcie — ocknął się.

W ciemnej sieni cuchnęło zbutwiałym drewnem. Jak amen w pacierzu, niedługo Hoffentoller obudzi się bez dachu nad głową albo, co gorsza, z dachem na głowie. Z sieni przeszliśmy do wielkiej izby z kwadratowym stołem pośrodku. Na kominku płonęły grube brzozowe bierwiona. Rozejrzałem się po ścianach i zobaczyłem stare, wypłowiałe kobierce oraz kilka portretów. Kobierce zapewne musiały być niegdyś znacznej wartości, lecz teraz nici popękały, a kolory utraciły soczystość. Natomiast obrazy sprawiały wrażenie przydymionych, poza tym całe poznaczone były śladami po muszych kupach, a złocone ramy zamieniły się w brudnobrązowe. W trzech męskich twarzach wyobrażonych na portretach dało się odkryć rodzinne podobieństwo do Matthiasa. Szczególnie uważnie przyjrzałem się obrazowi wiszącemu po lewej stronie. Mężczyzna wyobrażony na nim miał surowy wzrok, ostre rysy twarzy i wąsy jak szpikulce. Czyżby Maurycy Hoffentoller, uczestnik wyprawy krzyżowej? Odsunąłem sobie krzesło i usiadłem.

— Powiedz, że przyjechał Mordimer Madderdin, inkwizytor — rozkazałem słudze.

— Ink... — zająknął się.

— Mam powtórzyć?

— Już, już pędzę...

Minęło kilka chwil i w izbie pojawił się gospodarz. W burym kaftanie, skórzanych nogawicach i butach za łydki. Kiedy spojrzałem na jego twarz, zauważyłem, że sprawia wrażenie zmęczonego. Wstałem.

— Mistrzu. — Uśmiechnął się i wyciągnął prawicę. Uścisnąłem jego dłoń. — Jakże jestem wam rad. Zjecie coś? Napijecie się? Gość w dom, Bóg w dom, jak powiadają.

— Chętnie, bo przejażdżka dodała mi apetytu.

— Każ coś przygotować. — Hoffentoller zwrócił się do starego sługi, a ten poczłapał w głąb domu. — I wino wyciągnij z piwniczki — zawołał. — To najlepsze!

— Siadajcie, siadajcie, proszę — powiedział już do mnie. — Opowiadajcie, co udało wam się osiągnąć.

— Nie da się ukryć, że niewiele — westchnąłem. — Pogawędziłem z Reutenbachem, przepytałem waszą córkę i oferowałem jej pomoc, jednak wszystko na nic.

— Nie chce jej puścić? — Gospodarz spojrzał uważnie.

— Wręcz przeciwnie. To ona nie życzy sobie rozstania z margrabią. I uczciwie mówiąc, sądzę, że jest szczera w swych chęciach. Co więcej, Reutenbach pragnie ją pojąć za żonę.

Hoffentoller wybuchnął gromkim śmiechem. Lekko zmarszczyłem brwi, bo przyznam, że nie takiej reakcji się spodziewałem.

— A to paradne! — Klepnął się dłońmi w uda, aż zaklaskało.

Służący wniósł na tacy butlę oraz dwa srebrne kubki. Matthias otworzył wino i rozlał.

— Wasze zdrowie, panie Madderdin. — Wzniósł kubek. — O, nie godzi się — zaprotestowałem. — Wpierw zdrowie gospodarza!

Wypiliśmy do dna, ledwo powstrzymałem się przed skrzywieniem ust. Jeśli to było najlepsze wino w piwnicy Hoffentollera, to jak smakowały te najgorsze? No ale może próbowanie wyśmienitych trunków Reutenbacha tak zepsuło mi smak...

— Mistrzu Madderdin — gospodarz położył dłonie na blacie — chcę odzyskać córkę. Co radzicie?

To był jednak uparty człowiek. Cóż mu mogłem poradzić? Szturm na zamek? Taaak, atakując margrabiego z tym dychawicznym służącym oraz starym psem na czele, zrobiliby furorę oraz wzbudzili ogólny entuzjazm. Błagania? Ani Anna, ani Reutenbach nie sprawiali wrażenia ludzi, którzy zmieniliby raz podjętą decyzję pod wpływem łez bliźnich. Co zresztą tylko dobrze o nich świadczyło.

— Najwyżej modlitwę — odparłem.

— No to świetnie zainwestowałem pięćset koron — warknął.

— Panie Hoffentoller, zważcie, że niczego wam nie obiecywałem — wyjaśniłem spokojnym tonem. — Poza tym wszystko może się jeszcze odmienić. Zostanę u margrabiego kilka dni i a nuż odkryję coś, co pozwoli mi wydobyć waszą córkę. Tylko, jak znam życie, prędzej czy później ona do niego wróci.

— To już nieważne — mruknął. — Przekonam ją. No proszę, oto człowiek wierzący w dar perswazji. Ośmielałem się sądzić, że wiara ta była oparta na kruchych podstawach. Chyba że zamierzał córkę zamknąć w komórce lub szybko wyswatać.

— A dowiedzieliście się czegoś o... — obniżył głos i urwał. — Macie jakieś podejrzenia... wątpliwości?

— O bluźnierczych, heretyckich praktykach? Za wcześnie o tym mówić, panie Hoffentoller. Powiedzcie jednak, skąd pomysł, że Reutenbach mógłby popełniać tak obrzydliwe występki?

Oczywiście wiedziałem, skąd ten pomysł. Sąsiedzka nienawiść. Stara jak świat i gorzka niczym piołun. Była, jest i będzie. Nie powiem, by Inkwizytorium wielokrotnie nie korzystało z tej ludzkiej słabości, liczne sprawy wyjaśniliśmy, korzystając z donosów. Czasem sąsiedzi donosili na sąsiadów, czasem synowie na rodziców, żony na mężów, kuzynowie na kuzynów, macochy na pasierbów, bracia na braci... I tak dalej, i tak dalej. Jednak Święte Officjum nie grzeszyło już dawną pochopnością sądów, kiedy zimne serca inkwizytorów potrafiły rozgrzać się tylko przy żarze płonących wokół stosów. Teraz byliśmy mniej popędliwi, uważniejsi i spokojniejsi. Donosy budziły nasze zainteresowanie, lecz nie lecieliśmy już za nimi jak pszczoły do miodu. A tu w dodatku nawet nie można było mówić o oficjalnym donosie, gdyż Hoffentoller jedynie sugerował, podejrzewał, domniemywał. To może wystarczająco wiele, by zająć się zwykłym mieszczaninem czy prostym chłopem, lecz na pewno zbyt mało, by rozpocząć śledztwo przeciw feudałowi. A ja nie zamierzałem ryzykować, zwłaszcza że sam nie byłem przekonany o tym, czy w słowach Matthiasa tkwi choć ziarenko prawdy.

— Skąd ten pomysł, skąd ten pomysł — powtórzył za mną. — Bo on ma jakąś zdumiewającą władzę nad kobietami. Jakby je opętał czy co...

Uśmiechnąłem się w myślach. We władzy nad kobietami nie trzeba było doszukiwać się czarnej magii. Czyż nie wystarczało, że Reutenbach jest silnym człowiekiem, przystojnym mężczyzną i bogatym szlachcicem? Oczywiście osobnikowi pokroju Hoffentollera ciężko było pojąć zasady, jakimi rządzą się niewieście dusze oraz serca. Mnie samemu też sprawiało to ogromną trudność, lecz byłem przecież jedynie skromnym inkwizytorem, który poświęcił życie zgłębianiu spraw wiecznych, nie doczesnych.

— Wypijmy — westchnął i dolał wina najpierw mnie, potem sobie.

— Ano wypijmy — zgodziłem się. — Za Ziemię Świętą i jej obrońców.

— O tak, tak — powiedział.

— Nigdy nie dowiedzieliście się, co stało się z waszym sławnym przodkiem? — zagadnąłem, kiedy już opróżniłem kubek.

— Zginął. Jak wszyscy ci, którzy nie chcieli się wyprzeć wiary w Jezusa. — Przeżegnał się zamaszyście. — Panie mu błogosław.

Perscy władcy panujący od kilku wieków nad Palestyną nienawidzili chrześcijan. Szczerze mówiąc, pewnie i mieli powody do tej nienawiści, gdyż ich poddanych próbowano nawracać ogniem oraz żelazem. Ale też właśnie ci poganie wyznawali wyjątkowo paskudną wiarę, składali ofiary z ludzi, przyzywali demony, czcili mroczne bóstwa. Kiedyś sam miałem okazję ujrzeć perskiego demona, który w przebraniu zawędrował aż do samego klasztoru Amszilas, i nie było to wydarzenie, które wspominałbym z czułą nostalgią. Perskie świątynie były siedzibą przerażających kultów, perskie czarnoksięskie księgi należały do jednych z najbardziej niebezpiecznych, a perscy czarownicy uchodzili za mistrzów magii. Nie wiem, ile w tym było prawdy, ile fantazji wynikającej z niewiedzy, lecz uczestnicy wypraw krzyżowych wiele opowiadali o straszliwych rytuałach, których byli zarówno świadkami, jak i ofiarami. Jeżeli Maurycy Hoffentoller faktycznie zachował w niewoli niezłomną wiarę, to na pewno był człowiekiem albo godnym szacunku, albo niezmiernie głupim.

— Rodzina nie próbowała go wykupić?

— Za co? — parsknął. — Choćbyśmy sprzedali wszystko, co mamy, i tak nie starczyłoby na okup. Zresztą ja tę historię znam tylko z opowieści. Dawne dzieje... Dawna chwała...

Do tej pory nie zastanawiałem się nad tym problemem, lecz teraz zadałem sobie w myślach pytanie: skąd Hoffentoller wziął pieniądze na wykup klejnotów z lombardu oraz opłacenie waszego uniżonego sługi? Sprzedał kawałek lasu? Część pola? Może zapożyczył się u kogoś, kto również pragnął zguby Reutenbacha? Czyżby sąsiedzi uknuli spisek przeciw margrabiemu, by potem po niskich cenach odkupić jego skonfiskowane przez Inkwizytorium włości? Kto wie, kto wie, gdyż Reutenbach musiał mocno narazić się okolicznym szlachcicom, kiedy bez umiaru dupczył ich siostry oraz córki. Tak, tak, każdy mężczyzna powinien się nauczyć, że tego jaszczura trzeba czasami umieć trzymać na krótkiej smyczy, gdyż w innym wypadku potrafi on przysporzyć nielichych kłopotów.

Dokończyliśmy butelkę i wstałem, by się pożegnać. Hoffentoller zapraszał co prawda na obiad, wolałem jednak wrócić i porządnie zjeść u Reutenbacha, niż próbować ugotowanych tu specjałów. Bo jeśli były tej samej jakości co wino, to mogła mnie czekać niestrawność. Gospodarz odprowadził mnie do bramy, wyliniały pies przyjrzał się wzrokiem jeszcze smutniejszym niż poprzednio, a jedna ze świń zapragnęła poczochrać się o moje nogi. Odpędziłem ją kopniakiem.

— Sami widzicie, jak jest — powiedział żałosnym tonem Hoffentoller.

Uścisnąłem mu dłoń na pożegnanie i wskoczyłem na siodło. Czekała mnie miła popołudniowa przejażdżka i postanowiłem w spokoju cieszyć się tą chwilą. Nie poganiać nadmiernie konia, bo też wcale nie spieszyło mi się do Reutenbacha, Anny i ich tajemnic, ani też do Kostucha oraz bliźniaków. Ujechałem niecałą milę, kiedy z krzaków prosto pod nogi wyskoczył mi chudy chłopak o łasiczej twarzy. Ten sam, który pracował w obejściu Hoffentollera. Wierzchowiec spłoszył się i z trudem powstrzymałem go, by nie stanął dęba.

— Na gwoździe i ciernie! — zakląłem, sięgając po bat.

— Nie, panie, nie! — zawołał chłopak. — Nie bijcie zwierzaka!

— Wcale nie jego zamierzałem bić — odparłem, ale potem uśmiechnąłem się, gdyż ujęła mnie prostoduszność służącego oraz to, że ośmielił się stanąć w obronie konia. — Czego chcesz?

— Jesteście inkwizytorem, panie, prawda?

— Jestem.

— Dacie pięć dukatów, to powiem wam coś takiego, że Jezu nas wspomagaj!

— Pięć dukatów? Mój chłopcze, chyba oszalałeś. Zejdź mi z drogi.

Ponieważ nie usłuchał, uderzyłem piętami w końskie boki. Wierzchowiec zepchnął służącego z dróżki.

— Trzy dukaty, panie? — Chłopak pobiegł obok mnie. Przyspieszyłem.

— Chociaż dukata! — zawołał. Ściągnąłem wodze.

— Gadaj — rozkazałem. — A ja zobaczę, czy to jest warte dukata.

— On tam jest, wiecie? Siedzi w piwnicy. Stary, wyschnięty i z taką twarzą, że...

— Kto, na miecz Chrystusa?

— Pradziad mojego pana.

— Zwariowałeś — odparłem. — Musiałby mieć ze sto pięćdziesiąt lat.

— Dziad pana się nim zajmował, potem ojciec pana i teraz nasz pan też. I panienka. Ja nic nie wiedziałem, tylko tak raz zaszedłem, bo drzwi jegomość nie zamknęli. Musiałem na krzyż i Biblię przysięgać, że nikomusieńku nie powiem.

— Odpuszczam ci tę winę — powiedziałem wielkodusznie.

Wyjąłem z sakiewki dukata i rzuciłem mu. Chwycił monetę zręcznie w palce, chuchnął na nią i schował w zanadrze.

— Nikomu ani słowa — przykazałem. — Zdradź mnie, a trafisz na katowski stół. Zrozumiałeś?

Pokiwał gorliwie głową.

— Teraz wrócę do twego pana. Dzisiaj w nocy zaprowadzisz mnie do piwnicy i pokażesz, co widziałeś.

— Nie, panie, proszę was...

Zeskoczyłem z siodła, chwyciłem chłopaka za gardło. Na tyle mocno, że poczerwieniał i zacharczał, ale na tyle lekko, by nie wyrządzić mu krzywdy i nie pozostawić śladów.

— Będzie, jak mówię — rzekłem. — Bądź posłuszny, to dostaniesz jeszcze niejednego takiego dukata.

Kiedy usłyszał te słowa, oczy aż zaświeciły mu się z chciwości. Pomimo przerażenia.

— Jeśli mi gdzieś umkniesz, żywcem obedrę ze skóry. — Dałem mu chwilę, by dokładnie zrozumiał, co mówię i że mówię najzupełniej poważnie. Puściłem go. — No, idź już i nie chwal się pieniędzmi, bo zaraz zaczną pytać, skąd je masz. I jeszcze jedno: nawet jak wszyscy będą dzisiaj pić, ty nie pij...

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Chłopak z całą pewnością nie kłamał, lecz przecież niemożliwe było, aby Maurycy Hoffentoller, uczestnik wypraw krzyżowych, jeszcze żył. Owszem, słyszano tu i ówdzie o stuletnich starcach, lecz nikt nigdy nie słyszał o starcu stupięćdziesięcioletnim! Toż w naszych czasach już mężczyzn z piątym krzyżykiem na karku uważano za leciwych. Podejrzewałem, że Matthias może przed oczyma świata ukrywać chorego na umyśle dziada lub ojca (takie rzeczy często się zdarzały). I gdyby nie krótka informacja o rozmowie dwóch szlachciców, którą przekazał mi Kostuch, z całą pewnością nawet nie usiłowałbym sprawy badać, uważając ją za zupełnie nieprawdopodobną. A tak jednak siedziały mi w głowie słowa tych szlachciców twierdzących, że Maurycy powrócił z wyprawy krzyżowej. Może zaraził się tam którąś ze strasznych chorób Wschodu? Lecz w takim wypadku jak mógł przeżyć tyle lat mimo pustoszącej ciało dolegliwości? Wszystko to było nadzwyczaj tajemnicze, a wasz pokorny sługa od zawsze żywił szczególną niechęć do tajemnic. Lubiłem, kiedy wszystko się rozjaśnia, a każdy z klocków pasuje do kolejnego niczym stryczek do wisielca. Taki już byłem, cóż począć...

Zawróciłem w stronę dworu. Hoffentollerowi wyjaśniłem, że jeśli pozwoli, chętnie spędzę wieczór i noc w jego gościnie, gdyż towarzystwo margrabiego nie jest mi tak miłe. Szlachcic ucieszył się, wziął moje słowa za dobrą monetę i kazał podawać wieczerzę. Mijający czas umilaliśmy sobie winem, a ja starałem się, by gospodarz nie wylewał za kołnierz. Tak więc do posiłku siadał już mocno wstawiony, choć nadal przytomny. Ufałem, że szybko się to zmieni, gdyż wcześniej wyjąłem z juków bukłak ze śliwkową gorzałką.

— Przed jedzeniem nie ma to jak wzmocnić apetyt — zaznaczyłem i udałem, że pociągam solidny łyk. — No, do dna, panie Hoffentoller!

Posłusznie przechylił naczynie do ust. Wypił całość na trzy głębokie łyki. Odetchnął i parsknął.

— Żesz cholera! — Otrząsnął się. — Dobra, taka jej mać! Moc-cna!

Otrząsnął się znowu, potem zapatrzył na mnie.

— Klnę się na Boga, że wolałbym, aby umarła, niż poszła za Reutenbacha.

— Aż tak go nienawidzicie?

— Zawsze może jej się coś przytrafić na zamku, co, panie Madderdin? — Łypnął na mnie chytrym wzrokiem.

Jeśli proponował mi skrytobójstwo, to musiał być albo niespełna rozumu, albo za bardzo pijany, albo wręcz oślepiony nienawiścią. W każdym razie udałem, że nawet nie usłyszałem jego słów, i ponieważ rzeczywiście zgłodniałem, zabrałem się za jedzenie. Posiłek nie umywał się do tych podawanych na zamku Reutenbacha, lecz po pierwsze, apetyt jest najlepszą przyprawą, po drugie, zarówno kurczak pieczony w miodzie, jak i soczysta kiszka były całkiem niezłe. Hoffentollerowi jedzenie jakoś nie szło. Kiwał się na krześle, od czasu do czasu coś uszczknął, głównie jednak wgapiał się maślanymi oczami w przeciwległą ścianę. Tak więc tym razem to ja napełniłem kubki.

— Zdrowie Najjaśniejszego Pana! — zawołałem.

— O tak, tak — ożywił się.

Udało mu się przełknąć niemal wszystko, tylko kilka kropli trunku skapnęło na obrus. Dolałem jeszcze, a ponieważ butelka się skończyła, zawołałem służącego.

— Tylko na jednej nodze — rozkazałem. — A my, panie Hoffentoller, za co teraz wypijemy?

— Eeee? — Zagapił się na mnie.

— No jakżeby, jak nie za was — podpowiedziałem serdecznie. — Za zdrowie i dostatnie życie. Do dna!

Tym razem miał kłopoty, by trafić kubkiem do ust, więc wstałem i uprzejmie mu pomogłem. Odczekałem, aż naczynie będzie puste. Usiadłem i odkroiłem sobie solidny kawałek piersi kurczaka. Służący przyniósł na tacy butlę wina i zmartwionym wzrokiem spojrzał na kiwającego się na krześle Hoffentollera.

— Ilu tu was jest służby? — zagadnąłem.

— Ano jażem. — Odchylił palec lewej dłoni. — Kuno, Dawidek, Dorota i *jej* córa. Znaczy się pięcioro będzie.

— Dawidek to ten podobny do łasicy?

— Ano. — Rozdziawił usta w uśmiechu.

— Wyciągnij i dla was kilka buteleczek. Pan Hoffentoller pozwala.

— O, dziękujęć, jaśnie panie — rozpromienił się i pomknął w stronę piwnicy szybszym krokiem niż zwykle.

Na dworze panowała jeszcze szarówka, kiedy wszyscy prócz waszego uniżonego sługi popili się niczym nieboskie stworzenia. Hoffentollera ułożyłem na łóżku, zzułem mu nawet buty i nakryłem kocem. Niech śpi smacznie. Potem postanowiłem zerknąć, co robi służba. W piątkę siedzieli przy kuchennym stole. Dwie kobiety (jedna w sile wieku, druga młoda) drzemały, pochrapując, stary służący i jego kompan rozprawiali o czymś tak bełkotliwymi głosami, że ledwo rozróżniałem poszczególne słowa.

— Gotowi, jaśnie panie — zameldował Dawidek.

— To idziemy.

— Ale klucz, panie. Do tej izby. Jegomość zawsze nosi go na łańcuszku na szyi.

Zastanawiałem się przez chwilę. Jeżeli, nie daj Boże, Hoffentoller się ocknie i spostrzeże brak klucza, będzie to oznaczało kłopoty. A wiedziałem, że czasami ludzie nawet najbardziej pijani są zdolni, by zorientować się, iż zginęło im coś, czego pilnowali i co cenili.

— Poradzimy sobie bez klucza. Do piwnicy masz? Zabrzęczał pękiem kluczy i roześmiał się piskliwie. — Ani poczuł. — Podbródkiem wskazał starszego służącego.

On i jego towarzysz nie rozmawiali już, lecz siedzieli smętnie zamyśleni. Spojrzałem i zobaczyłem, że mają puste kubki. Nalałem im hojną dłonią.

— Ze mną się nie napijecie? — Potrząsnąłem nimi.

— Nojjakszeby sjaśpnemnie?

Dopilnowałem, by opróżnili kubki, i znowu je napełniłem.

— Idziemy. — Skinąłem na Dawidka. — Skrzesz ogień i zapal świecę.

Za izbą, w której biesiadowaliśmy z Hoffentollerem (spał smacznie, gwiżdżąc przez nos), znajdowały się drzwiczki. Dawidek odszukał właściwy klucz i zeszliśmy po schodach. Świeca paskudnie cuchnęła, widać Hoffentollera nie stać było na pszczeli wosk i używał zwykłych świec ze zwierzęcego tłuszczu. No ale przynajmniej dawała jakie takie światło.

— Za wędzarnią — zaszeptał mój pomocnik. Stanęliśmy przed solidnymi drzwiami z litego drewna.

— Poświeć no — rozkazałem, pochylając się nad zamkiem.

W prześwietnej Akademii Inkwizytorium uczono nas różnych sztuk. Rzecz jasna, koncentrowano się na tym, co inkwizytorowi najbardziej potrzebne: umiejętności czytania i rozumienia ksiąg, rozpoznawania demonów oraz śladów mrocznej magii, skutecznej obrony przed czarami i diabolicznymi istotami, prowadzenia przesłuchań zarówno wstępnych, jak i kwalifikowanych, umiejętności walki wręcz czy za pomocą sztyletu lub miecza. Ha, całą książkę można by napisać o trudnej i wyczerpującej edukacji w Akademii, do której trafiali młodzi chłopcy, po latach opuszczający ją jako kwalifikowani inkwizytorzy. Nasi mądrzy nauczyciele wiedzieli jednak, że czasami inkwizytorowi mogą się przydać również złodziejskie talenta. Dlatego szkolono nas w trudnej sztuce otwierania zamków. Właściwy zestaw narzędzi woziłem zawsze przy sobie, wychodząc ze słusznego założenia, że lepiej, by miał sto razy się nie przydać, niż miałoby go zabraknąć ten jeden raz, kiedy będzie potrzebny.

Zamek nie był skomplikowany, więc uwinąłem się szybko z robotą.

— Zostań tu — przykazałem chłopakowi, zabierając świecę z jego rąk.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Potem ostrożnie zamknąłem je za sobą. Powiodłem świecą wokół, by przyjrzeć się wnętrzu w świetle migotliwego żółtego płomyczka. Izba była nieduża, chociaż pieczołowicie urządzona. Ściany obwieszono kilimami i skórami, posadzkę wyłożono wilczymi futrami. Mnie jednak najbardziej interesowało wielkie łoże z baldachimem. Zasłony były zaciągnięte, lecz ktoś w tym łożu leżał. Nie widziałem postaci, słyszałem tylko zduszony oddech, poza tym czułem charakterystyczny zapach starego, chorego człowieka. Ustawiłem świeczkę na komodzie przy łóżku, oparłem prawą dłoń na rękojeści sztyletu, a lewą wolno odsunąłem zasłonę. I zobaczyłem go. On też patrzył na mnie oczami, w których nie odbijała się żadna myśl ani żadne uczucie. Był stary, nieprawdopodobnie stary. Jego wychudła twarz przypominała zmiętą kartę papieru, a z łysej, upstrzonej brązowymi plamami głowy wyrastały trzy wiechcie siwych włosów, dzięki którym przypominał rogatego demona. Opuściłem wzrok na leżące na kołdrze dłonie. Wyglądały niczym wyschnięte kurze łapki i byłem niemal pewien, że cienkie kości pękłyby przy próbie najlżejszego dotyku. Pochyliłem się nad starcem.

— Słyszysz mnie? — wyszeptałem. — Widzisz mnie?

Przez długą, długą chwilę wydawało się, że nie dostrzega mojej obecności. Jednak potem nagle opuścił powieki. I zaraz z powrotem otworzył oczy.

— Jesteś Maurycy Hoffentoller? — zapytałem. — Ten, który wrócił z Ziemi Świętej?

Tym razem mrugnięcie nastąpiło dużo szybciej niż poprzednio.

— Jezu Chryste — mruknąłem. — Więc to prawda. Oczywiście nadal nie miało to żadnego związku z prowadzoną przeze mnie sprawą, jednakże zawsze przecież twierdziłem, mili moi, że Mordimer Madderdin nie lubi zagadek. A raczej lubi je wyjaśniać. Odsunąłem się od starca i postanowiłem bliżej przyjrzeć się izbie. Wziąłem świecę z komody i przeszedłem się wzdłuż ścian. Niby nic ciekawego, lecz zatrzymałem się przy obrazie. Mężczyzna wyobrażony na portrecie był tym samym mężczyzną co ten, którego wizerunek widziałem w izbie na górze. Te same nastroszone wąsiska i wyraz dumnej buty na twarzy. Starzec leżący w łożu przypominał go w tym samym stopniu, co popiół z ogniska przypomina drzewo rosnące w lesie.

— Zobaczmy — szepnąłem do siebie i zdjąłem obraz. — Czyżby to było aż tak proste?

W schowanym pod portretem wgłębieniu w murze znajdował się uchwyt. Szarpnąłem. Zazgrzytało i otworzyłem drzwiczki do niewielkiej szafki. Przyświeciłem bliżej, zobaczyłem grzbiety czterech opasłych ksiąg.

— Tu cię mam...

Wyciągnąłem wszystkie tomy, potem przeniosłem je i położyłem na stole pod ścianą. Zauważyłem stojący na nim trójramienny świecznik, więc odpaliłem knoty od świecy, którą miałem w ręku. Zrobiło się na tyle jasno, że mogłem spokojnie zapoznać się z treścią ksiąg. To znaczy mógłbym, gdybym tylko znał język perski i aramejski alfabet, a nie zaledwie umiał rozpoznać, że mam do czynienia z perskimi dziełami.

— No, dziadku — mruknąłem — widzę, że przywiozłeś ciekawe łupy z Ziemi Świętej.

Bowiem nie musiałem czytać tych ksiąg, by zorientować się, że mam do czynienia z pozycjami, za których posiadanie wędrowało się najpierw na długie przesłuchania, a potem na stos. Wręcz namacalnie czułem otaczającą je mroczną aurę. — Coś mi też mówiło, że delikatne skórzane oprawy nie były bynajmniej zrobione z cielęcej skóry. Oczywiście podobne odczucia można by kłaść na karb wybujałej fantazji waszego uniżonego sługi, lecz ja prócz odczuć miałem też dowody. Może nie potrafiłem przeczytać perskich zapisków, jednak na pewno potrafiłem uważnie oglądać kunsztownie wyrysowane kolorowe ilustracje. W naszym błogosławionym Cesarstwie ilustrowanie było od wieków domeną mnichów, którzy pieczołowicie przepisywali księgi, lecz kopie ozdabiali swoimi własnymi obrazkami, często będącymi istnymi dziełami sztuki. Widziałem wiele takich ksiąg i choć nie mam duszy artysty, to przyznam, że jakość detali, siła barw oraz niewymuszona maestria i fantazja ilustratorów budziły mój najgłębszy podziw. Dlatego też żałowałem, że rozwój sztuki drukarskiej odsuwa w zapomnienie ten jakże godny szacunku fach. Ale tutaj miałem przed sobą dzieła, przy których ilustracje naszych kopistów zdawały się nieudolnymi szkicami. Postaci narysowane w perskich księgach żyły na pergaminowych kartach. Piersi unosiły się w oddechu, szpony zaciskały na gardłach ofiar, ogień wydawał się płonąć i migotać, a krew sprawiała wrażenie wciąż sączącej się z rozerwanych żył. Kiedy widziałem zniekształcone bólem twarze, dziwiłem się, że nie słyszę jęków i płaczu. Kiedy obserwowałem rozwarte paszcze demonów, spodziewałem się, iż za chwilę rozlegnie się ich przerażający ryk. Te księgi, niezależnie od tego, co zawierały, były warte fortunę z uwagi na samo zdobienie. Skoro więc tak bardzo zadbano o ilustratorski dodatek, to jak ogromną moc musiały nieść zapisane w nich słowa?

Jakże żałowałem w tym momencie, że nie umiem rozpoznać aramejskich liter i czytać po persku! Chociaż z drugiej strony, wiedza zawarta w tych księgach nie powinna trafić do prostego inkwizytora, takiego jak ja. Kiedy oddam czarnoksięskie tomy tym, którzy po nie przyjadą, będę mógł z ręką na krzyżu przysiąc, że nie udało mi się odcyfrować nawet jednego słowa. Może to i lepiej dla mnie, gdyż niedobrze jest wiedzieć zbyt wiele.

Przejrzałem wszystkie cztery tomy, cały czas nie mogąc powstrzymać się od zachwytu nad ilustracjami. Oto kobieta o dorodnym ciele zrzucała szaty kapłanki i oddawała się licznym mężczyznom, z każdym na inny sposób. Oto na łożu leżał nagi, uśmiechnięty mężczyzna przyozdobiony jedynie wieńcami kwiatów, a przed nim stało siedem dziewcząt ubranych w szaty kapiące od klejnotów. Oto z piekielnego chaosu wyłaniała się bestia o wielu głowach. Zdumiewające, lecz nie mogłem tych głów policzyć, gdyż potwór zdawał się rozpływać, rozmazywać i niknąć, kiedy tylko starałem się skoncentrować na nim wzrok. Czasami już mi się zdawało, że sześć głów, siedem głów, i o ta będzie ostatnia, ale okazywało się nagle, że wzrokiem jestem przy pierwszej i liczenie trzeba zaczynać od początku.

Wziąłem jeden z tomów, świecznik i podszedłem do łoża, na którym nieruchomo spoczywał starzec.

— Znasz to? — zapytałem, podsuwając mu księgę niemal pod oczy.

Zamknął powieki. Tym razem jednak już ich nie uchylił. A więc nie było to przytaknięcie, lecz jasny sygnał, by dać mu spokój i że nie chce ze mną mieć więcej do czynienia. Miałem wrażenie, że oddech starca jest nieco cięższy i szybszy niż poprzednio. Wyjąłem jedną ze świec z lichtarza i przytknąłem płomień do wiechcia siwych włosów wyrastającego z jego czaszki. Spłonął natychmiast, w powietrzu rozszedł się swąd. Maurycy Hoffentoller błyskawicznie otworzył oczy. Czyżbym dostrzegł w nich coś na kształt strachu?

— To jeszcze nie bolało, prawda? — zapytałem. — Ale może zaboleć, jeśli tylko będę miał taki kaprys. Nie odpowiadaj na pytania, a spalę cię kawałeczek po kawałeczku, pilnując, byś za szybko nie umarł. I wierz mi, że torturowanie sparaliżowanego starca jest o tyle wygodniejsze od torturowania zdrowego człowieka, że nie trzeba ani go wiązać, ani wysłuchiwać jego krzyków.

Zdumiewające, lecz dostrzegłem, że wąskie, blade, wysuszone wargi Hoffentollera rozciągnęły się w czymś, co zapewne miało być uśmiechem. Hm, dziadek najwyraźniej miał poczucie humoru. Dobrze!

— Zacznijmy od początku. To twoje księgi? Mrugnięcie.

— Jesteś czarnoksiężnikiem? Mrugnięcie.

— A więc to, co słyszałem o Maurycym Hoffentollerze niezłomnie broniącym świętej wiary jest tylko bajeczką. Służyłeś Persom, czyż nie tak?

Mrugnięcie, mrugnięcie. Przerwa. Mrugnięcie.

— Zaraz, zaraz — pomyślałem chwilę, starając się właściwie zrozumieć dawane mi znaki. — Do pewnego czasu nie zaparłeś się Pana, prawda? Dopiero potem złamali twoją wiarę i wolę, kiedy zrozumiałeś, że w żaden sposób nie wrócisz już do Europy.

Mrugnięcie.

— Jednak wróciłeś. Po co? — Wpatrywałem się w niego dłuższy czas, potem wzruszyłem ramionami. — Jasne, złe pytanie. Zaraz, zastanówmy się. Po co można wracać? Tęsknota? Rodzina? Może inaczej... Czy byłeś tam kimś istotnym? Przestałeś być niewolnikiem? Mrugnięcie.

— Dobrze ci *się* powodziło? Mrugnięcie.

— Na gwoździe i ciernie, dziadku, to po co wracałeś? — podniosłem głos, gdyż konwersacja tego rodzaju zaczęła mnie już złościć.

Nagle zrozumiałem. Zrozumiałem świetnie, jaka jest odpowiedź, i sam sobie się dziwiłem, że wcześniej ta koncepcja nie przyszła mi do głowy.

— Oczywiście — powiedziałem. — Po zemstę. Mrugnięcie.

— Na kim? Przecież nie na rodzinie, boby cię tu nie hodowali z taką troską. Kto cię skrzywdził, dziadku? Hm, ktoś cię zdradził w Ziemi Świętej? Wydał poganom? Zdrajca wrócił do kraju, a ty zostałeś w niewoli?

Dwa szybkie mrugnięcia. Najwyraźniej źle celowałem.

— Skoro cię nie zdradzono, to na kim chcesz się mścić?

Wtem przypomniały mi się słowa Reutenbacha o tym, jak syn Maurycego Hoffentollera przepił pieniądze, które dostał od cesarza na okup dla Persów.

— Myślisz, że cesarz cię zdradził? Wiernie mu służyłeś, a on nawet nie zatroszczył się, by wydobyć cię z niewoli? Mrugnięcie.

— Przecież tamten cesarz dawno nie żyje — powiedziałem. — Teraz rządzi jego prawnuk.

Mrugnięcie, mrugnięcie, mrugnięcie.

— Taaak — przeciągnąłem. — To nieważne, prawda? Wina ojca idzie w syna, niegodni są synowie niegodnych.

Mrugnięcie.

— Chcesz się zemścić na obecnym cesarzu, prawda? Mrugnięcie, mrugnięcie.

— Nie? — zdumiałem się.

A potem znowu mnie oświeciło.

— Ty nie chcesz się zemścić, ty się już zemściłeś... Mrugnięcie.

— No to pięknie — mruknąłem.

Teraz rozumiałem, dlaczego Anna rękami i nogami broniła się przed powrotem do ojcowskiego domu. Jeśli znała rodową tajemnicę, nie dziwię się, że wolała gościnę margrabiego od mieszkania pod jednym dachem z nienaturalnie leciwym czarnoksiężnikiem pałającym żądzą zemsty na cesarzu. Oczywiście mogłem tylko ubolewać nad tym, że nie pomyślała, by ze swoich trosk wyżalić się inkwizytorom. Wtedy wszystko potoczyłoby się zapewne inaczej. Co jednak oznaczało stwierdzenie Maurycego Hoffentollera, że już się zemścił na naszym władcy?

— Dokonałeś już pomsty? — zapytałem. Mrugnięcie.

Dziwne, gdyż z tego, co wiedziałem, Najjaśniejszemu Panu wiodło się całkiem dobrze. Zyskał poparcie elektorów oraz szlachty, cieszył się świetnym zdrowiem, o jego męskiej witalności mogły zaświadczyć rzesze pięknych dam, nawet wśród pospólstwa chwalono go za sprawiedliwe rządy. Gdzież więc były ta zemsta i ta klątwa? Ale zaraz... Jeśli wysyłasz strzałę w czyjeś serce, to wiesz, że dopełniłeś zemsty, pomimo że strzała jeszcze leci w powietrzu. Czyżby więc Maurycy Hoffentoller przygotował zaklęcie, którego skutki miały okazać się dopiero w przyszłości? I zważywszy na stan jego zdrowia, musiał je przygotować dość dawno temu. — Ten czar jeszcze nie działa, prawda? Mrugnięcie.

Miałem więc rację! Starzec podpalił tylko lont, który spalał się coraz bliżej beczki z prochem. I w jaki sposób, na miecz Pana, miałem zdusić ten ognik?

— Cesarz nie był niczemu winien — powiedziałem. — Chcesz znać prawdę, starcze? Twój władca nie zapomniał o twojej walce i twoim poświęceniu. Przekazał całą sumę okupu najbliższej ci osobie. Synowi. Tyle tylko, że ten ją przepił i przegrał w kości, a potem uznał, że lepiej o wszystkim zapomnieć. Klnę się na rany Pana naszego, że tak właśnie o tym mówią. Cofnij klątwę, bo wymierzyłeś ją przeciw złej osobie!

— Ach — krzyknął Maurycy Hoffentoller, cudem budząc się z paraliżu. — Cóż za straszliwa pomyłka! Pozwól, że natychmiast odwrócę skutki zaklęcia!

Tak, być może właśnie tak odbyłoby się to wszystko na scenicznych deskach. Ale tu nie było teatru. Tu był tylko konający starzec, który usłyszawszy moje słowa, zaczerpnął głęboko tchu, zacharczał, potem znieruchomiał. Ostrożnie dotknąłem jego szyi.

— Na gniew Pana! — warknąłem. — Musiałeś umrzeć właśnie teraz?!

Patrzyłem na martwego Hoffentollera i zastanawiałem się, co robić dalej. Mogłem stąd wyjść, zabrać księgi i przykazać Dawidkowi, żeby nie puszczał pary z gęby. Mogłem też aresztować Matthiasa za posiadanie zakazanych dzieł. Pytanie tylko brzmiało, czy wiedział o tym, co wyprawia jego pradziad? Czy wiedział o stosowaniu czarnej magii i przechowywaniu bluźnierczych ksiąg? Oczywiście, że mogłem bez trudu skłonić go, by przyznał się do wszystkiego. Nawet do tego, że sam jest perskim czarnoksiężnikiem i codziennie lata na miotle z Persji do Cesarstwa i z powrotem. Jednak nie interesowało mnie przecież wymuszone wyznanie win, lecz szczera prawda.

Usiadłem przy stole i kolejny raz zacząłem przeglądać księgi, tym razem jeszcze uważniej niż poprzednio. Nadal nie byłem w stanie odcyfrować aramejskiego alfabetu (dla mnie te litery wyglądały niczym bezładnie rozrzucone patyki), ale mogłem skupić się na ilustracjach. Przyglądałem im się uważnie, kiedy przerwało mi stukanie do drzwi.

— Panie, panie — usłyszałem gorączkowy szept — jesteście tam?

Wstałem i uchyliłem drzwi.

— Dzięki Bogu, jesteście. — Na twarzy Dawidka odbiła się ulga. — Chodźmy już, panie, bo jak się obudzą, źle ze mną będzie.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Jesteś teraz oficjalnym pomocnikiem Świętego Officjum — rzekłem. — I twój pan nie ma nad tobą władzy. — Chłopak, słysząc te słowa, rozpromienił się. — Ale masz rację, że trzeba iść. Zaczekaj jeszcze tylko chwile...

Zamknąłem drzwi i ponownie usiadłem do ksiąg, Znowu zatrzymałem *się* przy ilustracji przedstawiającej mężczyznę leżącego na łożu i stojącą obok tego łoża siódemkę pięknie ubranych młodych kobiet. Na pierwszy rzut oka widać było, iż są niewinnymi dziewicami Nie pytajcie mnie, w jaki sposób ilustrator oddał ich dziewiczość, lecz wierzcie mi, że patrząc na ich twarze, wiedziałem, iż żadna nie zaznała do tej pory męskiego uścisku. Siedem dziewcząt w pięknych, zdobionych szatach. Zaraz, zaraz... Siedem? Czyż ostatnio nie zniknęło siedem młodych chłopek? Przewróciłem kilka stron do tyłu. Tu naga, piękna kobieta oddawała się mężczyznom, lecz na *jej* twarzy nie malowała się ekstaza, a tylko chłodna obojętność. Była to zimna, skupiona twarz, twarz, o której wiedziałem z całą pewnością, że nie chciałbym jej ujrzeć u kochającej się ze mną kobiety. Ilustrator puścił wodze wyobraźni i przedstawił dziewczynę w tak zdumiewających pozycjach miłosnych, że nawet autor słynnych „Trzystu nocy sułtana Alifa" mógłby się nauczyć czegoś nowego. Zaraz, zaraz... Czyż Anna Hoffentoller nie oddawała się wszystkim mężczyznom wokół? Podparłem głowę rękoma. Czy był to tylko przypadek, że życie przypominało ilustracje w tej księdze, czy też Anna i Reutenbach wypełniali jakieś mroczne rytuały? Ha, miałem nad czym myśleć! Wiedziałem, że wyjaśnienia zagadki muszę szukać w zamku margrabiego. Mogłem co prawda przesłuchać Matthiasa Hoffentollera, jednak po pierwsze, mógł nic nie wiedzieć, a po drugie, jeżeli uczestniczył w spisku, te jego uwięzienie stałoby się ostrzeżeniem dla innych. Należało więc zachować daleko posuniętą ostrożność.

I w imię tej ostrożności zdecydowałem się na odłożenie perskich ksiąg z powrotem do skrytki, choć przyszło mi to z trudem, gdyż zdawałem sobie sprawę z nieprzeliczalnej na pieniądze wartości tych tomów.

Surowo przykazałem Dawidkowi milczenie i zagroziłem nie tylko potępieniem w życiu przyszłym, ale i tym, że sprawię, iż życie doczesne stanie się dla niego jednym pasmem cierpienia. Oczywiście wyjaśniłem mu to prostszymi słowami, opisując między innymi, jak wielki ból można zadać mężczyźnie, przebijając mu jądra rozpalonym do czerwoności żelaznym szpikulcem. Myślę, że wziął sobie moje słowa do serca. By nie wzbudzać podejrzeń, położyłem się w ubraniu oraz w butach i zasnąłem mocnym snem. Kiedy gospodarz mnie obudził rankiem następnego dnia, podniosłem na niego nieprzytomny wzrok.

— Ale żeście mnie upili, panie Hoffentoller — poskarżyłem się zbolałym głosem.

Zaśmiał się, lecz z wyraźnym przymusem, gdyż jeszcze niezbyt pewnie trzymał się na nogach, twarz miał szarą, w oczach wyraźny ból kaca.

— Poczęstujcie mnie śniadaniem z łaski swojej i jadę. Może jajecznica na tłustej, przyrumienionej słoninie?

— Wybaczcie — wyjąkał i niemal biegiem wypadł za drzwi.

Potem moich uszu dobiegło soczyste rzygnięcie. Uśmiechnąłem się. Pić trzeba umieć — słusznie mawiał jeden z moich nauczycieli w Akademii Inkwizytorium, *gdyż* wyobraźcie sobie, że uczono tam również bezpiecznego picia trunków różnego rodzaju. Nie ma co, większość z nas lubiła te lekcje... Po śniadaniu, które zjadłem samotnie, pożegnałem się z Hoffentollerem i ruszyłem w drogę. Miałem sporo spraw do przemyślenia. Zakładając, że Reutenbach nie kłamał w sprawie ożenku, pozostawało pytanie: jak dumny feudał będzie mógł pogodzić *się* z tym, że kobietę, którą powiedzie do ołtarza, tarmosił na sianie byle stajenny? Oczywiście słyszałem dziwaczniejsze historie, gdyż wiedziałem, że wielka miłość lub wielkie pożądanie nawet z jaśnie panów są w stanie uczynić godnych pożałowania głupców (jakie to szczęście, iż rzecz podobna nie dotyczyła inkwizytorów!). Margrabia mógł też łgać po to, by zyskać na czasie, pozbyć się z zamku niewygodnego gościa, uśpić czujność Hoffentollera. Ale jaki mógł mieć w tym wszystkim cel? Natomiast jeśli podejrzenia, których nabrałem po obejrzeniu perskich ksiąg, były słuszne, to oznaczało, że Reutenbach akceptuje zachowanie Anny, bo jest ono konieczne do odprawienia rytuałów. Owszem, znałem podobne sprawy i wiedziałem, że co najmniej kilka kultów wymagało uczestnictwa kapłanek-prostytutek w mrocznych obrzędach. Gdyż im bardziej kobieta została splugawiona, tym łatwiej było jej nawiązać kontakt z demonami.

Nie pozostawało mi nic innego, jak udać się w tę część zamkowych lochów, którą ujrzałem w czasie modlitwy. W część schowaną za czerwoną barierą. Mogłem poprosić Reutenbacha o pozwolenie udania się w to miejsce, ale nie zdziwiłbym się, napotkawszy odmowę. Nawet gdyby nie miał nic do ukrycia. Jeśli jednak miał coś do ukrycia, to wyjawiłbym mu tylko, iż poznałem jego tajemnicę, czy też jestem bliski jej poznania. Być może nie zapłaciłbym za to życiem, lecz z całą pewnością stałbym się na zamku wielce niepożądanym gościem, natomiast wszelkie ślady zbrodni pieczołowicie by zatarto. Zastanawiałem się, w jaki sposób rzecz całą przeprowadzić, nie budząc podejrzeń gospodarza. A przynajmniej nie budząc ich dopóty, dopóki nie zbadam tego, co zbadać chciałem. Siedziba Reutenbacha była potężną budowlą. Z mnóstwem komnat, korytarzy i schodów. Bez planów lub przewodnika najprawdopodobniej błądziłbym pół nocy, zanim dotarłbym do celu, jeśli w ogóle bym do niego dotarł. Musiałem więc zyskać przewodnika. Człowiek nieposiadający specjalnych zdolności, jakimi dysponowali niektórzy z inkwizytorów, zastanawiałby się nad zastraszeniem lub przekupstwem. Nie sądziłem, by jedno lub drugie zakończyło się sukcesem. Nie na darmo przecież obsługiwali mnie służący, którzy zdawali się mieć niewiele więcej rozumu niż dobrze wyszkolony pies. Pozostawała mi jeszcze jedna możliwość. Otóż w naszej przesławnej Akademii Inkwizytorium uczono pewnego postępowania pozwalającego na pewien czas zyskać kontrolę nad umysłem drugiego człowieka. Przyznam szczerze, iż wasz uniżony sługa nie celował w tej sztuce, a nauczyciel ostrzegał, że tylko nielicznym spośród nas uda się złamać wolę człowieka stawiającego opór. Jednak głupota przysłanych mi służących mogła w tym momencie obrócić się na moją korzyść. W każdym razie uznałem, że warto spróbować, chociaż ostatni raz podobny zabieg przeprowadzałem jeszcze w Akademii i musiałem dokładnie przypomnieć sobie stosowny rytuał. Nauczyciel zapewniał nas, że nie ma w tej umiejętności niczego z mrocznej magii (zresztą czyż w innym wypadku pozwolono by mu wykładać?), a jest to jedynie sztuka pozwalająca triumfować umysłom wyższym nad niższymi.

Jednakże zanim miałem się tym zająć, wypadało odwiedzić Reutenbacha i zdać mu relację z wizyty u Hoffentollera. Choć, Bogiem a prawdą, niewiele było do powiedzenia z tych rzeczy, które powiedzieć mogłem bez szwanku dla prowadzonej sprawy.

— O, pan Madderdin. — Widząc mnie, nawet się uśmiechnął. — Jak tam wizyta u mojego drogiego przyszłego teścia?

— Krótko mówiąc? Bezowocna — odparłem.

— Powiedzieliście o moich planach?

— Tak, panie margrabio. — I?

— Wydawał się rozbawiony — odparłem zgodnie z prawdą.

— Cóż, na początek może i to dobre... Napijecie się wina?

— Nie odmówię.

Rozlał wino do masywnych złotych kubków. Mój ozdobiono rubinami, jego topazami. Oba zapewne warte były fortunę.

— Za miłość — powiedział, wznosząc kubek.

— Za miłość do Boga — zgodziłem się.

— Mówię o miłości do kobiety — burknął.

— Też właśnie o tym mówię. Nie rozumiecie, że miłość do drugiej ludzkiej istoty może być oparta tylko na bezkresnej miłości do Boga? Jeśli nie pokochaliście Boga, jak możecie kochać którąkolwiek z istot, które stworzył własnymi dłońmi?

Upił dwa łyki i spojrzał na mnie badawczo.

— A wy? Kochaliście kiedyś? Do bólu i rozpaczliwie? Na wieczność?

— Oczywiście. Boga, słowa Pisma...

— Mówię o kobiecie — przerwał niecierpliwie.

— Nie została mi dana ta łaska — odparłem po dłuższej chwili — lub, patrząc z drugiej strony, nie zostałem dotknięty podobnym przekleństwem.

Długo mi się przypatrywał.

— Kłamiesz — rzekł w końcu. — I sam o tym wiesz.

— Ho, ho, ho, czytacie w ludzkich sercach — zadrwiłem.

— Powiedz jej, że ją kochasz, zanim będzie za późno. Tym razem ja zamilkłem na dłuższy czas.

— Oczywiście — powiedziałem wreszcie. — Gdyż marzeniem każdej pięknej damy jest towarzystwo oprawcy z Inkwizytorium.

— A więc jednak istnieje jakaś dama... — Uśmiechnął się, potem znowu spoważniał. — Przecież nie myślicie o sobie w ten sposób.

— Ja nie. Wystarczy, że inni myślą. Jeśli kogoś kochacie, nie skażecie go na taki los.

— Ludzie — warknął. — Co was obchodzą ludzie? Co was obchodzą plotki i złe języki? Co was obchodzi wszystko, kiedy wiecie, że to jest ta jedna jedyna? Wymarzona, wyśniona i upragniona. Że nie możecie bez niej oddychać, tylko krztusicie się w beznadziejnych spazmach. Że wasze serce bije po to, by ona dotknęła rękę waszej piersi, że oddychacie tylko w tym celu, by swój oddech *złączyć z jej* oddechem.

— *Wszystko, co człowiek zwykł poważać, trwa dzień zaledwie, chwilę jedną... Miłości, gdy spełnione, bledną, a pędzel niszczy sny malarza —* powiedziałem.

— Nie — odparł, *nie* próbując nawet dyskutować. Słyszałem jednak, jaka była wewnętrzna moc w wypowiedzianym przez niego zaprzeczeniu, i podziwiałem to.

— Kim ona jest, panie Madderdin? — zapytał.

— Kim jest kto, panie Reutenbach?

— Pewnie jakaś kurwa, w której zakochaliście się w czasie jednej z wizyt w burdelu...

Nawet nie zorientowałem się, gdy trzymałem go za gardło i przypierałem do ściany. Poczerwieniał, lecz zdołał jeszcze wycharczeć:

— Puśćcie, na miłość Boga!

Puściłem dopiero po chwili, wściekły na siebie, że dałem się sprowokować, zanim zdążyłem pomyśleć. To nie przydarzało się często waszemu uniżonemu słudze. Margrabia rozkaszlał się i sporo czasu minęło, zanim mógł znowu przemówić.

— Na miecz Pana, macie niezłą rękę... — wydyszał. Cofnąłem się o dwa kroki i, wierzcie mi, byłem mocno skonfundowany.

— Wybaczcie, panie, że uchybiłem powinnościom gościa.

Machnął ręką.

— Chciałem tylko wiedzieć, teraz już wiem.

— Ja *jej* uratowałem życie, ona mnie uratowała życie — powiedziałem, wpatrując się w ścianę gdzieś po nad jego głową. — Tylko raz ją objąłem, wiecie? Przecież to nie może być miłość...

Dlaczego mu to wszystko mówiłem? Może dlatego, że wiedziałem, iż stoi nad grobem.

— Miłość nie jest grzecznym gościem, panie Madderdin. Miłość nie zapowiada swej wizyty na dwa tygodnie wcześniej. Miłość jest jak złodziej wślizgujący się do waszego domu i kradnący wszystko, co macie najcenniejszego. Przypomina piorun spadający z pogodnego nieba. W pojedynku z miłością macie tak samo wielkie szanse jak kurczak przy jastrzębiu.

— Zawsze można uciec...

— Czyż nie to właśnie robicie? I co? Lepiej wam z tym?

— Nie — powiedziałem spokojnie. — Gdyż kiedykolwiek widzę coś pięknego, chciałbym to pokazać właśnie jej. Chciałbym dzielić z nią każdą chwilę zachwytu. Tyle że ja rzadko widuję piękne rzeczy, panie Reutenbach. Wokół mnie są strach, nienawiść, krew, smród i ból. Byłaby zachwycona, prawda?

Przyglądał mi się bez słowa, a na jego twarzy ku swojemu zdumieniu ujrzałem współczucie.

— Jestem stary, zgorzkniały, co dnia odnajduję na mej głowie nowe siwe włosy. Każdego ranka muszę się przekonywać, że warto jeszcze żyć. Ktoś kiedyś, margrabio, powiedział, że przeraźliwą rzeczą jest zasypiać ze strachem, iż się nigdy nie obudzicie. Ja zasypiam ze strachem, że następnego dnia jednak się obudzę... I tylko wiara trzyma mnie przy życiu, kiedy podnoszę głowę ze snu.

W milczeniu znowu napełnił nasze kubki.

— Powiedz jej wszystko, tak jak powiedziałeś mnie Boisz się, że nie odwzajemnia uczucia?

— Pomogłem *jej.* Wyznanie miłości brzmiałoby ni czym żądanie spłaty długu.

— Zaufaj. — Nie.

Reutenbach podszedł tak blisko, że poczułem jego przesycony winem oddech.

— Chcesz umrzeć, głupcze, żałując, że nigdy nie odważyłeś się na krok, który zawsze pragnąłeś uczynić?

— Dajcie pokój mojemu życiu, margrabio — poprosiłem. — Nie jest warte naszej konwersacji.

Prychnął, odszedł ode mnie i usiadł w fotelu.

— Dziwnie plotą się ludzkie losy — rzekł — a wy dziwnym jesteście inkwizytorem.

Uznałem to za komplement, lecz byłem wściekły na siebie za chwilę słabości. Kto kazał mi wygadywać bzdury przy obcym człowieku i spowiadać się z lęków oraz pragnień, o których prawdziwości sam nawet nie byłem przekonany?

— *Czemuż mam zgłębiać miłość, szukać jej zawzięcie? Jest od Boga i ludzkie przekracza pojęcie. Ja studiuję nienawiść z ogromną pilnością, bo tę namiętność mam w swej władzy przecie —* powiedziałem gorzko i wbrew sobie.

Spotkałem chłopaków i rozkazałem, by pojawili się u mnie w komnacie, gdy księżyc zajdzie za północną basztę. Trzeźwi — zaznaczyłem bardzo wyraźnie. Potem wróciłem, odczekałem, ile trzeba, i wezwałem służącego, którego oddano pod moje rozkazy. Zdjąłem z szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem.

— Siadaj — rozkazałem chłopakowi, wskazując zydel.

— Jakże to tak? — Na jego twarzy odbiło się tępe zdumienie.

— Siadaj — rzuciłem już ostrzejszym tonem, a on przycupnął na samym skraju, wyraźnie wstrząśnięty tym, jak można siedzieć w towarzystwie gościa samego pana margrabiego.

— Popatrz no tu — rzekłem, zbliżając krzyżyk do jego twarzy. Poruszyłem palcem, wprawiając łańcuszek w wahadłowy ruch. — Patrz cały czas.

— Paczę, panie.

Faktycznie zobaczyłem, że wodzi wzrokiem za poruszającym się i migoczącym krzyżykiem.

— Martinie, pomyśl sobie, że leżysz na mięciutkim, suchym sianie — zacząłem powoli, łagodnym głosem. — Słońce świeci ci nad głową. Ogrzewa cię. Jest takie żółte i ciepłe. Nic ci się nie chce i nic nie musisz robić. Jest cichutko i spokojnie. Przyjemnie, prawda?

— Aha — bąknął.

— Możesz tak leżeć i leżeć bez końca. Oczy ci się same zamykają, a ręce i nogi masz bardzo, bardzo ciężkie. Nawet nie próbujesz ich podnosić, bo po co? Będziesz tak wygrzewał się w słońcu, czyż nie?

— Bę-dę.

— Masz ciężkie obie nogi i ciężkie obie ręce. Twoja głowa jest też taka cięęężka. Ale leży sobie na mięciutkim, ciepłym sianie. I jest ci tak dobrze, że niczego innego nie chcesz. Nie ma się po co ruszać, prawda?

— Praw-da — jego głos zdawał się dobiegać jakby z oddali. Nie ma co ukrywać: szybko mi to szło.

— Teraz zamknij oczy. Zasypiasz słodkim snem Odczekałem chwilę, aż zobaczyłem, że gałki jego oczu poruszyły się pod powiekami.

— Martinie, kiedy pstryknę palcami i powiem "raz dwa, trzy", wtedy obudzisz się i nie będziesz pamiętał nic z tego, co zaszło, rozumiesz?

— Ehem.

— Ale teraz będziesz odpowiadał na moje pytania tak?

— Tak.

— Znasz dobrze zamek, prawda?

— Dobrze.

— Schodzisz czasami do piwnic?

— Nie, do piwnic nie wolno. Martin dobry, Martin nie chodzi do piwnic...

— Martinie, przecież byłeś troszeczkę ciekawy, prawda?

Milczał i tylko ruszał ustami, jakby coś przeżuwał.

— Martinie — powiedziałem ostrzej — masz mówić prawdę.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, po jego policzkach zaczęły płynąć łzy grube jak groch.

— Zły Martin, zły — wyjąkał. — Wie, co jest w piwnicy. Ale nie wolno mówić!

— Teraz już wolno, Martinie. Pan margrabia bardzo prosił, żebyś wszystko mi opowiedział. Da ci za to złotego dukata i nowe buty z czerwoniuśkiej skóry.

— Mmmmm... — Widziałem po wyrazie jego twarzy, że się rozmarzył.

— Co zobaczyłeś w piwnicy, Martinie?

— Martin widział dziewczynę. Ona tam mieszka. Ha, a więc jednak!

— Tylko jedną dziewczynę?

— Olof bardzo się upił — powiedział, wydawałoby się, zupełnie nie na temat. Ale sądziłem, że wiem, w którą stronę zmierzają jego myśli.

— I co powiedział ci Olof, jak się tak bardzo upił?

— Że jest ich siedem — wyszeptał. No to byliśmy w domu.

— Martinie, teraz zaprowadzisz mnie do wejścia do piwnic.

— Nie wolno! — Jego powieki poruszyły się niespokojnie. — Strażnicy. Odpędzą.

— Strażnicy nie zobaczą — powiedziałem łagodnym tonem. — Będziesz niewidzialny. Zobacz. — Dotknąłem opuszkami palców jego skroni. — Nacieram cię czarodziejską maścią. Czujesz, prawda?

— Yhy.

— I teraz już jesteś niewidzialny. Zupełnie jak w bajkach. Nikt cię nie może zobaczyć oprócz mnie.

— Mmmmm... — tym razem w pomruku dał się słyszeć wyraźny zachwyt.

Kostuch i bliźniacy pojawili się kilka pacierzy później.

— Czas na akcję, chłopaki — obwieściłem. — Waleczne serca do boju!

Zapatrzyli się na mnie z niezrozumieniem. Ach, jak zwykle rzucałem perły swego intelektu przed wieprze...

— W piwnicach jest uwięzionych siedem porwanych dziewic, które mają zostać oddane demonowi w trakcie trwania bluźnierczego rytuału. Potem zostaną przez niego splugawione. Nasza misja jest prosta: znaleźć i ocalić.

— Siedem dziewic — powtórzył Kostuch, obnażając w uśmiechu szare, poszczerbione łopaty zębów.

— *Siedem —* dodał Pierwszy, wytrzeszczając oczy.

— Dziewic — oblizał się Drugi i aż zatarł pulchne dłonie. — Splugawione... — Oblizał się jeszcze mocniej.

— Czy słowo „ocalić" zabrzmiało wystarczająco wyraźnie? — zapytałem, widząc ich reakcję.

— Reutenbach ma ze trzydziestu ludzi — mruknął Pierwszy po chwili.

— Powiedziałbym raczej: czterdziestu — sprostowałem. — Tylko czy ja chcę z nimi walczyć? — Wzruszyłem ramionami. — Wyciągamy dziewczyny, aresztujemy Reutenbacha i po sprawie. Poza tym czyżbyście się bali kucharzy, kuchcików, łaziebnych, ogrodników i stajennych?

— Ma też niby żołnierzy — odezwał się Drugi.

— Może... wezwiesz inkwizytorów, Mordimerze? — spytał Kostuch.

— Ha, od kiedy masz świetne rady na podorędziu? — Spojrzałem w jego stronę.

Pomysł z wezwaniem pomocy z Hezu lub nawet z najbliższego oddziału Inkwizytorium nie byłby taki zły. Pod warunkiem, że mielibyśmy kilka dni czasu. Obawiałem się jednak, iż na to, niestety, nie możemy liczyć. Dlatego należało poradzić sobie we czterech: ja. Kostuch i bliźniacy (jak to zazwyczaj bywało), czyli czterech szlachetnych paladynów kontra zastępy służące książętom ciemności! Przeciwko nam mógł wystąpić raptem tylko margrabia i kilkudziesięciu jego ludzi. Betka! Nie w takich opałach już bywaliśmy.

— Chciałbyś żyć wiecznie, Kostuch? — zapytałem ironicznym tonem.

— Zdejmujemy każdego po drodze — rozkazałem, patrząc już na nich wszystkich. — Nie zabijajcie, póki nie będzie to absolutnie konieczne. Dać w głowę, związać sznurem, potem szmata w zęby, zostawić gdzieś w kącie. Pamiętajcie, że jesteśmy tu gośćmi!

— Żeż ty, niby wielkopańskie grzeczności — zadrwił Drugi.

— Chciałeś coś powiedzieć, bliźniak? Źle tu jadłeś i piłeś? Gospodarzowi należy się trochę szacunku. — Spojrzałem prosto na niego. I spojrzałem naprawdę złym wzrokiem, gdyż nie znoszę, kiedy ktokolwiek kwestionuje moje rozkazy.

Otworzył tylko usta i znieruchomiał tak na chwilę. Przypominał w tym momencie spuchniętego karpia.

— To dobrze, nie ma co gadać zbyt wiele — skwitowałem serdecznie. — Poza tym na pewno nikt nas nie zaczepi aż do samych piwnic. Służba wie, że jesteśmy gośćmi margrabiego, i nie będzie niczego podejrzewać.

— Pierdolić takie tam, prawda. Zabijać nie wolno, chędożyć nie wolno... — odezwał się Pierwszy.

— Bliźniak, czy ja wam kiedyś zabraniałem zabawy? Tylko pamiętaj, że na zabawę musi być odpowiedni czas. Macie moje słowo, że jak wszystko dobrze się skończy, pofiglujecie sobie ze służebnymi.

Tak to już jest, że psom czasem trzeba rzucić kość do ogryzienia, by nie zechciały spróbować smaku twojego karku. Służebnym dziewkom margrabiego nic się prze*cież nie* stanie, jak Pierwszy i Drugi pobrykają z nimi przez chwilę lub dwie.

— Mordimerze, ty to jesteś, prawda, swój chłop — rozpromienił się Pierwszy. — Co, brat?

— Niby tak.

— Ja już sobie kucharkę ichnią, prawda, upatrzyłem — pochwalił się. — Taaakie ma.

— Kucharkę to ja pierwszy sobie upatrzyłem! — obruszył *się* Drugi.

— A co, mało będziecie mieli czasu? — powiedziałem pojednawczo. — Ta rzecz nie jest z mydła, nie wymydli *się.* Poza tym dobrze wyszkolona niewiasta zadowoli i pięciu chłopów naraz, nie tylko was dwóch. Nie ma się o co spierać.

Dałem im czas, by przemyśleli moje słowa.

— Dobra, idziemy — rozkazałem.

Spojrzałem na służącego, który stał martwo pod ścianą i wpatrywał się niewidzącymi oczami w jakiś punkt na przeciwległej ścianie.

— Martinie, słyszysz mnie?

— Tak. Słyszę — odparł głuchym tonem.

— Poprowadzisz nas teraz do piwnic. Zrozumiałeś?

— Tak. Zrozumiałem.

— Do tego miejsca, gdzie mieszkają dziewczyny.

— Do tego miejsca. Tak.

— Co on jakiś taki, niby nie wiadomo co? — Drugi pomachał służącemu dłonią przed nosem, lecz ten nawet nie zareagował.

Podróż zamkowymi korytarzami minęła nam szybko. Raz tylko natknęliśmy się na służącą, która na szerokim parapecie oddawała się jednemu z żołnierzy margrabiego, ale kazałem chłopakom zostawić ich w spokoju, gdyż szczęśliwa parka nawet nie zauważyła, kiedy przechodziliśmy obok. Martin prowadził nas jak no sznureczku i zastanawiałem się, jak byśmy sobie bez niego poradzili, bowiem zamek Reutenbach i tak przypominał labirynt, natomiast nocą ten labirynt stawał *się* wręcz nie do przebycia. Wreszcie zawędrowaliśmy niemal do celu — kazałem służącemu usiąść pod ścianą i czekać na dalsze polecenia, gdyż byłem pewien, że będę go jeszcze potrzebował.

Wejścia do piwnic nikt nie pilnował, lecz wiedziałem, że w sali za schodami będzie co najmniej dwóch ludzi. Tego zresztą można się było spodziewać. Przecież właśnie tam znajdowało się nie tylko przejście do więzienia porwanych dziewcząt, ale również drzwi do zbrojowni, magazynu, wędzarni oraz loszku z winami. Margrabia wolał, by ktoś nad tym wszystkim czuwał, słusznie sądząc, iż nie wystarczy tylko polegać na jakości zamków. Nie wiedziałem, czy zawsze stawia tu wartowników, czy też nasza wizyta była powodem, że kazał im strażować. I nie zamierzałem o to pytać. Zszedłem ze schodów.

— Panie margrabio — powiedziałem głośno, odwracając twarz w stronę szczytu schodów — pańscy ludzie czuwają. Gratuluję! Przegrałem zakład — wyjaśniłem strażnikom, przywołując na usta szczery, szeroki uśmiech. Wstali, przypatrując mi się na razie ze zdziwieniem, ale bez podejrzliwości. — Pan margrabia twierdził, że czuwacie, ja, że na pewno śpicie, pijecie albo chędożycie dziewki. Sto koron przegrałem przez was, cholerne psubraty!

Zapatrzyli się w stronę schodów, oczekując, iż zobaczą za chwilę zmierzającego w ich stronę Reutenbacha. I na ich twarzach widziałem już dumę oraz tęskne oczekiwanie pochwały. O ludzka naiwności! Pierwszemu z wartowników umiejętność mowy odebrał dobrze wymierzony cios w jądra, lecz drugi okazał się szybszy i bystrzejszy od kamrata. Uskoczył, nie zdążył jednak wyciągnąć miecza, kiedy zbiegający ze schodów Kostuch wpadł na niego całym ciężarem. Z łomotem uderzyli o ścianę. Ale podniósł się już tylko Kostuch.

— Związać, zakneblować, zabrać klucze — rozkazałem.

Potem wrzuciliśmy ich do wędzarni. Jak się ockną, przynajmniej będą mogli sobie powdychać wspaniały zapach szynek oraz kiełbas.

— Dobra, chłopaki. Pierwszy, Drugi, na górę i uważajcie, żeby żaden skurwysyn nie wszedł do piwnic. I pilnujcie też, żeby Martin nigdzie nie polazł. Kostuch, za mną.

Trzeci klucz, którego spróbowałem, otwierał zamek do właściwej części lochów. Kostuch się zatrzymał.

— Co jest? — Spojrzałem na niego.

— Ból — powiedział.

— Boli cię co?

Spojrzał na mnie jak na idiotę.

— W tych ścianach jest ból, Mordimerze.

Kostuch umie czytać przeszłość zawartą w murach, zwłaszcza tę, która pozostawiła po sobie ślad tortur, cierpienia i śmierci. Teraz potwierdziło się, dlaczego w części korytarzy z mojej wizji widziałem te potwornie zniekształcone ciała i twarze. W tym miejscu musiała niegdyś znajdować się katownia. Może dziadek Reutenbacha nie mógł zasnąć, zanim nie wysłuchał cowieczornej porcji jęków oraz błagań o litość? Znałem człowieka, który torturowanych więźniów nazywał swymi najlepszymi śpiewakami. Cóż, źle skończył kardynał Beldaria zwany Diabłem z Gomollo, a wasz uniżony sługa przyczynił się do upadku eminencji. Ponieważ Beldaria chciał i mnie nauczyć śpiewu podobnego rodzaju, lecz ta próba nie wyszła mu na dobre. Oderwałem się od myśli o dawnych latach. Było pewne, że w tych lochach zabito i zamęczono wielu niewinnych ludzi. Bowiem winni nie zostawiają aż tak silnego śladu, gdyż ich dusze wiedzą, że zasługują na śmierć oraz cierpienie.

— To wszystko z dawnych lat — dodał Kostuch.

I to była pocieszająca wiadomość, bo oznaczała, że żadnej z dziewcząt nie wyrządzono jeszcze krzywdy, co za tym idzie, nie dokonano bluźnierczego rytuału. Oznaczało to również, że margrabia Reutenbach nie gustował w podobnych przyjemnościach co jego przodkowie i dobrze to o nim świadczyło. Pochwalałem tak umiarkowane zachowanie, ponieważ jestem człowiekiem, który nie lubi zadawania bólu bliźnim, jeśli zadawanie tego bólu nie jest konieczne do osiągnięcia wyższych celów.

Korytarz skręcał w prawo, więc wyjrzałem za róg. Przy drzwiach siedziało dwóch wartowników. Nie powiem, by specjalnie przejmowali się swym zajęciem. Jeden drzemał z głową opartą na dłoniach, drugi rzeźbił niewielką drewnianą figurkę, przygryzając przy tym język z wysiłku. Ot, domorosły artysta... Problemem było tylko jedno. Strażnicy znajdowali się dobre kilkanaście kroków od nas i obawiałem się, że zdążą zaalarmować towarzyszy, zanim do nich podbiegniemy. Wyraźnie widziałem sznur biegnący w stronę sufitu i dałbym sobie rękę uciąć, że jest połączony z dzwonkiem na wyższym piętrze. A nie chciałem przecież mieć na głowie zgrai zabijaków margrabiego. Chciałem sprawę załatwić szybko, sprawnie, czysto i bez zbędnych ofiar. Jeśli takowe się przytrafią, nikt, oczywiście, nie będzie płakał, ale po co od razu zakładać robienie jatki? W końcu byłem na tym zamku gościem, a gościowi nie wypadało rewanżować się gospodarzowi za pomocą wybijania mu w pień służby, gdyż byłoby to co najmniej niedelikatne i niegrzeczne. Kostuch wyciągnął sztylet.

— Na trzy, cztery? Ty śpiącego, ja drugiego... Tylko szeptał, lecz szeptał, niestety, tuż przy moim uchu, więc zgniłe powietrze z jego ust mnie owionęło. Postanowiłem rozegrać sprawę po swojemu.

— Na gwoździe i ciernie! — zawołałem głośno i wyszedłem zza rogu. — Gdzie tu jest wychodek?

Śpiący strażnik poderwał się, ten drugi porzucił rzeźbioną figurkę.

— Gdzie jest wychodek, pytam? — Zbliżyłem się o kilka kroków. — Mam się wysrać pod ścianą?

I już byłem przy nich. Śpioch oberwał łokciem w dołek, artystę uderzyłem pięścią pod brodę. Obaj zgaśli jak świeczuszki utopione w misce pełnej wody.

— No i co? Trzeba od razu zabijać? — spytałem Kostucha.

Obszukałem ciała i spostrzegłem, że żaden ze strażników nie ma kluczy. Ha, więc margrabia nie ufał im na tyle, by dać możliwość otwarcia tych drzwi. Zresztą słusznie, gdyż jeśli faktycznie ukrył tam siedem dziewic, to strażnicy mogli sobie popić i przynajmniej niektóre z nich zamienić w kobiety doświadczone. Co margrabiemu na pewno popsułoby szyki.

Wydobyłem narzędzia i pomajstrowałem przy zamku. Był nieco bardziej skomplikowany niż ten, który otworzyłem u Hoffentollera, ale i tak nie sprawił mi szczególnych problemów. Cichutko odemknąłem drzwi, tylko po to, by wejść do sieni i natknąć się na drzwi następne. Te jednak były zawarte tylko na zwyczajną zasuwkę. Przesunąłem ją i zajrzałem do środka przez szparę.

Średniej wielkości izba rozjaśniona była płomieniami świec. Zauważyłem dziewczęta. Trzy siedziały na łóżku i grały w karty, jedna wyszywała coś, siedząc w głębokim fotelu, kolejna poprawiała włosy przed ogromnym kryształowym lustrem, a dwie pozostałe zajadały się przy stole owocami i słodyczami. Nawet jeśli było to więzienie, to trzeba przyznać, że margrabia dbał o więźniarki. Wszedłem do środka, Kostuch za mną, i wtedy stało się coś, czego bynajmniej nie przewidziałem. Pierwsza z dziewcząt wrzasnęła przerażona, za nią druga i trzecia, aż wreszcie wrzeszczały wszystkie. Rozpaczliwie, histerycznie i ogłuszająco. Dostałem w głowę kiścią winogron, a Kostuch odbił sprzed twarzy srebrną szczotkę do włosów.

— Spokój! Cisza! — ryknąłem. — Jestem tu, żeby was uratować!

Nie wiem, czy mnie słyszały, czy nie, jednak na pewno w żaden sposób nie dały znać po sobie, że pojęły moje słowa. Cóż, trzeba było uciec się do przemocy. Trzasnąłem najbliżej stojącą w twarz, drugą cisnąłem na łóżko. Jakże żałowałem, że nie mam solidnej rózgi z wierzbowych witek! Kostuch okazał się lepszym mediatorem ode mnie. Wyszarpnął zza pasa krzywą szablę, uderzył nią w srebrny dzban, przecinając go na pół, i huknął:

— Milczeć, bo zarżnę was wszystkie, małe kurwiszony!

Zdumiewające, lecz to właśnie poskutkowało. Po woli cichły, aż wreszcie wszystkie, objęte i przerażone skuliły się na łóżku.

— Proszę, proszę, nie róbcie nam krzywdy... — powiedziała drżącym głosem dziewczyna wyglądająca na najstarszą z całej siódemki.

Zauważyłem, że wszystkie z lękiem i obrzydzeniem wpatrują się w Kostucha, i teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że zabranie mego towarzysza na misję mającą na celu ratowanie dziewic nie było prawdopodobnie najlepszym pomysłem. Zwłaszcza że Kostuch mrugnął właśnie do jednej z nich i oblizał się. Dziewczyna zaszlochała i skryła się pod pachą przyjaciółki.

— Wyjdź — rozkazałem. — Pilnuj drzwi. Burknął coś wściekle, jednak usłuchał.

— Moje drogie — rzekłem, starając się nadać głosowi aksamitną miękkość — przybyliśmy tu, by was ratować. Dowiedziałem się, że w okolicy zaginęło siedem dziewcząt, i postanowiłem je odnaleźć. Bogu dziękować, właśnie odnalazłem. Będziecie mogły wrócić do swych domów i rodziców!

Nie wiem, czy spodziewałem się wybuchu szaleńczego entuzjazmu, radości i całowania po rękach, lecz na pewno nie spodziewałem się jednego: lodowatej ciszy, która powitała moje słowa. Później tę ciszę rozdarł rozpaczliwy szloch dziewczyny wyglądającej na najmłodszą.

— Znowu będę musiała pasać świnie? — udało jej się spytać przez łzy.

— A tatko znowu będzie pijany? I będzie bił sztachetą? — to odezwała się następna.

— I będą chcieli mnie wydać za starucha z sąsiedztwa?!

— Na przednówku będziemy jeść zmarzniętą rzepę?

I tak ciągnęły się te pytania. O pranie odzieży w lodowatym strumieniu, zbieranie chrustu w zimie, o porwane sukienki i noszenie wiader wody. I tak dalej, i tak dalej.

— Cisza — nakazałem w końcu, zbierając myśli. — Dzieci, dano wam suknie i dobre jedzenie, nie kazano pracować i dbano o was. Ale to miało trwać jedynie przez chwilę. Źli ludzie chcieli was zabić, posłać jako ofiarę potężnemu demonowi. Ja przybyłem, by nie pozwolić, żeby demon was skrzywdził.

— Ten demon? — zapytała jedna z dziewcząt, wskazując palcem za moje plecy.

Gdybym usłyszał podobne słowa z ust mężczyzny, słusznie domniemywałbym, że chce mnie zmusić do odwrócenia wzroku, by potem zaatakować. Lecz w jaki sposób mogła mnie zaatakować dziewczyna siedząca na łóżku? Ciosem haftowanej ciżemki? Dlatego błyskawicznie się odwróciłem. Na szczęście w komnacie nie było żadnego demona. Natomiast w wielkim kryształowym lustrze nie odbijał się już obraz pokoju, lecz widziałem w nim ogromne łoże z baldachimem i mnóstwem zdobionych poduch. Na łożu leżał młody, smagły mężczyzna w białej, haftowanej szacie. Na piersiach miał wieniec z kolorowych kwiatów.

— Kim jesteś? — zapytał z wyraźnym niezadowoleniem i zmarszczył brwi.

Zbliżyłem się do lustra. Najwyraźniej albo było magiczne, albo zostało potraktowane zaklęciem i odbijało obraz pochodzący z innego świata. Czyżby właśnie ten mężczyzna był demonem? Czemu nie? Widziałem kiedyś przecież piękną demonicę Hagath, rozmawiałem z nią i nawet oferowałem jej dar, który nie był nic wart w naszym świecie, lecz ją skłonił do posłusznego oddalenia się w miejsce, skąd przybyła. Doświadczeni znawcy wiedzieli również dobrze, że wśród demonów są zarówno takie najchętniej chłepczące ludzką krew lub karmiące się ludzkim nieszczęściem, jak i takie, które są najdalsze od okrucieństwa czy przemocy. Co nie znaczyło jednak, iż nie były diabelskimi tworami, których samo istnienie urągało naszej świętej wierze. — Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem inkwizytorem — odparłem. — A ty?

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym sięgnął gdzieś w bok (nie widziałem gdzie, gdyż zaczynała się już tam rama lustra) i wyciągnął kiść winogron. Leniwym ruchem włożył sobie jedno do ust.

— Jestem Strażnikiem — objaśnił.

— Co dalej? — spytałem, widząc, że nie zamierza nic więcej tłumaczyć.

— Dalej to już sobie idź — powiedział kapryśnym tonem.

Ująłem srebrną paterę stojącą na stole.

— Na ile kawałków roztrzaska się to lustro? Westchnął.

— Jestem Strażnikiem. One są daniną dla mnie. Po to, bym przez następne siedemdziesiąt lat pilnował Bramy.

— Co im zamierzasz zrobić? Pożresz je? Wypijesz ich krew? — Z łóżka dobiegły mnie przerażone piski.

— Oczywiście, że nie. — Uniósł się na łożu. — Mam tu wystarczająco dużo jedzenia, by nie musieć zjadać ludzi. — Na jego twarzy odbiło się obrzydzenie. — Będę je rozpieszczał, a one będą rozpieszczać mnie. Będą wiecznie młode i nieśmiertelne, potem, za siedemdziesiąt lat, odeślę je do twojego świata obsypane darami. I dostanę następne.

— To tylko plugawe kłamstwa — zawyrokowałem.

— Cokolwiek bym z nimi zrobił, lepsze to, niż kiedy przestanę pilnować Bramy — rzekł. — Ale jeżeli rzeczywiście jesteś inkwizytorem, powinieneś wiedzieć, że mówię prawdę.

Nie tak łatwo rozpoznać kłamstwo w słowach demonów bez przeprowadzenia stosownych rytuałów. Bo czyż demony nie są istotami poczętymi z kłamstwa?

— Kogo nie chcesz puścić za Bramę? Czym jest Brama?

— Tego, kogo przywołano — odparł.

— Maurycy Hoffentoller. On to zrobił.

— Chyba tak się nazywał. Starzec pragnący zemsty. Wezwał go i tylko ja mogę nie wpuścić go do waszego świata. Jednak, jak zapewne wiesz, za wszystko trzeba zapłacić. A moja cena jest właśnie taka. — Powiódł wokół dłonią, co miało oznaczać tych siedem dziewcząt.

— Posłuchaj...

— Nie, to ty posłuchaj — przerwał mi. — Chcę mojej kapłanki i chcę, żeby wreszcie odprawiła rytuał. Niczym nie możesz mi zagrozić, gdyż jestem tylko odbiciem w lustrze.

Niestety, była to prawda. Nie miał fizycznej formy, więc mógł sobie do woli ze mnie kpić. Miałem pewność, że świątobliwi mnisi z klasztoru Amszilas poradziliby sobie z tym problemem, lecz ja byłem jedynie prostym inkwizytorem, niemającym najmniejszego pojęcia, jak zmusić do posłuszeństwa obraz odbity w lustrze.

— Twojej kapłanki... Aha!

Teraz wiedziałem na pewno, że chodziło o Annę Hoffentoller. Więc sprzeciwiła się swemu prapradziadowi i pragnęła zniweczyć skutki zaklęcia, które ten przywołał. Czarna magia kontra czarna magia. O tak, z całą pewnością brakowało tu inkwizytora!

Zbliżyłem się i dotknąłem ramy. To lustro było zwyczajnym, niemagicznym przedmiotem, oczywiście pięknym i najpewniej niezwykle kosztownym. Nałożono na nie jakiś czar, ale równie dobrze można by go nałożyć na ścianę lub szafę.

— I jak będzie? — zapytał protekcjonalnym tonem, przyglądając mi się z wyższością.

Znowu odszedłem na kilka kroków.

— Do widzenia — odparłem i cisnąłem paterą prosto w lustro.

Kryształ z jękiem rozpadł się na dziesiątki odłamków. Dziewczęta krzyknęły przerażone.

— Nie, nie! — usłyszałem.

Obróciłem się w ich stronę. Najstarsza patrzyła na mnie z wyrzutem i niechęcią.

— Był taki dobry, taki miły...

— Obiecywał nam, że będziemy szczęśliwe! — wykrzyczała druga.

— A ty go zabiłeś! — w głosie trzeciej wibrowała nienawiść.

Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem. Może powinienem zabrać dziewczyny, potem ludzie przysłani na zamek margrabiego dokładnie zbadaliby lustro. Tyle że byłem pewien, iż demona w nim już nie będzie. Lustro było jedynie furtką czy oknem, przez które obserwował nasz świat i z którego spodziewał się daru. Co mu szkodziło odejść od furtki? Niestety, oczywiście go nie zabiłem. Demony nie giną tak łatwo. Natomiast furtkę wolałem zniszczyć, by nie sprawił mi jakichś niespodzianek. Jeśli chodzi o zaklęcie, które ją otworzyło, to Anna Hoffentoller będzie miała mnóstwo czasu oraz mnóstwo sposobności, by dokładnie odpowiedzieć na każde zadane jej pytanie. A im szybciej i składniej będzie odpowiadać, tym mniej wycierpi. Przynajmniej to właśnie się jej obieca...

Teraz dziewczęta były ocalone, teraz demoniczny rytuał nie mógł już zostać wypełniony. Oczywiście nie mogłem ich na razie uwolnić. Lepiej będzie, jak zostaną w tej całkiem miło urządzonej komnacie do czasu, kiedy zamek Reutenbach nie stanie się bezpiecznym miejscem. Zdecydowałem, że bliźniacy pozostaną na straży piwnic, natomiast ja i Kostuch udamy się do sypialni margrabiego, by aresztować zarówno jego samego, jak i Annę. Podejrzewałem, że tak jak w większości przypadków wystarczy uwięzić dowódcę, powołać się na powagę Świętego Officjum, zagrozić karą za opór i połechtać nagrodą za posłuszeństwo, by wszyscy już pokornie poddali się moim rozkazom. Bowiem nie siła oręża miała mnie chronić, lecz powaga mej profesji. Wszyscy wiedzieli, że porzekadło mówiące: „Kiedy ginie inkwizytor, czarne płaszcze ruszają do tańca" jest bardziej niż prawdziwe. Za śmierć inkwizytora odpowiadali nie tylko sprawcy, nie tylko ci, którzy znajdowali się w ich najbliższym otoczeniu, lecz również rodziny winnych. Przyjaciele. Znajomi. Sąsiedzi. Dlatego rzadko zabijano inkwizytorów, chyba że ludziom czerwona fala nienawiści przyćmiewała jasność myślenia. Jednak z doświadczenia wiedziałem, że zdarza *się* to niezwykle rzadko. Skłonni do oporu byli jedynie szaleńcy lub zdeklarowani heretycy, wiedzący, że nic ich już nie wybawi od uwięzienia oraz przesłuchań. Albo możni feudałowie, liczący, iż uratują ich koneksje na cesarskim, papieskim łub biskupim dworze. Natomiast każdy, kto widział w sobie ziarenko niewinności, chciał przekonać przedstawicieli Świętego Officjum, że to ziarenko tak naprawdę jest ogromnym głazem. „Ja nic nie wiem", „ja tylko wykonywałem rozkazy", „zmuszono mnie", „pewnie zostałem zaczarowany"... — każdy chciał mieć szansę, by użyć tych argumentów. Jednak w momencie, kiedy stanęło się z mieczem w dłoni przeciwko inkwizytorowi, żadne z podobnych tłumaczeń nie mogło już posłużyć do obrony. Opór przeciw Inkwizytorium można by porównać do mierzenia się z falami przypływu. Nawet jeśli pierwsza fala była maleńka, powinieneś wiedzieć, że w końcu przyjdzie tak wielka, iż zagarnie cię bez reszty. Moim zadaniem było uświadomienie ludziom, że warto poddać się pierwszej fali.

— Idziemy — rozkazałem Kostuchowi.

Znowu kazałem prowadzić nas Martinowi i nie niepokojeni dotarliśmy w pobliże sypialni margrabiego. Na korytarzu przed drzwiami siedziało na ławie dwóch dworzan. Tak jak poprzednio zastanawiałem się, czy zawsze ich obowiązkiem było pilnowanie tej komnaty, czy też poruczono im to zadanie z uwagi na moją obecność. Obaj drzemali z głowami opartymi o ścianę. Podeszliśmy, kątem oka zauważyłem, jak Kostuch wyjmuje nóż.

— Nie zabijaj! — syknąłem.

Sam chwyciłem dworzanina za łeb i huknąłem nim w mur. Nawet nie pisnął.

— Którego ze słów nie zrozumiałeś w rozkazie „nie zabijaj"? — spytałem, patrząc na rozharatane gardło człowieka, którym miał zająć się Kostuch. Krew bluzgała na posadzkę z rozszarpanej tętnicy.

— Tak mi się jakoś nawinęło — burknął mój towarzysz. — Pierwsze koty za płoty...

Wiedziałem, że chciał go zabić. Wiedziałem, że celowo nie usłuchał polecenia. Tyle że to nie były czas i miejsce na dyscyplinowanie podwładnych. Co miałem mu urządzić? Musztrę przed drzwiami sypialni margrabiego? Tak więc poklepałem Kostucha po ramieniu.

— Bądź troszkę ostrożniejszy na przyszłość, mój chłopcze — powiedziałem. — Serdecznie cię proszę. — Sie wie, Mordimerze — odparł. Podejrzewałem, iż Kostuch za największą oznakę madzy i siły uważał odebranie komuś życia. I od czasu do czasu musiał temu pofolgować. Tymczasem nic bardziej błędnego, mili moi. Wielką oznaką siły i władzy jest darowanie komuś życia, a jeszcze większą uczynienie tego tak, iż niedoszła ofiara nawet nie wie, komu i co zawdzięcza. Bowiem najtrudniej jest zwyciężać pośród milczenia i cieszyć się w sekrecie z owoców tegoż zwycięstwa. Rzecz jasna, nie myślałem w tym wypadku o inkwizytorskich poczynaniach, gdyż celem naszych działań zawsze powinno być zbawienie. Opróżnienie kielicha pełnego skisłego wina i napełnienie go wodą zbawienia. Takimi kielichami byli bluźniercy, heretycy oraz odstępcy, a my w pocie czoła i godząc się na wszelkie wyrzeczenia, największą radość znajdowaliśmy wtedy, kiedy usta zaprzysięgłego wroga naszej wiary zaczynały szczerze i z radością wielbić chwałę Pana. Samo wielbienie dawało się osiągnąć łatwo, nad kwestiami szczerości zwykle trzeba było usilnie pracować... Miałem nadzieję, że margrabia nie zamknął drzwi od wewnątrz na skobel lub zasuwę. Gdyż to były naprawdę solidne drzwi. Nie sądzę, byśmy wyważyli je bez pomocy siekier lub tarana. A przecież nie zamierzałem przystępować w tym miejscu do wojskowego szturmu. Tak jak mówiłem, wszystko chciałem załatwić czysto oraz cicho. Czysto już nie było, zważywszy na to, że obaj staliśmy w kałuży krwi płynącej z rozerwanych żył strażnika, lecz przynajmniej mogliśmy się postarać o ciszę. Leciutko nacisnąłem klamkę, Jeśli nie ustąpi, będziemy musieli poczekać, aż Reutenbach sam otworzy drzwi, czy to chcąc wyjść z komnaty, czy chcąc zażądać, by słudzy przynieśli mu wino lub posiłek. Na szczęście klamka ustąpiła. Przez szparę między drzwiami a futryną dostrzegłem prześwitujące słabe światełko. A więc jeszcze nie spali lub też zasnęli przy płonącej świecy. I wtedy usłyszałem odgłosy świadczące o tym, że margrabia oraz Anna są bardzo zajęci, w związku z tym istnieje tylko nikłe prawdopodobieństwo, by przyglądali się skrytym w mroku drzwiom. Pchnąłem śmielej i wślizgnąłem się do środka, a Kostuch za mną. Margrabia i Anna właśnie byli w trakcie czegoś, co ośmieliłbym się nazwać miłosnym zwarciem. Reutenbach leżał na dziewczynie, ona splatała nogi na jego karku. Jęki i westchnienia przeplatały się z zapewnieniami miłości. Stojąca przy łóżku świeca ogarniała ciepłym blaskiem ich ciała, lecz komnata była na tyle duża, że z całą pewnością nie mogli nas dostrzec, ukrytych w ciemności, nawet jeśli by się przyglądali. A nie wyglądało na to, by pragnęli się przyglądać czemukolwiek innemu niż sobie nawzajem.

— Damy im skończyć — szepnąłem Kostuchowi wprost w ucho, gdyż wiedziałem, że obserwowana przez nas para nigdy nie będzie miała okazji powtórzyć podobnej zabawy. Niech się więc nacieszą nią do syta.

Przycupnęliśmy na podłodze.

— Nudzi mi się — zamruczał Kostuch kilka pacierzy później.

Tym razem Reutenbach zabawiał się z Anną w sposób, jak zwykły to czynić ogiery z klaczami zdybanymi na łące. Oczywiście nadal nie mogli nas spostrzec. Po pierwsze, siedzieliśmy daleko od nich i w głębokim cieniu, po drugie, zanadto byli zajęci sobą, po trzecie, zwrócony do nas plecami margrabia zasłaniał Annie pole widzenia.

— Skoro już tyle czekamy, zaczekajmy jeszcze — odszepnąłem.

Wreszcie miłosna scena zdawała się zbliżać do końca. Anna zaczęła krzyczeć urywanym, przenikliwym głosem, potem wydała z siebie kilka spazmatycznych jęków, w odpowiedzi na co Reutenbach gardłowo zawył i znieruchomiał. Opadli na pościel.

— No, no, gorąco było — powiedziałem cicho i wstałem.

— Margrabio Reutenbach, Anno Hoffentoller, w imieniu Świętego Officjum aresztuję was.

Anna uniosła się na łożu, nie pamiętając nawet o zasłonięciu nagich piersi. W świetle stojącej przy łożu świeczki zobaczyłem odznaczające się pod sutkami czerwone, napuchnięte ślady po zębach.

— Jak śmiesz!? — wrzasnęła. — Wynocha! — W migoczącym żółtym poblasku *jej* wściekle skrzywiona twarz przypominała maskę diabła.

Najwyraźniej jeszcze nie pojęła, co się wydarzyło. Reutenbach chyba zrozumiał, gdyż siedział spokojnie, nie próbując ani wzywać służby, ani nas zaatakować. Zresztą cóż mógł począć nagi mężczyzna, mając przeciwko sobie dwóch uzbrojonych ludzi, w dodatku wytrenowanych w walce wręcz?

— Decyzją Inkwizytorium, reprezentowanego teraz i tutaj przez Mordimera Madderdina, funkcjonariusza Świętego Officjum, zostaniecie odesłani do Hez-hezronu i tam poddani szczegółowym przesłuchaniom — kontynuowałem, nie zważając na jej krzyki.

— Preeeecz! — zawyła i pewnie coś jeszcze by dodała, gdyby margrabia łagodnym gestem nie zakrył jej ust dłonią.

— A więc to koniec — stwierdził spokojnie.

— Nie, panie Reutenbach. Początek. W Hezie dopiero zaczniecie czytać księgę, w której na każdej kolejnej stronie coraz mocniej wielbi się Boga.

— Postępowałem zgodnie z sumieniem szlachcica, cesarskiego poddanego i dziecka Bożego — rzekł z wyraźną dumą w głosie. — Być może pobłądziłem, lecz zapewniam was, że nie z braku wiary.

Ha, wielu było przed nim, którzy jeszcze na katowskim stole zarzekali się, jak bardzo kochają Boga. Tyle że miłość do naszego Stwórcy i Zbawiciela nie jest rzeczą dowolną. Pana można kochać tylko i wyłącznie tak, jak przykazuje to Kościół, gdyż miłość innego rodzaju jest grzechem. Miłość nie może być szalona, nieukierunkowana i porywcza. Bowiem wtedy zaczyna przypominać rzekę, która swym wylewem porywa domostwa i zabija ludzi. Kościół nasz święty i powszechny wyznaczył ścisłe granice miłości Pańskiej, a kto tych granic nie przestrzega, ten daje zgodę na śmiertelnie groźną powódź.

— Zostaniecie wysłuchani — obiecałem mu. — Inkwizytorium położy na jednej szali wasze grzechy, na drugiej dobre uczynki. Skoro jesteście pewni, iż tych drugich jest więcej, możecie być spokojni zarówno o życie doczesne, jak i o zbawienie duszy.

Jeszcze nigdy nie widziałem człowieka, który słyszałby te słowa i w którego oczach nie zamigotałby lęk. Nie inaczej było w wypadku margrabiego. Wręcz słyszałem, jak zadaje sobie pytanie, co takiego szlachetnego uczynił i co wytłumaczy go przed obliczem Boga. Mogłem go pocieszyć, iż nawet gdyby przez całe życie pościł, umartwiał się, utrzymywał klasztory oraz kościoły, wspomagał ubogich i karmił głodnych, a jeden jedyny raz złamał Prawo Boże, to wszelkie szlachetne dokonania nie miałyby znaczenia. Bo czyż będziemy się delektować kielichem słodkiego wina, w który wlano łyżkę piołunu? Poza tym mój Anioł Stróż powiedział niegdyś, że w oczach Boga wszyscy jesteśmy winni niezależnie od naszych uczynków, a kwestią pozostają jedynie czas oraz wymiar kary. Kary, która nieuchronnie nadejdzie. Jakież miałem powody, by nie wierzyć memu Aniołowi?

Anna zdjęła z ust dłoń margrabiego.

— O co nas oskarżacie?

— O porwanie siedmiu dziewcząt w celu poddania ich demonicznym rytuałom. O czarnoksięstwo oraz herezję. To na razie wystarczy, o reszcie grzechów opowiecie nam sami.

— Panie Madderdin — powiedziała już spokojnie — twierdziliście, że chcecie być moim przyjacielem, czyż nie tak?

— Cały czas nim jestem — zapewniłem.

— Należą wam się więc wyjaśnienia... — urwała i spojrzała w stronę Kostucha. — Zostaw nas samych — rozkazała ostrym tonem.

No cóż, trzeba mieć charakter, by rozkazywać Kostuchowi. On jednak tylko się skrzywił. I nawet nie drgnął. Anna obróciła wzrok w moją stronę.

— Zróbcie to dla mnie.

— Skoro dama prosi, cóż innego możemy uczynić? — Rozłożyłem ramiona. — Kostuch, przyjacielu, poczekaj z łaski swojej przed drzwiami.

Polecenie zapewne mu się nie podobało, lecz miałem nadzieję, że właściwie podziałają grzeczność wypowiedzi oraz aksamitna miękkość mego głosu. I tak się stało. Kostuch burknął coś niezrozumiale, po czym wyniósł się za drzwi.

— Mów, proszę — powiedziałem.

— Siądźcie, jeśli łaska. — Wskazała mi fotel. — To długa historia.

Usiadłem. Miałem nadzieję, że niczego nie knuje, gdyż nie chciałem bić się z Reutenbachem, zwłaszcza że wynik tego starcia mógł być tylko jeden.

— Mój pradziad... — zaczęła.

— Poznałem go — przerwałem. — Odkryłem też perskie księgi.

— Poznaliście go? — Była wyraźnie zaskoczona. Milczała przez chwilę. — Znacie aramejski?

— Niestety, lecz ilustracje...

— Ach, ilustracje... — Uśmiechnęła się niemal z rozmarzeniem. — Piękne, nieprawdaż?

— Interesujące — odparłem, gdyż słowo „piękne" w tym wypadku rezerwowałem dla dzieł autorów, którzy tworzyli pod natchnieniem Boga, nie z inspiracji demonów.

— Mój pradziad powrócił po niemal czterdziestu latach od zakończenia tej nieszczęsnej krucjaty. Od tej pory żył w *piwnicy,* w tajemnicy przed wszystkimi ludźmi prócz mojego dziadka, ojca oraz mnie samej. Opętany *tylko* jednym marzeniem: zemścić się na rodzie cesarskim.

Miała rację, używając słowa „nieszczęsna" na określenie tej właśnie wyprawy krzyżowej. Bowiem naszej armii nie udało się nawet z daleka ujrzeć murów Jerozolimy. Nazywano ją też powszechnie ostatnią krucjatą, gdyż kolejna, idąca drogą lądową prowadzącą z Bizancjum, *nie* dotarła nawet do Syrii.

— Wiecie, że bez powodu?

— Tego dowiedziałam się niedawno — rzekła. — I wtedy też postanowiłam go powstrzymać. Niestety, było za późno na cofnięcie klątwy, lecz nie za późno, by jej przeciwdziałać. Maurycy już wtedy się nie ruszał i nie mówił. Nie mógł mi pomóc, nawet gdyby chciał — westchnęła. — Ja jednak nie wyjawiłam mu prawdy. Nie chciałam, żeby umierał, wiedząc, że wszystko, co uczynił, było pozbawione sensu.

— Jakaż to klątwa?

— Przyzwanie starożytnego Demona Złego Losu... — urwała na chwilę. — Tak przynajmniej można w przybliżeniu tłumaczyć jego aramejskie miano — wyjaśniła. — Jest niewidzialny, bezcielesny, niemożliwy do powstrzymania czy kontrolowania...

Przypomniałem sobie postać wyobrażoną na ilustracjach. Tę, której głów nie byłem w stanie policzyć.

— A więc?

— Istniała szansa, by nie wpuścić go do naszego świata. Lecz przedtem należało przekupić Strażnika Bramy.

— Młody, smagły, przystojny mężczyzna. — Widzę, że i jego poznaliście. Owszem, tak właśnie wygląda. Okupem dla niego są dziewice. Musi być ich siedem i muszą być prawdziwie nieskalane. Jednak rytuał może przeprowadzić tylko kapłanka, która...

— ...jest ich odwrotnością — dodałem.

— Właśnie tak. W perskich świątyniach ten obowiązek należał do kapłanek-prostytutek. Ja musiałam... — Zacisnęła usta.

Ha, więc słusznie się domyślałem, iż ilustracje przedstawiające kobietę w nadzwyczaj wyuzdanych erotycznych pozach miały wiele wspólnego z Anną Hoffentoller. Nie mogła być prawdziwą kapłanką-prostytutką, lecz mogła czynić to, co one: przyjmować jak największą liczbę mężczyzn.

— Po co tyle zachodu? — zapytałem. — Nie lepiej było machnąć na wszystko ręką?

— Sprawiedliwość, panie Madderdin — tym razem odezwał się Reutenbach. — Najjaśniejszy Pan nie zasłużył na tak straszną karę. Zresztą na nim się nie skończy...

— Czyli?

— Najjaśniejszy Pan jest symbolem Cesarstwa. Klątwa uderzy nie tylko w niego, lecz w cały kraj.

— Niemożliwe! — zawołałem. — Nie istnieją tak potężne zaklęcia!

— Mój pradziad przygotowywał je przez piętnaście lat — powiedziała Anna. — Pomyślcie: jedno zaklęcie.

Piętnaście lat. A wcześniej przez trzydzieści studiował czarną magię u najpotężniejszych perskich czarnoksiężników. Myślicie, że to przypadek, iż żyje tak długo?

— Żył — sprostowałem.

— Zabiliście go? — Popatrzyła na mnie z obrzydzeniem. — Sparaliżowanego starca?

Cóż, na pewno w jakiś sposób go uśmierciłem. Ale nie zamierzałem o tym opowiadać Annie.

— Oczywiście, że *nie —* odparłem. — Po prostu przestał oddychać.

Nie wiem, czy mi uwierzyła, jednak niespecjalnie mnie to też obchodziło.

— Siedem dziewic w zamian za spokój — podsumowałem. — Tylko kto wie czy to wszystko nie były jedynie majaczenia starucha chorego z nienawiści? A wy poświęciliście życie, by walczyć z tymi majaczeniami... Zresztą zaraz, dlaczego pradziad miał cię uczyć, jak przeciwstawić się jego zaklęciu?

— Uczył mnie wszystkiego, od kiedy skończyłam sześć lat. Wiele godzin każdego dnia. Cztery księgi, które przywiózł ze sobą, zawierają kompilację najpotężniejszych perskich zaklęć oraz rytuałów. Ale wierzcie mi, że poza tym wiele rzeczy jeszcze po prostu pamiętał...

Spojrzałem na nią ze zdumieniem i, co tu ukrywać, z pewną domieszką podziwu. Miałem więc przed sobą prawdziwą perską czarownicę. Na Miecz Pana, jakiż to będzie łakomy kąsek dla braci inkwizytorów. Ileż mrocznej wiedzy wydobędą z tego zdeprawowanego umysłu! Jak cudownym zadaniem stanie się wlanie wody tryskającej ze źródła prawdziwej wiary w zgniłą skorupę jej serca! Zdawałem sobie sprawę, że zapewne mogła mnie wcześniej zabić lub przynajmniej próbować zabić. Jednak rozumiała doskonale, iż moja śmierć tylko skomplikowałaby sprawy. Lepiej było udawać, że nie ma się nic do ukrycia, tak by przekonany o fałszywym donosie inkwizytor spokojnie wrócił do domu. Mało co, ten plan by się powiódł. Przecież zaniepokoiły mnie jedynie dwie sprawy: przypadkowa rozmowa usłyszana przez Kostucha oraz magiczna bariera ustawiona w lochach. Gdyby nie wyjątkowa pamięć mego towarzysza oraz moja unikalna zdolność poruszania się w nieświecie, wszystko zakończyłoby się po myśli Anny.

— Twój ojciec jednak sprzyjał Maurycemu. A przecież... znał prawdę, czyż nie tak?

— Mój ojciec nienawidzi cesarskiego rodu — rzekła. — Kiedyś byliśmy bogaci, nasi przodkowie stawali w pierwszym szeregu rycerstwa. Teraz nic po tym nie zostało...

Cóż, przecież nie Najjaśniejszy Pan ich zrujnował. Widać jednak, że Matthias Hoffentoller musiał po prostu znaleźć sobie wroga.

— Donosząc na ciebie, wydał sam siebie. Jak mógł nie wiedzieć, że kiedy przyjdzie co do czego, ujawnisz i jego rolę w tym spisku? Zupełnie postradał rozum?

— Liczył, że sama wasza obecność skłoni mnie do powrotu — powiedziała. — Że przestraszę się konsekwencji. Ja bym wróciła, nie przeprowadzając rytuału, on odesłał was z solidnym honorarium. Jestem jednak pewna, że zabezpieczył się na wypadek, gdyby ten plan się nie powiódł.

— Czyli?

— Szukaj wiatru w polu, inkwizytorze. — Roześmiała się nagle. — Nie sądzę, byś kiedykolwiek znalazł mojego ojca. Już wcześniej spieniężył wszystko, co miał. Dwór, *łąki* pola, las, wioskę. Teraz na pewno wyniósł się na dobre. Tak czy inaczej: wygrał.

— Ośmielam się ufać w skuteczność działań Świętego Officjum — nie zgodziłem się z nią.

Wiedziałem, że prędzej czy później znajdziemy Hoffentollera. List gończy za nim zostanie wysłany po całym Cesarstwie. Dotrze zarówno do lokalnych oddziałów Inkwizytorium, jak i do parafii lub klasztorów, otrzymają go justycjariusze, miejskie służby oraz gildie kupieckie we wszystkich miastach. Skorzystamy również z nieoficjalnej pomocy tongów — najliczniejszej i najsprawniej działającej organizacji przestępczej Cesarstwa. Nawet jeśli Hoffentoller zamieniłby się w rybę, znaleźlibyśmy go pod wodą, jeśli zamieniłby się w ptaka, przeszukalibyśmy korony drzew. Przed sprawiedliwością wymierzaną przez Inkwizytorium nie było, nie ma i nie będzie ucieczki. A kiedy znajdziemy Hoffentollera, znajdziemy również jego bezcenne księgi.

— Nie chcę wątpić w prawdę waszych słów, ba, nie chcę wątpić nawet w szczerość przyświecających wam intencji. Niemniej jednak popełniliście zbrodnię. Bo czemuż to nie przyszliście do Świętego Officjum, by prosić o ratunek i radę? Czemuż nie złożyliście ciążącego wam brzemienia na ramionach inkwizytorów. Wszak Bóg ulepił nas tylko po to, byśmy pokornie służyli wszystkim, którzy pragną naszej służby...

— I wszystkim, którzy jeszcze nie wiedzą, że jej pragną — dopowiedziała szyderczym tonem Anna.

— Moje dziecko, będziesz miała jeszcze sporo czasu i okazji, by nagadać się do woli — odrzekłem.

— Posłuchajcie, mistrzu. — Reutenbach spojrzał w moją stronę. — Wszystko skończyło się, jak skończyło, ale nikomu nie stała się przecież krzywda. Dlaczego więc nie zapomnicie o całej sprawie?

Roześmiałem się.

— A jak mi osłodzicie ten brak pamięci? Nie, nie, margrabio. — Machnąłem dłonią, nie czekając nawet na odpowiedź. — Nic z tego nie będzie. Jak mógłbym całować krzyż tymi samymi ustami, które zażądały od was łapówki? Hoffentoller zapłacił mi pięćset koron za przeprowadzenie śledztwa i mogę powiedzieć, że uczciwie zarobiłem te pieniądze.

Margrabia patrzył na mnie, jednak w jego wzroku nie widziałem niechęci. Może jedynie gorycz poniesionej klęski.

— Zniszczyliście nas za pięćset koron! Za marne judaszowe srebrniki! — krzyknęła Anna.

— Czy gdybym was zniszczył za pięćset tysięcy, byłaby jakaś różnica? Poza tym nie ja was zniszczyłem. Sami zniszczyliście siebie, ja was tylko uratowałem przed ostateczną klęską.

— Ostateczną klęską? Cóż może być gorszego od was? — w jej głosie było i szyderstwo, i nienawiść.

— Gorsze mogłoby być tylko jedno: gdybyście uznali, że korzystając z potęgi mrocznych mocy, sprowadzicie na świat dobro. Bo to nieprawda, Anno. Kiedyś za wszystko się płaci. Czasami cenę tak straszliwą, że aż niewyobrażalną dla ludzkiego umysłu. Wy, jak sądzę, będziecie tylko torturowani i spaleni na stosie, więc możecie powiedzieć, że wyszliście cało z tej okrutnej opresji.

— Mamy czterdziestu ludzi! — wrzasnęła. — Co poradzisz ze swoimi trzema zbirami, Madderdin?

— Reutenbach, pan wie, prawda? — Obróciłem wzrok na margrabiego.

Skinął głową.

— Nie mamy czterdziestu ludzi, Aniu — wyjaśnił łagodnie. — Nie mamy już nikogo poza nami samymi.

Nie dało się ukryć: był mądrym człowiekiem. Słudzy, dworzanie i żołnierze mieli teraz myśleć o tym, jak ratować własną skórę, nie jak ratować swego pana.

— Przecież... — głos kobiety się załamał.

Boże, wybacz mi słabość, lecz polubiłem margrabiego Reutenbacha. Nie chciałem mu więc wyjaśniać, że jego ufność w to, iż mają siebie nawzajem, rychło zostanie poddana surowej próbie.

— Cóż takiego osiągnęliście, inkwizytorze? — zawołała Anna. — Po pierwsze, obraziliście Strażnika, który teraz przez Bramę przepuści Demona Złego Losu. A jeden Bóg tylko wie jak straszne rzeczy mogą się przydarzyć Najjaśniejszemu Panu i jego poddanym. Po drugie, zniszczyliście margrabiego, mnie oraz mojego ojca. Po trzecie, siedem biednych dziewcząt pozbawiliście możliwości lepszego życia, takiego, jakiego tu nigdy nie zaznają. I co dostałeś w zamian, Madderdin?

— Poznałem prawdę — odparłem spokojnie. Przyglądała mi się, w jej oczach widziałem niechęć, smutek i niezrozumienie. — I było warto?

— Zawsze jest warto.

— *Mów prawdę, bo prawda to Bóg sam. Lecz jeśli prawdą zabijesz człowieka, wtedy skłam —* zacytowała dziecięcą rymowankę.

— Szkoda, że nie jesteśmy już dziećmi, Anno — powiedziałem i zawołałem Kostucha. — Zabierz ją — rozkazałem, kiedy wszedł do komnaty. — Tylko — pogroziłem mu palcem — pamiętaj, że ona jest cennym więźniem Officjum. Rozumiesz?

Skinął ponuro głową, gdyż moje słowa oznaczały, że nie wolno mu jej bić ani gwałcić. A wiedziałem, że miłosna scena, której byliśmy świadkami, narobiła mu apetytu.

— Błagam! — krzyknęła jeszcze od progu. — Skazujesz na śmierć cesarza, a kto wie, może cały kraj! Pozwól mi... — jej głos ucichł za zatrzaśniętymi drzwiami.

Nic nie odpowiedziałem, gdyż nie wierzyłem w to, co mówi. A nawet gdybym wierzył, i tak nie mogłem nic uczynić.

Zostaliśmy we dwóch. Ja i Reutenbach. Podszedłem do niego, podałem mu sztylet.

— Teraz na chwilę odwrócę się do okna, panie margrabio — zapowiedziałem.

Reutenbach o niczym nie wiedział. Nie parał się czarami, magia stanowiła dla niego obce pojęcie. Był tylko zakochanym mężczyzną, skłonnym uczynić wszystko dla umiłowanej kobiety, i lojalnym poddanym pragnącym ratować swego władcę. Zasłużył na to, by szybko umrzeć. Po prostu znalazł się w złym miejscu o złym czasie. Inkwizytorium nie mogło się od niego niczego dowiedzieć, gdyż nic nie wiedział. Nie znajdowałem sensu w tym, by miał cierpieć.

— Dziękuję, panie Madderdin. Są takie dary, których nie wolno przyjąć. — Przytrzymał mi dłoń i włożył do niej z powrotem *sztylet. —* Chcę zostać z nią do końca, choć przecież wiecie, że chciałbym jedynie umrzeć.

— Zostać z nią do końca — powtórzyłem. — To nie będzie łatwe, margrabio, proszę mi wierzyć. — Nie puszczałem jego ręki.

— Wiem — odparł spokojnie. — Kto powiedział, że miłość ma być łatwa? Jeśli zostanę z nią do końca, to spotkam ją... potem, prawda?

Wiedziałem, co ma na myśli, mówiąc „potem", jednak nie chciałem odpowiadać na zadane pytanie. Bo co miałem wyjaśnić? Że Anna jest skazana na wieczne męki piekielne, przy których cierpienia zadane przez inkwizytorów wydadzą się niewinną pieszczotą? Po cóż miałem sprawiać mu ból? Niech wierzy, że jego miłość nie skończy się wraz z życiem. Spojrzałem w oczy margrabiego i odwróciłem wzrok. Schowałem sztylet do pochwy.

— Skoro tak, proszę za mną, panie Reutenbach.

— Herman, Mordimerze — powiedział. — Mam na imię Herman.

## Epilog

Bliźniaków nie było na straży. Najpierw zaniepokoiłem się, że zostali schwytani lub zabici przez ludzi margrabiego, jednak nie zauważyłem żadnych śladów przemocy. A Pierwszy i Drugi nie daliby się wziąć tak łatwo. Kiedy otworzyłem pierwsze z drzwi prowadzących do izby, gdzie mieszkało siedem dziewcząt, usłyszałem krzyki. I już wiedziałem, że jest niedobrze. Bliźniacy ośmielili się nie usłuchać moich rozkazów i postanowili zabawić się z dziewicami. No cóż, z tego, co zobaczyłem, przynajmniej jedna z tych siedmiu dziewicą już nie była. Pierwszy przyciskał jej twarz do poduszek i ujeżdżał od tyłu. Nawet nie zdjął spodni, tylko opuścił je do kolan. Widziałem jego podrygujący krostowaty tyłek i kopnąłem w niego z taką siłą, że wydawało mi się, iż złamię bliźniakowi kość ogonową. Wrzasnął i spadł z dziewczyny. Przezornie odturlał się na bok, więc nie dałem rady przyłożyć mu następny raz. Drugi miał więcej szczęścia. Zresztą on nie zdążył jeszcze dobrać się do swego cukiereczka i teraz odskoczył pod ścianę, przybierając niewinny wyraz twarzy.

— Byliśmy cały niby czas na warcie. Teraz tylko tak wpadliśmy zobaczyć, jak jest... — zatrajkotał.

Dziewczyna, z którą zabawiał się Drugi, odpełzła do przyjaciółek. Przytuliły ją do siebie. Siedem zapłakanych, spłoszonych zwierzątek.

— Szubrawcy — powiedziałem złym głosem. — Tak słuchacie rozkazów?

— Jak Boga kocham, Mordimerze, my tylko... — Drugi huknął się pięścią w pierś.

— Zamknij się, na miecz Pana naszego, bo wyrwę ci jęzor.

Pierwszy nic nie mówił, tylko pojękiwał z cicha i masował obolałe miejsce. Miał opuszczone powieki, lecz wiedziałem, że w jego oczach nie zobaczyłbym ani sympatii, ani zrozumienia. Tyle że nie mogłem na razie nic zrobić. Należała im się surowa kara za niewykonanie rozkazu, ale *przecież* nie mogłem karać ich tu i teraz kiedy miałem na głowie ludzi margrabiego. Bliźniacy byli mi potrzebni. Ktoś musiał pilnować służby Reutenbacha, by nie przyszły jej do głowy głupie pomysły, ktoś musiał pędzić co koń wyskoczy do lokalnego oddziału Inkwizytorium, by sprowadzić mych drogich konfratrów. A było nas zaledwie czterech i nie mogłem tych dwóch głupców nastawić przeciw sobie. Jednak nie zamierzałem wybaczyć tak karygodnego nieposłuszeństwa. Inkwizytorzy są ludźmi cierpliwymi, lecz nie zapominają o wyrządzonych im krzywdach. Prędzej czy później wystawię bliźniakom stosowny rachunek.

Jeśli chodzi o dziewczynę, którą tak zajadle ujeżdżał Pierwszy, nie było mi *jej* szczególnie żal. Miała przecież już piętnaście lat i w swoim życiu pewnie obsłuży jeszcze niejednego mężczyznę. Nie stała jej się żadna krzywda poza podartą sukienką i siniakiem na wątłej piersi. Do wesela się zagoi...

— Zabierajcie się stąd — rozkazałem dziewczynom. — Wracajcie do domów. Weźcie ze sobą wszystko, co chcecie, suknie, naczynia. No już, już...

Szybko się uwinęły, nawet zabaweczce Pierwszego wyraźnie poprawił się humor, kiedy chwytała srebrną paterę. Inne brały kielichy i misy, wyrzucały ubrania z kufrów. Zdążyły się przy tym wszystkim pokłócić, a jedna nawet rzuciła się drugiej z pazurami do twarzy.

— Kieska. — Wyciągnąłem dłoń w stronę Pierwszego.

— Co? Co?

— Nie powtórzę drugi raz.

Z ociąganiem podał mi sakiewkę. Odliczyłem pięć srebrnych koron, resztę rzuciłem mu na kolana. Podszedłem do zgwałconej dziewczyny i podałem jej pieniądze.

— Bierz — powiedziałem. — Zarobiłaś. Spojrzała, nie za bardzo rozumiejąc, co się dzieje, lecz szybko porwała monety z mojej dłoni.

— Nawet się nie spuściłem — warknął Pierwszy tonem na poły wściekłym, na poły rozżalonym.

— Trzeba było się pospieszyć. — Wzruszyłem ramionami.

Wreszcie wygoniłem całe towarzystwo z izby (teraz ogołoconej ze wszystkiego, co cenne, a co dało się bez trudu wynieść) i mogliśmy zająć się naprawdę poważnymi sprawami.

Odjeżdżaliśmy z zamku Reutenbach, zostawiając w nim inkwizytorów z lokalnego oddziału Inkwizytorium. Oni już zajmą się formalnościami, czyli przewiezieniem przestępców do miejsca, które zostanie wyznaczone. Zważywszy na moc czarownicy (jeśli mówiła prawdę), zapewne nie będzie to Hez-hezron, lecz klasztor Amszilas, gdzie świątobliwi mnisi specjalizowali się w przesłuchaniach szczególnie groźnych czarowników oraz w zbieraniu danych na temat zakazanej wiedzy.

Odwróciłem się w siodle, patrząc na niknącą za naszymi plecami ogromną budowlę i okalające ją posiadłości. Wiedziałem, że Inkwizytorium będzie przede wszystkim dumne, iż wykryłem demoniczne tajemnice oraz obnażyłem knowania zbrodniarzy. Jednak wiedziałem również, że nasi skarbnicy bardzo się ucieszą, widząc, iż ta ogromna majętność zgodnie z prawem stanie się własnością Officjum. W końcu nigdy dość pieniędzy, by szerzyć chwałę Bożą!

Zastanawiałem *się,* czy prawdą są objaśnienia Anny dotyczące Demona Złego Losu. Czy rzeczywiście taka istota pojawi się, by wywrzeć pomstę na cesarzu? Cóż nawet jeśli tak miało być, to z całą pewnością nie będzie miał z tym nic wspólnego wasz uniżony sługa, który zawsze uważał, że najlepiej na zdrowie robi trzymanie się z dala od możnych tego świata, i który wiedział, iż od dworu Najjaśniejszego Pana zawsze będą go dzielić co najmniej setki mil.

*Chciałem zadedykować to opowiadanie mojej przyjaciółce i redaktorce Karolinie Wiśniewskiej. Bo to ona wymyśliła, cóż takiego jest największym sekretem klasztoru Amszilas...*

*Zaniechajcież ich, ślepi są i wodzowie ślepych. A ślepy, jeśliby ślepego prowadził, obadwa w dół wpadają.*

Ewangelia według św. Mateusza

## Wodzowie ślepych

W dobrym humorze — mrugnął do mnie urzędnik i uniósł kciuk.

Nie wiedziałem dokładnie dlaczego, ale z jakichś powodów kanceliści Jego Ekscelencji mnie lubili. W osobistym sekretariacie pracowało ich w tej chwili dwóch. Starzy, zasuszeni księża, z oczami zaczerwienionymi od wpatrywania się w dokumenty. Wyglądali jak bracia i ktoś mi kiedyś powiedział, że naprawdę byli braćmi. Też darzyłem ich sympatią, cichych i skromnych, tak różnych od wyelegantowanych, pachnących olejkami oraz perfumami dworzan biskupa. Gersard mógł lepiej wydawać pieniądze niż na te stada obiboków, które bez wyraźnego celu snuły się po pałacu i otaczających go ogrodach. Cóż, Jego Ekscelencja miał nieprawdopodobnie wysokie dochody i nie widział nic złego w ich marnowaniu. Szkoda tylko, że rzadko kiedy miał chęć marnowania gotówki w celu wspomożenia waszego uniżonego sługi. Któremu, nawiasem mówiąc, taka szczodrość niezwykle by się przydała. Być może jednak wezwanie oznaczało zmianę na lepsze. A być może nie. Z Gersardem nigdy nic nie było wiadomo, gdyż jego humor zmieniał się szybciej niż pogoda na wiosnę.

Biurowe apartamenty biskupa urządzono nade skromnie. W pierwszym pokoju znajdował się półkolisty stół i szesnaście zdobionych krzeseł. Tutaj odbywały się większe narady oraz spotkania. Szczerze powiedziawszy, odbywały się bardzo rzadko, bo biskup nie znosił rozmawiać w tłumie, wolał krótkie konferencje w cztery, najwyżej sześć oczu. A one odbywały się w drugim pokoju, gdzie tkwiło ogromne palisandrowe biurko. Miało tak wielki blat, że mogłoby być pokładem średniej wielkości łodzi. Biskup zasiadał przy jednym jego krańcu, obok rzeźbionych głów lwów, gości sadzał na drugim krańcu. W pokoju znajdowały się jeszcze dwie wypchane dokumentami sekretery, ciągnący się przez całą ścianę regał pełen ksiąg, a także przeszklony kredens, w którym lśniły kryształowe kielichy i stało zazwyczaj kilka butli dobrego wina. Wiadomo było, że biskup lubił od czasu do czasu raczyć się winkiem i często miał kłopoty z wychodzeniem z kancelarii o własnych siłach.

— Mordimerze, mój synku! — zawołał serdecznie. — Chodź i siadaj.

Miał bełkotliwy głos, więc poznałem, że musiał sporo wypić. Niestety, Jego Ekscelencja już rzadko kiedy trunkował na wesoło. Najgorzej działo się, gdy pił, by zagłuszyć ból ataków podagry lub by zapomnieć o tym, że za dużo pije. Albo o tym, jak bardzo picie szkodzi jego zdrowiu. I wtedy lepiej było się nie pokazywać w gabinecie. Tym razem poznałem jednak, że podagra trzymała się z dala, a z szerokiego uśmiechu biskupa wywnioskowałem, iż również hemoroidy, wrzody oraz uczulenie skóry nie nękały Jego Ekscelencji tego pięknego dnia. Co zresztą nic nie znaczyło, gdyż zachowanie biskupa, chorego czy zdrowego, było całkowicie nieprzewidywalne. Niemniej biedny Mordimer sądził, że i tak ma wiele szczęścia.

— Wierny sługa Waszej Ekscelencji. — Skłoniłem się nisko i przycupnąłem na skraju krzesła.

— Napijesz się ze starym człowiekiem? — Spojrzał na mnie spod opuchniętych powiek.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął z szafki kielichy. Wysokie, rżnięte z błyszczącego kryształu, na cieniutkiej, oplatanej srebrem nóżce. Własnoręcznie nalał mi wina z omszałej butelki, a ja wstałem z szacunkiem.

— Siedź, synku, siedź — nakazał pogodnie i sam napełnił sobie kielich po brzegi, aż kropelka wina zadrgała poza krawędzią i spłynęła na blat, znacząc czerwoną ścieżkę na krysztale.

Rozparł się wygodnie w fotelu, naprzeciwko mnie, i odsapnął z zadowoleniem.

— Dobrze ci się wiedzie? Potrzebujesz czegoś? Grajcie, surmy anielskie! Kto odmienił biskupa?

W takim nastroju dawno go nie widziałem.

— Zawsze mogłoby być lepiej, Wasza Ekscelencjo — powiedziałem grzecznie. — Jednak zawsze też można pocieszać się myślą, że mogłoby być gorzej.

— Bardzo słusznie. — Klasnął w dłonie. — Za to cię lubię, Mordimerze. Za twoje życzliwe spojrzenie na świat. Może więc nadszedł czas, by świat zaczął życzliwie patrzeć na ciebie?

Uwierzcie mi lub nie, mili moi, lecz się zaniepokoiłem. Bardzo *się* zaniepokoiłem. Szczerze mówiąc, wolałem, by świat nie patrzył na mnie ani życzliwie, ani wrogo, gdyż bardzo dobrze czułem się, pozostając w cieniu. Źle jest zwracać na siebie nadmierną uwagę bliźnich. W końcu cichy jestem i pokornego serca, co wynika nie tylko z mego łagodnego charakteru, ale i z funkcji, jaką pełnię na chwałę Bożą.

— Słucham pilnie, Wasza Ekscelencjo.

— No, napij się, Mordimerze.

Ująłem posłusznie kieliszek w palce. Ostrożnie, bo kryształ był niczym przejrzyste górskie powietrze napełnione szkarłatem. Posmakowałem.

— Niezłe, co? — w głosie Gersarda usłyszałem taką satysfakcję, jakby sam ten trunek winifikował.

— Wyśmienite — odparłem zgodnie z prawdą.

— Słyszałeś o wyprawie na Palatynat, Mordimerze? — zapytał tym razem bardzo rzeczowym tonem.

Odstawiłem wino, wyprostowałem się.

— Oczywiście, Wasza Ekscelencjo. Trudno nie słyszeć. Po całym mieście o tym trąbią.

— Właśnie — mruknął. — Zaciągi, obietnice wysokiego żołdu, miraże zbawienia, grzechów odkupienia...

Po szyderstwie w jego głosie poznałem, że nie w smak mu była praca cesarskich zaciężników. Tyle że nie za bardzo mógł cokolwiek zrobić, ponieważ wyprawa otrzymała papieskie błogosławieństwo, a cesarz jednym z głównych celów swej polityki uczynił podporządkowanie Palatynatu.

— Dziwisz mi się, co? Że nie popieram tego szaleństwa?

Przez moment zastanawiałem się: być szczerym czy uległym? Zdecydowałem, że w tym wypadku szczerość będzie lepsza. Biskup lubił odwagę. No, do pewnych granic, rzecz jasna. Do pewnych rozsądnych granic.

— Jestem tylko prostym człowiekiem, Wasza Ekscelencjo — wyznałem. — I rzeczywiście dziwię się, iż Wasza Ekscelencja nie popiera wyprawy na heretyków oraz kacerzy.

— Wszyscy się dziwią — powiedział w powietrze i z troską przyjrzał się pustemu już kieliszkowi. — Pij, Mordimerze. Wiesz, że dostaję zgagi po winie? Ano tak, wiesz — odpowiedział sam sobie. — Sam mi przecież poradziłeś, żebym leczył się mlekiem. Prawda. I pomogło! — Uniósł wskazujący palec. — Ale ile można żłopać mleka? — westchnął głęboko. — Bo wino to jakoś tak człowiekowi wchodzi, że ani się obejrzy, już wypije butelkę lub dwie — ciągnął z namysłem. — Tymczasem woda czy mleko... — Westchnął powtórnie. — Każdy łyk staje ci w gardle, jakby zaprawiono go trucizną...

Westchnąłem wraz z nim, gdyż zgadzałem się z tymi obserwacjami. Wtedy popatrzył na mnie smutnym spojrzeniem przekrwionych oczu.

— Czy Pan mnie już mało doświadcza? Podagra, hemoroidy, teraz lekarze mówią, że nie wolno mi wypić nawet łyczka wina... — Zastukał nerwowo w blat. — Przeklęte konowały. O czym to ja...? Aha, o tych cesarskich zabawach.

Zaklął cichutko, przeżegnał się i znowu napełnił kielich po same brzegi.

— A niech mnie i zabije — powiedział z zaciekłością w głosie i spojrzał w moją stronę.

Wypił do ostatniej kropli, odetchnął głęboko. Na moment jego twarz stężała, jakby spodziewał się uderzenia bólu, lecz potem wyraźnie się rozpogodził. Obrócił na mnie wzrok. Przez chwilę, patrząc w jego puste oczy, miałem wrażenie, że zastanawia się, kim jestem Zrobiło mi się zimno, gdyż biskup w takim stanie był jeszcze bardziej nieobliczalny niż zwykle.

— Mordimer — rzekł, jakby starając się sobie przypomnieć, co robię w jego komnacie i w jakim celu mnie wezwał.

— Do usług Waszej Ekscelencji — odparłem.

— Taaak, o czym to ja? Aha, o cesarzu. Widzisz, Mordimerze, stary cesarz zabawiał się z dziwkami, wyprawiał uczty i jeździł na polowania. Życie toczyło się spokojnie, swoim biegiem. Palatynat był daleko. Co prawda heretyków i kacerzy wysyłał, zakazane księgi przemycał, ale my paliliśmy i księgi, i heretyków. I wszyscy byli zadowoleni. Oni, że szerzą swą przeklętą wiarę, my, że spełniamy Bogu miłe uczynki. A teraz co? Teraz ten młodzik wywraca wszystko do góry nogami. Rujnuje cały porządek, którego z takim trudem żeśmy się dopracowali. Na domiar złego Ojciec Święty, Panie racz go oświecić, jeszcze sprzyja tym szaleństwom. Wiesz, Mordimerze, dlaczego mi się nie podoba wojna?

— Gdyż niszczy dotychczasowy porządek? — powtórzyłem jego słowa.

— Bardzo słusznie! Gdyż niszczy dotychczasowy porządek... Tak jest. Nie wyraziłbym tego lepiej. — Spojrzał na mnie z uznaniem. — A cesarz ogłosił w Hezie zaciągi — I co teraz? Ano to, że czeladnicy, uczniowie, żacy, nawet zacni rzemieślnicy zostawiają wszystko i co robią? Pędzą pod cesarskie sztandary! Za wiarę, za żołd, za przygodę... — Znowu sobie nalał. Wysuszył wino jednym tchem, pojedyncza czerwona kropla spłynęła mu z brody na jedwabny kaftan i wsiąkła, zostawiając plamę. — Nikt nie żałowałby partaczy, ludzi gościńca, wagabundów, przybłędów — ciągnął dalej. — Lecz dlaczego kuszą zacnych mieszczan? No, może prócz żaków — mruknął — bo z nimi to też trzeba się nawojować. My, Mordimerze, mamy dbać o podatki, o cła, nie o cesarskie fanaberie. Przegra cesarz wojnę, to poginą nam zacni mieszczanie, a jeśli wygra?

— Tak, Wasza Ekscelencjo?

— Jeśli cesarz wygra wojnę, mieszczanie wrócą. Już nie cisi, spokojni i pokornego serca. Wrócą pewni siebie, bogaci, opromienieni sławą, prawdziwi żołnierze Chrystusa! I kto wie czego będą się domagać? Co będą opowiadać o obcych krainach? Do czego judzić i co wspominać? Ludziom mieszać w głowach, zachęcać do następnej wyprawy — przerwał, bo się mocno zasapał. — Nalej mi wina, synku — rozkazał, a ja wstałem posłusznie po następną butelkę. — I tak źle, i tak niedobrze, Mordimerze. I tak źle, i tak niedobrze — powtórzył. — W dodatku Ojciec Święty, Boże mu odpuść, dał im błogosławieństwo. A czy poprosił o radę, modlitwę i duchowe wsparcie nas, biskupów oraz kardynałów, spytasz mnie, synku? Ja ci odpowiem: nie poprosił! Czy zwołał święty synod, by wsparł jego słowa swym błogosławieństwem i swą mądrością? Nie zwołał! Kto sączy mu jad do ucha? Papieski legat Verona i spowiednik Verona. Dwaj bracia-kruki... — ostatnie zdanie wymówił z wyraźnym obrzydzeniem.

Nie byłem, mili moi, zachwycony tą rozmową. Kto wie czy kiedy Gersard wytrzeźwieje, nie uzna, że powiedział zbyt wiele waszemu uniżonemu słudze. Swoją drogą, *Ojciec* Święty nieźle zalazł za skórę naszemu biskupowi. Czyżby Jego Ekscelencja tracił wpływy w Stolicy Apostolskiej? To nie wróżyło niczego dobrego dla inkwizytorów...

— Jeśli tylko mógłbym pomóc, Wasza Ekscelencjo. Wasza Ekscelencja może mną dowolnie rozporządzać o każdej porze dnia i nocy i w każdej sprawie — powiedziałem żarliwie, zresztą zgodnie z prawdą, bo mój tyłek zależał od biskupa.

— Wiem, Mordimerze, dziecko kochane. — Oczy zaszkliły mu się po pijacku. — Jesteś dobrym chłopcem i dlatego wezwałem właśnie ciebie, gdyż ufam, że nie opuścisz mnie w potrzebie.

Oho, szykowała się jakaś brudna robótka, a ja miałem nadzieję, że biskup zachował zdrowy rozsądek i nie zechce poświęcić życia biednego Mordimera dla własnych zachcianek.

— W każdej chwili, Wasza Ekscelencjo — odparłem. — *Semper fidelis,* oto nasze wezwanie...

— Wyślę cię z cesarzem, Mordimerze — rzekł, stukając pięścią w blat. — Będziesz moimi oczami i uszami na tej przeklętej wojnie. — Przy słowie „przeklętej" zmrużył oczy i przeżegnał się.

— Proszę? — nie mogłem się opanować, słowo samo wskoczyło mi na usta.

Przez moment myślałem, że się przesłyszałem albo że biskup bredzi w pijackiej malignie.

— Zaskoczony, co? — właściwie nie zapytał, a stwierdził Jego Ekscelencja z wyraźnym zadowoleniem. — Nie martw się, synku, nie dam skrzywdzić mojego wysłannika. Dostaniesz ludzi i uczciwy żołd.

— Ośmielam się... — zacząłem.

— Ośmielaj się, ośmielaj — zezwolił pobłażliwym tonem. — Wiem, że jesteś zdziwiony.

Taaak: zdziwiony... Może niezupełnie oddawało to moje uczucia, lecz przynajmniej w pewnym stopniu określało sytuację, w której się znalazłem.

— Wasza Ekscelencjo, ośmielam się przypomnieć, że jestem tylko inkwizytorem i ku mojemu ubolewaniu to właśnie powołanie oraz wierna służba Kościołowi nie cieszą się uznaniem wśród szlachetnie urodzonych, a już zwłaszcza na dworze miłościwie nam panującego. Czy więc Wasza Ekscelencja nie sądzi, że oni po prostu każą mnie zabić? Rzecz jasna, moje życie nie ma znaczenia, lecz obawiam się, że pozbawiony go nie będę mógł wypełnić rozkazów Waszej Ekscelencji, co w innym wypadku uczyniłbym z pełną skrupulatności pieczołowitością.

Biskup roześmiał się serdecznie.

— Strach dodaje elokwencji, co, Mordimerze? — Zatarł dłonie. — Myślisz, że ja głupi jestem? Pewnie, że by cię zabili. Nie jawnie, nie oficjalnie, ale cicho, zbójecko, po kryjomu... Nie lubią tam mnie, o nie. Co innego papiescy legaci. — Odwrócił się, jakby chciał splunąć, lecz się powstrzymał. — Tyle że ty nie będziesz inkwizytorem, synku, a przynajmniej nie jedynie inkwizytorem...

Urwał i wyraźnie czekał na pytanie, więc zdecydowałem się je zadać.

— A kim będę, z łaski Waszej Ekscelencji? Gersard z figlarnym uśmieszkiem otworzył szufladę, *wyjął z niej* wypisany już pergamin i podał mi go.

— Czytaj, Mordimerze, chłopcze mój drogi. Przeczytałem i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Gdyby nie to, że dokument został przygotowany wcześniej, pomyślałbym, że Jego Ekscelencja upił się w stopniu zaćmiewającym umysł.

— No, no, tylko nie wyobrażaj sobie za dużo — powiedział. — To jedynie tymczasowa nominacja.

Tymczasowa czy nie, nominacja była nominacją. Rozkazem Jego Ekscelencji od następnego dnia stawałem się kapitanem gwardii biskupiej — jedną z kilku najważniejszych osobistości w Hezie. Do tej pory stopień ten dzierżył pewien stetryczały szlachcic, od lat mieszkający na prowincji, a całe jego obowiązki polegały na kwitowaniu przychodzącego regularnie żołdu. Prawdziwym dowódcą gwardii był hrabia Jakiśtam, nie zapamiętałem jego nazwiska, lecz oficjalnie miał tylko stopień porucznika. Pewnie, że nikt nigdy nie powiedział, iż kapitanem gwardii nie może być inkwizytor, a nawet ksiądz. Lecz do tej pory zawsze chlubili się tym stanowiskiem szlachetnie urodzeni. Jak widać, czasy się zmieniały.

— I co, zatkało cię, Mordimerze?

— Zatkało — odparłem szczerze i po prostu, gdyż Jego Ekscelencja najwyraźniej tego oczekiwał.

— Teraz nikt nie śmie cię tknąć. Zostaniesz oficjalnie przedstawiony cesarzowi. Dostaniesz listy polecające i do niego, i do legata Lodovica Verony. Legat jest pełnomocnikiem Stolicy Apostolskiej, ale... — urwał na moment i zakręcił palcem kilka kółeczek na blacie — jego poglądy, jak zapewne wiesz, są tylko zbliżone do moich. Tylko zbliżone, chłopcze — podkreślił z mocą.

Zrozumiałem. Nawet bardzo dobrze zrozumiałem. W końcu osoby, którą się ceni czy lubi, nie nazywa się krukiem, tak jak Gersard nazywał braci Verona. Nie wolno mi było czuć się bezpiecznie w obecności papieskiego wysłannika. Zresztą, mili moi, od tej pory w ogóle nie miałem się czuć bezpiecznie. Owszem, szacowny biskup okrył plecy biednego Mordimera zdobną szatą, lecz to nic nie znaczyło. Jego Ekscelencja rozgrywał partię szachów, w której byłem zaledwie pionkiem. I nie miałem żadnych złudzeń, iż poświęci mnie, jeśli da mu to przewagę na szachownicy. Niemniej nawet fakt zostania biskupim pionkiem był dowodem ogromnego zaufania. W związku z tym wiedziałem, że z ciężarem tego zaufania będę musiał sobie radzić. A warto wiedzieć, że dźwiganie ciężaru biskupiego zaufania było mniej więcej tak samo bezpieczne jak dźwiganie piaskowca w kamieniołomach.

Jego Ekscelencja wstał z trudem, zachwiał się lekko, a ja poderwałem się z krzesła. Lecz moja pomoc nie okazała się potrzebna.

— Zgłosisz się do brata Sebastiana — nakazał. — On załatwi z tobą formalności.

Brat Sebastian był prawą ręką biskupa od wszystkich uciążliwych spraw kancelaryjnych. Człowiekiem o ogromnych wpływach, który, o dziwo, znany był z bezgranicznej wręcz uczciwości. Zdumiewające w naszych podłych czasach, prawda?

Biskup zatoczył się w moją stronę, więc z pełnym szacunkiem chwyciłem go pod łokieć. Zionął na mnie winem.

— Dziękuję ci, synku.

Położył mi dłonie na ramionach.

— *Oto ja was posyłam jako owce między wilki. Bądźcież tedy mądrymi jako wężowie, a prostymi jako gołębice —* rzekł z namaszczeniem, potem czknął głośno, co w poważnym stopniu zrujnowało efekt jego słów.

Poza tym tę akurat sentencję zapamiętałem niezwykle dobrze, gdyż padła ona niegdyś z ust istoty, której starałem się nawet nie wspominać, a z którą dwukrotnie skrzyżowały się ścieżki mojego życia. Niemniej nie dałem niczego znać po sobie i klęknąłem u kolan Gersarda, po czym ucałowałem biskupi pierścień. Mówiono, że w oczku znajdował się kamień z Ziemi Świętej, jeden z wielu okruchów głazu, tego samego, na który nastąpił nasz Pan, kiedy zszedł z krzyża swej męki.

— No, no, wstań, Mordimerze. Postaraj się, chłopcze. Bądź czujny, uważny i przebiegły, a nagroda cię nie minie. Brat Sebastian wypłaci ci z góry trzymiesięczne pobory oraz specjalny ekwiwalent, żebyś miał za co zaopatrzyć się na drogę. I żebyś mnie godnie reprezentował. — Pogroził mi żartobliwie palcem.

Z apartamentów biskupa wyszedłem niczym ogłuszony, nie za bardzo wiedząc, na jakim świecie żyję i czy wszystko tylko mi się nie śni. Czy wstępując do inkwizytorskiej Akademii, mogłem przypuszczać, że kiedyś zostanę kapitanem gwardii Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu? Żartujecie chyba, mili moi. Równie dobrze mogłem przypuszczać, iż wyrosną mi skrzydła i wraz z Ikarem oraz Dedalem wzlecę ku słońcu. Zresztą wtedy byłem zachwycony, że mam gdzie spać, co jeść i że istnieje spora szansa, iż przeżyję do następnego poranka.

— Gratuluję, mistrzu — uśmiechnął się stary kancelista, wyrywając mnie z zamyślenia. — Właściwie chyba powinienem powiedzieć: kapitanie Madderdin.

— Wiedzieliście?

— Sam wypisywałem dokumenty. — Obnażył w uśmiechu spróchniałe zęby. — To wielki, wielki zaszczyt. — Ściszył głos: — Inkwizytorium będzie z was dumne.

— Zapewne — odrzekłem, chłodny dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa. — Dziękuję, bracie.

— Nie ma za co, Mordimerze, nie ma za co. — Zobaczyłem żartobliwy błysk w jego oku.

Otóż, widzicie, mili moi, nie pomyślałem w swej pysze o braciach inkwizytorach. Myślałem jedynie, by zafasować żołd, zrobić stosowne zakupy, porozmawiać o szczegółach z bratem Sebastianem, przyjrzeć się ludziom, którzy towarzyszyć mi będą w wyprawie do cesarskiej armii. A o braciach inkwizytorach nie pomyślałem. Tyle że oni pomyśleliby o mnie. I o tym, że stroję się w cudze piórka, zapominając, kim jestem i skąd pochodzę. To prawda, że nie łączyły mnie cieplejsze stosunki z żadnym z nich, lecz nie zmieniało to postaci rzeczy, iż byłem krwią z ich krwi i kością z ich kości. A ponieważ nominacja była jedynie tymczasowa, więc miałem przeczucie, że prędzej czy później wrócę do dawnego zajęcia. Wtedy biedny Mordimer na pewno nie będzie potrzebował wrogów we własnym gronie, zawistników pamiętających, iż w chwili złudnej chwały zapomniał, kim jest naprawdę. Co więc należało zrobić? Należało wydać ucztę! Dobre wina, dobre jedzenie i dobre dziwki. I nie żałować pieniędzy, mili moi, gdyż przyjaźń ważniejsza jest niźli złoto całego świata.

Uczta była koszmarem. No, może nie tak... Przebudzenie po niej było koszmarem, gdyż sama uczta miała przebieg radosny: pełen picia, obżarstwa, śpiewów i chędożenia. Jeden z zacnych braci inkwizytorów omal nie utopił się w beczce z winem. W ostatniej chwili któraś z dziwek wyciągnęła go z niej za włosy i to też nie dlatego, by ratować mu życie, lecz chciała dzbanem zaczerpnąć trunku, a ciało zwisające na krawędzi beczki *jej* w tym zawadzało. No ale, Bogu dziękować, mój brat inkwizytor ocalał, tylko potężnie opił się wińska i zarzygał pół komnaty. Końcówkę uczty pamiętałem już jak przez mgłę. Ktoś rżnął dziwkę na stole pełnym kości i rozlanego wina (zapamiętałem to, bo dziwka, niezrażona, ogryzała w trakcie tego rżnięcia udko kurczaka), ktoś inny ciął kordelasem knoty świec, a gruby Bekas postanowił udowodnić, iż jest odporny na żar płomieni, i trzymał dłoń nad kagankiem tak długo, aż poczuliśmy swąd palonego mięsa. Potem bracia inkwizytorzy wpadli na pomysł, że wybiorą mi na noc dwie najpiękniejsze dziwki. W trakcie tych wyborów pobili się i złamali rękę staremu Piedrowi (nazywanemu z uwagi na pewną niemiłą przypadłość Pierdem), zresztą Bogu ducha winnemu, bo spał w kącie, kiedy wpadli na niego i przewrócili na ziemię.

Nawiasem mówiąc, wybrali dobrze pomimo pijackiego otępienia i gdy rano się obudziłem, ujrzałem obok siebie dwie całkiem ładne buzie i dwa całkiem zgrabne ciałka. Nie omieszkałem jeszcze z nich skorzystać nie dwa i nie trzy razy, mimo straszliwego bólu głowy.

Potem ból głowy jeszcze spotężniał, kiedy pomyślałem, co ona poczułaby, gdyby zobaczyła mnie w takim stanie i w takim towarzystwie. Ona, czyli kobieta, która na pół poważnie, na pół żartobliwie powiedziała o mnie (kiedy uratowałem jej życie): „Mój rycerz na białym koniu". Kobieta, która zawłaszczyła moje sny. Mogłem kontrolować myśli, jednak nie byłem w stanie kontrolować snów. Czasami modliłem się, by z nich zniknęła, czasami modliłem się, by w nich została. Wiedziałem, że niezależnie od tego, co się wydarzy, zawsze będę nieszczęśliwy. Kiedyś pewien szlachcic radził mi, bym z całą szczerością wyznał swe uczucia. Aresztowałem go i wysłałem na stos. Rzecz jasna, nie za radę, broń Panie Boże, lecz za przestępstwa przeciw naszej świętej wierze. Niemniej często żałowałem, że jedyny człowiek, przed którym otworzyłem serce, nie był już niczym więcej niż garścią popiołu.

Gdy wróciłem „Pod Byka i Ogiera", Korfis wręczył mi kilka liścików z podziękowaniami za przednią zabawę i gratulacjami z powodu awansu. Nie powiem: ucieszyło mnie to, bo skoro bracia po tak ciężkiej nocy pomyśleli jeszcze o eleganckich formalnościach, to znak, że bawili się naprawdę dobrze. Na ucztę nie pożałowałem gotówki, lecz rzecz była tego warta. Mówiłem wam, mili moi, łaska biskupa na pstrym koniu jeździ, a ja chciałem mieć dokąd wracać. I do kogo.

Kazałem Korfisowi przygotować gorącą kąpiel (wiedział już o moim awansie, więc chodził obok mnie, jakbym był z weneckiego kryształu), bo nie ma to jak dobrze się wymoczyć, gdy człowieka ściga ból minionej nocy. Potem krzynkę się przespałem i krótko przed zachodem słońca postanowiłem odwiedzić brata Sebastiana, by przedstawił sprawę i pokazał ludzi, którzy mieli mi towarzyszyć w czasie trwania misji na cesarski dwór.

Brat Sebastian nie był zachwycony wizytą.

— Spodziewałem się was rano, kapitanie — mruknął zgryźliwie i spojrzał na moją opuchniętą twarz. — Słyszałem, słyszałem... — dodał. — Módlcie się, żeby to nie doszło do uszu biskupa.

— I tak dojdzie — powiedziałem — Jego Ekscelencja wie wszystko, Boże go wspomagaj.

— Ano prawda — stwierdził brat Sebastian. — Chociaż ja mu nie powiem — zastrzegł od razu. — Przygotowałem dla was glejty, listy polecające, gotówkę i skrypty kredytowe. Coś biskup ma dla was hojną rękę. — Pokręcił głową.

— A moi ludzie? — zapytałem.

— No, jest tu sześciu takich zabijaków. — Uśmiechnął się, a ja zobaczyłem, że spróchniałe zęby w jego ustach rosły krzywo i rzadko jak sztachety w płocie biedaka. — Dostaniecie też chłopca do posług i koniucha. Biskup kazał przygotować dla was wierzchowce. — Spojrzał na mnie taksującym wzrokiem. — I trzeba by się wybrać do zbrojowni — dodał — znaleźć wam choćby jakąś kolczą koszulkę i dobry miecz, bo wstyd tak się pokazać u cesarza. Poza tym powinniście przybrać barwy biskupie.

Skrzywiłem się, gdyż biskupi gwardziści paradowali w żółtych kubrakach, białych, obcisłych pantalonach oraz żółtych butach za łydki, co zdaniem waszego uniżonego sługi wyglądało nadzwyczaj cudacznie i mogło cieszyć gawiedź. Być może jednak gwardziści posłani w bojowej misji mieli prawo ubierać się w kolory bardziej stonowane, tak by nie budzić śmiechu u bliźnich i nie przypominać cyrkowców.

— Dziękuję, bracie Sebastianie — powiedziałem tylko. — Mam nadzieję, że uda mi się godnie reprezentować Jego Ekscelencję.

Fuknął coś, lecz nic nie odparł. Zadzwonił na służącego.

— Zaprowadź pana kapitana do zbrojowni, potem do garderoby — rozkazał. — Posłałbym was do krawca — zerknął na mnie — ale nie ma czasu. Jutro o świtaniu ruszacie.

— Jak trzeba, to trzeba — westchnąłem.

Sądzę, że brat Sebastian na wyrost nazwał moich ludzi zabijakami. Myślę raczej, że porucznik biskupiej gwardii — nawiasem mówiąc, zły jak diabli z powodu mojego awansu — wybrał tych, z którymi nie miał już co zrobić. Stali w szeregu na tylnym dziedzińcu biskupich koszar, a ja przyglądałem im się dłuższy czas w milczeniu.

— Jestem mistrzem Inkwizytorium i nazywam się Mordimer Madderdin — rzekłem. — Wszyscy zapewne wiecie, że tylko czasowo Jego Ekscelencja przyznał mi licencję kapitana gwardii. Niemniej teraz jestem kapitanem i żądam od was jednego: absolutnego posłuszeństwa — zawiesiłem głos na moment. — Jeśli tobie, czarnobrody — zwróciłem się do zarośniętego osiłka o twarzy idioty — każę uklęknąć i zeżreć gówno z ziemi, to co zrobisz? Otóż w tej samej chwili uklękniesz, zeżresz gówno, a potem podziękujesz kapitanowi za posiłek. Zrozumiano?

Odczekałem czas jakiś.

— Pytałem, czy zrozumiano — powtórzyłem spokojnie. — A kiedy pytam, chcę słyszeć odpowiedź!

— Zrozumiano. Tak. Tak jest — prawie każdy inaczej się odezwał i nie powiem, żebym w ich głosie odczytał nadmierny entuzjazm.

— Powiem wam krótko, chłopcy. Być może macie szansę wyjść z życiem z tej awantury. Ale tylko wtedy, jeśli wytężycie łby na tyle, by rozumieć moje rozkazy. Teraz po kolei. Imiona.

Przedstawiali się, a ja starałem się zapamiętać: Mały Hansie, Bolko Ślązak, Mruk Pokraka, Sobol Bękart, Robin Pałka, Rupert Gardzioł.

— Co robiliście do tej pory w gwardii? — zapytałem.

Słuchałem z rosnącym niepokojem. Ot, szlachetnie urodzony porucznik postanowił zażartować sobie z biednego Mordimera. I przyznał mu takich ludzi, że ze świecą szukać podobnego oddziału. Bowiem jeden z moich ludzi był podkuchennym, drugi czyścił stajnie, trzeci pracował w kuźni, czwarty pilnował piwnic, piątego właśnie zwolniono z wieży za gwałt. Jedynie szósty miał jakie takie doświadczenie, gdyż dochrapał się niegdyś rangi sierżanta, jednak zdegradowano go za notoryczne upijanie się na służbie. Oczywiście, że mogłem iść ze skargą do biskupa. W końcu jechałem na dwór cesarza i wypadało dać mi ludzi, którzy będą godnie reprezentować Jego Ekscelencję. Lecz nie zamierzałem zaczynać od narzekań. Prawdziwy mistrz musi poradzić sobie z takimi narzędziami, jakie ma na podorędziu. Jasne, że brakowało mi Kostucha i bliźniaków, gdyż od razu lepiej bym się poczuł, widząc obok siebie towarzyszy wspólnych wypraw. Jedyne, co mogłem zrobić, to zostawić wiadomość u Korfisa, aby kiedy tylko pojawią się w mieście, pakowali manatki i ruszali w stronę miejsca obozowania cesarskiej armii. Gdziekolwiek to miejsce akurat by się wtedy znajdowało.

— Ustalimy pewne zasady, chłopcy — powiedziałem. — I zaczniemy od zakazów. Od tej chwili macie zakaz picia wina, piwa, gorzałki i czego tam jeszcze. Kto go złamie, zostanie zabity. Własnoręcznie przeze mnie. Kto zaczepi albo okradnie kogoś po drodze, zostanie zabity. Jak wyżej. Kto nie wykona rozkazu, zostanie zabity. Przez kogo? — zwróciłem się do Robina Pałki.

— Przez pana kapitana — odparł.

— Bardzo słusznie. A ty będziesz tego wszystkiego pilnował jako mój sierżant. Postaram się, by oficjalnie przywrócono ci stopień oraz stosowny do niego żołd.

Rozpromienił się.

— Tak jest, panie kapitanie! — ryknął na cały głos. — Na początek dopilnujesz, żeby wszyscy łącznie z tobą ogolili się i ostrzygli. Nie pokażę się przed cesarzem z taką bandą łachmaniarzy, zrozumiano?

Cesarską kwaterę główną założono w miasteczku Heim, kilkanaście mil od rzeki oddzielającej granice Cesarstwa i Palatynatu. Cesarz wraz ze swym dworem stanął w najlepszej karczmie oraz w domach co majętniejszych mieszczan, a wojska rozlokowano w okolicznych wioskach i miejscowościach. Słyszałem, że władca surowo nakazywał żołnierzom dyscyplinę, wprowadził zakaz rabunków, każdą niesubordynację karał na gardle. Dlatego też po drodze widzieliśmy kilkudziesięciu wisielców w stanie mniejszego lub większego rozkładu, którzy byli znakomitym obiadkiem dla kruków i wron. Cesarscy oficerowie chętnie płacili okolicznej ludności za prowiant, konie i wozy, zwłaszcza że cesarz wystawiał oprocentowane skrypty dłużne, więc nie musieli sięgać do własnych kiesek. Już ja wiem, mili moi, jak to jest z tymi skryptami dłużnymi. Każdy generał chętnie je wystawia, tylko że jak armia wraca w rozsypce, to nie ma komu płacić. Miałem jednak nadzieję, że wojska młodego cesarza poradzą sobie z Palatynatem, bo nie bawiła mnie myśl, że wojna zapuka do bram Hezu. Chociaż, szczerze mówiąc, Palatynat może i miał tyle wojska, by się obronić, ale chyba nie tyle, by nas zaatakować. Palatyn Duvarre znany był z zamiłowania do fortyfikacji, w związku z tym cały kraj, skądinąd pełen bagnisk i poprzecinany licznymi rzekami, zamienił w jedną wielką twierdzę. Bardzo ciekawiło mnie, jak Jego Cesarska Mość zamierza sobie z tym fantem poradzić.

Heim było przygranicznym miasteczkiem leżącym w rozwidleniu rzeki. Zadbano, by otoczyć je murami oraz zabezpieczyć fosą w tych miejscach, gdzie rzeka nie tworzyła naturalnej ochrony. Na moście zwodzonym czuwała straż wpuszczająca tylko kupców z towarami czy ludzi mających przepustki, glejty lub listy polecające. Nam w zasadzie wystarczyłyby biskupie barwy, gdyż każdy żołnierz w okolicy umiał poznać biało-żółte stroje i charakterystyczne stalowe hełmy w kształcie kapeluszy z szerokim rondem. Zapytajcie mnie, mili moi, przed czym taki hełm miał chronić? Nie znajdę dobrej odpowiedzi, bo na pewno nie przed ciosem pałki, topora lub miecza. Moich pięciu zabijaków... Ach, wspominałem, że na początku było ich sześciu, prawda? Lecz Bolko Ślązak miał nieszczęście nie posłuchać rozkazów i upił się do nieprzytomności pierwszej nocy. Sam, własnoręcznie, tak jak obiecałem, jeszcze pijanego i coś bełkoczącego powiesiłem na progu karczmy. Bardzo zręcznie powiesiłem, mili moi. Tak, by końcami palców u stóp mógł leciutko dotykać ziemi. Dusił się prawie do samego rana, aż wreszcie podciągnąłem go wyżej i pozwoliłem umrzeć. Wiecie, że prawie cały czas, kiedy był podwieszony, to płakał? Jak widać miał sentymentalną naturę... Ale od tej pory pięciu pozostałych chłopców pilnie obserwowało każdy mój gest i aż bili się, by jako pierwsi wypełniać rozkazy. Dyscyplina jest podstawą życia. Bez dyscypliny jesteśmy tylko hordą zwierząt niegodnych istnienia na tym nie najlepszym ze światów.

No dobrze, wracajmy do biskupich barw. Nie mogłem się przemóc i założyć dziwacznych pantalonów oraz kanarkowego kubraka. Na szczęście wybrałem w zbrojowni dobre skórzane buty, podbite żelazem, stalowe nagolenice, kolczą koszulkę i przyzwoity hełm z szerokim nosalem oraz spływającą na ramiona misiurką. Jedyne, co udowadniało, że jestem biskupim sługą, to biały płaszcz z żółtym, złamanym krzyżem.

Wolałbym co prawda mój własny, czarny płaszcz ze srebrnym krzyżem, ale cóż: tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

— Wasza wielmożność? — Oficer straży skłonił się, widząc biskupie barwy. — Jego dostojność legat Verona kazał was powiadomić, że pilnie oczekuje w swej kwaterze.

— Gdzie ta kwatera?

— Przy rynku, panie kapitanie. Karczma „Pod Złamanym Toporkiem".

— Cóż to za nazwa? — zdziwiłem się.

Nie wiecie, ileż człowiek poznaje świata i historii, pytając o nazwy gospód lub oberży. O każdej z nich miejscowi znają jakąś opowieść, czasem są to opowieści całkiem zajmujące.

— W czasie pierwszej wojny z Palatynatem miejscowego kasztelana ścięli na dziedzińcu tej karczmy, wasza dostojność. Lecz żołnierz, który go ścinał, tak mocno uderzył w pień, że i głowa poleciała, i topór pękł. Znaczy się stylisko...

— A to pięknie. — Pokiwałem głową i przejechałem przez bramę.

Zdziwiłem się, że legat urzęduje w gospodzie. Prędzej spodziewałbym się, iż zatrzyma się na którejś plebanii, w jednym z heimskich klasztorów lub w dworze bogatego kupca. Zwłaszcza słyszałem wiele dobrego o pięknym i bogatym klasztorze józefitów, lecz widać Verona wolał przebywać w centrum wydarzeń, nie w rozmodlonej klasztornej ciszy.

Miasto było zatłoczone i pełne zgiełku. Na ulicach roiło się od dworzan, cesarskich żołnierzy oraz całej tej czeredy, która jak wiek wieków towarzyszy każdej armii. Kupcy, żebracy, sprzedajne dziewki, cyrkowcy — wszystko to kłębiło się na ulicach Heimu w jednym tylko celu — jak najprędzej i najsolidniej napchać sobie kieskę dzięki wojnie. A nie sądzę, by dziwki przyjmowały cesarskie skrypty dłużne. Z tego, co wiem, te panie niezwykle rzadko udzielają swych łask inaczej jak za gotówkę. Oczywiście dla biednego Mordimera czyniono pewne wyjątki, lecz podejrzewam, iż między innymi z uwagi na smutne koleje losu mej przyjaciółki Lonny, która niegdyś zawiadywała najsłynniejszym domem publicznym w Hezie, a którą w wyniku splotu nieszczęśliwych okoliczności spalono na stosie. Heska wieść gminna głosiła, jakoby stało się to z mej przyczyny, a ja w swej pokorze nie dawałem odporu tym pogłoskom.

Rynek, zapchany do granic możliwości i pełen rozkrzyczanego tłumu, znaleźliśmy szybko, bo też błotnista droga prowadziła prosto do niego, jak w pysk strzelił. A karczma „Pod Złamanym Toporkiem" była solidnym, dwupiętrowym, murowanym budynkiem, do którego przylegały stajnie. Na dziedzińcu faktycznie stał przegniły pieniek i domyśliłem się, iż to pamiątka po niesławnej (a może sławnej?) śmierci kasztelana. Dziedziniec również był pełen ludzi. Ktoś odprowadzał konie, ktoś wytaczał beczkę z magazynu, woźnica z zaciętą miną batożył konia, który nie chciał pociągnąć zapełnionego po brzegi wozu, a gromadka dzieciaków rzucała w siebie kulami ulepionymi z błota. Podniosłem z ziemi kamyczek w kształcie talerzyka i zręcznie cisnąłem w stronę woźnicy. Trafił go w potylicę i mężczyzna upadł na kolana. Rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem, bat wypadł mu z dłoni. Kiedyś co prawda zabiłem człowieka, który znęcał się nad koniem. Teraz jednak, po pierwsze, nie byłem tak pochopny jak w młodzieńczych latach, a po drugie, nie sądziłem, iż papieskiemu legatowi spodobałoby się, że kapitan z Hezu rozpoczął karierę od mordowania ludzi pod oknami jego kwatery.

Chwyciłem za kark przebiegającego stajennego. Zwinął mi się pod ręką, lecz przytrzymałem dobrze.

— Jego dostojność legat Verona jest tu?

— Jest, panie, jest! Całą karczmę zajął ze swoimi! Puściłem go i zeskoczyłem z siodła.

— Czekajcie — rozkazałem swoim i ruszyłem w stronę wejścia.

Przy drzwiach stał z nachmurzoną miną papieski dworzanin i popijał z dużego glinianego kufla.

— Kapitan z Hezu — niemal krzyknął, kiedy mnie zobaczył. — Idźcie, człowieku, ojciec Verona od wczoraj na was czeka!

Nie podobało mi się to jego „człowieku". Podszedłem, wyjąłem mu z rąk kufel i powąchałem. Patrzył na mnie ogłupiałym wzrokiem. Miał małe, mętne oczka, widać musiał się już raczyć trunkiem od dawna.

— Na służbie się nie pije... człowieku. — Wylałem zawartość kufla na ziemię.

Potem włożyłem mu puste naczynie w ręce i wszedłem do środka. Zza pleców dobiegło mnie tylko zduszone przekleństwo świadczące o tym, że dworzanin nie miał wielkiego wyobrażenia o mojej matce. Nie odwróciłem się nawet, bo i ja nie darzyłem rodzicielki specjalną estymą. Niemniej miałem nadzieję, że o braku szacunku z jego strony zdążymy jeszcze kiedyś porozmawiać.

Legat Lodovico Verona okazał się wysokim, chudym mężczyzną o ptasiej twarzy i przenikliwych szarych oczach. Z tego, co wiedziałem, ubierał się zawsze w czerń i nie inaczej było w tej chwili: odziany był w aksamitną bluzę z czarną kryzą wokół szyi i bufiastymi rękawami. Kiedy ruszał rękoma, wydawało się, że chce rozwinąć skrzydła i zerwać się do lotu. Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie zakładał habitu, chociaż był zakonnikiem. A raczej wszyscy sądzili, że był zakonnikiem, gdyż wielu przecież nazywało go „ojcem".

— Kapitan Madderrrrdin — rzekł, przeciągając zgłoski. — Spodziewałem się was wcześniej. Siadajcie. — Wskazał krzesło. — I połóżcie listy.

Posłusznie wyjąłem opieczętowane dokumenty otrzymane od biskupa Hez-hezronu.

— Jak tam Gersard? Podagra? Pije?

— Z tego, co wiem, ostatnio Jego Ekscelencja cieszy się dobrym zdrowiem — odparłem dyplomatycznie.

Legat usiadł naprzeciwko mnie i splótł dłonie. Miał długie palce o napuchniętych stawach i wypolerowane paznokcie.

— Miałeś sześciu ludzi, Mordimerze. Pozwolisz, kapitanie, że będę mówił ci po imieniu, prawda?

— To zaszczyt, wasza dostojność. Spojrzał na mnie ostro.

— Nie przerywaj, kiedy mówię, Madderdin! Zadałem pytanie retoryczne i nie musiałem słuchać twej głupkowatej odpowiedzi.

Zmilczałem, a on uśmiechnął się samymi wargami. Usta miał cienkie, blade i spękane jak odwłok wysuszonej na słońcu glisty.

— Dobry chłopak — powiedział. — Szybko się uczy. Teraz powiedz, gdzie podziałeś szóstego zucha?

— Powiesiłem go, wasza dostojność.

— Powiesiłeś... Ha! A za cóż to, jeśli wolno wiedzieć? Wstał, przeszedł za moje plecy i usłyszałem, jak nalewa sobie czegoś do kubka.

— Masz ochotę się napić, Mordimerze? Niestety, nie mogę ci służyć tym, czym Gersard, bo nie pijam nic prócz wywarów z ziół oraz źródlanej wody.

— Pokornie dziękuję waszej dostojności — odparłem. — Choć sam również uważam, że nie ma nic lepszego nad napar z rumianku. — Pod warunkiem, że rozcieńczyć go w proporcjach jeden do stu z gorzałką, dodałem w myślach. Ale zauważyłem, że legat zerknął na mnie jakby przychylniejszym wzrokiem.

Verona był chyba jeszcze gorszy od Gersarda. Tamten przynajmniej miał słabostki, humory i kaprysy. Ten wydawał się dużo bardziej niebezpieczny. Strzeżcie się ludzi, którzy nie mają nałogów, mili moi! Bo może się okazać, że ich tajemnice są dużo mroczniejsze, niż moglibyście przypuszczać.

— Nie to nie — mruknął. — No więc za co go powiesiłeś?

— Za nieposłuszeństwo, wasza dostojność. Upił się na służbie.

— Lubisz dręczyć ludzi, Mordimerze? zapytał zgrzytliwym tonem. — Miło było patrzeć, jak kona przez pół nocy?

— Wasza dostojność jest doskonałe poinformowany — odparłem spokojnie. — Lecz jeśli chodzi o pytanie waszej dostojności, to odpowiedź brzmi: nie. Nie lubię dręczyć ludzi i nigdy nie robię tego bez potrzeby. Zadawanie męki innej istocie jest grzechem, chyba że służy jako narzędzie do osiągnięcia celu.

— Jakiż cel był tym razem? — Wyszedł zza moich pleców i znowu usiadł naprzeciwko. Siorbnął głośno z kubka.

— Zapewnienie sobie posłuszeństwa u pozostałych — odrzekłem. — Poza tym ośmielę się wyjaśnić waszej dostojności, że ostrzegałem, iż każdą niesubordynację będę karał śmiercią. Ten człowiek nie wziął mych słów poważnie.

— Nie lubisz, kiedy się ciebie lekceważy, prawda, Mordimerze? — spytał z zamyśleniem w głosie. — Ja też nie... Może się więc i dogadamy.

Odstawił kubek, znowu zaplótł palce tak mocno, aż coś chrupnęło mu w kostkach dłoni.

— Co usłyszałeś od Gersarda? Na temat wojny? — Jego Ekscelencja biskup modli się za krzyżowców...

— Dobrze, dobrze — burknął. — Wiem, iż wszem wobec głosi, że ta wojna jest nie po myśli Kościoła — prychnął rozdrażniony. — Tymczasem ona jest nie po myśli twojego biskupa. Wiesz czemu?

Streściłem mu w kilku słowach, delikatnie i oględnie, rozmowę z Gersardem. Nie było w tym szczególnej tajemnicy, gdyż biskup jawnie narzekał na bałagan, który rodzi wojna. Verona roześmiał się, nie obnażając nawet zębów, potem zakaszlał z głębi płuc i odplunął w kąt pokoju.

— Jeśli cesarz zdobędzie Palatynat, zyska dostęp do morza. Bogate porty. Statki. Doświadczonych kupców oraz żeglarzy. Towary z zachodu nie będą już wędrować przez porty leżące na terenie biskupich domen, nie będzie ceł, myta i kosztów transportu. Cesarz potężnie uderzy Gersarda po kiesce, Mordimerze. I twój biskup słusznie się tego boi. A ja nie. I Ojciec Święty też nie. Wiesz dlaczego? Bo Stolica Apostolska dostanie nadania w Palatynacie. Cesarskie dzierżawy. Co papieża mogą obchodzić lenna Gersarda i innych kardynałów? Myślisz, że Ojciec Święty jest taki zachwycony bogactwem swoich owieczek? Że nie boli go, iż jest po uszy zadłużony u Gersarda?

Nie powiem, że nie wiedziałem o tym wszystkim. Plotka to plotka, mili moi, i jak raz wyjdzie na światło dzienne, trudno ją zabić. Więc o tym i owym gadało się na mieście. Lecz pierwszy raz wszystko słyszałem z ust człowieka będącego w środku wydarzeń. I nie powiem, bym był zachwycony tą wiedzą. Im mniej wiesz o sprawach możnych naszego świata, tym chętniej cię ignorują. A życie w cieniu na pewno jest wprost proporcjonalne do tegoż życia długości. Nie miałem pojęcia, czemu legat mówi mi o tym wszystkim. Czyżby obnosił się ze swym lekceważeniem dla biskupa Hez-hezronu i chciał pokazać, że sprawa Gersarda już przegrała? Prowokował mnie? Byłem mu do czegoś potrzebny? Chciał, bym zameldował biskupowi o tej rozmowie?

Nic nie odpowiedziałem, a i legat zapewne nie spodziewał się responsu.

— Jakie polecenia wydał ci Gersard?

— Mam co drugi dzień, a jeśli trzeba, nawet codziennie, wysyłać kuriera z pismem informującym o wszystkim, co zaszło...

— Nic poza tym? — Spojrzał na mnie bacznie. — Żadnych tajnych zleceń? Sekretnych misji?

— Nie, wasza dostojność.

— A gdybyś takowe dostał, powiedziałbyś mi?

— Nie, wasza dostojność. — Nawet nie zastanawiałem się nad odpowiedzią, choć nie wiedziałem, czy ta szczerość mi posłuży.

Pokiwał głową.

— Tak sobie właśnie myślałem — rzekł spokojnie. — Zamieszkasz tu, Mordimerze. Jest gdzieś na strychu wolna klitka. Nie bierz tego do siebie. W Heimie nawet książęta krwi sypiają na sianie, byle tylko znaleźć się w pobliżu cesarza... Zresztą namnożyło się ostatnimi czasy tych książąt... — Znowu roześmiał się, nie otwierając ust. — Twoi ludzie znajdą miejsce w stajni. I tak pewnie niedługo zabawimy w mieście. Cesarz czeka tylko na najemników i ruszamy. Co zamierzasz robić?

— Obserwować — odparłem. — Jeździć po okolicy. Przyjrzeć się wojskom. Przede wszystkim złożyć listy polecające u Jego Wysokości.

— Dobrze. — Pokiwał głową. — Wezwę cię, jeśli będziesz potrzebny. Założę się, że cesarz zechce z tobą porozmawiać.

— Cesarz zechce udzielić mi audiencji? — zapytałem z niedowierzaniem, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

Lecz tym razem Verona się nie rozgniewał.

— Jesteś kapitanem biskupiej gwardii, nie inkwizytorem. Osobistym wysłannikiem biskupa Hez-hezronu. Chociaż — podniósł napuchnięty palec — wszyscy znają twoją przeszłość. Tu wieści szybko się rozchodzą. No, idź już, Mordimerze. Jak pojeździsz po okolicy, i ja chętnie wysłucham, co masz do powiedzenia.

— Dziękuję waszej dostojności. — Wstałem i skłoniłem się głęboko. Ucałowałem dłoń, którą dobrotliwie wysunął w moją stronę.

— Swoją drogą, Madderdin — zagadnął jeszcze, kiedy byłem przy drzwiach — czy możesz mi wyjaśnić, czemu Gersard nie przydzielił tej misji jakiemuś szlachcicowi? Dyplomacie? Oficerowi? Dlaczego, na miecz Pana naszego, przysłał do cesarza oprawcę z Inkwizytorium?

Obróciłem się od drzwi i przywołałem uśmiech na twarz, choć przyszło mi to z niejakim trudem.

— Być może po to, wasza dostojność, by mnie zabito. Szlachetnie urodzeni nie przepadają za inkwizytorami.

Patrzył na mnie przez moment wzrokiem bez wyrazu, potem znowu pokiwał głową.

— Sprytny chłopiec — rzekł powoli. — Zresztą, jeśli mam być szczery, ja też was nie lubię. Jesteście jak szczury...

Odczekałem chwilę, czy nie zechce podzielić się ze mną następnymi perłami swych przemyśleń, po czym skłoniłem się nisko i wyszedłem. Wyszedłem, gdyż nie było nic do dodania.

Oczywiście, że w drodze poza dyscyplinowaniem moich chłopców miałem dużo czasu na inne rzeczy. Na rozmyślania. Na zadawanie sobie podobnych pytań do tych, jakie zadał legat Verona. Gładki dworak, dyplomata, szlachcic z dobrym herbem oraz znajomościami zdziałaliby w otoczeniu cesarza na pewno więcej niż wasz uniżony sługa. A jeśli Gersard chciał mieć wieści wojskowej natury, lepiej by zrobił, wysyłając emerytowanego generała. W swej świcie miał przecież i jednych, i drugich. Dlaczego więc z ważną misją pojechał biedny Madderdin, który był, jest i będzie nikim? Prochem, pyłem u stóp możnych tego świata? Odpowiedzi było kilka, a żadna mnie nie satysfakcjonowała. Po pierwsze, mógł to być kaprys Jego Ekscelencji. Chwilowa zachcianka, z której duma i przekonanie o własnej nieomylności nie pozwoliły mu się już wycofać. Wiedziałem, że biskup Hez-hezronu zdolny jest do niespodziewanych wolt, ma humory, kaprysy, fanaberie. Ale był przy tym wszystkim zręcznym politykiem i wytrawnym finansistą. W końcu — wierzycielem samego Ojca Świętego. Po drugie, wysłanie mnie mogło być powodowane chęcią upokorzenia cesarza, postawienia go w niezręcznej sytuacji, może nawet ośmieszenia. Niezależnie od tego, co sam bym myślał o swej pracy, większość ludzi oceniała mnie właśnie jako oprawcę. Po trzecie, i ta koncepcja najmniej mi odpowiadała, Gersard mógł liczyć na to, że któryś z krewkich feudałów po prostu mnie zabije. Wtedy rozdarłby szaty, wysłał protesty, obraził się i... wstrzymał wszelkie dostawy dla wojska oraz zakazał poboru rekruta na zarządzanych przez siebie włościach. Cesarz musiałby pertraktować i kupić sobie jego przychylność. Za co? To już najmniej by obchodziło waszego uniżonego sługę. Tak czy inaczej, sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Może moje życie było nędzne, ale jakoś przez te wszystkie lata przyzwyczaiłem się do niego i nie zamierzałem być pionkiem na szachownicy. A przynajmniej nie tym pionkiem, którego łatwo poświęca się za przewagę pozycyjną lub figurę. I jeszcze jedna sprawa uporczywie chodziła mi po głowie. Nie mogłem zapomnieć o sprawie Anny Hoffentoller oraz o *jej* zapewnieniach, że cesarza i jego otoczenie dotknie potężna klątwa. Zawsze miałem nadzieję, że nawet jeśli to prawda, to nigdy nie znajdę się na tyle blisko Najjaśniejszego Pana, by odczuć skutki działania tej klątwy. Teraz byłem dużo bliżej niż blisko. I ten fakt nie poprawiał mi humoru.

W Heimie panował tak ogromny tłok, że cesarska kancelaria wydała zakaz poruszania się wszelkich furgonów i wozów, w tym karoc należących do możnych, z wyjątkiem tych, które przywoziły zapasy mające służyć armii oraz dworowi. W związku z powyższym modne stały się lektyki, a po ulicach miasta biegały pary lub czwórki umięśnionych osiłków dźwigających budy z zasiadającymi w środku arystokratami i szlachtą. A im właściciel był możniejszy, tym i buda bardziej zdobna. Przeciskając się przez tłum, dostrzegłem lektykę poprzedzaną przez dwóch cesarskich dworzan uzbrojonych w kije, którzy bezceremonialnie roztrącali ludzi zagradzających im drogę. W kapiącym od złota pudle siedziała kobieta o jasnych włosach i pięknej, lodowatej twarzy. Poznałem ją od razu, choć spotkaliśmy się ładne kilka lat temu. Upływ czasu, który odcisnął wyraziste piętno na mej twarzy, a we włosy wplątał srebrzyste nici, jej nie dotknął w najmniejszym stopniu. Dziś po raz pierwszy widziałem ją w bogatej sukni oraz z pięknie trefionymi włosami, gdyż zwykle widywałem ją nago lub w codziennym, skromnym stroju. Kobietą rozpartą w lektyce i obserwującą tłum z zimną obojętnością była Enya — śliczna i zabawna zabójczyni służąca Wewnętrznemu Kręgowi Inkwizytorium, która przede mną odgrywała rolę dziwki i która uratowała mi niegdyś życie. Jej wzrok zatrzymał się na mnie, lecz patrzyła w taki sposób, jakbym był ulicznym słupem. Nagle sięgnęła do twarzy i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Uśmiechnęła się, a uśmiech trwał tak krótko, że nie zauważyłby go ten, kto by w tym momencie zmrużył powieki. Wiedziałem jednak, że rozpoznaje mnie i że ów słodki znak skierowany jest właśnie do mnie. Po chwili zniknęła już pochłonięta przez tłum i tylko jeszcze przez chwilę słyszałem gniewne okrzyki dworzan torujących drogę lektyce. Nie mogłem się nie zastanawiać, co robiła w Heimie wykwalifikowana zabójczym Inkwizytorium. Nie mogłem się nie zastanawiać, kto wyciągnął na światło dzienne tę niebezpieczną broń i w jakim celu zamierzał jej użyć. Wreszcie nie mogłem się nie zastanawiać, dlaczego była kosztownie ubrana oraz czemu jej słudzy nosili cesarskie barwy.

— Piękna, czyż nie? — westchnął ktoś przy moim ramieniu.

Odwróciłem się.

— Ritter, na miecz Pana! — zawołałem i szczerze się ucieszyłem, widząc człowieka, z którym nieraz splotły się już moje losy.

— Góra z górą... — Potrząsnął silnie moją dłonią, a jego kozia bródka zatrzęsła się.

— Co wy tu robicie?

— Jak to co? — zdumiał się. — Przecież w Heimie są wszyscy! — silnie zaakcentował ostatnie słowo.

— Kim ona jest? — Spojrzałem w stronę, gdzie zniknęła lektyka.

— Za wysokie progi, panie Madderdin — zaśmiał się. — To Anna, księżniczka z Trebizondu, nieślubna córka Nicefora Angelosa.

A to by się zdziwili w Trebizondzie, pomyślałem.

— I metresa naszego Najjaśniejszego Pana — dodał dramaturg teatralnym szeptem.

— Och... — rzekłem tylko, a do głowy przyszła mi jedna myśl: Enya musiała znać grekę, gdyż inaczej nie mogłaby udawać trebizońskiej arystokratki przed naszym cesarzem, który uchodził za człowieka gruntownie wykształconego. Tak samo musiała znać zasady dworskiej etykiety. To wszystko świadczyło o jej randze, a ja przypomniałem sobie, jak na tiriańskiej łajbie czochrała się ze wszy. Sporo wody upłynęło w rzekach świata od tego czasu. Mordimer Madderdin był kapitanem biskupiej gwardii, a wynajęta ladacznica kochanką najmiłościwiej nam panującego. Och, mili moi, życie jest pełne zagadek oraz nabrzmiałe od nieoczekiwanych wydarzeń!

— Chodźmy na wińsko. — Poeta pociągnął mnie za rękaw. — Jeśli macie gotówkę, to ja mam ulubioną gospodę!

— Jakżeby inaczej — burknąłem, lecz dałem się poprowadzić, gdyż po pierwsze, lubiłem towarzystwo Rittera, a po drugie, mógł okazać się kopalnią interesujących wiadomości i plotek.

Heinz zaprowadził mnie do całkiem przyzwoicie wyglądającego szynku i głośno zapowiadając, że pojawił się mistrz Inkwizytorium z Hezu, szybko spowodował, iż karczmarz wygonił ucztujących w alkierzu szlachciców (odeszli, klnąc pod nosem i patrząc na nas wściekłym wzrokiem), oddając nam tę część sali do wyłącznej dyspozycji.

— Nie jestem już inkwizytorem — obwieściłem, kiedy usiedliśmy.

— O Matko Boska Bezlitosna! — Ritter zbladł, gdyż za podszywanie się pod funkcjonariusza Świętego Officjum groziły kary równie bolesne, co bez pardonu wykonywane. — Co się stało, Mordimerze? — Chwycił mnie za dłoń. — Czy mogę jakoś...? Mam pewne wpływy...

Jego troska oraz szczerość naprawdę mnie ujęły i wzruszyły. Miło, że trafiają się ludzie, którzy nie zapominają o tym, iż zawdzięczają komuś życie.

— Nie martw się, Heinz — powiedziałem serdecznym tonem. — To tylko chwilowe odwołanie...

Pokiwał ponuro głową, przypuszczając, że robię dobrą minę do złej gry.

— ...na czas mianowania mnie kapitanem gwardii biskupa Hez-hezronu — dodałem.

— Piliście dzisiaj? — spytał po dłuższym milczeniu.

— Nie, ale chętnie się napiję.

— Kpicie sobie ze mnie?! Tak?

— Heinz, jakżebym śmiał. — Rozłożyłem ręce. Patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem.

— To się w głowie nie mieści — stwierdził wreszcie.

— Ano tak — zgodziłem się z nim. — Kiedy dowiedziałem się o nominacji, żona Lota była w porównaniu ze mną żwawą dziewuszką.

— Na gwoździe i ciernie! — Potrząsnął głową, cały czas nie dowierzając moim słowom. — Jak to się stało? Dlaczego? Kto? I w ogóle...

Młoda, roześmiana szynkareczka przyniosła nam wino i kubki. Ritter był na tyle wstrząśnięty tym, co usłyszał, że nawet nie próbował uszczypnąć jej w pośladki. A jak zauważyłem, były to całkiem kształtne pośladki. Napełniłem kubki trunkiem.

— Wasze zdrowie, panie Ritter.

Stuknął się ze mną, ciągle z nieobecnym wyrazem twarzy.

— Ale się dzieje... — powiedział tylko i wypił do dna.

— Powiedzcie coś o tej damie — zaproponowałem. — O księżniczce Annie z Trebizondu.

— Nie, nie, nie, to wy opowiadajcie... W jaki sposób, na Boga...

— Heinz — przerwałem mu — ani ty, ani ja nie jesteśmy dziwkami, które właśnie dostały diamentową kolię. Więc nie będziemy się podniecać. Rusz trochę pomyślunkiem i zastanów się, z jakich powodów zwykły inkwizytor zostaje kapitanem biskupiej gwardii, a co za tym idzie, jedną z najważniejszych osób w Hez-hezronie? I dlaczego wysyłają go na wojenny dwór cesarza.

— No? — Spojrzał na mnie.

— To przecież wy w swoich dramatach snujecie intrygi, ujawniacie kulisy tajemniczych knowań...

— Ach... — Zastanawiał się dość długo, później spojrzał na mnie. Tym razem uważnie. I dorzucił: — Więc to tak...

— Jak? — tym razem ja spytałem.

— Zabiją was — pokiwał głową — a biskup rozpęta wtedy karczemną awanturę. Zmusi cesarza do ustępstw.

Byłem z niego niemal dumny, że tak szybko doszedł do podobnych wniosków co ja. Oczywiście, była to tylko jedna z możliwości, gdyż pionek nigdy nie wie, czy gracz zechce go poświęcić, czy też dąży, by zamienić go w hetmana.

— Tyle że cesarz nie jest głupi — dodał. — Będzie was chronić.

— Ritter — rzekłem, nalewając wina — czasami jesteście bardziej bystrzy, niż ktokolwiek by pomyślał.

Rozpromienił się. A ja faktycznie zacząłem się zastanawiać, że skoro i wasz uniżony sługa, i legat Verona, i nawet Heinz Ritter domyślili się, o co chodzi, to czemu miał nie domyślić się Najjaśniejszy Pan, który z tego, co wiedziałem, nie należał do ludzi intelektualnie ułomnych? Lecz skoro intryga była tak przewidywalna, może stanowiła jedynie zasłonę dymną? Może chodziło o coś zupełnie innego? Może biedny Mordimer nie będzie musiał dać gardła, wypełniając plany możnych tego świata?

— Pocieszające jest jedynie to, że nigdy w życiu nie dostawałem tak wysokiego żołdu — powiedziałem.

— Wydaliście ucztę dla braci inkwizytorów? — Znów mogłem go tylko podziwiać za postawienie właściwego pytania.

— Oczywiście. — Skinąłem głową. — Zrobisz karierę, Heinz. Wierz mi, kiedyś zły los się odwróci i zabłyśniesz niczym szczerozłoty dukat w blasku słońca.

Rozpromienił się jeszcze bardziej.

— A wtedy — uniósł palec — będę o was pamiętał — obiecał.

Wierzyłem mu. Ritter był dziwnym człowiekiem lecz na swój sposób uczciwym. Poza tym byłem pewien że gdy dojdzie do władzy i pieniędzy, nie omieszka czerpać satysfakcji z pokazywania, jak wiele może dla mnie uczynić.

— Wracając do księżniczki...

— Bajeczna, prawda? — westchnął. — Dlaczego my nie możemy mieć takich kobiet, panie Madderdin? Cesarz pogrążony w miłości...

— Żądza — mruknąłem.

— Oj, nie, nie. — Pokręcił głową. — Odesłał wszystkie kochanki. Nie zdziwiłbym się, gdyby ją poślubił.

Roześmiałem się naprawdę szczerze.

— Panowie rada nigdy na to nie pozwolą.

— Zobaczycie, jak się będzie ich pytał — odparł ironicznym tonem.

— Heinz, przemawia przez was wybujała poetycka fantazja. Cesarz nie ma wyboru. Albo poślubi którąś z naszych księżniczek, albo polską królewnę, którą, jak słyszałem, mu swatają.

— Siła miłości — westchnął teatralnie. — Kiedy prze mawia uczucie, milknie rozum.

Zastanowiłem się nad jego słowami. Czyżby Wewnętrzny Krąg chciał uczynić cesarzową ze swej zabój czyni? Historia widywała już bardziej zdumiewają przypadki. Dziękowałem Bogu, iż z Enyą rozstałem się w taki, a nie inny sposób i że oboje darzyliśmy się przyjacielskim sentymentem.

— Jak myślisz, Heinz, pokonamy ich?

Mimo iż zmieniłem temat, zrozumiał, o co pytam.

— Ja wiem, że nie, i ty wiesz, że nie — odparł cichusieńko. — A cesarz?

Patrzyłem na niego takim wzrokiem, jakbym go widział po raz pierwszy w życiu. Nachylił się nad stołem i teraz szeptał mi wprost do ucha.

— Tu są wszyscy, którzy się liczą, Mordimerze — tchnął. — I on ich wszystkich wyśle na śmierć albo na hańbę.

Odsunąłem się.

— Bzdury! — warknąłem.

— Kto wie, kto wie... — nie upierał się przy swoim zdaniu, tylko siorbnął z kubka.

— Heinz — pokręciłem głową — życie to nie teatralna sztuka. Poza tym, jeśli zyska się opinię wodza przegranej armii, to na pewno nie służy to karierze...

— Nie? — Spojrzał na mnie. — Jesteście tego pewni? A jeśli obarczy się całą winą innych? Zły wezyr, dobry sułtan, Mordimerze.

Wiedziałem, o czym mówi, gdyż nie były mi obce perskie podania, które często pojawiały się w utworach bardów lub bajarzy.

— Z szachownicy znikną wieże, skoczki oraz gońce. Zostaną pionki, którymi wszakże dużo prościej sterować — ciągnął Ritter.

— Powiesiliby was za te słowa.

— A wy powinniście donieść — skwitował twardo.

— Ja nic nie słyszałem, panie Ritter. Nic poza dywagacjami pijanego poety, snutymi na temat szachowej taktyki.

— Miałem wizję, Mordimerze — powiedział, znowu obniżając głos do szeptu.

— Wizję?

— Koszmar senny, jeśli chcecie. — Popatrzyłem w jego oczy. Były szkliste i martwe. — O Mrocznym Żniwiarzu koszącym ludzkie istnienia niczym łany zboża. Widziałem wyludnione wioski i stosy ułożone z martwych ciał. — Wzdrygnął się. — Dzień po dniu to śnię...

— Nie zabawiajcie się w świętego Jana. — Poklepałem go po ramieniu. — Dość nam jednej Apokalipsy.

Otrząsnął się, przechylił kubek, lecz okazało się, że ten jest pusty, więc dolał sobie hojnie. Wypił do dna.

— Wszyscy umrzemy — rzekł, patrząc nad moją głowę, jakby właśnie nad nią widział obraz ponurej przyszłości.

— Heinz, Heinz, Heinz, czyżbyś chciał żyć wiecznie? Jakie to byłoby nudne!

Spojrzał na mnie i nagle roześmiał się. Jeszcze tylko półgębkiem, ale jednak.

— Póki co: pijmy — zaproponował i popatrzył mi prosto w oczy. — Chciałbym, żeby ktoś trzymał mnie za rękę, kiedy będę umierał...

— Ritter, na Boga, jesteś jeszcze młody, nie myśl o śmierci!

— Wszyscy umrzemy — powtórzył. — Ty, ja, oni. — Zamachnął się, a ja zrozumiałem, że ma na myśli cały świat.

— Kie-dyś — rzekłem wyraźnie. — Wszyscy kie-dyś umrzemy. Nie dziś i nie jutro. Kie-dyś.

— Widziałem ostatnio piękną Ilonę — zmienił temat. — Kazała was serdecznie pozdrowić. Musieliście tam nieźle nad nią popracować, panie Madderdin, skoro darzy was aż tak wielkim sentymentem.

— Licz się ze słowami, Heinz! — Zauważyłem, że nie wiedzieć czemu wstałem z krzesła, więc usiadłem na nim z powrotem. — Licz się ze słowami — powtórzyłem.

— Ależ ja nic nie powiedziałem...

— Zarzuciliście jej nieobyczajność!

— A od kiedy wy... — Spojrzał na mnie i zamilkł na moment. — Wybaczcie, proszę — dodał pokornym tonem. — Niemniej mogę tylko rzec, że wspomina was z siostrzanym uczuciem.

— Dobrze jej się wiedzie?

— Przy tej pensji, którą jej zapewniliście? Raczycie żartować... O niebo lepiej niż mnie... Macie plany na jutro, panie Madderdin? — znowu zmienił temat.

— Ano mam. Mały rekonesans wokół Heimu. Jego Ekscelencja żąda ode mnie sprawozdań.

— Przecież wy się nie znacie na wojsku...

— Dlatego też niełatwo będzie mi pisać raporty — zgodziłem się z nim.

— Stawaliście w ogóle kiedyś w bitwie? Wróciłem pamięcią do czasów, gdy byłem młody, pełen zapału i chętny, by brać się za bary z całym światem oraz trudzić nad jego naprawą. Wróciłem pamięcią do pól i borów pod Schengen. Wróciłem pamięcią do krwi, trupów i strachu. Do szubienic, które później wyrosły niczym drzewa w gęstym lesie.

— Nie. — Wzruszyłem ramionami, bo to nie była historia, którą teraz chciałbym się z nim dzielić.

— A ja byłem! — pochwalił się. — Pod Schengen. Ależ cesarscy żołnierze dali popalić tej zbuntowanej hołocie! Nawet ułożyłem o tym balladę, tyle że kiepską, bo miałem wtedy ledwie — liczył chwilę w pamięci — siedemnaście lat. Kiepska, rzecz jasna, jak na moje wygórowane standardy — zastrzegł od razu — gdyż wielu dojrzałych poetów nigdy by nie ułożyło tak kunsztownych fraz, jak ja to uczyniłem w młodzieńczym wieku.

— Jestem pewien — odparłem, myśląc o losie ironicznie splatającym ludzkie żywoty i pozwalającym, że przy jednym stole siedzieli ludzie, którzy brali udział w tej samej bitwie, tyle że po przeciwnych stronach.

— Weźcie mnie na ten patrol — poprosił. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Chce wam się ruszać tyłek z Heimu?

— Pewnie, że nie chce — odparł. — Ale artysta powinien być świadkiem wydarzeń, które uwiecznia w swych dziełach. Jeśli, oczywiście, czas i miejsce na to pozwalają...

— No to jedźcie — zgodziłem się. — Będę miał przynajmniej do kogo otworzyć usta, bo ci moi żołnierze — machnąłem dłonią — śmiechu warci...

Rozmowy z Ritterem zwykle kończyły się pijaństwem do białego rana, jednak tym razem nie pozwoliłem na taki obrót spraw. Ritter namawiał do kontynuowania pogawędki i popijawy. Przebąkiwał nawet coś o pewnych zacnych panienkach, które dobrze zna, a które dadzą nam wszystko, czego tylko zapragniemy, jeśli raczymy im ulżyć w ich ciężkiej doli. Nie dałem się skusić.

— Heinz, jeśli o jutrzni nie będzie cię pod karczmą, jadę sam — zapowiedziałem.

— Koń — przestraszył się nagle. — Przecież ja nie mam konia!

— Dam ci luzaka — obiecałem. — Tylko nie spadnij i się nie połam.

— Jestem wyśmienitym jeźdźcem. Sam książę Tasselhoff stwierdził, że wręcz bajecznie prowadzę rumaka — odparł niemal obrażonym tonem.

— A to świetnie — ucieszyłem się. — Bo jutro cały dzień spędzimy w siodle.

Było całkiem zabawne obserwować, jak rzednie mu mina.

— Dobranoc, panie Ritter.

— Bez wina, bez dziewki... Gdzie ona dobra? — odszedł, mamrocząc pod nosem.

Wróciłem do swej izdebki niemal trzeźwy, wiedząc, że nie tylko czeka mnie ciężki dzień, lecz że będę również obserwowany przez ludzi, których nie posądzałbym o nadmierną życzliwość w stosunku do waszego uniżonego sługi. I być może wielu znajdzie się takich, którzy będą czyhać na najmniejszy mój błąd. Położyłem się i zasnąłem niemal natychmiast.

— Mmmm — zamruczał ktoś nade mną.

Poczułem na grdyce metalowy szpic. Człowiek ubrany w czerń pochylał się nad łóżkiem i zapewne jednym ruchem mógł wbić mi wprost do mózgu drugie ostrze sztyletu.

— Jakże łatwym celem są inkwizytorzy — usłyszałem szept, a potem ucisk na szyi zniknął. Ciemna postać szybciutko zrzuciła z siebie ubranie i wślizgnęła się pod mój koc. Poczułem kobiece ciało. Dotknąłem piersi nieoczekiwanej towarzyszki.

— Enya — stwierdziłem.

— Enya, Enya — przytaknęła. — Tyle lat, Mordimerze. — Pocałowała mnie prosto w usta.

— Cieszę się, że nie przyszłaś mnie zabić. — Położyłem obie dłonie na jej kształtnych pośladkach.

Roześmiała się perliście.

— To prawda. Ale będziesz musiał się jeszcze wiele nauczyć. Jak mogłeś dopuścić, by ktoś wszedł niepostrzeżenie do twego pokoju?

— Jesteś cieniem, kochana — pochwaliłem ją.

— Jestem szikan, Mordimerze — odparła.

— Co jesteś? — Zmarszczyłem brwi, gdyż nigdy przedtem nie słyszałem tego słowa.

— Nieważne. — Wzruszyła ramionami.

— Czy wyjawisz mi z łaski swojej, z jakich powodów jesteś tutaj, w Heimie, oraz z jakich powodów znalazłaś się w moim łóżku?

— Owszem — odparła już poważnym tonem. — Przysłano mnie, bym chroniła cesarza.

— A tutaj?

— Stare sentymenty. — Ścisnęła w dłoni mojego kutasa, który i tak naprężał się na jej brzuchu, nie mogąc spokojnie znieść tak bliskiej obecności uroczego kobiecego ciałka. — Sta-re, sta-re sen-ty-men-ty — powtórzyła, masując.

— Ktoś tu chyba chce być trochę poujeżdżany — powiedziałem, objąłem ją w talii i szybkim ruchem rzuciłem pod siebie.

Kiedy już było po wszystkim, odetchnęła głęboko i Wytarła dłonią twarz mokrą od potu.

— Żeby z cesarza był taki ogier — mruknęła.

— A nie jest?

— Szast-prast i po wszystkim. Tymczasem dziewczynie trzeba przecież dużo więcej...

Nie powiem, żeby jej opinia nie sprawiła mi czegoś na kształt złośliwej satysfakcji. Niemniej zdawałem sobie sprawę, iż może tylko grać. Była śliczną, uroczą i zabawną kobietą. Nie zamierzałem jednak zapominać, co kryje się pod tą maską. Nie zostaje się zabójcą służącym Wewnętrznemu Kręgowi za piękną buzię oraz łóżkowe zdolności.

— Przed czym masz chronić cesarza, moja miła?

— Jesteś w samym środku gry, biedny Mordimerze — odparła, nie odpowiadając na moje pytanie. — Oni chcą wiedzieć, komu służysz.

Złapałem się na myśli, że zła odpowiedź może oznaczać śmierć. Czyżby jednak przyszła po moją głowę?

— Zawsze tylko Panu Bogu — odrzekłem. — Choć z pokorą przyznaję, że mój nędzny umysł z trudem pojmuje Jego wielkie zamiary.

— Wszyscy Mu służymy. — Przeżegnała się, dotykając palcami nagich piersi. Nie spodziewałem się po niej takiego gestu, lecz tylko pokiwałem głową.

— Światło, światło — mruknęła kapryśnym tonem i zabrała się za zapalanie świec.

Potem pocałowała mnie w nos.

— Uważaj na siebie — ostrzegła. — A kto wie, może uda ci się z tego wszystkiego ujść z życiem.

Nie powiem, by jej słowa szczególnie podniosły mnie na duchu.

— Wszyscy umrzemy. Ty, ja, oni — odparłem zdaniem skradzionym Ritterowi.

— To postaraj się, żeby „ty" oraz „ja" znalazły się na końcu tej durnej wyliczanki — rzuciła, nurkując pod koc. — Ha! — powiedziała później. — Widzę, że biedna dziewuszka z prowincji naprawdę może tu liczyć na coś duu-użego i gorącego! Ała! — zawołała po chwili, wynurzając się spod pościeli. — Migdałki mam zdrowe, nie trzeba ich sprawdzać. — Roześmiała się, po czym znowu zniknęła.

Po dłuższym czasie wyłoniła się z lśniącymi ustami. Widziałem to dokładnie, gdyż świece zdążyły się już rozpalić pełnym blaskiem.

— Powinieneś jeść ananasy — stwierdziła. — Bo?

— Nadają przyjemniejszy smak.

— Czy ty wiesz, ile kosztują ananasy w Hezie? I jak bardzo mnie interesuje, co czują dziwki? — Błyskawicznie zorientowałem się w nietakcie, który popełniłem: — Tamtejsze dziwki.

— No tak, bo ja jestem tutejsza, więc co innego, prawda?

— Wiesz, że nie miałem na myśli...

— Ależ ja się nie gniewam. — Wzruszyła ramionami. — Szkolono mnie w różnych sztukach, a sztukę miłości akurat całkiem lubię.

Nie podobało mi się to wszystko. To, że Enya była cesarską nałożnicą, i to, że przyszła mnie odwiedzić. Sentymenty — powiedziała. Tak, tak, romantyczny inkwizytor i romantyczna morderczyni spotykają się, by z łezką w oku powspominać stare, dobre czasy... Brała mnie za idiotę? Chociaż z drugiej strony doświadczenie uczyło, że ludzie bywają nieprzewidywalni, kierują się emocjami, odruchami, chwilowym pożądaniem. Władcy tracili korony, najczęściej wraz z głowami, a całe dynastie upadały na skutek głupoty, durnego błędu lub niekontrolowanych emocji. Z drugiej strony jej gra była tak odczytywalna i prosta, że mogła albo wcale nie grać, albo zmierzać do oszustwa tak wielkiego, że małe oszustwo miało jedynie stanowić dymną zasłonę. Tak czy inaczej, gubiłem się w tym wszystkim, gdyż byłem przecież jedynie prostym inkwizytorem, którego wola Pana wydźwignęła nad przynależny mu stan.

— Ach, Mordimerze, będziemy musieli to powtórzyć. — Pogłaskała mnie po udzie.

— Z przyjemnością, moja piękna.

— Dalej jestem piękna? — Wstrząsnęła głową i uniosła ramiona. Żółte światło świec kładło się na jej piersiach ciepłym blaskiem.

— Oczywiście. Ośmielam się nawet powiedzieć, że piękniejsza niż kiedykolwiek.

— To znaczy, że wtedy, kilka lat temu, byłam mniej piękna? — Jej twarz ściągnęła się.

Klepnąłem ją w tyłek.

— Nie dam się wciągnąć w takie gierki — powiedziałem, a ona się zaśmiała.

— Dobrze, czas wracać do pałacu — zdecydowała. — Kobieta o mojej pozycji musi uważać na reputację.

— Nie wątpię — odparłem bez cienia ironii.

Ubrała się szybko. Z tego, co zdołałem dostrzec była uzbrojona jedynie w sztylet. Miałem jednak graniczące z pewnością podejrzenie, iż gdyby zaszła taka potrzeba, poradziłaby sobie ze mną za pomocą gołych rąk. Chociaż, kto wie, może ją przeceniałem? Jeden z moich mistrzów w Akademii mówił kiedyś: „Nigdy nie zwyciężysz wroga, którego twoja wyobraźnia uczyniła niepokonanym".

Enya pocałowała mnie szybko w usta. — Bywaj, mój słodki inkwizytorze. Jeszcze się spotkamy. — Odwróciła się już z parapetu. — Pewnie nie raz i nie dwa — dodała.

Nie byłem wcale pewien, czy powinienem się z tej obietnicy cieszyć. Gdyby cesarz dowiedział się, że chędożę jego ukochaną, nie wahałby się mnie poćwiartować i rzucić psom na pożarcie, nie zważając już na udawany czy też nieudawany gniew biskupa. Skoro ludzie podłego stanu są śmiertelnie zazdrośni o swe kobiety, to dlaczego władcy mieliby się od nich różnić?

Zamknąłem dokładnie okiennice i zasunąłem żelazną zasuwę. Miałem dość niespodziewanych wizyt jak na jedną noc. O dziwo, znowu szybko zasnąłem, ale w końcu śliczna Enya ździebko nadwyrężyła moje siły. Wiedziałem, że ślad po jej zębach na lewym przedramieniu będę nosił jeszcze co najmniej kilka dni. Nie przyśniła mi się tej nocy. Jak zwykle przyśnił mi się ktoś inny. Ta, za której jeden pocałunek oddałbym tysiąc nocy z Enyą.

O świcie moi ludzie stali na podwórzu. Przygotowani do drogi i trzeźwi niczym niemowlęta. Towarzyszył im jeden z tutejszych mieszczan, którego wynająłem poprzedniego dnia, a który ponoć świetnie znał okolice Heimu.

— Dzień dobry, panie kapitanie — odezwali się nierównym chórem, gdy zobaczyli, że wychodzę z oberży.

— Dzień dobry, zuchy — odpowiedziałem. Sprawdziłem, czy mój koń jest wyszczotkowany i czy ma dobrze zaciągnięte popręgi. Pokiwałem z uznaniem głową.

— Chodź tu. — Skinąłem na mieszczanina.

— Do usług waszej wielmożności.

— Przypomnij no mi...

— Rudi Hagenmaier, panie kapitanie.

— Ano tak... A więc, Rudi, chcę zrobić mały spacerek wokół Heimu. Tam, gdzie stacjonują wojska.

Rozwinąłem mapę.

— Słyszałem, że w tym miejscu jest ich sporo. — Zakreśliłem palcem kółko wokół dwóch podmiejskich wiosek.

— A gdzie ich nie ma? — zaśmiał się. — Ale skoro wasza dostojność chce najpierw tu, to poprowadzę jak trza. Znam się na mapach, a i czytać umiem jak nie przymierzając sam proboszcz...

— Jedźmy więc.

Dosiadaliśmy wierzchowców, kiedy na podwórze wpadł spocony Ritter.

— Spóźniliście się — powiedziałem chłodnym tonem.

— Wybaczcie — wydyszał. — Wybaczcie, proszę.

— Przyszykuj mu konia — rozkazałem Gardziołowi. — Tylko migiem!

— Już się robi, panie kapitanie — odkrzyknął skwapliwie.

Zanim wyjechaliśmy z Heimu, podjechałem do cesarskiej kwatery i oddałem dyżurnemu oficerowi dokumenty otrzymane od Gersarda z przykazaniem, by jak najprędzej zaniósł je do kancelarii. Potem szybko opuściliśmy miejskie mury. Ritter nadspodziewanie dobrze trzymał się w siodle. Mimo że poznawałem po jego zbolałej minie, iż poprzedniej nocy kontynuował libację już beze mnie. Odjechaliśmy nieco do przodu, a żołnierze posłusznie trzymali się kilkadziesiąt kroków za nami.

— Panie Ritter, jako człowiek wykształcony znacie różne słowa. Mówi wam coś takie, które wymawia się „szikan"?

Zmarszczył brwi.

— Ja nawet nie wiem, w jakim to języku — odparł.

— Ano właśnie — westchnąłem. — Ja też nie.

— Szikan, szikan — powtórzył i wzruszył ramionami. — Z niczym mi się nie kojarzy... Ale mogę popytać tu i tam...

— Nie, nie, zapomnijcie. — Spojrzałem na niego zły, że w ogóle rozpocząłem podobną rozmowę. — A mówię to z całą powagą: zapomnijcie.

— Dobrze, dobrze, już nie pamiętam — zamruczał, lecz ja miałem wrażenie, że tylko podsyciłem jego ciekawość. Niedobrze, gdyż obawiałem się, że znajomość znaczenia słowa „szikan" może prowadzić do kłopotów.

— Macie jakiś bukłaczek? — spytał błagalnie. Podałem mu naczynie, a on z nieartykułowanym jękiem wdzięczności przechylił je do ust i łyknął potężnie.

— Woda?! — parsknął zaraz z obrzydzeniem.

— A czego się spodziewaliście?

— Wińska! Gorzałki! Piwa w najgorszym razie! Lecz nie wody, na Boga! Jak wam nie wstyd!

— Trzeba dawać dobry przykład ludziom.

— Ja nie jestem waszym żołnierzem! Chcę wina!

— Ritter, jak będziesz tak skamlał, każę ci zleźć z siodła i wrócisz do Heimu na piechotę.

Spojrzał przez ramię. Mury okalające miasto były już ledwo widoczne w porannej mgle.

— Jakoś wytrzymam — burknął po chwili, lecz wyraz jego twarzy świadczył, że jest bardzo, ale to bardzo obrażony.

Na pierwszy rzut oka widać było, że w okolicy szykują się do wojny. Mijaliśmy konne patrole, wozy z prowiantem, wojskowych kurierów, nawet inżynieryjną karawanę, załadowaną rozłożonymi na części mangonelami i trebuszetami, oraz zaprzęg kilkunastu wołów ciągnących jadącą na lawecie spiżową armatę o lufie długiej na piętnaście stóp i tak szerokiej, że mógłbym bez trudu zmieścić się w jej wnętrzu. Zaprzęg poruszał się z taką szybkością, iż z prześcignięciem go nie miałby najmniejszych problemów nawet kulawy starzec z wrzodami na stopach. Mimo że poganiacze bez litości chłostali woły batami.

— Szalona Greta — stwierdził Ritter z nabożnym podziwem.

Nie pytałem, o czym mówi, gdyż i ja słyszałem o tej nazwanej Szaloną Gretą bombardzie odlanej w cesarskich ludwisarniach. Teraz właśnie miała przejść chrzest bojowy, niszcząc fortyfikacje Palatynatu. O ile się do nich doczołga, rzecz jasna.

Moi żołnierze wstrzymali konie i w osłupieniu przyglądali się potwornej machinie. Pozwoliłem im na chwilę niesubordynacji, gdyż widok zaiste był niezwykły.

— Słyszałem, że za taką armatę można kupić i wyposażyć niezły statek — powiedział Ritter.

— A ja słyszałem, że wysyła dwudziestopudowy pocisk na cztery tysiące stóp. Ludzie nawet nie wiedzą, co ich zabija.

— Eeee tam. — Machnął ręką. — Ludzie... Jak toto trafi w forteczny mur, już puszkarze wiwatują z radości. Słyszeliście ich powiedzenie: „Strzelanie jest sztuką, trafić jest łaską Bożą"? Przerost formy nad treścią, panie Madderdin. Katapulty, mangonele, trebuszety, onagry, arkabalisty, ooo, to jest broń! Armaty nie mają przyszłości, wierzcie mi. To jedynie chwilowa moda. W dodatku wielce — pokiwał palcem, by dodać wagi swym słowom — kosztowna.

— Znawca. — Pokręciłem głową. — No dobrze, dość widowiska. Jedziemy.

Kręciliśmy się po okolicy do późnego popołudnia, a ja miałem okazję zobaczyć, że cesarscy żołnierze są liczni, dobrze wyekwipowani, zdyscyplinowani i nie narzekają na brak prowiantu. Zjedliśmy obiad w kwaterze jednego z generałów, który podjął nas całkiem serdecznie, zważywszy na fakt, że występowaliśmy w biskupich barwach.

Szczerze mówiąc, nie sądziłem, by Jego Ekscelencje lub kogokolwiek innego w Hezie tak naprawdę interesowały moje raporty, lecz zamierzałem wypełnić wszystko, co mi przykazano, nawet jeśli byłoby to bezcelowe i nikomu niepotrzebne. Byłem pewien, że biskup ma w Heimie swoich szpiegów, a ja pełnię jedynie rolę pałającej silnym blaskiem lampy, na której ma się koncentrować wzrok cesarskiego dworu. A wszystko, co najważniejsze, i tak, jak zwykle, było ukryte w cieniu.

Zastanawiałem się tylko, co napisać o cesarskiej nałożnicy. Jakiekolwiek wzmianki na temat Wewnętrznego Kręgu Inkwizytorium nie wchodziły, rzecz jasna, w grę. Ale czy powinienem donieść biskupowi, iż osobę podającą się za trebizońską księżniczkę pamiętam jako kurwę z Hez-hezronu? Nie, zdecydowałem w końcu napiszę o niej tyle, co wiadomo ogółowi. Ona piękna, on zakochany, efektem mogą być poważne polityczne perturbacje... Jeśli cesarz faktycznie doprowadziłby do ślubu ze swą nałożnicą, to panowie rada dostaną szału.

O humorze polskiego króla, kiedy doniosą mu, że Najjaśniejszy Pan odrzucił rękę jego córki, wolałem nawet nie myśleć.

Tak więc do nocy przygotowywałem list dla Jego Ekscelencji, w którym pisałem zarówno o plotkach, jak i o faktach, nie starając się jednak wychodzić poza ramy suchego raportu, bo wolałem, by biskup nie uznał, że próbuję się spoufalać. Bardzo dokładnie przytoczyłem rozmowę z legatem Veroną, wiedząc jednocześnie, że papieski wysłannik właśnie tego się spodziewał.

Czesała przy lustrze złote włosy. Widziałem tylko smukłą linię jej pleców, kończącą się na krawędzi ręcznika, którym owinęła się w pasie. Uniosłem się na łóżku i chciałem wypowiedzieć jej imię, lecz nie mogłem. Bezradnie patrzyłem, jak odkłada szczotkę, wstaje z krzesła i wychodzi z pokoju. Szła na samych palcach widać posadzka była zimna. Wytężałem wszystkie siły by krzyknąć, jednak nie byłem w stanie wykrztusić nawet słowa. Zniknęła za drzwiami. Zacisnąłem dłonie w pięści i wtedy usłyszałem głośne łomotanie. Zrozumiałem że to już nie jest sen, i jak zwykle żałowałem, iż się obudziłem. Zwlokłem się z posłania i otworzyłem. Przede mną stał dworzanin ubrany w cesarskie barwy.

— Cesarz was wzywa, kapitanie. Natychmiast! Będę czekał przed bramą — zawołał tylko i już słyszałem stukot jego butów, kiedy zbiegał po schodach.

— Pięknie, pięknie — mruknąłem do siebie i zacząłem się pospiesznie ubierać.

Kwatera Najjaśniejszego Pana mieściła się w domu najbogatszego heimskiego kupca, a w zasadzie nie w domu, lecz w otoczonym ogrodem pałacu o dwóch skrzydłach. Minęliśmy liczne straże, potem stanęliśmy przy szerokich odrzwiach zdobionych w chimery, gryfy i smoki. Posłaniec szepnął coś na ucho czuwającemu przy nich dworzaninowi, po czym pospiesznie się oddalił. Dworzanin skinął na żołnierzy, którzy chwycili za klamki i otworzyli drzwi.

— Kapitan Mordimer Madderdin, dowódca straży biskupiej — obwieścił głośno, wprowadzając mnie do sali.

Zauważyłem, że rozmowy milkną i wszyscy odwracają się w naszym kierunku.

Z całą pewnością nie byłem zachwycony biegiem wydarzeń. My, inkwizytorzy — ludzie prości oraz skromni — nie lubimy pławić się w blasku otaczającego nas świata. Wolimy pokornie stać w cieniu, przyglądając się uważnie postępkom bliźnich i modląc, by Pan skierował ich na właściwe ścieżki. A jeśli zajdzie taka konieczność, sami z bezbrzeżną miłością służymy grzesznikom w walce o wyzwolenie ich własnych dusz. Tutaj tymczasem szedłem w stronę cesarza na oczach jego feudałów, dworzan i żołnierzy, znajdując się w samym centrum zainteresowania. Sądziłem, że władca przyjmie mnie na niezobowiązującej audiencji, ot, w obecności kilku oficerów lub dworzan, a tu nagle okazało się, że trafiłem w samo jądro burzy. Ha, cóż było robić, jeśli nie dobrą minę do złej gry? Przyklęknąłem na jedno kolano i pochyliłem głowę.

— Miłościwy panie — rzekłem — kapitan straży biskupiej Mordimer Madderdin pokornie melduje Waszej Cesarskiej Mości swe przybycie.

— Wstań, wstań, kapitanie, i chodź no bliżej — usłyszałem mocny, twardy głos, ale wyczytałem w nim nawet pewną życzliwość. A może tylko pocieszałem się, iż ją wyczytuję?

Wstałem, jak kazał, i teraz dopiero mogłem mu się przyjrzeć. Cesarz był młody i wyglądał dokładnie na swój wiek. Zgodnie z ostatnią modą miał krótko wystrzyżone włosy, a głowę ogoloną po bokach. W szerokiej twarzy uderzał wielki, sterczący dumnie nos — z tego, co wiedziałem, rodowa cecha wszystkich Hockenstauffów. Nad pełnymi, dziewczęcymi ustami wyraźnie starał się wyhodować coś na kształt zaczątków wąsów.

— Byłeś inkwizytorem, prawda? — Obrócił na mnie spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

— Jestem nim cały czas, miłościwy panie — odparłem — choć Jego Ekscelencja obdarzył mnie łaską swego zaufania i mianował kapitanem straży.

Stojący obok cesarza feudał prychnął z wyraźnym niezadowoleniem, a jego siwe, sterczące wąsy poruszyły się jak czułki chrząszcza.

— To zniewaga, miłościwy panie, przysyłać nam tego rzeźnika — rzekł zgrzytliwym tonem. — Założę się, że Gersard był pijany jak zwierzę, kiedy podpisywał nominację.

Nic nie odpowiedziałem, bo i cóż miałem odpowiedzieć? Trudno jednak było nie zauważyć, że zarówno Kościół, jak i Święte Officjum nie cieszyły się na cesarskim dworze nadmierną estymą.

— Miłościwy cesarzu — odezwał się ktoś zza pleców władcy i dopiero teraz zauważyłem chudego człowieczka w czarnym habicie — ośmielam się stanowczo zaprotestować przeciw nierozważnym i uwłaczającym słowom pana barona...

— Dość! — Cesarz leniwie podniósł dłoń. — Mamy ważniejsze sprawy na głowie. A ty, panie baronie — zerknął na feudała — staraj się nie obrażać dostojników naszej świętej matki-Kościoła. A przynajmniej nie czyń tego w obecności mego spowiednika — dodał, leciutko się uśmiechając.

Aha! Wiedziałem już więc, kim był ubrany na czarno osobnik, który odważył się przeciwstawić słowom barona. Kapelan cesarski — Giulliano Verona, brat dostojnego legata. Nigdy wcześniej go nie widziałem, lecz słyszałem na tyle dużo, by wyrobić sobie stosowne zdanie. A zdanie to brzmiało: „Trzymaj się od niego z daleka, Mordimerze. A najlepiej trzymaj się z daleka od całej tej rodziny. Gdyż papieże się zmieniali, a Veronowie od bez mała czterdziestu lat pełnili ważne funkcje na papieskim dworze i uczestniczyli w niezliczonych intrygach. Z całą pewnością nie byli ludźmi, których warto mieć przeciwko sobie.

— Powiedz mi, kapitanie, co Jego Ekscelencja sądzi o naszej pobłogosławionej przez Kościół wyprawie? — zapytał cesarz, pomimo że z całą pewnością doskonale znał odpowiedź.

— Łączy się w modlitwie z tymi, którzy z utęsknieniem czekają na triumf prawdziwej wiary — odparłem oględnie. — I błogosławi chcących ponieść w szeroki świat krzyż oraz miecz naszego Pana.

— Zamiast się modlić, mógłby nam wreszcie wysyłać na czas dostawy — burknął wąsaty baron.

— Nie bądźmy małostkowi. — Cesarz machnął dłonią i byłem pewien, że kwiat jego rycerstwa nie zrozumiał ostatniego słowa. Ale gest pewnie pojęli.

— Przypomnij mi, biskup przyznał ci komendę nad iloma setkami ludzi?

— Wybacz, miłościwy panie, straż biskupia jest formacją de facto honorową — odrzekłem. — Lecz jestem pewien, iż na terenie domen Jego Ekscelencji trwają zaciągi, które przysporzą ci tysięcy zdolnych rekrutów. — W komnacie rozległy się śmiechy. — Ja mam zaszczyt jedynie pełnić rolę oczu i uszu Jego Ekscelencji — dodałem szczerze i głośno. — Lecz jeśli ty, mój panie — przyklęknąłem na jedno kolano — zechcesz posłać mnie i moich ludzi do boju, to z radością oddamy życie na chwałę Cesarstwa.

Jeden z feudałów, najwyraźniej pijany, wytoczył się przed szereg.

— Dam sobie związać obie ręce na plecach, a i tak pobiję tego inkwizytora. — Przyklaśnięto mu głośno. — Samymi kopniakami pogonię go do domu.

— Czekam tylko pozwolenia najmiłościwszego pana — powiedziałem, schylając głowę. — Zabijałem już szlachtę pod Schengen, czemu nie mam tego powtórzyć dzisiaj?

W komnacie zaległa cisza. Wręcz bolesna i świdrująca w uszach (jeśli cisza może świdrować). Szlachta nie wspominała miło bitwy pod Schengen. To prawda, że drugiego dnia rebelianci zostali rozbici i wymordowani, a przez następne ścigani jak łowne zwierzęta, po czym obwieszono ich ścierwami wszystkie okoliczne lasy. Ale dnia pierwszego szlacheckie matki miały wiele powodów do płaczu. Oczywiście, nieco mijałem się z prawdą. Wziąłem udział w bitwie pod Schengen, lecz nie trafiłem tam pierwszego, a drugiego dnia. Miałem wtedy czternaście lat i uciekłem do lasów przed szarżą ciężkiej kawalerii. Nie tylko nie pokonałem żadnego szlachcica, lecz jednemu z nich uratowałem życie, zabijając własnych towarzyszy. I tylko dzięki niemu byłem, kim byłem, i osiągnąłem to, co osiągnąłem. Boże ci błogosław, Arnoldzie Lowefell!

Dlaczego pozwoliłem sobie na tak, zdawałoby się, pochopne i nierozważne słowa? Otóż plebejski bunt, który zakończyła bitwa pod Schengen, nie był wymierzony przeciw władzy cesarza. Wręcz przeciwnie: buntownicy szli do bitwy z imieniem Najjaśniejszego Pana na ustach i pod cesarskimi sztandarami. To szlachta i feudałowie, niemiłosiernie cisnący plebejuszy, byli wtedy obiektem nienawiści. A tłum szedł do walki z hasłami obrony cesarza przed złymi doradcami. Dlatego Hockenstauffowie nie prześladowali tych, którzy ocaleli z pogromu, a stary cesarz przezornie i chytrze zawsze dbał o dobre imię wśród prostego ludu.

— A to śśścierwo! — Pijany szlachcic szedł na mnie z dłonią na rękojeści miecza (ostrze do połowy już wystawało z pochwy) oraz ze śmiercią w oczach.

— Obrażasz nasz majestat — rzekł zimno cesarz i słowa te nie były skierowane do mnie, lecz do pijanego mężczyzny. — Jak śmiesz chwytać za miecz w obliczu swego suzerena?

Szlachcic zgłupiał, zaczął mamrotać coś na kształt przeprosin i kłaniając się nisko, cofnął na dawne miejsce.

— Nasz ojciec wiele lat temu darował winy wszystkim, którzy wzięli udział w tej nieszczęsnej rebelii — powiedział cesarz. — Choć przyznawania się do udziału w niej — obrócił wzrok na mnie — nie uważam za szczególnie rozsądne.

— Błagam o wybaczenie, mój panie. — Skłoniłem się znów głęboko.

— Z drugiej strony w sali zapełnionej szlachtą można je również zrozumieć jako akt szczególnej odwagi — dopowiedział Najjaśniejszy Pan i odczekał chwilę, by zebrani właściwie zrozumieli to zdanie.

Ktoś roześmiał się w głos. Był to opasły, stary mężczyzna o purpurowej twarzy, odziany w kaftan wart więcej niż moje roczne dochody. Złoty łańcuch spływający z jego szyi miał ogniwa grubości wskazującego palca. Z nozdrzy sterczały mu czarne kłaki, gęste brwi zrastały się nad nosem, a bokobrody łączyły ze skołtunioną brodą. Wypisz, wymaluj, wilkołak z ludowych bajan. Był bardzo pijany, a za jego plecami widziałem trzech mężczyzn — młodsze kopie oryginału.

— Święta racja! — zawołał basem. — Bo który z was kozojebce, miałby tyle ikry, by samotny na chłopskim wiecu przyznać się, że mordował ich braci i kuzynów?

— Pokój! — krzyknął cesarz, widząc, że części obecnych wcale nie przypadła w smak owa kwestia. Swoją drogą, zastanawiałem się, kim był człowiek, który ośmielił się w podobny sposób przemawiać do feudałów. — Pokój między chrześcijany! A ciebie, kapitanie, trzymam za słowo. Będziesz towarzyszył mi w czasie bitwy, by z samego jej ognia zdać relację swemu biskupowi.

— Najpiękniejsza byłaby relacja, którą jeden z moich żołnierzy zdałby Jego Ekscelencji, opowiadając, jak oddałem życie w obronie cesarza.

— Lepiej żyć z imieniem cesarza na ustach, niż z nim umierać — rzekł Najjaśniejszy Pan, a ja pomyślałem, iż jest bardziej interesującym człowiekiem, niż mogłem się tego spodziewać.

— To prawda, że odważni nie żyją wiecznie — pozwoliłem sobie na odpowiedź. — Lecz tchórze nie żyją wcale.

Usłyszałem szmerek świadczący o tym, że zebrani nie uznali mych słów za warte wykpienia.

— Prawda, prawda, prawda... — przyznał w zamyśleniu cesarz.

Dał znak, że mogę odejść, co też uczyniłem najpierw w głębokim pokłonie, a potem nie odwracając się plecami do majestatu.

Audiencja u cesarza kosztowała mnie sporo zdrowia. Jednak przekonałem się o tym dopiero wtedy, kiedy opuściłem już salę i poczułem, że mokra koszula lepi mi się do pleców. Miałem też wilgotne dłonie, a kropelka potu spłynęła mi po nosie aż na usta. Z całą pewnością narobiłem sobie dzisiaj wrogów, lecz wiedziałem również, że nasza szlachta, a przynajmniej jej część, szanuje ludzi niedających sobie dmuchać w kaszę. O tym świadczyłaby reakcja opasłego szlachcica, który w tak zdumiewająco oryginalny sposób wystąpił w mojej obronie. Zresztą dwa razy zastanowi się ten, kto zaczepi biskupiego kapitana, w dodatku człowieka, z którym Najjaśniejszy Pan raczył życzliwie porozmawiać.

W karczmie czekała już na mnie wiadomość od ojca Verony, więc bez zwłoki udałem się do jego kwatery. Legat wyglądał dokładnie tak samo, jak w czasie naszego poprzedniego spotkania, tylko jego twarz zdawała się jeszcze bledsza i jeszcze bardziej zmęczona.

— Siadaj, kapitanie — rozkazał.

Wypił coś z kubka, przełknął i wzdrygnął się z wyraźnym obrzydzeniem.

— Jak udała się audiencja? — zapytał.

Nie miałem wątpliwości, że brat dokładnie mu zreferuje jej przebieg, więc powtórzyłem wszystko z największą dokładnością. Zaśmiał się suchym, nieprzyjemnym śmieszkiem, a potem zakasłał.

— Dobrze żeś im powiedział — stwierdził, gdy już od plunął do złotej spluwaczki. — Jak wrażenia z wycieczki wokół Heimu?

Opowiedziałem mu o tym, co widziałem. O dobrym morale, wysokiej dyscyplinie oraz o Szalonej Grecie. To go zainteresowało.

— Ha — powiedział. — Będę musiał się jej przyjrzeć.

— Mój przyjaciel raczył wyrazić wątpliwość co do skuteczności tej bombardy, niemniej sam widok wielce nam zaimponował.

— Też tak słyszałem — mruknął. — Ano zobaczymy... Czeka cię ciekawa wyprawa — dodał — skoro cesarz pragnie, byś wszedł do jego świty. Nadstawiaj pilnie ucha, kapitanie, i melduj mi o wszystkim.

— Stanie się wedle życzenia waszej dostojności.

— Ja na razie pozostanę w Heimie, ale chcę wiedzieć o wszystkim, co się wydarzy, zrozumiałeś?

— Tak jest. Czy wolno mi zadać pytanie? Skinął przyzwalająco dłonią.

— Jak wasza dostojność sądzi, kiedy cesarz wyda rozkaz wymarszu?

Wzruszył ramionami.

— Nie prędzej, niż dotrą najemnicy i następni rekruci z Hezu, a ich spodziewamy się za dwa, trzy dni. Ale teraz, bo to wiadomo... — Popatrzył na mnie uważnie. — Słyszałeś o księżniczce Annie?

— Córce Nicefora Angelusa? Tak, słyszałem.

— Taka ona jego córka, jak ja jego syn. — Legat skrzywił usta. — Mówią, że cesarz w łożnicy słyszy tylko, by wycofał się z wojny. A niektórzy panowie z rady też byliby nie od tego.

— Teraz? — zdumiałem się. — Po wszystkich przygotowaniach? Po ściągnięciu wojsk?

— Kto wie, kto wie? Czasem dobrym traktatem można zdobyć więcej niż wojną. A kiedy lepiej podpisać traktat, jak nie wtedy, gdy za piórem i pergaminem stoją tysiące mieczy?

Trudno było odmówić racji rozumowaniu legata. Zastanawiałem się jedynie, co on sam o tym myśli, ale ani nie zamierzałem pytać, ani nie sądziłem, by mi szczerze odpowiedział.

— Dziękuję waszej dostojności. — Wstałem, skłoniłem głowę. — Postaram się nie zawieść zaufania waszej dostojności.

Przypatrywał mi się ze złośliwym uśmieszkiem.

— Nie mam do ciebie zaufania, więc nie będziesz miał czego zawieść — odezwał się w końcu. — Jednak w dobrze pojętym własnym interesie staraj się mnie nie rozgniewać. Bo nadchodzą czasy, kiedy nawet ludzie tacy jak ty mogą okazać się użyteczni. I lepiej dla nich będzie, jeśli opowiedzą się po właściwej stronie.

Skłoniłem się raz jeszcze i wyszedłem, znowu zostawiając Veronę przy ostatnim słowie. Tuż za progiem oberży spotkałem zdyszanego Rittera.

— Opowiadajcie, opowiadajcie! — zawołał, kiedy tylko mnie zobaczył, zapominając nawet o powitaniu.

— O czym mam opowiadać?

— No jak to? Przecież byliście u cesarza!

— Chodźcie, panie Ritter. — Pociągnąłem go za ramię, bo dramaturg mówił bardzo głośno i na dźwięk słów „byliście u cesarza" wpatrzyło się w nas kilkanaście par oczu.

— Ależ tu się wszystko rozchodzi — mruknąłem, gdy przeciskaliśmy się przez tłum zapełniający ulicę.

— Co byście chcieli... Gdzie dużo ludzi, tam dużo plotek.

Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy sobie stół w ciemnym kącie karczmy, w której śmierdziało butwiejącym drewnem, a dym z paleniska gryzł w oczy. Belki powały pochylały się tak nisko, że musiałem się przygarbić, by nie zahaczyć o nie ciemieniem. Blat cały był upaprany rozgotowanym grochem. Przyjrzałem się podejrzliwie. Albo ktoś przewrócił miskę z posiłkiem albo — co gorsza — zwymiotował. Ciężko było się rozeznać. Ritter przywlókł za kark karczmarza, którego twarz i odzienie świetnie pasowały do wyglądu stołu.

— Jeśli tu nie posprzątasz, wytrę to twoją własną mordą — zagroził. — A potem dawaj dzban piwa.

Oberżysta bełkotliwie zapewniał, że „wszystko dla szlachetnych panów", ale dostrzegłem w jego oczach złośliwy błysk.

— Naszcza nam do piwa — mruknąłem, kiedy odszedł. — Naszcza, jak Bóg na niebie.

Dramaturg, słysząc te słowa, zerwał się i pobiegł, by przypilnować zamówienia. Po chwili siedzieliśmy już przy w miarę czystym stole, a przed nami stał dzban z obłupanym uchem i dwa poszczerbione kubki.

— Wiecie, że dranie chcieli podnieść ceny? Na wszystko. Na piwo, gorzałkę, jedzenie...

— Korzystają z okazji. Czemu się dziwicie?

— Na szczęście Najjaśniejszy Pan ustalił maksymalne ceny. — Roześmiał się zadowolony, że ktoś okpił tych, którzy chcieli okpić klientów. — A za ich przekroczenie grożą grzywna oraz ciemnica.

Tłusta dziewka w poplamionej sukni zatoczyła się Ritterowi na kolana.

— Zabawicie się, chłopaki? — zaskrzeczała ochryple, w powietrze wzniósł się całun trumiennego odoru buchającego z jej gęby.

— O żesz ty! — Dramaturg zepchnął ją i pogonił kopniakiem w tłusty zad. Odeszła, wyklinając nas od dupojebców i sodomitów.

— Ot, wasze szczęście do płci pięknej — zadrwiłem.

— Jak Boga kocham, wolałbym już schludnego chłopca od niej. — Ritterem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Zapewne na samą myśl, że miałby zabawiać się z tym tłustym, brudnym potworem.

— Parę dzbanów piwa i wydałaby się wam wielce powabna...

Znowu nim zatrzęsło.

— Nie mówcie tak nawet, błagam... Ale do rzeczy, do rzeczy. Opowiadajcie, na miłość Pana...

Streściłem mu przebieg krótkiej audiencji Trochę obszerniej niż legatowi Veronie, jednak nie mijając się nawet na jotę z prawdą.

— Zmyślacie — skwitował, kiedy skończyłem. Pokręciłem tylko głową.

— No, no. — Dopiero teraz łyknął piwa i skrzywił się. — Cieszcie się, że August Kappenburg stanął w waszej obronie. Mało jest ludzi, którzy by się go nie bali.

— Ten wilkołak?

— Ano — przytaknął. — Ale zaraz! — wykrzyknął nagle z oburzeniem. — Okłamaliście mnie!

Oczywiście wiedziałem, o co mu chodzi, niemniej otworzyłem szeroko oczy.

— Ja? Was? Heinz, jak możecie?

— Mówiliście, że nie byliście w bitwie. A teraz dowiaduję się, że i owszem. I to pod Schengen!

— Nie ma o czym mówić. Naprawdę — powiedziałem.

— Byliście jednym z dowódców?

— Heinz, na gniew Pana! Miałem wtedy czternaście lat! Mogłem dowodzić co najwyżej swoją prawą dłonią...

— To znaczy, że macie trzy lata mniej ode mnie — policzył szybko. — Ale wyglądacie starzej — dodał, przyglądając mi się krytycznym wzrokiem.

Potem nagle złożył dłonie w błagalnym geście.

— Zabierzcie mnie — poprosił. — Kiedy Miłościwy Pan już wam każe sobie towarzyszyć...

— Czemu nie? — Wzruszyłem ramionami. — Nie wiem tylko, czy mi pozwolą.

— Mogę się nawet ubrać w biskupie barwy, mogę wam czyścić konia i podawać strzemię. Tylko weźcie mnie ze sobą!

Nie dziwiłem się prośbie Rittera. Bo przecież jaka to wymarzona rola dla poety i dramaturga stać przy władcy kierującym bitwą i nie musieć polegać na wieściach z drugiej lub trzeciej ręki, lecz widzieć wszystko na własne oczy i słyszeć na własne uszy.

— Postaram się — obiecałem.

Siła zbrojna Palatynatu nie opierała się na ciężkozbrojnej kawalerii. Z tego, co wiedziałem, palatyn Duvarre miał jedynie kilkudziesięciu rycerzy straży przybocznej, zaś resztę jego wojska stanowiła lekka jazda oraz, przede wszystkim, oddziały mieszczańskiej piechoty i kilka kompanii najemnych walijskich łuczników. Przewaga tych wojsk polegała na jednym: w każdej chwili mogły ukryć się za murami potężnych, świetnie zaopatrzonych twierdz. Siły cesarskie prezentowały się jednak więcej niż imponująco. Spędziłem cały dzień w siodle, obserwując karne oddziały piechoty, towarzysząc ciężkozbrojnym chorągwiom, śledząc italskich kuszników, helweckich pikinierów i galijskich toporników. Ba, widziałem nawet opancerzonych od stóp do głów bizantyjskich kawalerzystów, których cesarz Bizancjum wysłał naszemu władcy w dowód „braterskiej miłości". Pierwszy raz w życiu zobaczyłem muszkieterów przybyłych z dalekiej Aragonii, choć sam muszkiet miałem okazję widzieć już w Hezie (i szczerze mówiąc, powątpiewałem w skuteczność tej broni, której załadowanie po strzale trwało kilkanaście „zdrowasiek". Za to ile dymu i huku było przy tym!).

Nie znałem się na sprawach militarnych i nie potrafiłem oszacować liczby cesarskich żołnierzy, ale wiedziałem jedno: nigdy przedtem nie widziałem takiej masy wojska. Kolumny maszerujące na równinach okalających Heim zdawały się nie mieć początku ani końca. Za nimi ciągnęły setki wozów z żywnością oraz dostawami.

— No i co, panie Ritter? — zapytałem. — Tacy jesteście teraz pewni, że wyprawa źle się skończy?

Dramaturg był pod wrażeniem tego, co zobaczyliśmy, lecz nie stracił rezonu.

— Pożyjemy, zobaczymy — odparł tylko.

— *Nec Hercules contra plures —* dodałem, by go pognębić.

— *Ty wyszedłeś do mnie z mieczem, z oszczepem i z włócznię, a ja wyszedłem do ciebie w imieniu Pana Zastępów —* odgryzł się, przypominając słowa Dawida stającego przeciwko Goliatowi.

— Panie Ritter, to właśnie my idziemy w imieniu Pana Zastępów! — sprostowałem surowo.

— Tyle że ja cytuję Pismo, a wy pogańskie sentencje — roześmiał się.

— Zwyciężymy — zapewniłem go.

— Oni w to wierzą, my w to wierzymy, ciekawe, w kogo wierzy Bóg?

— Ja was powinienem po prostu spalić... — Rozłożyłem bezradnie dłonie.

— Zapewne jedynie w ten sposób zwyciężylibyście w dyskusji.

Ruch wielkiej armii musi być niezwykle przemyślanym działaniem. Oddział kilkudziesięciu jezdnych czy kompanię piechoty może poprowadzić byle pajac. Jednak wysłanie na wojnę dziesiątków tysięcy żołnierzy, machin wojennych oraz taborów nie jest już takie proste. Trzeba uważać, by nie pogubili się, nie rozleźli po okolicy, nie zabrnęli w niewłaściwe miejsce. Oddziały dobrze prowadzonej armii muszą być niczym piony i figury kierowane na szachownicy przez doświadczonego gracza, który przewiduje kilka ruchów do przodu. I wy dawało mi się, choć patrzyłem na wszystko okiem laika, że cesarscy dowódcy są w stanie podołać temu za daniu.

Dostałem wezwanie, by pojawić się niezwłocznie na stanowisku zajmowanym przez cesarza, i z jednej strony byłem rad, że Najjaśniejszy Pan o mnie pamięta; z drugiej strony to, że o mnie pamiętał, budziło pewną obawę.

Ritter nie był zachwycony, kiedy zmusiłem go do nałożenia biskupich barw. Ale cóż, w końcu sam deklarował, że jest w stanie uczynić wszystko, byle mi towarzyszyć.

— Któż to, kapitanie? — zmarszczył brwi giermek stojący na środku ścieżki prowadzącej ku cesarskiemu orszakowi.

— Sławny fechtmistrz z Hezu — odparłem, kątem oka widząc, jak Ritter blednie. — I nie tylko niepokonany mistrz miecza, lecz zaufany Jego Ekscelencji.

— Jedźcie — zezwolił po chwili namysłu.

Cesarz w otoczeniu kilkunastu szlachciców oraz żołnierzy stał na szczycie wzgórza (zauważyłem barona o sterczących wąsach, znanego mi już z audiencji), a na równinie na zachód od nas formowały się chorągwie ciężkiej jazdy. Pola zasnuwała mgła, więc nie widzieliśmy jeszcze wojsk palatyna. Najjaśniejszy Pan dostrzegł, że jedziemy, i przerwał rozmowę.

— O, mój inkwizytor! — zawołał. Wąsaty baron wy raźnie się skrzywił, słysząc te słowa. — Kogóż ze sobą prowadzisz?

— Najmiłościwszy Panie — powiedziałem — pokor nie upraszam, byś wybaczył mi kłamstwo. Powiedziałem twemu giermkowi, że towarzyszy mi fechtmistrz z Hezu, jednak tak naprawdę mój kompan jest dramaturgiem i poetą, który pragnie błagać majestat o możliwość towarzyszenia mu w czasie bitwy.

Cesarz zmarszczył brwi.

— Jak was zwą? — rzucił krótko.

— Heinz Ritter. — Dramaturg zeskoczył z konia, po tknął się, lecz na tyle zgrabnie, że wyszło mu z tego przyklęknięcie. — Do usług Waszej Cesarskiej Wysokości.

— Ritter, Ritter, wiem! — Władca klasnął w dłonie. — „Wesołe kumoszki z Hezu". Ależ się uśmiałem!

Biedny Heinz musiał się czerwienić w myślach, gdyż zawsze chciał pisać i pisał o wielkich miłościach oraz tragicznych wyborach, o nienawiści i honorze, o lęku i odwadze, o poświęceniu i podłości, a rozgłos zyskał głównie dzięki tej lekkiej, prześmiewczej komedii.

— Chodźcie do nas, chodźcie, panie komediancie — zaprosił cesarz. — Przypatrujcie się pilnie wszystkiemu.

Ritter miał bardzo nieszczęśliwą minę, kiedy z powrotem wskakiwał na siodło. Wiedziałem, że ubodło go nazwanie „komediantem", chociaż Najjaśniejszy Pan z całą pewnością użył tego zwrotu, by okazać serdeczność.

— Najbardziej mi się podobało, gdy okładały się patelniami w kapuście. — Cesarz zwrócił twarz w stron? Heinza, a ten rozjaśnił się w uśmiechu. Podejrzewałem, że uśmiech sporo go kosztował.

— Pokornie dziękuję Waszej Cesarskiej Mości — odparł.

— Teraz jednak czas na coś większego, Ritter. Pomyśl o tym. Sam pewnie poświęciłbym się sztuce, gdyby nie niewdzięczne obowiązki państwowe. Na przykład — zamachał palcem i spojrzał w stronę słońca zasnutego różowymi pasmami chmur, jakby szukał tam natchnienia — ona piękna i młoda, on odważny i szlachetny. Kochają się, lecz pochodzą z nienawistnych sobie rodów, które prędzej ich zabiją niż zezwolą na małżeństwo. — Wydmuchał powietrze przez usta. — Dobre, prawda?

— Genialne, Wasza Wysokość — zachwycił się Ritter, który przecież był nie tylko poetą i dramaturgiem, lecz również aktorem.

— No! — skwitował cesarz z zadowoleniem. — Więc pomyślcie nad tym.

— Czy wolno mi będzie zadedykować tę sztukę Najjaśniejszemu Panu?

— Po zbadaniu jej treści w kancelarii i wydaniu stosownej opinii — odezwał się baron, nie czekając na odpowiedź władcy.

— O, właśnie tak, panie Tauber — zgodził się cesarz. — Więc piszcie, piszcie, talentu nie wolno trwonić! Jak to tam było w ewangeliach, Madderdin?

— Każdemu, kto szanuje talenty, zostanie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto talentów nie szanuje, zabiorą nawet te, które ma — odparłem, pozwalając sobie na pewne uproszczenie słów Pisma.

— Bardzo mądrze. Bardzo dobrze. Będziemy wam się uważnie przypatrywać. — Znów spojrzał w stronę Rittera.

Przygalopował właśnie goniec z meldunkiem o ruchach wojsk, więc Najjaśniejszy Pan zapomniał o naszej obecności i wdał się w ożywioną dyskusję z przybocznymi.

— Widzicie? — szepnąłem do Heinza. — Skraca się wasza droga do stanowiska cesarskiego dramaturga.

— Aha — usłyszałem w jego głosie ponurą nutę. Mgła powoli ustępowała i zobaczyłem zarys wzgórz, pod którymi zgromadziły się oddziały palatyna.

— Patrzcie, panie, chamstwo nie potrafi nawet wy korzystać pozycji — zaśmiał się baron Tauber. — Zamiast stanąć na wzgórzach, oni stanęli pod wzgórzami. Kiedy pociągniemy szarżę, nie będą mieli dokąd uciec.

Cesarz uśmiechnął się półgębkiem, lecz nic nie powiedział. Ja tymczasem patrzyłem na równe czworoboki piechoty Palatynatu, zbrojnej we włócznie i prostokątne tarcze. Stali karnie, zachowując idealne odstępy. To nie była hołota, jak chciał tego baron. To byli wyćwiczeni mieszczanie, znający nawzajem siebie i swych dowódców.

— Najjaśniejszy Panie! — Od strony rycerskich chorągwi przygalopował zdyszany goniec. Jego koń zarył kopytami w błocie i zatańczył. Żołnierz szarpnął ostro wodze. — Nie chcą czekać!

Twarz cesarza ściągnęła się gniewem.

— Mają czekać na rozkaz! — krzyknął, obracając się do tyłu.

Odwróciłem się również, podążając za jego wzrokiem. Naszej piechoty nie było nawet widać na horyzoncie. Zresztą nic dziwnego, gdyż kusznicy, niosący ciężkie pawęże, poruszali się nie tylko dużo wolniej konnicy, ale także od zwykłych piechurów.

— Szarżują — obwieścił głucho goniec. Spojrzeliśmy w stronę, którą wskazał.

Wyciągnięta ława ciężkozbrojnych feudałów galopowała wprost na pozycje piechoty. W wojskach Palatynatu wszczął się ruch, usłyszałem ciche zawodzenie trąb. Wytężyłem wzrok i dojrzałem łuczników wyłaniających się zza wzgórz pokrytych jeszcze poranną mgłą.

— To już koniec — zaśmiał się Tauber. — Zmiotą ich. Zanim przyjdzie nasza piechota, będzie po wszystkim.

— Mordimerze? — Cesarz spojrzał w moją stronę. — Co o tym myślisz?

Baron parsknął z niezadowoleniem, że władca zwraca się wprost do mnie z takim właśnie pytaniem, lecz nic nie powiedział.

— Zgadzam się, Najmiłościwszy Panie — odparłem uprzejmie. — Zmiotą ich. Obawiam się, że pogłowie rycerstwa w wojskach Waszej Cesarskiej Mości ulegnie w związku z tym znacznej redukcji.

Tauber szarpnął się w moją stronę.

— Jak śmiesz? — Zobaczyłem, że twarz ma pociemniałą z gniewu.

Cesarz powstrzymał go podniesioną dłonią i spojrzał karcąco na rycerza towarzyszącego baronowi, który usłyszawszy moje słowa, zbladł i położył dłoń na rękojeści miecza. Dopiero pod wpływem wzroku władcy cofnął rękę i delikatnie poklepał konia okutą żelazem rękawicą.

— Zobaczymy — mruknął cesarz.

Ziemia była podmokła i ciężko opancerzone wierzchowce, objuczone równie ciężko opancerzonymi jeźdźcami z trudem nabierały rozpędu. W promieniach słońca zobaczyłem pierwszą salwę strzał. I zaraz potem ujrzałem padające w błocko konie.

— Strzała z długiego łuku przebija płytową zbroję, miłościwy panie — wyjaśniłem, choć nie sądziłem, by cesarz o tym nie wiedział.

Władca cały czas leciutko się uśmiechał. — Nie posłuchali mnie — rzekł. — Choć surowo nakazywałem czekać.

Oczywiście, że kazał im czekać. Tak postąpiłby każdy dowódca przy zdrowych zmysłach. Tyle że wielcy panowie uznali, iż bitwę z miejską hołotą wygrają sami i niepotrzebne jest im wsparcie piechoty ani kuszników. Nawet nie przeczuwałem, a wiedziałem, iż drogo zapłacą za to zadufanie.

— Teraz wilcze doły — pozwoliłem sobie wyrazić przypuszczenie.

I faktycznie, jak na zamówienie, zobaczyliśmy, że ziemia rozstępuje się pod kopytami koni. Dalsze szeregi próbowały wstrzymać szarżę, ale inni wręcz przeciwnie, rozpędzali się, by przeskoczyć wykroty. Wszczęło się potworne zamieszanie, a w cały ten tłum uderzyły następne salwy wysyłane przez bezpiecznie stojących na wzgórzu łuczników.

Wyciągnąłem dłoń pod słońce.

— Proszę spojrzeć, miłościwy panie — powiedziałem. — Żywa noga nie ujdzie.

Zza wzgórz, z lewej i prawej strony, galopowała lekka jazda Palatynatu, która kierowała się, by przeciąć drogę ucieczki tym, co ujdą spod ulewy strzał i wygrzebią się z wilczych dołów. Jednocześnie karne czworoboki włóczników ruszyły szybkim truchtem przed siebie. Z podziwem dostrzegłem, że ich szeregi były tak równiusieńkie jak wtedy, gdy spokojnie stali.

Spojrzałem kątem oka na barona Taubera i zauważyłem, że zagryza usta tak mocno, iż po brodzie spływa mu strużka krwi. Rozbawiło mnie to, bo zastanawiałem się, kiedy wreszcie wielcy panowie nauczą się, iż szarża ciężkiej konnicy na niezbadanym terenie przeciw łucznikom i zbrojnej we włócznie lub piki piechocie nie jest najlepszym pomysłem. Zwłaszcza gdy walczy się przeciw wyćwiczonym wojskom, służącym pod komendą doświadczonych dowódców, a nie przeciw naprędce zebranej hałastrze. Obróciłem się za siebie i zobaczyłem, że w końcu ukazała się szara linia cesarskich wojsk. Bardzo daleko od nas.

— Coś takiego! — wykrzyknąłem, gdyż lekka kawaleria Palatynatu sformowała półkole w sporej odległości od cesarskich feudałów, a jeźdźcy naciągnęli krótkie łuki. Tego nie przewidziałem, to jednak wróżyło jeszcze szybsze zakończenie widowiska.

— To niehonorowo — zbladł Tauber. — Szlachcic nie używa łuku, Najjaśniejszy Panie!

Uśmiechnąłem się w myślach. Jak widać, taktyczne informacje barona były przestarzałe, a szlachta Palatynatu słusznie uznała, że łuk jest tak samo dobrą bronią jak każda inna i może służyć nie tylko do zabawy na polowaniach.

Zanim ława włóczników starła się z ciężkozbrojnymi, cesarscy dostali następne salwy. Część feudałów. Próbowała poprowadzić szarżę na szereg włóczników, inni cofali się w panice, jeszcze inni postanowili uderzyć na atakującą z flanki kawalerię. Każdy z tych pomysłów był zły.

— Jeśli wolno mi coś powiedzieć, miłościwy panie, radziłbym cofnąć się do naszych głównych sił — powiedziałem najbardziej uprzejmym tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

Cesarz spojrzał w moją stronę.

— Święta racja, Mordimerze — rzekł i ściągnął wodze koniowi. Machnął dłonią. — Za mną! — rozkazał zimno. Wydawało mi się jednak, że kąciki ust cały czas ma skrzywione w uśmiechu.

Sformułowaniem „żywa noga nie ujdzie" wasz uniżony sługa dokonał pewnego skrótu myślowego, gdyż mizerne wykształcenie wojskowe nie pozwoliło mi docenić determinacji ciężkozbrojnego rycerstwa ani jego bojowego zapału. W związku z tym do wieczora nadciągały niedobitki feudałów i naliczono, że z pogromu ocalało około stu osiemdziesięciu ludzi, co stanowiło mniej więcej jedną dziesiątą tych, którzy rozpoczęli chwalebną szarżę.

Z obozu wroga otrzymaliśmy wiadomości, że ponoć zginęło pięćdziesięciu żołnierzy, a to dawało prosty rachunek strat wynoszący trzydzieści sześć do jednego. Zabawne. Co ciekawe, wydawało mi się, że cesarz jest równie rozbawiony jak ja, choć nie dawał niczego znać po sobie, a uciekinierów przyjął ze współczuciem. Nie czynił im też najmniejszych wyrzutów, że śmieli nie posłuchać jego rozkazów.

To nie był koniec tego strasznego, przynajmniej dla niektórych, dnia. Nie wiem dlaczego, nikt nie podejrzewał, iż żołnierze Palatynatu mogą przejść do natarcia. Wszyscy wyobrażali sobie, że skoro na linię dotarły już oddziały cesarskiej piechoty, kompanie najemników oraz lekka jazda, to wróg nie będzie na tyle szalony, by tak wielkie siły zaatakować. Okazało się jednak, że palatyn Duvarre czy też dowodzący jego armią generałowie byli szaleni. Zaatakowali.

Noc jest najlepszą porą do przeprowadzenia szturmu. W nocy nikt nie wie, przeciw komu ma walczyć, jak liczne są siły przeciwnika i skąd nadchodzą. W nocy rządzą Strach i Trwoga, dwaj synowie boga wojny. Noc jest pełna tratowanych namiotów, krzyków przerażenia, świateł pochodni gasnących w błocie i wrzasku konających. W nocy rozbijasz toporem łeb krewniaka i omijasz ostrzem gardło wroga. W nocy słyszysz głos: „Ratuj, przyjacielu" i nie wiesz, czy woła wróg, czy sprzymierzeniec. W nocy zaplątujesz się w sznurach od namiotu, a potem spostrzegasz, że to nie sznury, lecz wywleczone ludzkie jelita.

— Do mnie! — zakrzyknąłem, machając pochodnią. — Do mnie, skurwysyny!

Zuchy przydzielone mi z Hez-hezronu, o dziwo, posłuchały. Może bali się ciemności i blask trzymanej przeze mnie pochodni uznali za symbol bezpieczeństwa? A może bali się, iż śmierć z rąk żołnierzy Palatynatu jest jedynie pieszczotą w porównaniu z tym, co zgotuje im własny kapitan, jeśli tylko pokuszą się o ucieczkę? Nieważne, jakie były ich pobudki. Ważne, że stanęliśmy ramię przy ramieniu.

— Naprzód, chłopcy! — zawołałem. — Nie powiecie mi, że chcecie żyć wiecznie!

I ruszyliśmy. Do pierwszej wielkiej bitwy, w której miałem nieszczęście wziąć udział. I którą, w odróżnieniu od większości mych podwładnych, miałem nieszczęście przeżyć. Potem oglądałem na polu bitwy ciała tych, którzy zginęli. Rupert Gardzioł, jakby przez ironie losu, został cięty w szyję i jego głowa trzymała się ciała wyłącznie na wąskim paśmie mięśni. Mruk Pokraka miał zmiażdżony czerep, założyłbym się, że został uderzony końskimi kopytami lub stratowany. Mały Hansie rzęził w kałuży krwi, nie mógł już mówić, a w jego pełnych bólu oczach zastygło jedno wielkie życzenie. Spełniłem je tak szybko i sprawnie, jak tylko mogłem. Sobolowi Bękartowi i Robinowi Pałce udało się ocaleć. Sobol stracił mały palec u lewej dłoni, poza tym dorobił się szarpanej rany na policzku, natomiast Robin wyszedł bez najmniejszego szwanku. Podobnie jak wasz uniżony sługa. Śmierć jednak stała w tej bitwie tuż obok mnie. Najpierw włócznia jeźdźca minęła o cal moją głowę, potem jakiś niewydarzony sukinsyn z naszej armii o mało nie przebił mnie bełtem (grot wbił się w drzewce glewii, którą trzymałem w dłoniach), aż wreszcie tylko błyskawiczny odskok ocalił mnie przed stratowaniem przez wycofujących się kawalerzystów Palatynatu. Mieliśmy też trochę szczęścia. To my ocaliliśmy życie Najjaśniejszego Pana. Kiedy spadł z siodła, podprowadziłem mu własnego wierzchowca, a moi chłopcy osłaniali go własnymi ciałami. Dopiero potem Tauber, Kappenburg oraz ich żołnierze odgalopowali z Najjaśniejszym Panem w bezpieczne miejsce.

Oddziałom Duvarre'a udało się zasiać panikę i wyrządzić spore szkody, lecz były zbyt nieliczne, by poczynić prawdziwie wielkie spustoszenia, rozbić cesarską armię czy uczynić ją niezdolną do kontynuowania kampanii. W końcu przegnano je z pola bitwy. Nam, cesarskim żołnierzom, zostało liczenie trupów, ściąganie rannych z pola bitwy i dobijanie tych, których jedynym marzeniem było przestać żyć.

Cesarski namiot był miejscem, w którym wasz uniżony sługa czuł się zdecydowanie nieswojo. Bowiem obok Najjaśniejszego Pana, papieskiego legata i spowiednika zebrali się w nim wszyscy biorący udział w wyprawie najwyżsi wodzowie oraz dostojnicy Cesarstwa. Cóż, być może, mówiąc „wszyscy", popełniłem niezamierzone nadużycie. Ujmijmy to więc tak: wszyscy, którzy przeżyli, wszyscy, którzy nie popadli w niewolę palatyna Duvarre'a. Nastroju narady u Miłościwego Pana nawet największy kronikarz-pochlebca nie byłby w stanie nazwać triumfalnym, a deszcz miarowo łopoczący w płótno namiotu tylko dopełniał atmosfery smutku i przygnębienia. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że uniknęliśmy większego zła kosztem mniejszego. Zwycięstwo nad wojskami Palatynatu oznaczałoby przewlekłą kampanię, zdobywanie zamku po zamku i twierdzy po twierdzy. Prawdopodobnie wszystko skończyłoby się tak samo, tyle że z większą liczbą ofiar, wśród których kto wie czy nie byłoby również biednego Mordimera. — Zrozumiałe jednak, że nie zamierzałem się z nikim dzielić tymi przemyśleniami, gdyż pomimo całej marności mego życia trzymałem się go tak samo kurczowo, jak rozbitek wydany na pastwę fal trzyma się ostatniej zbutwiałej deski. A miałem nieodparte wrażenie, że po przedstawieniu mych tez dotyczących klęski oraz zwycięstwa narobiłbym sobie więcej wrogów, niż kiedykolwiek spodziewałem się mieć. Stałem więc w ocienionym kącie, starając się udawać, że wcale mnie tam nie ma, i liczyłem, że w obliczu tak wielkiej tragedii nikt nie zainteresuje się mą skromną osobą.

Cesarz siedział na krześle z ułamanym oparciem, prawą rękę objęto mu w łupki owinięte bandażami, które przypominały teraz ubłocone szmaty. Patrzył przed siebie tępym wzrokiem i odniosłem wrażenie, że tak naprawdę nikogo nie dostrzega. Na policzkach miał ceglaste wypieki wywołane gorączką, a usta na wpół rozchylone. Na końcu nosa zwisała mu katarowa kapka. Krótko mówiąc, przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpaczy i trudno było uwierzyć, że oto mamy przed sobą człowieka, który mienił się Obrońcą Chrześcijaństwa, Powiernikiem Królestwa Jezusowego oraz Opiekunem Ziemi Świętej.

— Twoi cholerni najemnicy — warknął nagle August Kappenburg, wskazując palcem na kapitana Savignona. — Nie spieszyli się do walki, co?

Savignonowi przyglądałem się dyskretnie, lecz z ciekawością już od dłuższej chwili. Słynny najemnik był niemal karłem i przypominał spłaszczoną beczkę opartą na krótkich, krzywych nóżkach. W tym wszystkim raziła jeszcze nieproporcjonalna, wręcz monstrualnie wielka głowa. Pośrodku twarzy kapitana wyrastał wielokrotnie połamany nos, małe oczka były niemal zarośnięte przez siwe wiechcie postrzępionych brwi. Niemniej należał do ludzi, o których mówiło się z szacunkiem i do których mówiło się z szacunkiem. Jeśli udało mu się wywalczyć tak wysoką pozycję, wyglądając tak groteskowo, musiał być naprawdę nietuzinkowym człowiekiem. Teraz wściekle wzruszył ramionami.

— Śliśmy tak sibko, jak mogliśmy — warknął z silnym akcentem. — Miłosiwy pan nie kaziali wam siarsiować.

— Rycerstwo okryło się chwałą! — krzyknął feudał w pogiętym i zakrwawionym półpancerzu. — A wyście się cofnęli!

— I cieście się, zieśmy chroniali miłosiwego — odburknął Savignon. — Bo kto zapeśpicił otfrut? Kcie wasi riciezie? Kcie wasia piechcia?

— Właśnie! — Tauber odwrócił się w stronę Kappenburga. Jego mokre wąsy zwisały teraz smętnie po obu stronach ust. — Gdzie jest nasza piechota? Gdzie ludzie Vogla i van Alsta?

Kappenburg spojrzał w jego stronę i wymamrotał coś niezrozumiale.

— Van Alst idzie tuż za nami. A Vogel jest na wschodzie... chyba — powiedział niepewnie szlachcic z obandażowanym zakrwawionymi szmatami kikutem zamiast lewej dłoni.

— Tabory?

Szlachcic tylko bezradnie wzruszył ramionami i zaraz potem syknął, widać zabolała go raniona ręka.

— Ktoś wie, gdzie są nasze tabory? — Tauber powiódł spojrzeniem po obecnych w namiocie rycerzach.

Jego wzrok przemknął również po mnie, lecz nie sądziłem, by baron w ogóle mnie zauważył. Kapitan Savignon roześmiał się chrapliwie, tak że jego brzuszysko zatrzęsło się pod szerokim, nabijanym drogimi kamieniami pasem. Cóż, nosił na sobie niezgorszą fortunę...

— Organisiacia! — fuknął. — Kury fam focić, a nie na wojnie chocić.

— To zniewaga! — Kappenburg, poczerwieniały na twarzy, jakby ktoś go spoliczkował, ruszył w stronę dowódcy najemników.

— Dość! — cesarz ocknął się w końcu ze stuporu, ale musiał powtórzyć raz jeszcze: „Dość", by zatrzymać Kappenburga. — Nie jesteśmy tu, by się kłócić, lecz radzić, co nam wypada uczynić — powiedział już spokojnie. — Gdzie się przegrupować, jak przygotować i skąd przypuścić następny atak...

— Miłosiwy — Savignon nie miał żadnych oporów, by przerwać samemu cesarzowi — tu nie ma co rasić o ataku. Tu tsia rasić, jak uratować reski tfojego wojska.

— Tak jak mówię. — Cesarz spojrzał na niego twardym, ponurym wzrokiem. — Uratować, wycofać, przegrupować i zaatakować raz jeszcze. Tym razem przezornie oraz całymi dostępnymi nam siłami. Jak trzeba, zostaniemy do zimy.

— Od wzieśnia moi ludzie bioro potfujny ziołd — zastrzegł szybko Savignon. — Mamy to w konraćcie, miłosiwy. A zieśtą kto w zimie walci, co?

— Tauber? — Władca zlekceważył słowa najemnika.

— Utraciliśmy walecznych rycerzy z tak niezwykłą odwagą szturmujących przeważające siły wroga... — zaczął baron.

Szkoda, że zamiast słowa „odwaga" nie użył „głupota", pomyślałem.

— Boże, przyjmij ich do swego Królestwa i uczyń im zaszczyt powołania do wielkiej i ostatecznej bitwy, którą stoczysz ze swym Nieprzyjacielem — przerwał mu legat Verona.

Tauber przeżegnał się zamaszyście i kontynuował:

— Piechota poniosła pewne straty w czasie nocnego szturmu, ale nie są one na tyle istotne, by zagrozić powodzeniu całej kampanii. Lekka jazda pomocnicza cofnęła się w ładzie, najemników, jak wiemy, wyprowadził kapitan Savignon, być może tylko część taborów wpadła w ręce wroga...

— A to jak chciecie zdopyfać twierdzić palatynia bez masin bleźnicich i armatów? — machnął ręką Savignon. — Dzie wasia Greta jeść?

— Dobre pytanie — wtrącił cesarz. — Co z Szaloną Gretą?

Najjaśniejszemu Panu odpowiedziało milczenie. W najlepszym wypadku ludzie palatyna ją zniszczyli. W najgorszym właśnie ciągnęli w stronę własnych fortec. Miałem ogromne wątpliwości co do skuteczności działania wielkich bombard, lecz przecież Szalona Greta nie była tylko bronią. Była symbolem. Jak cesarski sztandar. A teraz wróg nie musi jej wcale użyć, wystarczy, iż będzie się chlubił jej posiadaniem.

— W razie czego sprowadzimy lub zbudujemy nowe — rzekł cesarz, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Tauber, pchnij gońców do Hezu z prośbą do biskupa o natychmiastowe wsparcie. Niech wyśle nam wszystkie armaty, jak trzeba, niech zdejmie własne z murów. Dalej inżynierów i cieśli, ilu tylko da radę. Lasów tu w bród w razie czego raz-dwa poradzimy sobie z budową katapult, mangoneli i wież.

Baron pokiwał głową bez przekonania.

— Skoro taka wasza wola, miłościwy panie.

— Aby wiedzieć, jak postępować w przyszłości, trzeba wyciągnąć wnioski z błędów popełnionych w przeszłości — odezwał się cicho legat Verona — i zapytać: kto jest winien tej klęski oraz śmierci dzielnych rycerzy?

Jak na mój gust rycerze, dzielni czy nie, sami byli sobie winni, niemniej byłem ciekaw, jakie poglądy ma na ten temat dostojny legat. Cesarz widać też był zainteresowany, gdyż spojrzał na niego pytająco, a nawet uniósł lekko brwi.

— Czy obdarzeni papieskim błogosławieństwem, waleczni obrońcy Chrystusa oraz naszej świętej wiary mogliby zginąć bez interwencji szatańskich sił? — mówił Verona w absolutnej ciszy, która zapadła w namiocie. — Czy wróg nie użył czarowników, by przyzwać demony? Czy nie zmącił myśli naszych krzyżowców? Bo jakżeby inaczej tłumaczyć, iż nie posłuchali rozkazu cesarza, który zakazał im atakować?

Oczywiście, można było to tłumaczyć arogancją, głupotą i nieposłuszeństwem, ale byłem pewien, że nikt nie spróbuje nawet pójść za podobnym tokiem rozumowania.

— Jak Bóg na niebie, to musi być prawda! — przyznał szlachcic z kikutem zamiast dłoni. — Głowę dam, że nie usłyszeli cesarskiego rozkazu...

— I dziwna mgła pokryła pole — dorzucił inny rycerz. — Przecież gdyby nie ona, dostrzeglibyśmy pułapki...

— Strzały łuczników niosły na niesłychaną odległość — niemal krzyknął następny. — Jakby mknęły na skrzydłach demonów...

Rzecz jasna, było to najprostsze tłumaczenie, gdyż hipoteza mówiąca, że walijscy łucznicy uzbrojeni byli w długie łuki o twardym naciągu i szkoleni przez lata w sztuce strzeleckiej, była wszakże nie do przyjęcia. Natomiast skrzydła demonów wyjaśniały wszystko z niezwykłą wręcz jasnością oraz precyzją.

Verona pokiwał z zadowoleniem głową.

— Tak właśnie myślałem — powiedział powoli. — Oczywiście rzecz wymagać będzie wnikliwego śledztwa. Ale jakież szczęście, że mamy wśród nas uczonego doktora Mordimera Madderdina, który zapewne lepiej niż ja wyjaśnić może, czy zaatakowały nas diabelskie moce.

Spojrzał prosto na mnie, a wzrok obecnych, na czele z samym cesarzem, przeniósł się do mego skromnego kącika. Jeżeli spytacie, mili moi, co czułem, słysząc, jak Verona miesza mnie w całe to bagno, nie odpowiem, by nie używać słów, przed których stosowaniem ostrzega nasza święta wiara. Niemniej coś zrobić musiałem. Wystąpiłem więc krok naprzód.

— Nie jestem uczonym doktorem, jak w swej łaskawości przedstawił mnie dostojny legat — sprostowałem. — Jestem tylko skromnym i żyjącym w bojaźni Bożej inkwizytorem. Znam Pismo oraz nauki ojców Kościoła w dalece niewystarczającym stopniu, bym śmiał rozprawiać o szatańskich siłach z tak szanowanym teologiem jak ojciec Verona. Mogę jedynie powiedzieć, że Święta Księga wyraźnie ostrzega: *Diabeł jako lew ryczący krąży, szukając, kogo by pożreć.* Dlatego zachowując ufność w Panu, nigdy *nie* wolno nam zwątpić w potęgę zła. Któż wie jak strasznych rzeczy może dokonać Duvarre, znany przecież jako heretyk i bluźnierca? Spiskiem z Szatanem dopisałby tylko kolejny śmiertelny grzech do jakże długiej listy swych przerażających czynów...

Zdumiewające, lecz kilku feudałów spojrzało na mnie z wyraźną jeśli nie sympatią, to przynajmniej brakiem wcześniejszej niechęci. Verona także słuchał moich słów uważnie, uśmiechał się lekko i kiwał głową przy każdym zdaniu. Dopiero gdy zacząłem mówić o palatynie Duvarre, zmarszczył brwi. Uniósł dłoń, by mi przerwać, zresztą bezcelowo, bo nie zamierzałem nic dodawać, a głos zawiesiłem jedynie dla osiągnięcia lepszego efektu.

— Święte słowa, dostojny cesarzu, zacni panowie, poczciwy mistrzu Mordimerze. — Przy słowie „poczciwy" miałem ochotę zmarszczyć brwi, ale powstrzymałem się przed tym pustym gestem. — Lecz przeziera przez nie zarówno wiara, której nie śmiałbym przecież negować, ale także młodzieńcza beztroska, każąca szukać zła wśród wrogów, nie przyjaciół... — zakończył teatralnie.

Nie uważałem się za człowieka szczególnie beztroskiego, trudno też nazwać mnie młodym, choć oczywiście mogło się tak wydawać człowiekowi w wieku legata Verony. Jednak słuchałem jego słów z coraz większym zaniepokojeniem, gdyż wydawało mi się, że wiem, w którym kierunku zmierzają myśli brata-kruka, i — wierzcie mi, mili moi — kierunek ten zupełnie mi się nie podobał. Zerknąwszy na cesarza, spostrzegłem, że wpatrywał się w Veronę ponurym wzrokiem. Jak widać, Najjaśniejszy Pan również zaczynał rozumieć, że do klęski na polu bitwy mogą dołączyć inne kłopoty. Ciekawe tylko, czy zdawał sobie sprawę, jak poważne mogą to być kłopoty?

— Oświećcie nas, co macie na myśli — mruknął cesarz.

— Mówię o spisku. — Legat rozpłomienionym wzrokiem powiódł po zebranych i nie było człowieka, który chciałby skrzyżować z nim spojrzenie. — O spisku czarownic, heretyków, czarnoksiężników i demonów! Mówię o sabatach, gusłach i czarach! O straszliwych czarach odprawianych pod bokiem twego majestatu, panie!

Krew nabiegła mu do twarzy i wyglądał teraz jak stary, rozwścieczony indor. Ciekawe, że chyba tylko ja jeden widziałem komizm tej sceny. Przy całej jej powadze, rzecz jasna. Kilku feudałów przeżegnało się pospiesznie, a stojący przede mną szlachcic złożył palce w geście odczyniającym zły urok.

— To poważne oskarżenia — rzekł w końcu cesarz. — Ufam, że nie rzucasz słów na wiatr, ojcze. Gdzie więc są dowody?

— Oooo, znajdziemy dowody! — zapalczywie obiecał cesarski spowiednik, który, jak widać, nie chciał pozostawać w cieniu sławniejszego brata.

— Znajdziemy — przyznał legat. — I dowodów tych zapewne dostarczy nam człowiek, którego umiejętności oraz wyszkolenie najlepiej na to pozwalają — wyjaśnił Verona, a ja zamarłem. — Mistrz Mordimer Madderdin, inkwizytor — dokończył zgodnie z moimi najgorszymi przewidywaniami. — Człek tak biegły w sztuce, że sam biskup Hez-hezronu mianował go swym kapitanem i przedstawicielem.

W cesarskim namiocie zapanowała cisza. Wszyscy najwyraźniej czekali, aż przemówi wasz uniżony sługa. Nie powiem, by przypadło mi to do gustu.

— Módlmy się*—* uklęknąłem, pochylając głowę do samej ziemi.*—* Pozwólmy, by Pan przemówił przez nasze pokorne serca. Gdzież możemy szukać opieki, jak nie w Bogu? Ukorzmy się i uwierzmy, bo Pan jest wszelką mądrością i on nas oświeci. Cóż, jeśli nie szczera modlitwa najzacniejszych rycerzy, może przypodobać się Panu?

Z satysfakcją zauważyłem, spoglądając kątem oka, że kilku obecnych rymnęło na kolana. Kappenburg i Tauber również przyklęknęli. Savignon wyszczerzył się do mnie szczerbatym uśmiechem, po czym poszedł w ich ślady. Sam cesarz po chwili lekkiego wahania pochylił głowę.

— Na nic modlitwy — legat Verona ruszył z miejsca — kiedy rządzi szatańska moc! Kiedy czarownicy i czarownice odprawiają swe przeklęte rytuały, kiedy niewinni są w mocy Bestii! Nie modlitw nam trzeba, lecz śledztwa, mości inkwizytorze! Czyż nie dlatego istnieje Święte Officjum, by wypalić każdy przejaw herezji?

Wiedziałem, że muszę utrzymać zgromadzonych przy sobie. Przynajmniej na moment.

— Modlitwy nigdy za wiele! — zawołałem pełnym głosem. — Módlmy się!

Odmówiliśmy „Ojcze nasz", „Wierzę w Boga" i „Lament nad Jeruzalem". Tyle właśnie zyskałem czasu, błagając jednocześnie Pana, by raczył mnie oświecić, co powinienem czynić dalej. Modlitwy recytowałem powoli, z namaszczeniem, ale nie mogłem przecież odmawiać ich bez końca!

— Najjaśniejszy cesarzu, dostojni panowie — przemówiłem, gdy zapadła cisza. — Czcigodny legat Verona, podejrzewając atak sił nieczystych na świątobliwe zastępy cesarskiej armii, wezwał na pomoc Święte Officjum. I oto jest ono, w mej niegodnej osobie, by usłużyć jak najlepiej sprawie. Oczywiście, za przyzwoleniem Najjaśniejszego Pana, rozpocznę stosowne przygotowania, lecz przede wszystkim pchnę gońców do Hez-hezronu, by jak najszybciej pojawili się tu biegli w swej sztuce śledczy oraz teologowie.

A wtedy być może będę mógł stąd jak najszybciej odjechać, dodałem w myślach.

— Zgadzamy się — powiedział po chwili cesarz. — Lecz głęboko ufamy, że śledztwo Świętego Officjum odsunie podejrzenia od naszych poddanych.

— Najmiłościwszy... — zaczął legat, ale cesarz spojrzał na niego i uniósł dłoń.

— Nie skończyłem jeszcze — rzekł twardym tonem. — Poucz mnie, dostojny ojcze, gdzie twierdzą, że wolno przerywać w pół zdania cesarzowi?

— Ależ...

— W Rzymie?

Legat Verona wiedział już, że nie wygra tej batalii. Pochylił się głęboko.

— Racz wybaczyć moją pochopność, Najjaśniejszy Panie. Uniżenie błagam o wybaczenie, jednak zważ, że kierują mną tylko troska o dobro naszej świętej wiary oraz nieprzemożna chęć usłużenia twemu majestatowi.

— Wybaczam — rzucił obojętnie władca. — Jak najszybciej rozpocznij przesłuchania, kapitanie — odezwał się do mnie, nie zwracając już uwagi na legata. Kiedy ten się prostował, ujrzałem w jego źrenicach błysk czystej nienawiści.

— Najjaśniejszy Panie, prawo mówi, że w twej obecności kwalifikowanym badaniom można poddać przesłuchiwanych tylko za twym łaskawym pozwoleniem. Czy raczysz dać mi takie pozwolenie?

Na Boga żywego! Na gwoździe i ciernie! Nie udzielaj go! — błagałem w myślach.

Bowiem kwalifikowane badania oznaczały tortury. Nie wątpiłem, że bracia Verona zapewnią sobie lub swoim przedstawicielom udział w tak prowadzonych śledztwach. A wtedy wszystko może się zdarzyć. W końcu sam niegdyś powiedziałem: „Jeśli przesłuchujący zechce, przesłuchiwany przyzna się nawet do tego, że jest zielonym osłem w pomarańczowe ciapki".

— Prowadźcie śledztwa z pełną łagodnością, mistrzu Madderdin — odparł Najjaśniejszy Pan. — Gdyż źle się dzieje, jeśli ból i strach przysłaniają oblicze prawdy.

Odetchnąłbym z ulgą, gdybym mógł sobie pozwolić na oddech pełen ulgi. A ponieważ tak nie było, pochyliłem się w głębokim ukłonie. Szczerym ukłonie. Gdyż cesarz coraz bardziej mi się podobał.

— Stanie się wedle woli Waszej Wysokości, której respektowanie będzie dla mnie najwyższym prawem.

Nie sądzę, by bracia Verona nie zrozumieli właściwie tego zdania. A oznaczało ono ni mniej, ni więcej, tylko to, że będzie im bardzo ciężko rozpętać huragan. Nie musiałem spoglądać w źrenice legata, by wiedzieć, że w ich głębi znowu czai się nienawiść. Tym razem z ostrzem skierowanym w stronę waszego uniżonego sługi. Szkoda, że nie mogłem się zaśmiać. Chociaż sam przecież niedawno przykazywałem sobie, by wystrzegać się legata. Zły Mordimer, zły! Nie stosował się do własnych ostrzeżeń.

— Kapitan Madderdin okrył się chwałą, walcząc w naszej obronie i zapewne ratując nasze życie — rzekł cesarz niespodziewanie dla mnie i chyba dla wszystkich zebranych. — Dlatego doceniając jego zasługi na polu bitwy, w stosownym czasie wydamy dyspozycje co do majętności, jakie przyznamy mu w cesarską dzierżawę.

W namiocie znowu zapanowała cisza. Cisza, która aż dźwięczała w uszach. Nigdy nie słyszałem, a i zapewne nikt z tu zgromadzonych nie słyszał, by inkwizytor został tak wyróżniony przez samego władcę. Nawet jeśli ten inkwizytor tymczasowo pełnił funkcję kapitana biskupiej gwardii. Moim skromnym zdaniem w tych słowach kryła się również informacja dla legata oraz spowiednika. Lodovico Verona miał przymknięte oczy. Być może, gdyby je otworzył, mógłby wzrokiem podpalić kupkę wilgotnego mchu.

— Roześlijcie gońców do wszystkich dowódców. Cofamy się do Habichtbergu i tam założymy naszą kwaterę główną — kontynuował Najjaśniejszy Pan. — Niech we wszystkich kościołach w Cesarstwie odprawione zostaną msze dziękczynne za wielkie zwycięstwo nad heretykami. Ogłoście, że wróg utracił niemal całą armię i z resztkami wojsk zamknął się w twierdzach, gdzie będziemy go oblegać aż do ostatecznego triumfu. Obwieśćcie, że palatyn Duvarre cudem uniknął śmierci lub niewoli i uciekł z pola bitwy, hańbiąc swe imię.

Cesarz najwyraźniej zdawał sobie sprawę ze znaczenia propagandy. W końcu nieważny jest rzeczywisty przebieg wydarzeń, ale to, jak zostały one opisane i czy w ten opis uwierzono. Oczywiście wieści o prawdziwej kolei wypadków rozejdą się, tak czy inaczej. Jednak ludzie będą mieć wątpliwości. Gorzej, rzecz jasna, przedstawiała się sprawa, jeśli chodziło o morale samej armii. Żołnierze nie mogli nie wiedzieć, kto bitwę przegrał, a kto wygrał. Prawdopodobnie nie było zbyt wielu ofiar tego nocnego ataku, lecz panował bałagan, niektóre oddziały zostały rozproszone, stracono również część taborów. Najjaśniejszy Pan miał zapewne rację, iż losy wojny mogły się jeszcze odmienić. Jednak armia cesarska stała przed dużo poważniejszym wyzwaniem, niż wydawałoby się to jeszcze dwa dni temu. Miałem nadzieję, że Ritter nie będzie sobie zanadto szydził z mej bezpodstawnej wiary w siłę cesarskich oddziałów. Cóż, nigdy przecież nie twierdziłem, że znam się na sprawach wojskowych...

Przez następne dwa tygodnie trwało zbieranie i przegrupowywanie oddziałów. Godne pochwały było to, że cesarscy dowódcy nadal bezwzględnie dbali o dyscyplinę, w związku z czym rabunki lub gwałty zdarzały się wyjątkowo rzadko. Z całą pewnością wpływał na to widok szubienic z gnijącymi, szarpanymi przez ptactwo ciałami — świadectwo, iż ręka sprawiedliwości Najjaśniejszego Pana działała szybko, sprawnie i bez zbędnego wahania.

Habichtberg był ogromnym, silnie ufortyfikowanym zamczyskiem położonym na wzgórzu panującym nad zakolem rzeki. Budowlę wzniesiono sto lat wcześniej, by mogła służyć zarówno jako baza wypadowa na Palatynat lub w razie agresji stanowić pierwszą linię obrony. W warowni znajdowały się liczne manufaktury, kuźnie, garbarnie, zakłady ciesielskie, a u podnóża góry również tartaki i spora osada, także opasana murem, choć nie tak potężnym jak okalający samą fortecę. Habichtberg był doskonałym miejscem na uzupełnienie zapasów i przygotowanie wojsk do kolejnej ofensywy, która miała nadejść niebawem. Cesarz bowiem nie chciał zwlekać, świetnie wiedząc, że każdy dzień powoduje, iż stronnictwo antywojenne rośnie w siłę, a wielu feudałów coraz głośniej optuje za rozpoczęciem rokowań po to tylko, by z całej awantury wyjść z twarzą. Chodziły nawet plotki, że Jego Ekscelencja biskup Hez-hezronu na własną rękę wysłał poselstwo do palatyna Duvarrea, by przekonywać do zawarcia pokoju na rozsądnych warunkach. Nie wiedziałem, czy była to prawda, czy nie, ale w każdym razie podobne pogłoski świadczyły o nastrojach w Cesarstwie.

Muszę przyznać, że mimo pilnych zajęć Najjaśniejszy Pan nie zapomniał o waszym uniżonym słudze. Wraz z Ritterem dostaliśmy kwaterę, na którą składała się maleńka komnatka na parterze zamku, z wąskimi szczelinami wybitymi w murze zamiast okien. Za całe umeblowanie służył nam siennik wypchany słomą i kufer z nieheblowanego drzewa. I tak było to lepszej jakości lokum niż kwatery przyznane wielu ludziom znacznie wyższego urodzenia.

W połowie drugiego tygodnia w Habichtbergu pojawiła się Enya, czyli księżniczka Anna z Trebizondu, jak wierzyli ludzie nieznający jej prawdziwego imienia oraz prawdziwego zajęcia. A ja przez te dziesięć dni nie mogłem sobie pozwolić na próżnowanie. Ojciec Verona przysłał mi biegłego kancelistę (miał na pewno pełnić również rolę szpiega), którego zadaniem było spisywanie wszelkich zeznań, jakie uzyskam od uczestników bitwy. Tak więc dowiedzieliśmy się o strzałach niesionych skrzydłami demonów, o magicznej mgle, ciemności zesłanej za pomocą czarów (bo w jakiż inny sposób w czasie szturmu wojsk Palatynatu chmury zasłoniłyby księżyc oraz gwiazdy, jeśli nie powodowane mroczną mocą?), o złowrogich obliczach pojawiających się w krwawym świetle pochodni, o komecie, która zwiastowała nieszczęście, o czarnoksięskiej wilgoci naruszającej cięciwy kusz i o panice magicznie wywołanej wśród wierzchowców. I o wielu innych rzeczach. Kazałem zapisywać wszystkie zeznania. Tylko Ritterowi ośmieliłem się wyjawić swoje zdanie na temat tego całego cyrku — rzecz jasna, sprawdzając uprzednio, czy nikt nas nie podsłuchuje.

— Kto wie, kto wie — wymruczał. — Może jest w tym ziarno prawdy? — Przeżegnał się szybko.

Pokręciłem głową, bo skoro nawet Heinz zaczynał widzieć działania czarnej magii, to oznaczało, że podobna opinia musiała być powszechna u zwykłych żołnierzy. Ritter zauważył mój gest. — a wy nie wierzycie? — spytał.

— Wierzę w jedno, mianowicie w to, że Inkwizytorium i papiestwo znacznie różnią się w pojmowaniu herezji. My chcemy odkryć prawdziwe oblicza wrogów naszego Pana, oni chcą tych wrogów za wszelką cenę znaleźć. A jeśli wrogów nie ma, to ich wymyślą...

— Zmieniliście się...

— Nie zmieniłem się, panie Ritter. Zrozumcież jedno: jestem w stanie bez specjalnego trudu przekonać was, że barczysty młodzieniec o owłosionym torsie jest w rzeczywistości powabną blondyneczką...

Roześmiał się, lecz ja mu nie zawtórowałem.

— Wierzcie mi, nie do takich rzeczy przekonywano ludzi na katowskim stole... Nie takich wyznań słuchałem na własne uszy...

Uśmiech zniknął z jego twarzy jak krew zmazana szmatą.

— Tyle tylko, że to nadal będzie mężczyzna — ciągnąłem. — I to, że was przekonam, nie zmieni rzeczywistego obrazu świata. Tymczasem my, inkwizytorzy, chcemy poznać, jaka jest prawda, a nie widzieć jedynie jej zniekształcony cień.

Zadumał się, szarpnął kilka razy brodę. Potem obrócił na mnie wzrok.

— Wszystko to ma zapewne czemuś służyć — wyszeptał, bacznie spoglądając w stronę drzwi, jakby mógł przeniknąć wzrokiem lite drewno i dojrzeć, czy ktoś nas podsłuchuje. — Ale czemu? Zresztą — machnął ręką — biskup Przyśle inkwizytorów i teologów, wtedy się wyjaśni.

— Biskup nikogo nie przyśle — powiedziałem, dziwiąc się jego naiwności.

— Jak to nie? Przecież cesarz... legat... Sami prosiliście w listach...

— Jego Ekscelencja właśnie przysłał pisma z żądaniem wyjaśnienia, jakimi kwestiami doktrynalnymi mieliby się zająć jego wysłannicy. A to tylko początek korespondencji. I wierzcie mi, potrwa ona tak długo, aż wszyscy o sprawie zapomną.

— Zostaliście więc sami — stwierdził głucho. — A ja z wami... w jednej komnacie...

Roześmiałem się. Ritter słusznie przeczuwał, że pod moim tyłkiem zaczyna płonąć pożar, i nie chciał stać się przypadkową ofiarą płomieni. Nie dziwiłem mu się, gdyż nie ma nic złego w próbie ratowania własnej skóry.

— No wiecie, ja przecież nie w tym sensie... — zastrzegł od razu.

Poklepałem go po ramieniu.

— Nie ma się czego wstydzić, Heinz — rzekłem.

— Wyjadę. — Odetchnął głęboko. — Po prostu wyjadę.

— Bez cesarskiego zezwolenia? Po tym, jak prosiliście Najjaśniejszego Pana o pozwolenie uczestniczenia w wojnie? Szczerze wam odradzam.

— Na gwoździe i ciernie! — Huknął prawą pięścią w rozwartą lewą dłoń. — Ale żeście mnie wplątali...

— Ja was wplątałem? — Roześmiałem się znowu, ponieważ oskarżenie było tak bezczelne, że nie mogłem zareagować inaczej niż śmiechem.

— Matko Boska Bezlitosna, może ułożę jakiś panegiryk o papieżu albo co...

— Róbcie, co chcecie — burknąłem, gdyż rozmowa przestała mnie bawić. — Idę na przesłuchanie. Pewnie zejdzie mi do nocy.

W komnacie, którą oddano do użytku sędziów śledczych, znajdował się stół ustawiony na drewnianych kozłach i kilka krzeseł. Wzywani na przesłuchania żołnierze odpowiadali na pytania, stojąc; szlachcie pozwalano usiąść naprzeciwko przesłuchujących. A przesłuchujących tym razem było dwóch: ja i legat Verona, wspomagał nas kancelista, czasami też zjawiał się drugi z braci-kruków, spowiednik Najmiłościwszego Pana.

Legat zaprosił barona Taubera, a ja wiedziałem, że feudał nie będzie zachwycony tym wezwaniem. Kiedy wszedł do komnaty, wstałem z miejsca. Verona nie uznał za stosowne zachować się z podobną grzecznością. Tauber z hurgotem przysunął sobie krzesło i oparł łokcie na stole.

— Pytajcie — warknął. — Byle szybko, bo mam ważniejsze sprawy na głowie.

Po wstępnych formalnościach legat przystąpił do właściwych pytań.

— Byliście przy Najjaśniejszym Panu w czasie pierwszej bitwy, czy nie tak?

— Byłem.

— Widzieliście szarżę naszych rycerzy?

— Widziałem.

— Czy szarżowali zgodnie z wolą cesarza? — Nie.

— Więc cesarz im zabronił? — Tak.

— Powiedzieliście — Verona zerknął w dokumenty: — „Zmiotą ich. Zanim przyjdzie nasza piechota będzie po wszystkim". To wasze słowa?

— Tak.

— Od jak dawna służycie Cesarstwu?

— Zostałem pasowany w wieku piętnastu lat. Więc niedługo minie trzydzieści.

— W ilu bitwach braliście udział? Tauber roześmiał się.

— Kto by to zliczył? Walczyłem w Italii, Andaluzji i Dacji. Nawet przeciwko Sycylijczykom i Berberom.

— Jesteście więc doświadczonym wodzem?

— Bóg pozwolił.

— Zakładam więc, że ocena sytuacji okiem tak doświadczonego wodza była więcej niż trafna. Spodziewaliście się triumfu cesarskich wojsk?

— Jak Bóg na niebie!

— Wszyscy w otoczeniu cesarza myśleli podobnie jak wy?

— Oczywiście — odparł natychmiast, potem przygryzł dolną wargę. — No, nie wszyscy... — dodał.

— O — zdziwił się teatralnie legat. — Któż miał inne zdanie?

— Kapitan Madderdin — odparł Tauber, a ja byłem mu wdzięczny, że użył mego obecnego tytułu.

— Kapitan Madderdin! — wykrzyknął Verona i zamachał rękoma, jakby chciał podfrunąć nad stół. — Wielce doświadczony dowódca, nieprawdaż?

— Siedzę tu — przypomniałem oschle. — I jak wasza dostojność wie, nie jestem żołnierzem, lecz jedynie inkwizytorem.

— Oczywiście, oczywiście — przytaknął legat. — Wracajmy do sedna sprawy. Skoro byliście święcie pewni zwycięstwa, panie baronie, wy, doświadczony wojownik i dowódca, to czy wolno nam przypuszczać, iż przeciwnik użył środków wam nieznanych, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę? Środków, o których jako rycerz i szlachcic nie mieliście ani obowiązku, ani prawa wiedzieć? Bo trudno uwierzyć, byście dokonali złej oceny pola bitwy, prawda?

Tauber zmarszczył brwi.

— Nie pomyliłem się — rzekł twardym tonem. — To była zwycięska bitwa. Tylko wszystko poszło nie tak jak trzeba.

Przynajmniej sześć ostatnich słów z wypowiedzi barona zgadzało się dokładnie z moimi odczuciami.

— No właśnie! — Verona rozłożył szeroko dłonie, a jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Przypominał teraz zdychającego karpia. — Mamy zeznania uczestników tej walki. Relacje o zdumiewającej mgle, która zasłoniła pole bitwy, o strzałach niesionych skrzydłami demonów, o panice wśród wierzchowców, o głosach krzyczących w powietrzu, o lepkiej pajęczynie chwytającej kopyta koni. I tak dalej, i tak dalej. Krótko mówiąc, wiemy o działaniu potężnej czarnej magii. Byliście świadkiem któregoś z tych zjawisk?

— Najjaśniejszy Pan wyznaczył mi miejsce przy swej osobie. Nie brałem udziału w szarży.

— Jednak obserwowaliście ją ze wzgórza, prawda?

— Prawda.

— Nic was nie zdziwiło?

— Konie nie mogły się rozpędzić... — po dłuższej chwili odparł Tauber.

— Ha! Czyli mamy lepką pajęczynę, która spętała ich kopyta! Zapiszcie to dokładnie, bracie — zwrócił się do kancelisty.

— A czy łąka nie była przypadkiem podmokła? — zdecydowałem się odezwać.

— Deszcz nie padał od niemal tygodnia — szybko odezwał się Verona. — To też mamy w zeznaniach świadków.

Legat miał rację. Deszcz w tej okolicy nie padał od sześciu dni. Tyle że przedtem rozpętała się potworna ulewa, która spowodowała wylanie pobliskiego strumienia. I łąka nie zdążyła wyschnąć. Wasz uniżony sługa również przygotował się do przesłuchań. Ale nie zamierzałem się spierać.

— Coś jeszcze, panie baronie? — Verona spojrzał na Taubera.

— Ich strzały niosły na niezwykłą odległość.

— Skrzydła demonów! — niemal krzyknął legat. — Skoro wy to potwierdzacie, panie baronie, nie mam już wątpliwości!

— Czy wasza dostojność miał kiedyś do czynienia z walijskimi łucznikami? — zapytałem.

— Z walijskimi nie. Ale wystarczająco długo walczyłem przeciwko Berberom i Sycylijczykom — odparł, patrząc na mnie surowym wzrokiem.

— Dziękuję, panie baronie — odpowiedziałem uprzejmie.

Nie wiem, czy Tauber nie wiedział, czy nie chciał wiedzieć, że Walijczycy byli elitą łuczniczego świata. Nie tylko szkolono ich od dziecka, ale też walijscy rzemieślnicy sporządzali niewiarygodnie mocne łuki z hiszpańskiego cisu, w których łęczysko było niespotykanie długie, a właściwa technika naciągania i strzału wymagała wielu lat ćwiczeń. Podejrzewałem, że Berberowie i Sycylijczycy mieliby w konfrontacji z Walijczykami równie wielkie szanse co ślepe szczenięta w walce z hyclem.

— Sy-cylij... — Kancelista notował z wysuniętym językiem.

— A po cóż to notujecie? — warknął legat.

— Po to, bym podpisał protokół — odparłem pogodnym tonem, gdyż wiedziałem, że bez mojego podpisu zeznanie będzie nieważne.

Myślałem, że Verona spojrzy na mnie wściekle lub pozwoli sobie na jadowitą uwagę. Jednak nie. Zadał Tauberowi jeszcze kilka pytań, lecz wyraźnie już wcześniej osiągnął to, co chciał: zapewnienie doświadczonego wodza, że bitwa była wygrana i tylko nadnaturalne okoliczności spowodowały klęskę. Oczywiście byłem w stanie podważyć te absurdalne tezy. Ale po co? I tak wysyłałem do biskupa raporty po każdym dniu przesłuchań, więc Jego Ekscelencja miał okazję poznać obie wersje zdarzeń i nie miałem wątpliwości, którą uzna za prawdziwą. Nie zamierzałem się narażać, gdyż nie była to bitwa, którą mogłem wygrać. W ogóle nie powinienem zadawać pytań, tylko siedzieć cicho, jednak chciałem, by w oficjalnych protokołach zanotowano również moje wypowiedzi. Ci, którzy później będą analizować dokumenty, doskonale zrozumieją, o co mi chodziło.

— Mistrzu Madderdin — legat obrócił na mnie wzrok — chcielibyście zadać jakieś pytania?

— Pokornie dziękuję, pan baron wyłuszczył nam wszystko z nadzwyczajną precyzją...

— No! — Tauber wstał. — Mam nadzieję, że znajdziecie winnych tego nieszczęścia.

— Z wolą Boską, znajdziemy — obiecał mu legat a w jego głosie wyraźnie zabrzmiała złowieszcza nuta.

— Jednak ośmielę się...

Tauber popatrzył na mnie jak na psie łajno i usiadł z powrotem z niechętnym sapnięciem.

— ...za łaskawym pozwoleniem pana barona, poruszyć jeszcze jedną kwestię.

— Byle szybko — warknął.

— Skoro wasza dostojność był pewien zwycięstwa, to czym wytłumaczyć fakt, że Najjaśniejszy Pan surowo zabronił szarżować i żądał, by czekać na nadejście piechoty?

Baron poczerwieniał i huknął pięścią w blat. Kancelista z wrażenia upuścił pióro pod stół i zaraz zanurkował w jego poszukiwaniu.

— Cesarz w swej dobroci pragnął dać innym dowódcom powód do chwały. Nie względy taktyki wojennej kazały mu czekać na resztę wojsk, lecz szczodra chęć, by wszyscy generałowie uczestniczyli w zwycięstwie! Przecież nie mógł przewidzieć, że Duvarre użyje czarów! Tylko wyście o tym wiedzieli!

— Ja wiedziałem?

— Kiedy ruszyła szarża, z góry wiedzieliście, że przegramy! — Tauber wstał i godził we mnie palcem wskazującym. Twarz miał już tak czerwoną, jakby za chwilę miała go trafić apopleksja. Widziałem żyły pulsujące na jego skroniach.

— Zanotujcie — przykazał Verona kanceliście obojętnym tonem.

— Dziękuję waszej dostojności — powiedziałem — Nie mam więcej pytań.

— Powiedział... powiedział... — baron ciężko oddychał — ze pogłowie rycerstwa ulegnie znacznej redukcji...

— Pogłowie? — nieszczerze zdumiał się Verona. — Zawsze sądziłem, że to określenie stosuje się do bydła, nie szlachty.

— Dziękuję waszej dostojności — powtórzyłem. Tauber wyszedł, wściekle posapując, a wtedy legat zwrócił się w moją stronę.

— Skończymy na dziś — rzekł.

— Jeśli się nie mylę, mamy jeszcze...

— Przełóżmy to na jutro.

— Jak sobie wasza dostojność życzy. — Wstałem od stołu.

Jeszcze tego samego wieczoru otrzymałem polecenie cesarskie zwalniające mnie od obowiązku prowadzenia przesłuchań. Pełną kontrolę nad śledztwem przejmowali legat Verona oraz jego brat. Poprosiłem o łaskę audiencji u Najjaśniejszego Pana, lecz mi jej nie udzielono. Poprosiłem o pozwolenie udania się do Hez-hezronu w celu zasięgnięcia opinii Świętego Oficjum, ale go nie otrzymałem. W zamian za to cesarz wydał zgodę na prowadzenie kwalifikowanych przesłuchań, połączonych z torturami. Bracia Verona musieli być w siódmym niebie. Odnajdą odpowiedzi na wszystkie pytania, a w protokołach przeciwstawią swą skuteczność nieudolności przedstawiciela Inkwizytorium.

Ritter gdzieś zniknął, pewnie upijał się z rozpaczy, więc siedziałem sam w naszej komnatce. Usłyszałem stukanie.

— Wejść — burknąłem i siorbnąłem wino z kubka. Drzwi się uchyliły i do środka wszedł August Kappenburg. Podniosłem się z siennika.

— Czym zasłużyłem na tę łaskę?

— Nalej mi — rozkazał i usiadł na skrzyni. Drewno aż jęknęło pod jego ciężarem.

— Służę...

Wychylił jednym tchem.

— Sikacz — ocenił.

— Wiem, muszę sprowadzić wino z własnych winnic — zażartowałem.

— Odwiedź mnie kiedyś, inkwizytorze. Pokażę ci, jak pije i co pije stara szlachta.

— Trzymam waszą dostojność za słowo.

— Też walczyłem pod Schengen — powiedział. Szturchnął mnie przyjacielsko pięścią w brodę. — Po waszej stronie.

Nie przepadam, gdy dotykają mnie obcy ludzie, zwłaszcza w tak pozbawiony szacunku sposób, ale tym razem byłem za bardzo zdumiony, by okazać niezadowolenie. Zakrztusiłem się.

— Nie ja jeden — dodał.

— Drugiego dnia... — zacząłem.

— Drugiego dnia uderzyłem na wasze tyły — przyznał. — Przekonano mnie, że cesarz tego pragnie. Takie życie...

— Ha — odparłem, bo poza tym słowem niewiele więcej przychodziło mi na myśl.

Kappenburg pogłaskał się po bujnych bokobrodach.

— Smutna sprawa — podsumował. — Bogu dziękować, wszystko dobrze się skończyło.

Zapewne miał rację, ponieważ nie brał pod uwagę kilku tysięcy skazańców, których zwłoki wisiały na okolicznych drzewach, póki nie zgniły lub nie zostały doszczętnie objedzone przez ptaki. Nie wątpiłem jednak, że poświęcenie Kappenburga zostało należycie docenione. Może właśnie stąd miał te winnice, którymi mógł się pochwalić.

— Nalej jeszcze — rozkazał ponownie, a ja usłuchałem.

— Paskudny sikacz — stwierdził, wychyliwszy do dna.

— Bóg mnie obdarzył mniej wytrawnym podniebieniem od waszej dostojności.

— Coś się szykuje — powiedział, obniżając głos. Zabrzmiało to jak mruczenie rozespanego niedźwiedzia.

— Tak, wasza dostojność?

— Coś niedobrego.

— Bracia Verona.

— Żeby tylko oni.

— Oskarżą mnie o niekompetencję? Parsknął śmiechem.

— Oskarżą cię o czary, głupcze! Postanowiłem pominąć inwektywę milczeniem, zwłaszcza że być może nie do końca była inwektywą.

— Jestem inkwizytorem.

— A co to zmienia?

— Bardzo wiele, panie. Nie podlegam jurysdykcji...

— Zapomnij o prawniczym bełkocie — przerwał mi. — Wiem, że szykują przeciwko tobie akt oskarżenia.

Jasne, że troszczyłem się o własną skórę. Lecz zdawałem też sobie sprawę, iż jestem człowiekiem zbyt mało znaczącym, by stać się ofiarą knowań możnych tego świata. Jeśli ktoś chciał uderzyć we mnie, tak naprawdę chciał uderzyć znacznie wyżej.

— Wezmą cię na badania — rzekł Kappenburg.

— Nie wolno im!

Nalałem sobie pełny kubek, potem poczęstowałem również mego gościa.

— Raczcie wybaczyć... — przeprosiłem za niegrzeczne zachowanie.

— Nie wolno, nie wolno — powtórzył. — Na katowskim stole zapewne przedstawisz im swój punkt widzenia na kwestie legislacyjne.

— Bardzo zabawne.

— Musisz się bronić — powiedział. — Są ludzie, którzy ci pomogą, ale nie teraz i nie tutaj. Wracaj do Hezu.

— Zdajecie sobie sprawę, panie, że ucieczka może zostać uznana za przyznanie się do winy? Najjaśniejszy Cesarz wyraźnie zabronił mi opuszczać twierdzę. I wyjawcie, z łaski swojej, czemuż to wielki pan troszczy się o zdrowie oraz życie inkwizytora? Bo nie uwierzę w wyrzuty sumienia po Schengen.

— No i słusznie — zgodził się. — Słyszałem o tobie przedtem, Madderdin, i słyszałem, że jesteś przyjacielem przyjaciół. Niektórzy z was, inkwizytorów, mają zasady i prawa, których ściśle przestrzegacie. Jak myślisz, czy chcemy zastąpić oswojone psy hordą wściekłych wilków?

— Nie do końca jestem oswojony — mruknąłem.

— Wiesz, co mam na myśli. Wiesz, że nie było żadnych czarów, a popełniono tylko zwykłe idiotyczne błędy, które mogą się przydarzyć i przydarzają na każdej wojnie. Nie chcę, by przesłuchiwano moich ludzi, nie chcę, by wmawiano im, że widzieli demony i zostali opętani czarną magią. Nie chcę wreszcie, by zaczęto ich palić. Bóg ukarał nas za nadmierną pewność siebie. Ot i tyle...

— Trudno się nie zgodzić z waszą dostojnością. Jeśli wolno spytać: wasza dostojność brał udział w szarży?

Pokiwał głową.

— A co miałem robić? — zapytał z wyraźną wściekłością w głosie, lecz ta wściekłość nie była skierowana przeciwko mnie. — Zostać z tyłu, by potem obdarzono mnie kądzielą albo zajęczą skórką? Nie byłeś nigdy w szarży, Madderdin. Rżenie koni, krzyki, łopoczące sztandary. Wystarczy, że jeden, dwóch, trzech wyrwie do przodu... Reszta idzie za nimi. — Przymknął oczy, jakby przypominał sobie, co zdarzyło się w czasie bitwy.

— Nie wierzycie więc w czary, panie?

— Oczywiście, że wierzę. — Przeżegnał się zamaszyście. — Jakże można nie wierzyć? Ale nie zamierzam szukać czarów tam, gdzie zwycięża ludzka zapalczywość.

Nie dało się ukryć, że Kappenburg mimo przerażającego wyglądu wilkołaka-ludożercy był człowiekiem obdarzonym giętszym umysłem, niż mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka.

— Nie można ot tak wziąć na badania inkwizytora. — wróciłem do poprzedniej myśli, gdyż tym akurat tematem byłem żywotnie zainteresowany. — Zwłaszcza kiedy samemu nie jest się inkwizytorem. Dziękuję wam za troskę, panie, lecz nie sądzę, by na razie coś mi groziło.

— Madderdin, ty idioto! — tym razem stuknął mnie w pierś wyciągniętym palcem. Silny był, trzeba przyznać, bo z trudem powstrzymałem grymas bólu. — Oni najpierw wezmą cię na badania, potem poszukają wytłumaczeń. Nie widzisz, że wszystko się wali? Zasady, porządek, reguły... To jest wojna, człowieku! A przepisami, ustawami i paragrafami możesz sobie teraz dupę podetrzeć!

— Bez prawa jesteśmy sforą zagryzających się nawzajem drapieżników — zacytowałem zdanie, które niegdyś usłyszałem.

— Bardzo celna uwaga! — Nawet nie wyczułem ironii w jego głosie*. —* Nalej no tych szczyn. — Spojrzał w stronę gąsiorka, potem znowu obrócił wzrok na mnie. — Tak więc drapieżniki zeżrą cię, Madderdin, a potem być może stwierdzą: „Na gwoździe i ciernie! Popełniliśmy proceduralny błąd". Przynajmniej będziesz miał pośmiertną satysfakcję.

— Czego wy właściwie ode mnie chcecie? — zapytałem zmęczonym tonem. — Chcecie mi powiedzieć, że tkwię po szyję w gównie? Sam o tym wiem. Chcecie mi wyjawić, jak z tego gówna wyleźć? No to pilnie was słucham...

— A gdzie wasz przyjaciel komediant? — Kappenburg zmienił temat.

— Pewnie pije albo bałamuci dziewki... Jak to on.

Uderzył mnie w policzek. Mocno. Tak szybko i niespodziewanie, że nie zdążyłem się zasłonić. W pierwszym odruchu chciałem skoczyć do niego i nauczyć, że nie bije się bezkarnie inkwizytorów, ale zimna krew wzięła górę.

— Jeśli będziecie chcieli mnie dźgnąć sztyletem, to nie krępujcie się, panie — poprosiłem zgryźliwie.

Roześmiał się, obnażając równe i białe łopaty zębów.

— To po to, żebyś się ocknął, Madderdin. Twój druh nie pije ani nie chędoży dziewek, tylko wyznaje twoje winy przed ojcem Veroną. Twoje — powtórzył, bym przypadkiem nie miał wrażenia, że się przejęzyczył.

— To... rozsądne — odrzekłem, zdając sobie sprawę z faktu, że szlachcic być może ma rację.

— Roz-sąd-ne — posmakował wypowiedzianą przeze mnie kwestię. — Taaak, zgadza się...

— Dobrze, panie Kappenburg. Przyszliście tu, poobrażaliście mnie i pobiliście. — Szlachcic zarżał przy ostatnim słowie. — Zagrajmy w otwarte karty: dlaczego Najjaśniejszy Pan na to pozwala? Jak sądzicie?

— A co, ma kochać waszego biskupa? Hockenstauffowie zawsze chcieli mieć wszystko w swoich rękach. Spierajcie się z papiestwem, on będzie was godził. Wyobrażacie sobie chyba, że oskarżenie kapitana straży biskupiej o herezję i czary potężnie nadszarpnie prestiż Officjum. Najjaśniejszy Pan nie pozwoli nikomu wygrać, ale ciebie zapewne poświęcą...

Pokiwałem głową, gdyż moje podejrzenia zdążały podobnym torem.

— Widzicie... — powiedział po chwili zastanowienia. — Pismo mówi: *I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi.* Lecz ich nie interesuje prawda. Mam więc wierzyć w magię i czary? Czekać, aż oskarżą moich żołnierzy, dworzan, a potem mnie samego, ponieważ te oskarżenia posłużą im do większej rozgrywki?

— Nie przyszliście tu tylko w swoim imieniu, prawda? Nie musiałem czekać na odpowiedź.

— Co ja mogę, panie Kappenburg? Co ja mogę? — zapytałem i sam wiedziałem, jak bardzo żałośnie brzmi to pytanie.

— Jesteście przewidywalni, Madderdin. Kierujecie się prawem i przepisami. Tworzycie porządek, jaki by on nie był, ale porządek. A obawiam się, że wasi przeciwnicy pragną jedynie chaosu.

— Powtórzę pytanie: co ja mogę, panie Kappenburg? Pochylił się*.* Nasze twarze znalazły się tak blisko, iż gdybym chciał, mógłbym go szarpnąć zębami za bokobrody.

— Napisz list. Niech biskup przyśle inkwizytorów. To twoja jedyna nadzieja.

— Proszę go o to cały czas — odpowiedziałem. — Nic z tego nie będzie.

Mimo całego dramatyzmu sytuacji bawił mnie fakt, że szlachetnie urodzony pan uważa przybycie inkwizytorów za ratunek z opresji. Tyle że ja wiedziałem, iż Jego Ekscelencja nie wmiesza się w tę awanturę. Chociaż zważywszy na słowa Kappenburga, zapewne powinien. Musiałem poradzić sobie sam. Jak zwykle.

— Zapomnijcie o biskupie — rzekłem. — Pomyślcie lepiej, co my, teraz i tutaj, możemy uczynić?

Zastukał palcami w wieko skrzyni. Zabawne, dopiero teraz spostrzegłem, że owłosione miał nawet palce. Gdyby urodził się w chłopskiej rodzinie, to albo rodzice wyrzuciliby go do lasu, albo sąsiedzi zatłukli kijami. Jednak płynęły jakieś pożytki z bycia szlachetnie urodzonym...

Nagle pomyślałem, że jest przecież ktoś, kto może mi pomóc. Enya, kochanka cesarza, służąca Wewnętrznemu Kręgowi Inkwizytorium. Na pewno miała wiele sposobów, by zawiadomić kogo trzeba o kłopotach, jakie mają miejsce w Habichtbergu. Odwoływanie się do potęgi Kręgu nie należało do bezpiecznych zadań, ale wolałem to niż rozgrywkę z legatem oraz jego bratem. Tylko, niestety, nie miałem sposobu, by dotrzeć do pięknej zabójczyni, a poza tym w zaistniałej sytuacji taka próba mogłaby zaszkodzić zarówno jej, jak i mnie.

— Anna, księżniczka z Trebizondu, znacie ją, nieprawdaż? — spytałem.

— Kto nie zna nałożnicy cesarza? Ba, wielu chciałoby ją poznać bliżej...

— Przekażcie jej wiadomość — poprosiłem. — Niech raczy się ze mną spotkać...

— A co ci to da? Jeśli sądzisz, że...

— Przekażcie tylko wiadomość — powtórzyłem z naciskiem w głosie. — Nic więcej.

Pokręcił głową i wstał ze skrzyni.

— Skoro tego właśnie chcesz. Obrócił się jeszcze do mnie od progu.

— Kiedy patrzę na to wszystko — pokręcił głową gestem, który wydał mi się bezradny — jakby na Cesarstwo spadł zły los... Tfu, tfu, na psa urok! — Splunął przez ramię.

Potem wyszedł i nie pofatygował się nawet, by skinąć mi głową na pożegnanie.

Zły los? Nie chciałem nawet o tym myśleć Teraz ciekaw byłem jednego: czy Kappenburg słusznie podejrzewał Rittera? Sądziłem, że najprawdopodobniej słusznie, gdyż wiara w ludzka lojalność oraz odwagę nie była w moim wypadku szczególnie rozbudzona. Zwłaszcza gdy chodziło o człowieka pokroju Heinza Rittera. Ufałem mu na tyle, by wiedzieć, że nie wyda mnie z własnej woli, lecz nie dałbym złamanego grosza, iż nie złoży obszernych zeznań, kiedy tylko zostanie do tego zmuszony. Zresztą bardzo słusznie. Po co miał bezsensownie cierpieć, skoro wspomagani przez kata sędziowie śledczy i tak wyciągnęliby od niego wszystko, co chcieli? Jeżeli oskarżenia Kappenburga były słuszne, to zapewne Ritter nie wróci ani dzisiejszej, ani następnej nocy do naszej komnatki. Chociaż... z drugiej strony legat i jego brat mogli postąpić zupełnie inaczej. Heinz powróci do mnie i szczerze przyzna, że był przesłuchiwany. Przyzna właśnie po to, by nie budzić podejrzeń, gdyż w końcu na zamku przesłuchano już dziesiątki ludzi i w samym śledztwie nie było nic dziwnego. Tym bardziej nic dziwnego nie było w przesłuchaniu człowieka, który po pierwsze, widział szarżę z cesarskiego wzgórza, a po drugie, jako artysta obdarzony był większym od przeciętnego zmysłem obserwacji.

Zastanawiałem się, ile czasu dzieli mnie od aresztowania. Równie dobrze mógł to być dzień, tydzień albo kilka tygodni. Wszystko zależało od tego, jak bardzo zdeterminowani są bracia Verona i jak silnym dysponują poparciem. Oczywiście człowiek dobroduszny oraz wierzący w jasne strony ludzkiej natury ufałby, że Najjaśniejszy Pan nie zapomni, iż oddałem mu przysługę, pomagając uratować życie. Ja na szczęście nie byłem ani dobroduszny, ani nie wierzyłem w jasne strony ludzkiej natury. A to zdrowe podejście do świata i bliźnich mogło mi tylko zaoszczędzić rozczarowań. Gdyż prędzej czy później zdradzi nas każdy, a jedyne, co możemy osiągnąć, to przeciągnąć w czasie termin zdrady lub ją uprzedzić. Niestety, w tym konkretnym przypadku mogłem tylko czekać, aż ważni gracze przesuną na szachowych polach Pionek z wyrytym imieniem biednego Mordimera.

Ritter wrócił dopiero w nocy. Podchmielony, lecz nie pijany.

— Przesłuchiwali mnie, wyobrażacie sobie? — zawołał od progu.

A więc to tak, pomyślałem.

— Coś podobnego — mruknąłem.

— Ale co ja tam wiem... — Zwalił się na siennik obok mnie. — Napijemy się jeszcze?

— Czemu nie, Heinz? Opowiadajcie.

— Co tam do opowiadania? — Łyknął potężnie z flaszki, potem mi ją podał. Mówił, tak mi się przynajmniej wydawało, nadnaturalnie głośno. — Mgłę widzieliście? Skrzydła demonów widzieliście? Pajęczyna omotała końskie kopyta? I tak dalej, i tak dalej...

— No i?

— Co miałem robić? Powiedziałem, że nigdy nie będę się sprzeciwiał opinii naszego świętego Kościoła. — Zarechotał. — No pijcie, pijcie i idziemy spać.

Wychyliliśmy flaszę do dna.

— Dobrej nocy, panie Madderdin — rzekł tak głośno, jakbym leżał w drugim pokoju, a nie na tym samym sienniku.

— Spokojnych snów, Heinz — odparłem.

Kilka pacierzy później poczułem, jak Ritter przysuwa się do mnie. Jego oddech owiał mój policzek.

— Wydałem was — wyszeptał. — Powiedziałem wszystko, co tylko chcieli.

— Cóż takiego? — Przekręciłem się na bok i też mówiłem mu cicho do ucha, więc zapewne wyglądaliśmy w tej właśnie chwili jak złakniona bliskości para kochanków.

— Że jesteście czarownikiem, heretykiem, bluźniercą i sodomitą — wyjaśnił, a ja skrzywiłem się przy ostatnim słowie, chociaż w ciemnościach nikt tego nie mógł przecież dostrzec. — Że przeklinaliście nasz święty Kościół i miłościwego pana, że byliście szpiegiem palatyna... — Przełknął głośno ślinę. — Torturowali mnie...

— Czyżby?

— No, nie do końca — zaszeptał znowu po chwili. — Pokazali mi narzędzia i objaśnili ich działanie...

— Dobrze zrobiliście. — Skinąłem głową.

— Co takiego?! — Na pewno nie spodziewał się usłyszeć z moich ust tych słów.

— Dobrze zrobiliście — powtórzyłem. — Tak czy inaczej, wyciągnęliby z was wszystko, co chcieli, tyle że zapewne nie wyszlibyście już o własnych siłach z więzienia. Nie mogliście mi pomóc w żaden sposób. Wydając mnie, pomogliście chociaż samemu sobie. Gniewałbym się na was, gdybyście postąpili inaczej.

— Naprawdę, naprawdę? — Nie mógł uwierzyć własnym uszom. — Nie macie do mnie żalu? Nie pragniecie się zemścić?

— Panie Ritter — poklepałem go po ramieniu — zwariowaliście? Czy w mojej sytuacji cokolwiek by się zmieniło, gdybyście dali się storturować na śmierć? Pomyślcie chwilę. Bądźcie szczerzy i lojalni wobec nowej władzy. Może wtedy przetrwacie.

Heinz był jednak zacnym człowiekiem. Człowiek podły nigdy nie przyznałby się do tego, co zrobił. A przecież ryzykował. Po pierwsze, mój gniew, po drugie, że wydam przesłuchującym, iż ujawnił ich intrygę. Nie zachował się jak bohater, lecz bohaterów próżno szukać w naszych podłych czasach. Po znanych bohaterach pozostają grobowce lub kurhany, po nieznanych bohaterach szybko niknący krąg na powierzchni gnojówki lub dół wykopany w świeżej ziemi. Nie warto umierać za dół w świeżej ziemi... Święcie wierzyłem w słowa, które wypowiadałem przed obliczem Najjaśniejszego Pana. W słowa mówiące, iż „odważni nie żyją wiecznie, lecz tchórze nie żyją wcale". Tyle że czasami trzeba wybrać podłe życie, by jeszcze kiedyś, w przyszłości, zyskać szansę na bohaterską śmierć. I trzeba wiedzieć, kiedy jest się godnym podziwu bohaterem, a kiedy tylko żałosnym głupcem. Ritter znał różnicę.

I bardzo dobrze.

Kappenburg spisał się znakomicie. Następnego dnia po naszej rozmowie czekała na mnie wiadomość od Enyi, mówiąca, iż wieczorem zostanę przeprowadzony do jej komnat przez zaufaną służkę.

Zabójczyni czekała na mnie odziana tylko w długą, białą nocną koszulę. Miała rozpuszczone włosy i leżała na szerokim łożu z baldachimem. W dłoni trzymała szczerozłoty kielich wysadzany drogimi kamieniami.

— Witaj, mój inkwizytorze — rzekła serdecznie. — Cóż tak ważnego się wydarzyło, że poprosiłeś mnie o spotkanie? Dręczyła cię niedająca się ugasić żądza — pogłaskała się po piersiach z zalotnym uśmiechem — czy też inne sprawy?

— Niedługo to mnie nie da się ugasić, kiedy już mnie wsadzą na stos — powiedziałem.

Roześmiała się*.*

— Szukasz więc ratunku, nie przyjemności — odparła. — Szkoda, bo łatwiej byłoby o to drugie.

— Legat próbuje oskarżyć mnie o...

— Poczekaj — przerwała. — Jeszcze zdążymy porozmawiać. Na razie chodź tutaj.

Po pierwsze, nie odmawia się osobie, której los spoczywa w twoich rękach, po drugie, Enya była tak ładna, iż odmawiać jej byłoby grzechem. Przed oczami miałem obraz innej kobiety, lecz cóż szkodziło położyć się obok.

— Napij się, najdroższy...

Przechyliła kielich do ust, potem zbliżyła się do mnie. Spiłem trunek z jej warg. Już chwilę później poczułem, że coś jest nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

Kiedy się ocknąłem, mój wzrok padł na świecę stojącą u wezgłowia łoża. Enya przecież ją zapalała, teraz świeca skurczyła się do połowy. Musiałem więc stracić przytomność na całkiem długi czas.

— Co to za trucizna? — zapytałem, obracając wzrok na zabójczynię, która siedziała w fotelu z wysokim oparciem. Przykurczyła nogi, by chronić bose stopy przed zimnymi kamieniami posadzki, i przyglądała mi się uważnie.

— Nic, co byś znał lub umiał rozpoznać — odparła. — Chociaż wolałam się zabezpieczyć.

Mówiła, oczywiście, o sposobie podania mi trucizny. Bo kto się spodziewa, że otrzyma ją z ust kochanki? Sama musiała być na nią odporna. A może jad działał dopiero po chwili i samo wzięcie wina w usta, po czym szybkie pozbycie się go, nie było groźne? Tak czy inaczej, odpowiedź na to pytanie nie była w najmniejszej mierze istotna. Istotne stało się tylko jedno: dlaczego zabójczyni służąca Wewnętrznemu Kręgowi (który, jak zawsze sądziłem, był mi w pewnej mierze przychylny) postanowiła mnie pozbawić przytomności? Co wydarzyło się w czasie, gdy leżałem bez czucia i pamięci?

Poruszyłem się*.* Najpierw ostrożnie przesunąłem jedną nogę, potem podparłem się na łokciu. O dziwo, nic mnie nie bolało, więc trucizna nie pozostawiała widocznych śladów. Ośmieliłem się na więcej i oparłem na poduchach leżących u wezgłowia. Dopiero teraz zobaczyłem, co wydarzyło się w komnacie.

— Dlaczego? — spytałem, patrząc na zakrwawione ciało cesarza. Pchnięto go co najmniej trzykrotnie: w pierś i w szyję, a raz ostrze ześlizgnęło się po policzku i szczęce, pozostawiając czerwoną bruzdę.

Enya przyglądała mi się zimnym wzrokiem.

— Dlaczego? — powtórzyła. — Dlatego, że niesiemy ze sobą wiatr wielkich przemian, Mordimerze. A kto nie jest z nami, ten zostanie zdmuchnięty. — Chuchnęła na rozwartą dłoń.

Patrzyłem na poranioną twarz biednego Hockenstauffa i pomyślałem sobie, że był takim samym bezwartościowym pionkiem jak wasz uniżony sługa. Tyle że on sądził, iż jest graczem... Ritter powiedział: „Z szachownicy znikną wieże, skoczki oraz gońce. Zostaną pionki, którymi wszakże dużo prościej sterować". Nie przewidział jednego. Że z szachownicy zniknie również król. A ręką gracza miał od tej pory kierować Watykan.

Czy Najjaśniejszemu Panu pozwolono umrzeć w nieświadomości poniesionej klęski? Który cios padł jako pierwszy? W serce, w szyję, czy może ten niecelny, który rozharatał twarz? Jeśli nie umarł od razu, to co czuł, widząc, że ginie z ręki kobiety, w której się zakochał?

— Biedny, biedny skurwysyn — szepnąłem i to musiało wystarczyć cesarzowi za epitafium. Potem obróciłem wzrok na Enyę.

— Komu tak naprawdę służysz?

Wstała z fotela, skrzywiła się, kiedy bose stopy dotknęły posadzki, podeszła i przytuliła się do mnie.

— Jeśli cię to pocieszy, wiedz, że jest mi przykro. — Uniosła wzrok. — Bardzo przykro, Mordimerze. Nie z powodu tego tam — zrozumiałem, że ma na myśli cesarza — lecz z twojego powodu.

Pogłaskała mnie po policzku.

— Wszyscy cię wykorzystywali, biedny Mordimerze. Wszyscy tobą grali. Nie mogłeś przeżyć tej partii. Gdyby nie ja, znalazłby się kto inny. Chociaż... dano ci przecież wybór, czyż nie?

Zgodziłem się z nią. Dano mi wybór. Mogłem wbrew swym przekonaniom i wbrew swej wierze stanąć po stronie zwycięzców. Jednak czasem lepiej być zdradzonym, niż zdradzać samemu...

— Nie uda ci się. — Pokręciłem głową. — Marius i jego ludzie... Oni cię dopadną.

Powiedziałem tak, nie wiedząc, czy za całą intrygą nie stoi właśnie Wewnętrzny Krąg. Jednak nie miałem pojęcia, jaki mógł im przyświecać cel w zamordowaniu cesarza i zrzuceniu winy na jednego z inkwizytorów. Van Bohenwald był człowiekiem, któremu nie tylko zawdzięczałem życie, ale wierzyłem również, iż choć w działaniu kieruje się nieznanymi mi motywami, to motywy te są na wskroś zgodne z naszą wiarą.

— Marius będzie miał teraz większe kłopoty — zachichotała, jakby wizja van Bohenwalda trapionego kłopotami wydała jej się zabawna. Mimo niezwykłej powagi sytuacji nie mogłem nie dostrzec, jak uroczo wygląda, kiedy jest rozbawiona. I już wiedziałem, że zdradziła swych mocodawców.

— Co teraz? Zabijesz mnie?

— Na Miecz Pana, skąd ten szalony pomysł?! Inkwizytor, który zamordował cesarza, jest wszystkim potrzebny żywy. Twoi dwaj ludzie już siedzą w lochach, jutro zeznają, że parałeś się czarami i złorzeczyłeś Najjaśniejszemu Panu. Podejrzewam nawet, iż nie będzie trzeba ich bardzo do tego zmuszać. Może nie powinieneś wieszać ich towarzysza? To samo zeznał zresztą twój przyjaciel komediant, a pewnie znajdzie się jeszcze wielu innych świadków...

Milczałem długą chwilę, zastanawiając się nad wszelkimi konsekwencjami, jakie mogło spowodować podobne działanie.

— Wydasz wszystkich — obiecała. — Braci inkwizytorów i biskupa. Nie będzie już Świętego Officjum.

Mogła mieć rację. Czasem nawet upadek tak maleńkiego kamyczka jak wasz uniżony sługa może spowodować lawinę na wielkim stoku. Poza tym Inkwizytorium było potężne oraz bogate. A jego władza i bogactwo od dawna raziły już wiele oczu. Każdy pretekst był dobry, by rozprawić się ze znienawidzonym wrogiem. Co dopiero powiedzieć, kiedy w grę wchodziła klęska armii i śmierć samego cesarza...

— Jak rozpęta się piekło na ziemi, będziesz mogła sobie pogratulować — odezwałem się w końcu. — Będziesz mogła powiedzieć: tak, właśnie ja to uczyniłam.

— Liczę na podobny obrót spraw. — Uśmiechnęła się.

— Na gwoździe i ciernie! — nie wytrzymałem. — Co ci obiecano za zdradę?

— Wolność. — Miała teraz cichy, miękki i rozmarzony głos. — Dom nad brzegiem morza i przysięgę, że nikt o mnie nigdy nie będzie pamiętał.

— Jeśli myślisz, że ktokolwiek dotrzyma obietnic danych kurwie i zabójczyni, jesteś głupsza, niż myślałem. Poza tym... ja będę pamiętał — obiecałem.

Nie dała po sobie poznać, że słowa „kurwa" i „zabójczyni" w najmniejszym stopniu ją dotknęły.

— Ciebie już nie ma — w jej wypowiedzi wyczułem nutę nieudawanego smutku. — Chciałabym być z tobą — dodała po chwili. — Naprawdę...

— Skoro jednak zdarzyła się okazja, by mnie korzystnie sprzedać...

— Ano właśnie — westchnęła.

— Mam tylko jedną prośbę, Mordimerze — odezwała się po chwili. — Nie myśl o mnie zbyt wiele, kiedy nie będzie mnie już przy tobie.

Podniosłem się i spojrzałem jej prosto w oczy.

— Nie myślałem o tobie nawet wtedy, kiedy ze mną byłaś.

Och, wierzcie mi, mili moi: zabolało! Twarz Enyi pozostała niby taka sama, lecz zauważyłem drgnięcie obojczyka, tak jakby przez jej ciało przeszedł nagły dreszcz.

— Tak czy inaczej — wzruszyła ramionami — żegnaj. Potem zaczęła głośno i rozpaczliwie wzywać pomocy.

## Epilog

Uciekłem. Mogłem próbować ją zabić. Lecz miałem w sobie tak wiele pokory, by wierzyć, iż Enya bez trudu poradziłaby sobie z inkwizytorem Jego Ekscelencji. W końcu była zabójczynią Wewnętrznego Kręgu, szkoloną w sztuce mordowania. Co w takiej konfrontacji oferować mogłem ja, którego edukowano w sztuce rozumienia i miłowania bliźniego i który do przemocy odwoływał się jedynie w wyjątkowych sytuacjach? A nawet gdyby mi się udało? Jak wytłumaczyłbym strażom czy sądowi (o ile do sądu w ogóle by doszło, w co śmiałem wątpić), że z zakrwawionym ostrzem stoję nad martwymi ciałami cesarza i jego ukochanej księżniczki? Uciekłem więc i biegłem zamkowymi korytarzami, nie wiedząc, co czynić. Byłem niczym zając, przeciwko któremu sprzymierzyły się charty, wilki i lisy, który ucieka, jedynie by znaleźć chwilę wytchnienia, nie by snuć plany uniknięcia zguby. Nigdy, mili moi, nie chcielibyście znaleźć się w podobnej sytuacji. Czując, że świat, z którym potrafiliście sobie do tej pory lepiej czy gorzej radzić, nagle zamienia się w trzęsawisko.

Wpadłem na krótkie, kręcone schody, zbiegłem po nich i wtem dostrzegłem, iż zabrnąłem w ślepy zaułek. Zakląłem. Długo i szpetnie. Już miałem zawrócić, kiedy go zobaczyłem. Stał w mrocznym kącie korytarza. Chuderlawy, przygarbiony człowieczek, odziany w szarą kapotę. Widziałem go nieraz, zarówno w takiej postaci, jak i w zupełnie innej. Widziałem go migoczącego oślepiającą bielą i z rozpostartymi skrzydłami. Widziałem go karzącego grzeszników i ratującego ich życie. Widziałem, jak jego dotyk palił me ciało do kości, i widziałem, jak ten sam dotyk leczył zadane rany. Kiedyś bałem się go bardziej niż samej śmierci, teraz strach wymieszany był w równych proporcjach z szacunkiem i miłością. A może nawet strachu było coraz mniej? W końcu kiedyś walczył w mojej obronie z Upadłym Aniołem, a jeszcze potem rozmawialiśmy o czymś... Nie do końca pamiętałem o czym, wiedziałem jedynie, że było to bardzo smutne i bardzo ważne. Tylko czasami, w snach, wydawało mi się, że pamiętam słowa tej rozmowy, lecz zaraz po obudzeniu wszystkie one znikały niczym łzy na deszczu.

— Mój panie. — Przyklęknąłem na jedno kolano, starając się uspokoić oddech.

— Wstań, Mordimerze — rozkazał. — Czas się dopełnił — rzekł niemal ze smutkiem. — Nigdy i nic nie będzie już takie, jak było kiedyś...

Nie odzywałem się, bo niby co miałem powiedzieć? Z oddali słyszałem głośne i wściekłe nawoływania strażników. Mój Anioł Stróż wyciągnął rękę.

— Ujmij moją dłoń, Mordimerze — nakazał. Bałem się tego dotyku, lecz wiedziałem, że nie mam innego wyjścia, jak posłuchać rozkazu. Palce Anioła były mocne i ciepłe. Poczułem ulgę na myśl, że tym razem nie wypalą mi śladu niczym po rozgrzanym do białości żelazie.

— Spójrz mi w oczy.

O nie! — pomyślałem. Nie chcę utonąć w labiryntach szaleństwa, które znajdują się w ich głębi!

— Spójrz mi w oczy — powtórzył, a w jego głosie było chyba coś na kształt prośby.

Podniosłem wzrok. Szaroniebieskie, intensywne wejrzenie. Nie znalazłem w nim na szczęście niczego, co zapamiętałem z poprzednich spotkań.

— Nie skrzywdzę cię — obiecał. — Choć nie do końca wiem, co jest krzywdą, a co łaską.

— Ufam ci, mój panie — odparłem i czułem, że serce bije mi jak u schwytanego królika.

— Opowiedz im o wszystkim — rozkazał Anioł. — Przekaż, że czas się dopełnił.

Nie wiedziałem, o kim mówi, lecz nie zdążyłem zapytać. Nagle straciłem przytomność. To nie było jak omdlenie, kiedy na moment przed upadkiem w ciemność wiesz, że właśnie mdlejesz. To było tak, jakby ktoś błyskawicznie spuścił przed moimi oczami czarną kurtynę. Nie pamiętałem nic z tego, co wydarzyło się później. Dopóki nie ujrzałem nad sobą opata klasztoru Amszilas. Miał zmęczoną twarz, lecz jego oczy zdawały się jaśnieć, podobne niebu w letnie bezchmurne południe.

— Co tu robisz, ojcze? — spytałem słabym głosem.

— Może powinienem spytać o to samo. — Uśmiechnął się łagodnie. — Co sprowadza mistrza Inkwizytorium do klasztoru Amszilas?

— Gdzie? — odezwałem się nieprzytomnie. — Przecież jestem... — Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że znajduję się w klasztornej celi. — Jestem... byłem... na zamku Habichtberg.

Ktoś stojący za plecami opata parsknął ze zniecierpliwieniem.

— To magia papistów! — usłyszałem pełen złości głos. — To szpieg!

— Mordimer nie jest szpiegiem papistów — odparł spokojnie opat. — Prawda, mój synu?

— Oczywiście, że nie. — Przełknąłem ślinę. — Przecież wiesz, ojcze.

— Wiem. — Skinął głową. — Niemniej twoje przybycie do klasztoru było co najmniej zdumiewające. Wylądowałeś z głośnym łomotem — usłyszałem cień rozbawienia w jego tonie — na posadzce w refektarzu, w czasie gdy właśnie kończyliśmy dziękować Panu za dary, którymi nas obdarza.

— Nie było go ze mną? — spytałem, kiedy tylko przetrawiłem słowa opata.

— Kogo, moje dziecko?

— Anioła — odszepnąłem. — Nie było go, prawda?

— Na badania z nim! — znowu usłyszałem ten sam niecierpliwy głos. — Wtedy wszystkiego się dowiemy.

Opat odwrócił się, dostrzegłem, że jego twarz stężała.

— Nie bierzemy na tortury przyjaciół klasztoru — rzekł twardo i powrócił spojrzeniem w moją stronę. — A przynajmniej niezbyt często — dodał i te akurat słowa nie do końca mnie uspokoiły. — Opowiedz nam wszystko, co wiesz, i o wszystkim, co pamiętasz.

Skoro żądał, więc opowiedziałem. Nie starałem się panować nad językiem i ugłaskiwać lub przemilczać faktów, tak jak czyniłem w raportach dla biskupa Hez-hezronu. Opowiadałem z pełną szczerością i bez drobnych przemilczeń czy przeinaczeń. Miałem nadzieję, że mi uwierzy, chociaż w miarę jak snułem opowieść, dla mnie samego brzmiała ona coraz mniej wiarygodnie. Może jestem szalony? — zadałem sobie w pewnym momencie pytanie. Może wszystko, co się dzieje, rodzi się jedynie w moim rozgorączkowanym umyśle? Skończyłem i westchnąłem.

— Bóg mi świadkiem, że wyjawiłem wszystko, co wiem, i wszystko, o czym pamiętam. Kazał wam to powtórzyć i kazał wam również powiedzieć, że czas się dopełnił.

— Czas się dopełnił — powtórzył moje słowa tak nieprzychylny mi wcześniej mnich, lecz teraz w jego głosie słyszałem tylko strach i smutek.

— A więc jesteśmy zgubieni — stwierdził spokojnie opat. — Tak się kiedyś musiało stać. Nasz los przepowiedziano wiele lat przed tym, nim ktokolwiek z nas się narodził. — Westchnął ciężko.

— Macie przecież klasztor, Krąg, szpiegów! Macie siłę! — zawołałem, nie zważając już na tajemnicę okrywającą Wewnętrzny Krąg Inkwizytorium.

— Jak długo możemy się opierać zjednoczonym potęgom cesarstwa i papiestwa? — spytał. — Prędzej czy później prześlą nam nakaz papieski zlecający bezwzględne posłuszeństwo. A kiedy go nie usłuchamy, wyślą armię. Bo nie będzie już Inkwizytorium, które obroni nas powagą swego imienia. Bo tam, w Rzymie, zalęgła się Wielka Nierządnica, tam *z morza wychodzi Bestia, mająca dziesięć rogów i siedem głów, a na rogach jej dziesięć diamentów, a na jej głowach imiona bluźniercze.*

— Przeklęci papiści! — warknął jeden z mnichów. — Dlaczego papież to robi? — nagle w jego głosie obok złości zabrzmiały również smutek i niezrozumienie.

— *Wojnę z Bogiem rozpoczyna: wygra Bóg, gdy wybije godzina —* odparł opat. — Nie jesteśmy jeszcze gotowi do wojny z otwartą przyłbicą. Teraz te mury ulegną wrogom. Nie pokonamy tysięcznych armii, nie rozbijemy dział i oblężniczych machin. Ulegniemy... A może raczej powiedzmy inaczej: uleglibyśmy. Jak kwiat pod ostrzem żniwiarza. Tyle tylko, że jutro i pojutrze świat będzie miał więcej kłopotów niż zdobycie Amszilas. Amszilas, którego nigdy i nikomu zdobyć nie wolno!

Podniósł się z miejsca.

— Już dopełnił się czas, bracie Teodozjuszu — obwieścił smutno. — Czas uwolnić z lochów Wysłanników. Czas wypuścić Czarny Wiatr. Nadchodzi Oczyszczenie.

Mnich, do którego zwracał się opat, wystąpił krok naprzód. Miał niemal białą twarz i byłem pewien, że nie była to wrodzona bladość.

— Ojcze... — głos mu drżał. — Czy ojciec jest... — Tak, jestem pewien — odparł opat. — Zaczynaj w imię Boże!

Nie miałem pojęcia, o co im chodzi, lecz byłem święcie przekonany, że oto w obecności waszego uniżonego sługi podejmowane są decyzje niezwykłej wagi. A pomyśleć, że zawsze pragnąłem tylko życia w spokojnym cieniu!

— Ojcze — w głosie brata Teodozjusza słyszałem niemal błaganie — na Boga żywego...

— O tak, bracie, właśnie tak — przerwał mu opat. — Na Boga żywego, czyń, co ci przykazano! Na Bo-ga ży-we-go — powtórzył, wyraźnie akcentując każdą sylabę.

— Czy to naprawdę mam być ja, mój ojcze? — Mnich był bliski płaczu.

Opat pogłaskał się po brodzie i westchnął.

— Od zawsze wiedziałeś, jakie czeka cię zadanie. I akceptowałeś przeznaczony ci los... W nadziei, że chwila wyboru nigdy nie nadejdzie. Ale nadeszła. Za twojego życia i za mojego życia, nad czym szczerze boleję, gdyż wolałbym, by przed podobną próbą stanęły przyszłe pokolenia, nie my. Czy przyjmiesz krzyż na swe barki, czy też wyprzesz się Pana? Przyjmiesz trzydzieści srebrników spokojnego sumienia?

Przez moment stali naprzeciw siebie. Opat, spoglądający ze smutkiem w oczach wprost na Teodozjusza i Teodozjusz, wpatrzony w zniszczone czubki własnych sandałów.

— Wskaż więc człowieka, który ma to uczynić w twoim zastępstwie, i weź na swoje ramiona jego grzech, jeśli nie potrafisz wzięć własnego — dodał opat.

Przez moment ścisnął mnie za gardło strach, że przerażone spojrzenie Teodozjusza obróci się w moją stronę i mnich krzyknie: „On, niech on wypełni wolę Pana". Ale zaraz potem *się* uspokoiłem. To sprawa klasztoru. Byłem jedynie przypadkowym świadkiem rozmowy, której treści nie rozumiałem. Wtem przerażone spojrzenie Teodozjusza obróciło się w moją stronę i mnich krzyknął:

— On, niech on wypełni wolę Pana!

Moje serce zastygło. Lecz opat tylko się roześmiał. Smutny był to śmiech.

— Musisz wskazać jednego z nas — powiedział. — Albo — jego głos stwardniał — zrób wreszcie to, do czego cię przygotowywano przez wszystkie lata! Bracie — postąpił krok w stronę Teodozjusza — czyń, co przykazano, lub wynoś się z mojego klasztoru!

Mnich cofnął się o krok, potem o następny i jeszcze następny. Rymnął na kolana z łomotem i szlochem rodzącym się w głębi serca.

— Nie podołam, ojcze! Jak mi Bóg miły, nie podołam! Nie wezmę tego krzyża na me barki!

Opat skinął na dwóch braci służebnych.

— Wyrzućcie go za bramy — rozkazał. — Zedrzyjcie habit, którego nie jest godzien nosić.

Teodozjusz nawet się nie opierał. Wywleczono go, głośno szlochającego, rozpaczającego i błagającego o wybaczenie. Opat spojrzał na jednego z mnichów stojących przed nami.

— A jaka jest twoja decyzja, bracie Zenobiuszu?

Korpulentny mężczyzna z siwym wianuszkiem włosów okalających czerwoną łysinę wystąpił przed szereg.

— Od przeszło trzydziestu lat znam swą powinność — powiedział twardo. — Nie cofnę się w chwili próby.

— Czy Teodozjusz nauczył cię wszystkiego, co wypada wiedzieć?

— Tak, ojcze. Czarny Wiatr nie ma dla mnie tajemnic. Opat pokiwał głową.

— Czyń więc, co postanowiono — rozkazał. Zobaczyłem, jak starą, smutną i zmęczoną ma twarz.

Zenobiusz pochylił głowę, po czym odwrócił się i oddalił pospiesznym krokiem.

— Zejdźmy na wieczerzę, mili bracia. — Opat rozłożył szeroko ramiona. — Zaprośmy na nią wszystkich, którzy przebywają w klasztorze. Braci służebnych, gości... Niech kto może weseli się dziś przy naszym stole, gdyż od jutra czeka nas świat, którego ani ja, ani wy nigdy żeśmy nie pragnęli. Wyciągnijcie z piwnic najlepsze wina! Niech pysznią się na naszym stole kruche ptactwo, soczysta wieprzowina, delikatne raki, wonna jagnięcina!

— Dzisiaj post — ośmielił się zauważyć jeden z mnichów.

— Pościć będziemy od jutra — zdecydował opat, — I to nie postem brzucha, lecz postem serca. Dzisiaj Pan nam wybaczy...

W refektarzu zasiedli wszyscy mnisi, również ci bracia mniejsi, którzy zwykle jadali w sali przy kuchni. Obecnych było też kilku gości klasztoru. Zauważyłem otyłego szlachcica ubranego w czerwień oraz kilku niepozornych mężczyzn przyodzianych w szare kubraki. Podejrzewałem, iż są to szpiedzy Amszilas, zapewne przebywający tu, by złożyć raporty lub otrzymać następne misje. Opat zaszczycił mnie miejscem tuż przy sobie.

Kiedy odmówiliśmy wszyscy długą modlitwę, powiedział:

— Jedzcie i pijcie, drogie dzieci! Weselcie się, a ja w imieniu naszego Pana odpuszczam wam niedochowanie postu.

Kucharze przygotowali znamienite potrawy, z klasztornych piwnic wytoczono wina najprzedniejszej jakości. A jednak, choć nie wszyscy przecież wiedzieli, że wydarzyło się coś złego, to przeczucie nadchodzących chwil zmąciło radość. Nie rozmawiano głośno, zaledwie szeptano, jakby podniesienie głosu było czymś niewłaściwym. Niektóre z półmisków wynoszono do kuchni niemal nietknięte, z pucharów i kielichów nie ubywało wina.

— Smutna ta uczta — westchnął opat, wodząc wzrokiem po biesiadnikach zasiadających w refektarzu.

Trudno było nie zgodzić się z tym stwierdzeniem.

— Da Bóg, doczekamy weselszych — odpowiedziałem.

Nagle przy drugim końcu stołu dostrzegłem postać, która wydała mi się znajoma. Poczekałem, aż obróci się w moją stronę, i teraz nie miałem już wątpliwości.

— Ojcze... — Odwróciłem się w kierunku opata.

— Tak, tak — powiedział, wiedząc, na kogo patrzyłem. — Uwierz mi jednak, że ona teraz jest godna miłości Pana. A jej wiedza — cmoknął z podziwem — przekraczała nasze najśmielsze wyobrażenia.

— A jej ukochany? A margrabia?

— Nie był nam potrzebny.

— Zabiliście go?

Obrócił się w moją stronę i po raz pierwszy ujrzałem złość na jego twarzy.

— Zadajesz za dużo pytań, chłopcze. Wytrzymałem jego spojrzenie.

— Wybacz, ojcze — odezwałem się po chwili. — Pozwól, iż przejdę do innej kwestii. Wiem, znowu wiem, iż nie powinienem pytać... Lecz sam pojmujesz, że istnieje człowiek, któremu jestem winien życie. Zdradzono go, prawda?

— Rozumiem, jaki jest właściwy sens twojego pytania, Mordimerze — odrzekł po chwili. — Chciałbyś wiedzieć, czy ten, którego znasz pod mianem Marasa van Bohenvalda, nie zdradził przypadkiem ciebie. Mam rację?

— A zdradził?

— Zawsze służył wiernie Panu. Tak jak i ty służysz Mu z pełnym przekonaniem, że dokonałeś słusznego wyboru.

— Jednak...

— Nie ma żadnego „jednak" — przerwał mi. — Wszyscy wypełniamy tylko Boży Plan. Nawet nieszczęsna kobieta, której wydaje się, że zdradziła nas wszystkich.

— Enya? A zdradziła?

— Zdradziła myślą, mową i uczynkiem — odparł. — Zdradziła z pełną szczerością i pełną świadomością zdrady. Lecz czyż nawet Judasz nie odegrał powierzonej mu roli?

— Nie rozumiem — powiedziałem.

— I nikt tego od ciebie nie wymaga. Bohaterowie nie są od tego, by rozumieć świat, na którym żyją. Bohaterowie są od tego, by z nim walczyć — rzekł, a potem uśmiechnął się. — Spróbuj udka. — Wskazał na kuropatwę. — Pieczone w miodzie i cynamonie. Znakomite.

Rano otrzymałem wezwanie, by stawić się w celi opata. Przyszedł po mnie brat Zenobiusz. Poprzedniego dnia sprawiał wrażenie wesołego mężczyzny, lubiącego dobrze zjeść i wypić, ot, przykład radosnego mnicha z figlarnych sztychów. Teraz był zaledwie cieniem samego siebie. Miał martwe, szkliste oczy i zwieszone ku dołowi kąciki ust. Poprowadził mnie bez słowa do celi opata. Było tam tylko kamienne łoże bez materaca, poduszki ani nawet koca oraz dwa niskie zydle. Wraz z Zenobiuszem przycupnęliśmy właśnie na nich. Przełożony klasztoru miał tak bladą twarz, jakby nie spał całą noc.

— Człowiek w moim wieku często nie wie, czy jego sny są zesłanymi wizjami, czy też starczymi zwidami, rodzącymi się w umyśle zawieszonym pomiędzy snem a czuwaniem — powiedział i westchnął.

Nie odzywałem się, czekając, jakie będą jego dalsze słowa, chociaż, szczerze mówiąc, obawiałem się ich.

— Ośmieliłem się uznać, że sen, który miałem zeszłej nocy, nie był tylko bezsensownym koszmarem. Być może popełniam błąd... — Znowu westchnął, tym razem jeszcze głębiej niż poprzednio.

Nadal milczałem.

— Musisz stąd odejść, Mordimerze — zawyrokował. — Ścieżka twojego życia prowadzi dalej niż do Amszilas. Lecz przedtem brat Zenobiusz sprawi, iż będziesz mógł przetrwać w świecie, który nas czeka.

— Oczywiście, ojcze. Wykonam wszystko jak należy — odezwał się mnich. Jego głos był tak ponury, że zdumiewająco świetnie pasował do wyglądu. — Choć wiesz zapewne, że nie mogę niczego zagwarantować...

Nadal nic nie rozumiałem, lecz do tego uczucia zdążyłem się już przyzwyczaić. Tak więc przytaknąłem, chociaż na końcu języka miałem pytanie: „Skoro wyganiasz mnie z Amszilas, co mam ze sobą zrobić?". Gdyż nie da się ukryć, iż czarna przyszłość rysowała się przed człowiekiem oskarżonym o zamordowanie cesarza oraz uprawianie czarów i hołdowanie herezji. Zresztą „czarna" to być może za mało powiedziane. Nie znajdowałem właściwych kolorów na trafne odmalowanie mej przyszłości.

— Niestety, wiem — rzekł opat, odpowiadając Zenobiuszowi. Potem spojrzał na mnie. — Zaopatrzymy cię na drogę i pobłogosławimy. Reszta należy do ciebie.

— Dziękuję, ojcze — odparłem tylko, bo co innego miałem powiedzieć.

Pokiwał głową.

— Przedtem jednak dostąpisz zaszczytu poznania tajemnicy, którą zna niewielu z żyjących na tym padole łez. Którą niewielu poznało przed tobą i niewielu pozna, kiedy ciebie już nie będzie. Ponieważ to, że masz ujrzeć tajemnicę Amszilas, również zawarte było w mej wizji Zrobiło mi się zimno. Opuszczenie bezpiecznego Amszilas i wyruszenie w drogę, na której będę ścigany niczym wściekły pies (przez resztę zapewne krótkiego życia), było ciosem. Fakt, iż dodatkowo zostanę obciążony wiedzą o klasztornych sekretach, było ciosem podwójnym, gdyż pozwalało podejrzewać, że moje życie będzie nie tylko krótkie, lecz zakończy się w nad wyraz bolesny sposób. A pomyśleć, że biedny Mordimer nigdy nie chciał niczego więcej, jak tylko, by możni tego świata ignorowali jego obecność! Dlaczego ludziom nie udaje się spełniać nawet tak nieznaczących marzeń?

— Bracie Zenobiuszu, zaprowadź naszego gościa do lazaretu, później wróćcie razem. Będę czekał w Sanktuarium.

— Stanie się, jak sobie życzysz, ojcze. Pozwól, Mordimerze.

Droga do lazaretu wiodła schodami, potem przez klasztorne mury aż na dziedziniec. „Tak będzie szybciej" — wyjaśnił Zenobiusz. Jednak zanim dotarliśmy do lazaretu, miałem okazję spojrzeć z wysokości murów na pola, lasy i łąki rozpościerające się wokół Amszilas. Wszystko było tak piękne, nasycone złotem słońca, zielenią traw oraz błękitem wody i nieba. Wtem...

— A cóż to takiego?

Dojrzałem cień snujący się tuż nad ziemią, tak jakby dym ze źle wygaszonego ogniska. Tyle że ten cień się przesuwał. Jeden, drugi, trzeci. Reszta zapewne ginęła wśród krzaków oraz drzew.

— A więc i ty potrafisz ich dostrzec — w głosie mnicha nie usłyszałem szczególnego zdziwienia. — To Wysłannicy Czarnego Wiatru, Mordimerze. Trzymaj się *z* dala, jeśli zobaczysz któregoś z nich. Nigdy nie podchodź, a kiedy ich ujrzysz, uciekaj. Nigdy też nie staraj się uratować kogoś, kogo owiał Czarny Wiatr.

Od tych dymów, cieni czy kształtów, jakkolwiek by ich nazwać, trzymałbym się z daleka i bez ostrzeżenia Zenobiusza. Bowiem zanadto przypominały mi przerażające istoty, które potrafię dostrzec w mych modlitewnych wizjach. Coś mi mówiło, że Wysłannicy Czarnego Wiatru, jak mówił mnich, należeli tylko w nieznacznym stopniu do naszego świata, a w dużej mierze bytowali w świecie, którego poznawać z całą pewnością bym nie chciał.

— Uczynię, jak radzisz — odpowiedziałem posłusznie. Rozumiałem już, czemu Zenobiusz wyglądał dzisiaj tak, nie inaczej. Jeśli właśnie on wypuścił na świat te przerażające istoty, słusznie walczył teraz z własnymi lękami. Zastanawiałem się tylko, jak bardzo złowrogie były te stwory, choć sądząc ze słów opata oraz Zenobiusza, dobrze zrobię, trzymając się od nich jak najdalej. Wreszcie dotarliśmy do lazaretu. Stał tam szereg łóżek, lecz tylko na jednym z nich zobaczyłem okrytego prześcieradłem człowieka. Podeszliśmy bliżej i ujrzałem czerwone krosty na jego ciele. Brat Zenobiusz wyciągnął dłoń.

— Podaj mi rękę, Mordimerze. Posłuchałem, a on wydobył zza pasa sztylecik. Naciął nim moje ramię, jednak nie na tyle głęboko, by wywołać długotrwały krwotok. Potem zdrapał ostrzem krostę z ręki leżącego mężczyzny i wtarł ją w moją ranę. Przyglądałem się temu ze zdumieniem zmieszanym z obrzydzeniem. Nie protestowałem, wierząc, że to, co robi, robi dla mojego dobra.

— Wybacz, bracie Hadrianie — zwrócił się do chorego. — Mam nadzieję, że nie bolało.

Potem spojrzał na mnie.

— Będziesz chorował przez kilka dni, góra dwa tygodnie. Lekka gorączka, może wymioty, na twojej skórze pojawią się swędzące krosty, jednak nie zdrapuj ich. Znikną same, a ty wyzdrowiejesz. Wtedy masz wielką szansę, że nie ogarnie cię Czarny Wiatr.

— Dziękuję, bracie — powiedziałem, nie próbując się nawet dopytywać o szczegóły magicznego rytuału, któremu mnie poddał.

— Teraz pójdziemy tam, gdzie opat życzy sobie ciebie widzieć. Chodź za mną, Mordimerze. — Dotknął końcami palców mojego łokcia.

Nie było sensu spierać się ani dyskutować. Mogłem zapewniać, iż jestem niegodny uczestniczenia w misterium wielkiej tajemnicy, lecz wiedziałem, że z podobnych wybiegów nic mi nie przyjdzie. Skoro opat uznał sen na mój temat za wizję, to byłem pewien, iż przykazania tej wizji wypełni niezależnie od czyjejkolwiek woli.

Komnata była ogromna. Strop podtrzymywały sięgające kilku pięter marmurowe kolumny, płaskorzeźby ozdabiające ściany ginęły w ciemności. Panował tu mrok i tylko jeden przedmiot jarzył się pełnym blaskiem. Jeden przedmiot, trzymany w statywie umieszczonym na podwyższeniu. Widziałem, co to za przedmiot, i czułem jego potęgę. Poszedłem w tamtą stronę, nie patrząc na opata i nie pytając go nawet o zgodę. Kiedy znalazłem się tuż przy relikwii, kiedy otoczył mnie już jej święty blask, kiedy opromieniła mnie już jej moc, wtedy uklęknąłem.

— Miecz Pana — wyszeptałem. — Boże, dzięki ci, że pozwoliłeś mi ujrzeć Miecz Pana!

Bo oto przede mną jaśniało Ostrze, które niegdyś trzymał w swych dłoniach Jezus Chrystus! Na pierwszy rzut oka prosty, krótki miecz, ale emanujący niewyobrażalną wręcz mocą. To z Nim w ręku nasz Pan pokarał niewierne Jeruzalem, to Nim raczył własnoręcznie ściąć Tyberiusza Klaudiusza Nerona — ostatniego władcę przeklętego rzymskiego imperium.

— A więc tego strzeżecie — wyszeptałem. — A więc to jest największa tajemnica Amszilas!

I teraz zrozumiałem, dlaczego klasztor nigdy nie podda się obcej mocy. Bo jakże świątobliwi mnisi mogliby pozwolić, by największa relikwia ludzkości znalazła się w niewłaściwych rękach? Czyż mogło być coś większego i świętszego od Miecza Pana?

W komnacie stopniowo robiło się coraz jaśniej, tak jakby ktoś zapalał wciąż nowe lampy. Ja jednak nie rozglądałem się, lecz ciągle wpatrywałem w Święty Oręż. Jak bardzo chciałbym być godny nawet nie tego, by ująć Go w swe dłonie (o podobnej chwale nie śmiałem marzyć!), lecz by ujrzeć, jak dzierży Go ktoś znaczniejszy ode mnie. Ktoś, na kim oprze się walka o wybawienie świata. A w jaki sposób można lepiej zbawić świat, niż niszcząc grzeszników Ostrzem, które służyło samemu Jezusowi?

— Mordimerze — usłyszałem cichy głos opata — spójrz na środek komnaty.

Z trudem oderwałem wzrok od Miecza i obróciłem wzrok tam, gdzie mi kazał. Na tronie, umiejscowionym dokładnie w centrum sali, siedział długowłosy, brodaty człowiek, ubrany jedynie w biodrową przepaskę. Jego twarz i ciało były szare, pomarszczone i sprawiały wrażenie, jakby wyrzeźbiono je w pniu suchego drzewa. Miał zamknięte powieki. Jednak nie mogłem nie poznać tego oblicza.

— Mój Boże — wyszeptałem.

— Właśnie tak — odparł spokojnie opat. — Oto jest twój i nasz Bóg. Jezus Chrystus.

Na oblicze i na skórę człowieka zasiadającego na tronie kapały spod sufitu złote krople. Podniosłem wzrok. Pod samym sklepieniem ujrzałem skute łańcuchami postaci. Postaci o złotych włosach, nieziemsko pięknych twarzach i szarych skrzydłach. Obok nich wisieli, podwieszeni na specjalnie skonstruowanych uprzężach, mnisi ze srebrnymi sierpami w dłoniach. W równo wyznaczonych odstępach czasu cięli więźniów ostrzami, a wtedy złota krew z ich żył spływała na siedzącą na tronie postać.

— Czy to właśnie On?

— Przecież sam wiesz najlepiej. Czujesz, prawda?

Czułem. Czułem potęgę emanującą z tego zwiędniętego ciała, ale wiedziałem, że nie wolno mi boleć nad losem Boga. Bo jeśli Pan wybrał tę drogę, oznaczało, iż była to droga słuszna. Nie zniknął, nie uniósł się w niebiosa, nie założył królestwa w Chinach, jak chcieli heretycy. Był wśród nas, oddał się pod opiekę pobożnych mnichów i czekał, aż nadejdzie właściwy czas.

Uklęknąłem. Co czułem, mili moi, patrząc w twarz naszego Pana? Nie jest to do opisania ani do wypowiedzenia. Czy można osiągnąć w życiu więcej, niż spojrzeć prosto w twarz Syna Bożego? Czy można chcieć więcej? Czy można marzyć o czymś więcej? Czy można być bardziej wypełnionym żarem wszechogarniającej Bożej miłości? I czy można bardziej pragnąć, by wraz z Nim ponieść miecz świętej prawdy? I czy można bardziej ufać, że wszystko, co czyniło się do tej pory, było słuszne, gdyż dano ci łaskę spoglądania w Najświętsze Oblicze?

Nie wiem, na jak długo zastygłem w modlitwie, w której niebiańska ekstaza przenikała się z rozpaczliwym bólem. Z bólem, że pomimo iż jestem tak blisko Pana, to nie przemówi On do mnie i nie pozwoli, bym złożył Mu hołd ze swej wiary, miłości oraz krwi. Jak strasznym uczuciem jest wiedzieć, że zrobisz dla Pana wszystko, czego On tylko zapragnie, lecz wiesz, że nie otrzymasz Znaku, cóż to takiego ma być!

— Podejdź bliżej, moje dziecko — usłyszałem głos opata.

Posłusznie podszedłem niemal do samych stóp Tronu. Zdumiewające, ale siedzący na nim człowiek z daleka wydawał się potężny i wysoki. Jednak gdy zbliżyłem się, dojrzałem, że jest mniej więcej mojego wzrostu. Miał silne ramiona, wysklepioną klatkę piersiową i twarz, na której zastygł smutek. Widziałem, że jego pomarszczona, zwiędnięta skóra zyskuje tylko na moment ludzką świeżość, a było to w chwili, kiedy padały na nią złote krople krwi. Kątem oka zobaczyłem, że opat klęka obok mnie.

— Mój Panie... — powiedziałem.

— Nie usłyszy cię — w głosie opata był tak samo bezmierny smutek jak ten, który przygniatał moje myśli. — Potrafimy sprawić, by nie umarł, lecz nie potrafimy sprawić, by ożył.

— On jest właśnie tu! — zawołałem. — Nie w niebie, nie w Chinach, nie w Indiach... Jest tu! Nie opuścił nas!

Obróciłem wzrok na postaci torturowane ostrzami sierpów. Zauważyłem, że ich rany zabliźniają się niemal natychmiast po zadaniu ciosu.

— A oni?

— Upadli Aniołowie. Stoczyli się tak nisko jak żadne stworzenie Boże przed nimi. Wyrzekli się Pana, lecz ich krew cały czas posiada zbawienną moc. Nie wskrzeszą Go, lecz utrzymają w głębokim śnie.

Zauważyłem, że łydka Jezusa niemal sczerniała, niczym gałąź drzewa wypalona przez ogień, jednak zaraz potem padła na nią złota kropla i wtedy znów na chwilę upodobniła się do ludzkiego ciała. Zobaczyłem ścięgna oraz niebieskie żyły pulsujące pod jędrną skórą. Lecz trwało to zaledwie moment nie dłuższy niż jedno uderzenie serca.

— Jesteśmy Jego opiekunami i powiernikami Tajemnicy od przeszło piętnastu wieków — powiedział opat. — Rozumiesz więc, mój chłopcze, że nigdy i nikomu nie pozwolimy, by przeszkodził nam w świętym dziele.

— Czy się zbudzi?

— Wierzymy w to — w jego głosie brzmiało szczere pragnienie. — I wierzymy, że wreszcie znajdziemy sposób, by przywrócić światu naszego Pana. Widać nie jesteśmy jeszcze godni, by opromienił nas swym blaskiem. Ale kiedy nadejdzie właściwy czas, wtedy On znów ujmie w dłonie Miecz i poprowadzi nas, wierne sługi Boże, byśmy dali świadectwo Prawdzie.

— Niech tak się stanie — zdołałem wyszeptać.

— Wtedy też zapanuje prawdziwe Królestwo Jezusowe, a żelazo i ogień wyplenia wszelkie zło, jakie narodziło się na świecie. I kiedy w ostatecznej wojnie zwyciężymy Bestię, nasz Pan będzie nam już królował po wieki wieków. Nie w niebie, lecz tu, na ziemi! Wydźwignie sprawiedliwych, a życie złoczyńców utopi we krwi oraz niewysłowionym cierpieniu.

— Niech tak się stanie — powtórzyłem. Milczeliśmy długą, długą chwilę. I to opat odezwał się pierwszy.

— Czas na pożegnanie, Mordimerze. Wysyłam cię w świat z ciężkim sercem i nie liczę wcale, że coś zmienisz, kogoś ocalisz, a nici losów świata splotą się w twoich dłoniach...

— Po co w takim razie żyć? — przerwałem mu gwałtownie.

— Po to, by mieć nadzieję, iż stanie się inaczej, niż twierdzę. — Nie obraził się, ale spojrzał na mnie pogodnym wzrokiem. — *Dla młodych takie sprawy są zakryty kartą, uważny starzec już wszystkie je zgłębił Kto poznał dobrze mądre, stare księgi, wie, że na lesze nic nie nożna zmienić. Oto, dlaczego starcy muszę być szaleni —* wyrecytował.

— Jesteś więc szalony, mój ojcze — rzekłem z pełnym przekonaniem, a przed oczyma miałem obraz z mych snów, którego nie wyjawiłbym nikomu. A raczej, cóż, szczerze mówiąc, wyjawiłem to człowiekowi, który z całą pewnością już nie żył. Co noc modliłem się w intencji jego zbawienia. Sam nie wiem czemu... Może dlatego, że mnie wysłuchał i zrozumiał?

Wiedziałem, dokąd pójdę, i wiedziałem, że muszę tam dotrzeć przed Czarnym Wiatrem. I że muszę ocalić coś, co panuje w moim sercu, choćbym miał za to zapłacić najwyższą cenę. W końcu byłem człowiekiem, który zobaczył swego ukochanego Boga. Byłem kimś innym niż kilka pacierzy temu.

— Mam nadzieję — przyznał, klepiąc mnie w ramię. — Mam taką najszczerszą nadzieję, kochany Mordimerze. Pielęgnuj marzenia, chłopcze, bo bez nich staniesz się...

— Nieszczęśliwym — pozwoliłem sobie dopowiedzieć, kiedy milczenie przeciągnęło się zbyt długo.

— Nikim — sprostował twardym tonem. — Bez marzeń staniesz się nikim! Jeżeli płaczesz nad tym, że w twoim życiu słońce zapadło za horyzontem, łzy przeszkodzą ci dostrzec piękno gwiazd.

— A jeśli ich nie ma? — wyszeptałem, myśląc o gwiazdach.

— To je stwórz, niemądry chłopcze! — Klasnął w dłonie.

Odwróciłem się, by ruszyć w stronę drzwi, i tylko raz jeden, ten ostatni, postanowiłem spojrzeć w oblicze Jezusa. Krople złotej krwi spadły właśnie na skórę Jego twarzy i zobaczyłem, jak wielki zastygł na niej smutek. Potem uniosłem wzrok i zatrzymał się on na jednej z postaci ciętych srebrnymi sierpami. Była Aniołem. Pomimo że miała kobiece kształty, to jednak była istotą znajdującą się poza męskim lub kobiecym postrzeganiem (a może raczej ponad nim?). Nie budziła we mnie więcej namiętności niż marmurowe rzeźby w ogrodach Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Tylko coś migotało w jej oczach. W złotych, niezwykłych oczach, w których pojawiał się ból za każdym razem, gdy srebrne sierpy haratały żyły.

I wtedy niespodziewanie w mojej głowie odezwał się głos: „Zażądaj, by ci towarzyszyła. Nie odmówią". Być może, gdybym zastanowił się chociaż przez chwilę nad sensownością tej prośby, ugryzłbym się w język. Bo skąd miałem wiedzieć, kto przemawiał do mnie wewnątrz mojego umysłu i w jakim celu to czynił?

Później pomyślałem, że przecież w tak świętym miejscu jak klasztor Amszilas nie dopuszczono by do manifestacji mrocznych mocy. Później tak właśnie pomyślałem, jednak w tamtym momencie zdołałem jedynie spytać:

— Czy ona mogłaby mi towarzyszyć?

Obaj mnisi unieśli głowy i powiedli wzrokiem w ślad za moim spojrzeniem.

— To przekracza... — Na twarzy Zenobiusza pojawiło się wyraźne oburzenie.

Opat dał mu znak, by zamilkł, potem wpatrywał się we mnie dłuższy czas. Nie opuściłem oczu.

— Ano przekracza — zgodził się wreszcie. — Lecz w dzisiejszych czasach coraz częściej zdarzają się rzeczy przekraczające nasze pojęcie. Przyprowadźcie ją — rozkazał.

Wydano odpowiednie polecenia i Anioł został opuszczona na łańcuchach. Obok niej stanęli dwaj mnisi ze srebrnymi sierpami w dłoniach. Anioł rozpostarła skrzydła. Nie otaczały jej tak jak mojego Anioła Stróża. Nie były wielkie i nie migotały świętą bielą. Skrzydła Upadłego Anioła były małe i poszarzałe. Otuliła się nimi, jakby chciała okryć swą nagość. Niemniej miała w sobie coś nieludzko pięknego: twarz oraz oczy połyskujące najgłębszym złotem.

— Tnijcie — rozkazał opat.

Srebrne ostrza uderzyły w skrzydła Anioła. Tak blisko przy samej skórze, że nie zostało nic poza ranami spływającymi złotą posoką. Krzyknęła. Głosem rozpaczy tak wielkiej, jakiej nie słyszałem wcześniej w niczyim krzyku, a przecież wiele krzyków, wrzasków oraz jęków miałem okazję słyszeć. Upadła, kuląc się na posadzce, i w tym momencie nie przypominała już Upadłego Anioła, lecz tylko torturowaną kobietę. Dostrzegłem jednak, że jej rany zabliźniają się niemal momentalnie. Po chwili pod łopatkami pozostały zaledwie zgrubienia skóry, jakby pociągnięte złotym brokatem.

— Podnieście — rozkazał opat.

Mnisi szarpnęli ją za ramiona. Ani delikatnie, ani okrutnie. Ot, po prostu skutecznie. Chwiała się w ich objęciach, z jej złotych oczu spływały łzy.

— Będziesz mu towarzyszyć — rzekł opat.

Pochylił się i oderwał jedno pióro z leżących na ziemi uciętych skrzydeł. Anioł jęknęła tak żałośnie, jakby ją to zabolało. Opat pomodlił się krótko nad wyrwanym piórem i podał mi je na otwartej dłoni. Lśniło.

— Strzeż go jak oka w głowie, Mordimerze — nakazał. — Póki jest w twoim posiadaniu, ona nie wyrządzi ci żadnej krzywdy i usłucha każdego polecenia. Chyba że będzie chciała — obrócił spojrzenie na Anioła — umrzeć w przerażających mękach...

Nie spodziewałem się, iż wszystko potoczy się w taki sposób. Gdybym wiedział, zapewne nie skusiłbym się, by poprosić o towarzystwo Anioła. Ale przecież wewnętrzny głos wyraźnie mi powiedział, że właśnie to jest słuszne. Jeśli coś takiego wydarzyło się przed samym Najświętszym Obliczem, to jak mogło to być czymś złym? Ośmieliłem się obrócić raz jeszcze spojrzenie w stronę Jezusa, jakby szukając w Jego twarzy lub wzroku potwierdzenia słuszności dokonanego wyboru. Jednak nie mogłem się łudzić, że otrzymam Znak. Oczywiście, że miałem teraz wątpliwości. Nie interesowało mnie cierpienie Upadłego Anioła (z całą pewnością zasłużyła na wszystko, co ją spotkało), lecz to, że za towarzysza podróży będę miał istotę, którą nienawiść otaczała niczym krwawa aura. I była to nienawiść skierowana właśnie na mnie.

— Ma na imię Miriam — wyjaśnił opat. — Ale możesz ją nazwać, jak tylko zechcesz. Pamiętaj, że nie jest lepsza od psa, który ma cię bronić.

— Miriam — powtórzyłem. — Dobrze, czemu nie Miriam?

Opat położył dłoń na moim ramieniu.

— Czas już na ciebie, Mordimerze — rzekł.

— Dziękuję, ojcze — powiedziałem. — Dziękuję, że mi uwierzyłeś. Wyjaw jednak, proszę, co nas czeka?

— Jakakolwiek byłaby przyszłość, postaram się, byś ty jej nie dożył — obiecała Miriam. Policzki miała mokre od łez.

Spojrzałem w jarzące się złotem oczy. Spodziewałem się, że nie będzie w nich nic prócz czystej, niczym nieskażonej nienawiści. Myliłem się. We wzroku Anioła czaiło się jeszcze obrzydzenie.

— *Niech zginie dzień, któregom się urodził, i noc, w którą rzeczono: począł się człowiek —* opat zacytował Księgę Hioba, nie zwracając uwagi na słowa Anioła. — Oto przyszłość ludzkości, Mordimerze.

— Ach — powiedziała Miriam. — Jest więc lepiej, niż myślałam.

Nie zamierzałem odpowiadać. Przyjrzałem jej się uważniej. Dostrzegłem, że złoto jej oczu zamieniło się w błyszczącą zieleń. Spojrzałem na jej piersi i zauważyłem, że nie przypominały już części marmurowej rzeźby. Pod skórą uwidoczniła się niebieska żyłka, a różowe plamy zamieniły się w brązowe brodawki sutków. Opuściłem wzrok na łono i dojrzałem, że jego okolice pokryły się jasnym puchem. Wtedy zdjąłem płaszcz z ramion i okryłem ją, by nie musiała stać przed nami naga.

— Chodź — powiedziałem. — Czeka nas długa podróż.

Ujęła mnie pod ramię. Miała tak zimne palce, że chłodny dotyk poczułem nawet przez materię kaftana.

— Jestem przyzwyczajona do długich podróży... Przyjrzałem się jej wąskim, delikatnym stopom i szczupłym łydkom.

— Czyżby?

Obróciła na mnie wzrok z nieoczekiwanym uśmiechem na pełnych ustach.

— Kiedyś wybrałam się nawet do Piekła — wyjaśniła.

— Jak zdołałaś wrócić? Przyglądała mi się długo i uważnie.

— Wrócić? Wrócić? Ja tu zostałam...